



***PHYLLIS A.  
WHITNEY***



***Szalona miłość***

Tytuł oryginału: The Winter People

# 1

Spałam, gdy nagle coś mnie obudziło. Zaczęłam nadśluchiwać. Słyszałam zacinający w okna śnieg, zamieć i wycie wiatru wśród sosen. Dźwięk, który mnie obudził, dochodził jednak z wewnątrz. Usłyszałam, że do zamka u drzwi wsunięto klucz.

Machinalnie przesunęłam ręką po łóżku, by odnaleźć Glena; w tej samej chwili przypomniałam sobie, że późnym popołudniem wybiegł po kłótni z domu, wsiadł do jaguara i z rykiem silnika, zygzakiem zjechał z urwiska na drogę. Ale przecież nie był zły na mnie. Pokłócił się z nią. Uniosłam się nieco, owinęłam kołdrą, chroniąc się przed dojmującym chłodem i w ciemnościach z natężeniem wpatrywałam się w drzwi prowadzące do przedpokoju.

Chrobot przekręcanego klucza rozległ się powtórnie.

W ciągu tych kilku tygodni, które przeżyłam w High Towers, w drzwiach pokoju Glena nigdy nie było klucza. Był to właściwie nasz pokój, lecz jako młoda mężatka nie czułam się tu jeszcze domownikiem. Z korytarza nie dobiegał żaden inny dźwięk, ani szmer oddalających się kroków, ani delikatny odgłos oddechu. Po obu stronach drzwi wyczuwało się tylko jej i moje intensywne nadśluchiwanie. I jeszcze mocne, głuche bicie mojego przerażonego serca. Wiedziałam, co zrobiła, ale nie wiedziałam dlaczego.

Cichutko zsunęłam się z łóżka. Ogarnął mnie chłód wielkiego pokoju. Boso przemierzałam zimną podłogę. Zacisnęłam palce na chińskiej gałce u

drzwi i przekreśliłam ją nieznacznie, mimo oporu. Jej palce bowiem również obejmowały gałkę i przeciwstawiały się mojemu naciskowi.

Wybuch śmiechu zaskoczył mnie — był to jakby przejaw triumfu i zadowolenia z siebie; ona cieszyła się z tego, że przejrzałam ją tak szybko. Nie dbając dłużej o zachowanie ciszy, poszła korytarzem do swojego pokoju, pozwalając mi obracać gałką, ile tylko zechcę. Niestety, bezskutecznie.

Zamknęła mnie na klucz w pokoju, w którym mieszkałam wraz z Glenem, a on wyjechał. Nie mógł mi pomóc, ponieważ znajdował się poza domem gdzieś, w gęstym śniegu, który sypał na północne wzgórza New Jersey i na zamarzniete jezioro, położone poniżej wzgórza. Wzgórza, na którym od osiemdziesięciu lat stał dom w całej swej bezwstydney pretensjonalności.

Znalazłam pikowany szlafrok i wsunęłam ramiona w długie rękawy. Powoli zapinając guziki dygotałam z zimna. Dzięki bieli śniegu za oknem w pokoju nie było jeszcze całkiem ciemno. Podeszłam do okna i przycisnęłam czoło do szyby, próbując przeniknąć wzrokiem zamieć, trzeszcząc na wietrze, tarła o parapet.

Ktoś nie zgasił światła na dziedzińcu i w blasku lampy widać było śnieżycę. Wiatr za oknem gnał grube płaty śniegu, jakby zbijając je w jedną ruchomą ścianę, która zamykała mnie we wnętrzu domu, tak samo jak więziły zamknięte drzwi, odcinając od normalnego świata.

Choćby nawet za oknem nie było zamieci, poza kręgiem światła płonącej na dziedzińcu lampy czaiłby się tylko mrok wiejskiej nocy. Nie byłoby widać jeziora, lasów i wzgórz, a w kamiennym domu po drugiej

stronie jeziora nie paliłoby się o tej godzinie żadne światło. A która jest teraz godzina?

Zaciągnawszy szczelnie zasłony, by się odgradzić od białego, wirującego szaleństwa, wróciłam do pokoju. Palcami po omacku poszukałam lampy do czytania, stojącej obok rzeźbionego palisandrowego łóżka i nacisnęłam kontakt. Mały zegar na nocnym stoliku wskazywał wpół do trzeciej. Glen wyjechał przed prawie dziesięcioma godzinami. Przy takiej śnieżycy nawet w biały dzień nie byłoby mu łatwo wrócić do domu. Ciotka Nomi odjechała z Glenem. Powinnam była uczynić to samo, ale nie dał mi szansy — zostałam więc w domu z dziwaczką, która uwięziła mnie w pokoju. Gdyby zechciała, mogłaby otworzyć zamek równie łatwo, jak przedtem go zamknęła i wejść do mnie. Nie mogłam znieść tej myśli.

Niezdarnie zabrałam się do rozpalania ognia w kominku. Po kilku nieudanych próbach drzazgi na podpałkę błysnęły i płomienie wystrzeliły w górę, ogarniając drewno. Przysunęłam niski podnózek na dywanik przed kominkiem i usiadłam z kolanami podciągniętymi pod brodę, wyciągając ręce ku językom ognia. Kiedy pochyliłam się do przodu, włosy swobodnie opadły mi na ramiona, błyszcząc w świetle ognia niczym srebro. Glen lubił mnie z rozpuszczonymi włosami. Lubił nocą przesuwając palce pomiędzy pasmami i zanurzać twarz w ich miękkości i zapachu.

Pomyślałam, że tak bardzo kocham Glena. Naprawdę go kocham! Ale nie rozumiem go, a niekiedy nawet mnie przeraża.

Zaplotłam włosy w gruby, opadający na plecy warkocz. Nie znośłam rankiem mieć włosów w nieładzie, a w domu nie było Glena, który przywiązywał wagę do uczesania. W pewnym sensie właśnie dzięki włosom znalazłam się w High Towers. Zawsze byłam z nich dumna. Podczas gdy

inne kobiety próbowały się robić na platynowe blondynki, ja miałam naturalny odcień włosów po matce Norweżce. Mój ojciec zawsze mawiał, że resztę odziedziczyłam po Blake'ach, szczególnie po drobnej i delikatnej babci Angielce. Ale włosy i oczy miałam po Bernardinie. Otrzymałam też imię po matce, lecz na szczęście tatuś uważał, że jest zbyt poważne dla dziecka i wszyscy nazywali mnie Dina. Tylko jedna osoba zawsze mówiła do mnie „Bernardina”. Byłam więc Diną Blake. A teraz jestem Diną Chandler.

Ogień pochłaniał drewniane kłody, które trzaskały w kominku i trochę grzały. Poprzez syk ognia nadśluchiwałam warkotu samochodu. Ale po odległych drogach nic nie jechało, nic nie wjeżdżało do góry podjazdem. Wiedziałam, że nikt nie mógł teraz tędy przejeżdżać. Na dworze rosły zaspły śniegu, a domem wstrząsały gwałtowne podmuchy wiatru.

Wewnątrz domu też nikt się nie ruszał. Tamta, przezornie zamknęła się w pokoju, była zadowolona, że udało jej się mnie nastraszyć.

Czy moje małżeństwo było udane? Czy czułam się szczęśliwa? — myślałam. Oczywiście, na początku każda młoda mężatka musi odczuwać wątpliwości, ale czy moja miłość do Glena nie była przypadkiem beznadziejna? Była w nim zaskakująca oziębłość przypominająca chłód lodowatych śnieżnych zasp, jakże jednak sprzeczna z licznymi przejawami radości i ufności, które najczęściej ją przesłaniały. Potrafił ogarnąć wszystko, mnie też. Lubiłam być porywana.

Nie chciałam zbyt długo rozmyślać, by nie rozpamiętywać tego, co już się wydarzyło. Ten nieznaczny chłód w Glenie często mnie paraliżował. To dziwne, ale najczęściej rozmyślałam o tym wtedy, kiedy Glena przy mnie nie było. Gdy się pojawiał, wypełniał sobą pokój, dom, wszystkie moje

myśli i całe moje serce. Wtedy potrafiłam myśleć tylko o tym jak szalenie go kocham, i że nie zniosłabym, gdyby kiedyś się odwrócił ode mnie. Nie dlatego że kiedyś to już uczynił. Nie, w żadnym razie! Ale kiedy pojawiła się ona, zaszła w nim zmiana, która napawała mnie zdziwieniem i lękiem. Byłam zdezorientowana. Musiałam uspokajać siebie samą, wracać myślą w przeszłość. Musiałam przypominać sobie, co zdarzyło się zaledwie przed kilkoma burzliwymi tygodniami i jak do tego doszło.

Ukrywszy twarz w ramionach, które splotłam wokół kolan, zamknęłam oczy przed blaskiem płomieni, usiłując przywołać — z najdroższymi szczegółami — ów dzień w Nowym Jorku, gdy Glen wszedł do muzeum, w którym pracowałam, a zarazem wkroczył w moje życie.

Nie byłam wówczas na szczęście zaangażowana uczuciowo. Praca w muzeum wydawała mi się bardziej interesująca niż mężczyźni, których tam poznałam. Mój ojciec, dr John Blake, był sławnym historykiem, profesorem uniwersytetu w Kalifornii. Jego książki znajdowały się w każdej bibliotece, we wszystkich podręcznych zbiorach. Dzięki niemu wyrosłam w kulcie przeszłości, choć zakres moich zainteresowań był nieco inny. Tatę frapowały przede wszystkim postacie historyczne, zajmował się interpretacją motywów ich działania, pomyłek i triumfów, a ich analiza mogła służyć lepszemu zrozumieniu teraźniejszości. Ten cel mnie także nie był obcy, aczkolwiek spoglądałam na postacie historyczne z odmiennego punktu widzenia. Bardziej fascynowała mnie sztuka — malarstwo i rzeźba, dzieła stworzone przez artystów różnych epok.

Pomimo że wyrosłam w słonecznym klimacie południowej Kalifornii, moją Mekką był zawsze Nowy Jork. Po śmierci ojca szybko więc spakowałam się, porzuciłam college i za zgodą matki pojechałam na

Wschód, by się starać o upragnioną pracę w muzeum. Wprawdzie niechętnie rozstałam się ze złocistym blaskiem słońca, nie lubiłam też zimy na Wschodzie, ale wiedziałam, że powinnam wyjechać. Kiedy zmarł ojciec, została matka. Nazywała się Bernardina Björnson — i była kiedyś znakomitą pływaczką. Na starość znajdowała się pod opieką młodszej siostry, która ją uwielbiała. Obie nadal mieszkały w Kalifornii.

Czasami żałowałam, że przyszłam na świat, gdy moi rodzice nie byli już młodzi. Nie miałam wielu krewnych i czułam się samotna, gdyby nie nowi przyjaciele z muzeum. Żyłam pełną parą, lecz w głębi duszy wciąż odliczałam upływające dni. Robiłam to bezwiednie. Pewnego dnia znów go ujrzę. To przeznaczenie — myślałam. Tymczasem obserwowałam ludzi; niekiedy zdawało mi się, że widzę charakterystyczne pochylenie głowy lub poznaję znajome kroki. Na dźwięk głosu w tonie szorstkiej uprzejmości, mocniej biło mi serce; w podobny sposób działał na mnie błysk ironicznego uśmiechu. Przywoływał wspomnienia, które po upływie tylu dni powinnam wymazać z pamięci. Oczywiście, nigdy już później nie ujrzałam tego mężczyzny. Czytałam tylko jego książki i wiedziałam, że mieszka w Nowym Jorku. Brakowało mi jednak odwagi, by znowu napisać lub zjawić się na progu jego mieszkania. Dawna odmowa, która wtedy była jedyną rozsądną decyzją, budziła przykre skojarzenia. Zresztą, pochłaniała mnie praca.

Nie było to wprawdzie szczególnie ważne zajęcie. Po części pełniłam obowiązki sekretarki zastępcy kustosza, po części wykonywałam prace dorywcze. Te ostatnie lubiłam najbardziej. Moim ulubionym miejscem były magazyny, gdzie na wysokich rzędach półek umieszczano rzadko oglądane

przez zwiedzających skarby. Pomagałam katalogować, odkurzać, wykonywać drobne naprawy i zawsze wiedziałam co gdzie stoi.

W pobliżu muzeum, w domu bez windy miałam własne mieszkanie. Spotykałam się czasem z dwoma lub trzema mężczyznami, których towarzystwo polubiłam; nie za często, bo na razie nie zamierzałam się wiązać. Musiałam najpierw zająć się swoim własnym losem.

Tego dnia, gdy Glen Chandler wszedł do muzeum, byłam zajęta drobną, raczej przyjemną czynnością. Do magazynu przyniesiono posązek baletnicy z brązu, wielkości niemal połowy wzrostu człowieka, wykonany we Włoszech w stylu przypominającym trochę rokoko. Posązek nie wiedzieć czemu przystrojony był spódniczką wykonaną z prawdziwego tiulu, który wystrzępił się i zszarzał. Moim zadaniem było zaopatrzyć rzeźbę w nowy tiul. Postawiłam posązek na długim wystawowym stole i sama się tam wspierałam, by dokończyć robótkę. Kiedy klęczałam z igłą w ręku, pochylając się nad jej wygiętym paluszkim, moja głowa zrównała się z głową baletnicy. Przy pracy mówiłam coś do niej tonem pogawędki.

Wiedziałam, że Glen Chandler ma niebawem przyjść. Pracownicy naszego działu muzeum byli trochę podnieceni, ponieważ Glen był synem Coltona Chandlera, który cieszył się wielkim szacunkiem w kręgach artystycznych. Colton dobiegał sześćdziesiątki, lecz jego sztuka się nie zestarzała. Portrety Nehru i Sary Churchill jego pędzla należały do cenionych eksponatów muzeum i wisały na honorowym miejscu, w głównej galerii na piętrze. O synu Chandlera wiedziałam tylko tyle, że prowadził małą galerię sztuki w centrum miasta. Sama nigdy w niej nie byłam. Malarze, rzeźbiarze, studenci akademii i wykładowcy stale odwiedzali nasze muzeum i przywykłam do ich widoku. Kilku poznałam



wcześniej za pośrednictwem ojca. Tego ranka przyniosłam osiemnastowieczne posążki z miśnieńskiej porcelany, którym Glen Chandler chciał się przypatrzeć. Zamierzałam kontynuować swoją pracę, kiedy je będzie oglądał. Spóźnił się już pół godziny i obawiałam się, że będę zmuszona przełożyć lunch.

Usłyszawszy zgrzyt otwieranych zewnętrznych drzwi i głosy nadchodzących osób, przyśpieszyłam pracę, by wykonać ostatni szew na tiulowej spódniczce baletnicy, zanim zeskoczę ze stołu.

Pani Albright wprowadziła Glena Chandlera do środka, a widząc mnie na podwyższeniu, nie okazała zdziwienia.

— Panno Blake, czy zechciałaby pani zejść z podium i pokazać panu Chandlerowi porcelanowe posążki, które pani przygotowała? Przepraszam państwa, mam pilny telefon — powiedziała.

Oddaliła się pośpiesznie, pozostawiając go we drzwiach.

Rzuciłam krótkie spojrzenie, które zarejestrowało tylko, że w pobliżu drzwi stoi wysoki mężczyzna i obserwuje mnie uważnie.

— Za chwilę się panem zajmę — powiedziałam i prędko wbijałam igłę w sztywny tiul.

Skoro kazał mi na siebie czekać, mógł teraz trochę zaczekać na mnie. Miałam w sobie odrobinę uporu mojej matki Norweżki.

Nie odezwał się ani słowem, a ja skończyłam szycie i dopiero wtedy podniosłam głowę. Po raz pierwszy naprawdę mu się przyjrzałam.

Nie poruszył się, tylko stał, ponuro i bacznie mi się przyglądał. Odniosłam dziwne wrażenie, jakbym widziała siłą powściągany ruch, utrzymywaną w ryzach witalność. Włosy miał gęste, ciemnokasztanowe, lekko kręcone, w świetle połyskujące czerwono, oczy bardzo duże,

ciemne, niemal czarne. Szlachetna, męska twarz była szczupła i pociągła, usta — wąskie i wrażliwe. Przypominał mi stary portret Keatsa, który kiedyś widziałam. Przyglądałam mu się całkiem otwarcie, ponieważ jego wzrok był wręcz natarczywy.

— Właśnie skończyłam — odezwałam się, by przerwać ową dziwną wymianę spojrzeń.

Stałam na długim blacie stołu, jedną rękę opierając na ramieniu mojej przyjaciółki baletniczki.

Glen Chandler podszedł do mnie, poruszając się ze swobodą i lekkością, którą — jak się później miałam okazję przekonać — zawdzięczał uprawianiu narciarstwa, jeździe na łyżwach i jeździectwu.

— Zostań tam, gdzie jesteś! — powiedział rozkazująco. — Nie ruszaj się ani o krok. Stój właśnie tam.

Poczułam się nagle skrepowana, wystawiona na pokaz, nieco nawet urażona, ale usłuchałam. Glen okiem artysty studiował moją postać. Oglądał mnie z przodu, z boku, na koniec stanął za stołem. Było to tak bezosobowe, że nie czułam już oburzenia.

— Ta szarozielona bluza, którą masz na sobie, ma odpowiedni dla ciebie odcień. Podkreśla zieleń oczu, które jednak są jaśniejsze i dominują. Tak właśnie powinno być. Nosisz włosy we właściwy sposób — swobodnie i naturalnie okalają twarz, opadając na plecy. Tylko niepotrzebnie je krepujesz. Wyjmij z za uszu te grzebienie.

Oprzytomniałam wreszcie i zeskoczyłam ze stołu, całkowicie wyprowadzona z równowagi.

— Porcelanowe figurki są tam — powiedziałam. — Przygotowałam je dla pana, więc...

Zbliżył się do mnie z wylewnym uśmiechem, który rozbrajał.

— Zapomnijmy teraz o porcelanie. I nie patrz na mnie w ten sposób. To głupie, wiesz? I daremne. Nie jestem jeszcze wprawdzie pewien, co zamierzam w związku z tobą uczynić, ale będzie to coś! Coś ważnego. Nie ma sensu się opierać.

Lubię wprawdzie mężczyzn, którzy potrafią rządzić i decydować — ale tylko wtedy, gdy robią to tak jak mój ojciec — łagodnie i zarazem stanowczo. Nigdy nie lubiłam, kiedy mnie traktowano z góry. Mogę ustąpić, ale nie pod taką presją. Nie akceptuję arogancji.

Byłam cała najeżona, ale zaczęło do mnie docierać, że Glen Chandler wcale nie zachował się arogancko. Pojęłam, że stał oto przede mną mężczyzna, poruszony czymś, co w gruncie rzeczy jest niezależne ode mnie. Mężczyzna ten niczego przede mną nie udaje i nie zamierza mnie obrazić.

Kiedy wyciągnął mocne dłonie o długich palcach, by wyciągnąć mi zza uszu dwa srebrne grzebyki, jego dotyk był niemal czuły. Stałam jak zahipnotyzowana. Włosy opadły mi na ramiona, on zaś cofnął się, trzymając po grzebyku w każdej dłoni i wpatrywał się we mnie ciemnymi, uważnymi oczyma — oczyma, które miały barwę znacznie ciemniejszą niż jego kasztanowe włosy. Cieszyłam się, że te oczy są ciemne. Niebieskie oczy wzbudzały we mnie niepokój.

— Widzę cię w alabastrze — powiedział bardziej do siebie niż do mnie. — Czysty, biały alabaster; jak lód. Sądzę, że mógłbym to zrobić. Sądzę, że mógłbym...

Nie miałam pojęcia jak należy postąpić. Nie zamierzałam zamieniać się w modelkę — ten rodzaj pracy mnie nie pociągał, a Glen Chandler

wprawiał mnie w coraz głębsze zakłopotanie, podczas gdy on, nawet w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia człowieka nieśmiałego.

— Jeśli chce pan obejrzeć porcelanowe figurki, to proszę bardzo — rzekłam. — Muszę oczywiście zostać, gdy będzie je pan oglądał. Ale minęła już pora lunchu i...

— Jak masz na imię? — spytał. — Kiedy pani Albright przedstawiła nas sobie, usłyszałem „Blake”. Ale imienia nie podała. Jesteś chyba z pochodzenia Skandynawką.

— Moja matka jest Norweżką — odparłam. Dano mi po niej imię Bernardina.

Zawsze tak się przedstawiałam, choć tylko jeden jedyny mężczyzna nazywał mnie kiedyś Bernardina. Myślę, że był to pewien rodzaj testu, któremu poddawałam ludzi spotykanych po raz pierwszy. Potem zawsze od razu mówiłam, że znajomi nazywają mnie Dina.

— Dina! — zaakcentował głoskę „n”, wymawiając ją wyżej. — Tak właśnie myślałem... Znać po tobie skandynawskie pochodzenie. Tak, mógłbym użyć alabastru, uchwycić twoje włosy opadające w ten sposób na ramiona, a wszystko w odcieniu lodowatej zieleni. Czasami na białym alabastrze są cienie...

— Nie chcę być rzeźbiona w alabastrze, ani w niczym innym, bo nie lubię przesiadywać długo bez ruchu — odrzekłam. — Czy zechciałby mi pan oddać moje grzebyki?

Znowu się uśmiechnął i po raz pierwszy poczułam lekki skurcz serca. To było silniejsze ode mnie. Uśmiech rozjaśnił i ożywił nieco posępne rysy jego twarzy, czyniąc zeń mężczyznę obdarzonego nieodpartym urokiem.

Zręcznym ruchem wpiął mi grzebyki we włosy. Powinnam była już wtedy się domyślić, że wychował się w otoczeniu kobiet.

— Czy zechciałabyś zjeść ze mną lunch — zapytał. — Miałbym szansę przeprosić cię za swoje zachowanie. Czekałem na kogoś takiego jak ty. Ale oczywiście nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówię, nie wiesz, co to dla mnie znaczy. Pozwól przynajmniej, że ci to wyjaśnię.

Wiedziałałam, a nic mnie nie przestrzegało lub co najwyżej, ostrzegał mnie nieznaczny skurcz serca, że chcę z nim pójść. Kierował mną teraz nie rozsądek, lecz to dziwne wrażenie przypominające start rakiety, wybuchy fajerwerków czy zapowiedź czegoś magicznego, co ma się właśnie zdarzyć. Miałam dwadzieścia cztery lata i dostatecznie wiele razy doznawałam tego uczucia, by doskonale wiedzieć, jak szybko spalone fajerwerki spadają na ziemię, jak łatwo gasną iskry. Jednak, gdy uczucie to nadchodziło, zawsze je przyjmowałam, bo wtedy na pewien czas mogłam przestać obserwować obce twarze w tłumie.

Powiedziałam, że włożę palto i za chwilę wrócę, a mój głos, zgodnie z przepełniającymi mnie uczuciami, na pewno był onieśmielony i drżący.

W drzwiach na moment schwycił mnie za rękę, spojrzał na mnie badawczo i jakby wyzywająco.

— Śnieżnobiała — powiedział. — Srebrzysta. Doskonały kontrast. Przeciwiństwo czerni...

Nie wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć, wtedy jeszcze nie rozumiałam. Przy stoliku, gdzie zjedliśmy lunch, opowiadał mi o sobie lub przynajmniej wydawało mi się, że opowiadał. Przysłuchiwałam się z bijącym sercem, nie czując smaku jedzenia.

Wszyscy wiedzieli, że Glen Chandler w młodości był cudownym dzieckiem. Jego talent jako malarza i rzeźbiarza błyskawicznie rozwijał się i szybko dojrzał. Mówiono, że miał uzdolnienia Chandlera-ojca. Ale nagle coś się popsuło, gdy miał około dwudziestu lat wydawało się, że jego geniusz już się wypalił. Powiedział mi teraz, że to, do czego doszedł, w tak naturalny sposób osiągając wyżyny, stało się dla niego mało warte i pospolite. Wprawdzie nie zrezygnował całkowicie z pracy, ale pomimo prób, tylko raz udało mu się zrobić to, do czego czuł się powołany. Tylko raz powróciło natchnienie.

— Wykonałem rzeźbę w czarnym marmurze — powiedział. — Ale była to mroczna, niewłaściwa dla mnie inspiracja. Skończoną pracę zniecierpkiałem, choć tylu ludzi ją wychwalało. Gdybym potrafił... Nie, wierzę, że umiem... Dino Blake, proszę, daj mi tę szansę!

Co innego mogłam zrobić, jak tylko się zgodzić? Był miły i przekonujący. Zrozumiał, że władczy ton zaniepokoił mnie. W końcu więc uległam. Feerie zimnych ognii wciąż dźwięczały mi w uszach, choć obawiałam się, że oznaczały zapowiedź czekającego mnie bólu. Glen Chandler był zakochany w wizji tego co mógł wyrzeźbić w białym alabastrze, gdybym zgodziła się pozować. Wątpię, czy podczas owych pierwszych kilku dni uważał mnie za prawdziwą osobę. Choć on nie potrafił realnie spojrzeć na mnie, moja wyobraźnia była rozpalona, ujrzałam się od nowej strony. Pozując prawdziwemu artyście do wielkiego dzieła stałabym się twórczą inspiracją. Nie usiłowałam nawet uciekać; jak ryba złowiona na haczyk, która ochoczo połknęła przynętę zaakceptowałam niebezpieczeństwo.

W tym krótkim okresie pracowałam jak we śnie. Glen zwykle dzwonił i zabierał mnie na lunch i obiad.

Nie przystąpiliśmy od razu do pracy, choć nadszedł weekend i miałam wolny czas. Być może obawiał się rychłej próby. Wprawdzie powiedział, że mieszcząca się za jego galerią sztuki, pracownia czeka na nas, ale nie chciał mnie tam zabrać, by rozpocząć pracę. Zamiast tego spacerowaliśmy ulicami Nowego Jorku w orzeźwiającym listopadowym chłodzie, a on bez końca mówił. Wydawał się być złaknięty słuchacza, a ja, zafascynowana przysłuchiwałam mu się, bo nigdy nie był nudny. Otwarcie mi powiedział, że gdy uznał, iż jego talent się wyczerpał, za pieniądze Chandlera kupiono mu galerię sztuki. Był dumny z jej urządzenia; dumny z malowideł i rzeźb, które tam wystawiał, zawsze gotowy do wspierania młodych, obiecujących artystów. A kilku z tych, których odkrył, zyskało już sławę.

Trzeciego wieczoru, który spędziliśmy razem, wziął mnie do galerii, którą otworzył po godzinach. Była to długa, wąska, jasna i bardzo piękna sala z błyszczącą podłogą i drewnianymi płytami, które niczym skrzydła wyrastały ze ścian, by w najkorzystniejszym świetle eksponować obrazy. Z zachwytem mówił o wystawianych w galerii dziełach. Gdy się poruszał, łagodne światło muskało jego połyskujące czerwienią włosy. Wyglądał niepokojąco pięknie i na wskroś męsko, aż pod wpływem jakiegoś lęku i pragnienia lekko zadrżałam.

Pomimo jego entuzjazmu, wyczuwałam towarzyszący mu żal, że musiał wystawiać prace innych twórców, nigdy własne. Była to część skierowanego do mnie apelu: w ufności Glena we własne siły kryła się skaza. Cierpiałam więc za niego, podziwiając jednocześnie jego odwagę i wytrwałość. Miał zaledwie trzydzieści cztery lata, dlaczego nie mógłby

zacząć od nowa? Dlaczego nie miał tym razem budować na solidniejszych podstawach, czerpiąc nie tylko z twórczego natchnienia, ale także korzystając ze świetnej techniki, jaką posiadał? Byłam urzeczona niczym uczennica, gotowa lekkomyślnie złożyć siebie samą w ofierze dla jego sztuki, byle tylko mu się przysłużyć.

Teraz, gdy pomyślę o jego galerii, przypomina mi się jeden obraz. Obraz, który powinien być dla mnie ostrzeżeniem.

Nie znajdował się w jakimś szczególnie widocznym miejscu. Nie był nawet wyjątkowo dobrze oświetlony, mimo to, jakoś dziwnie przyciągał mój wzrok. Przedstawiał pokryte lodem jezioro zimą i nagie, szare drzewa na odległym brzegu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to ładny widoczek z błękitnym niebem w górze i ślizgającymi się na lodzie postaciami w jasnych ubraniach. Mogłam popatrzeć chwilę i odejść, gdybym nie spostrzegła jego prawdziwego sensu.

Obraz namalowany był w pseudoprymitywnym stylu, jednak drobne postacie zaludniające scenę, nie były wcale ładne. Po uważnym przyjrzeniu się, każda z nich, pomimo kolorowego ubrania, wydawała się prawie szkaradna, a wszystkie pochłoneły czynności, które nie były bynajmniej niewinne. Pędzący po lodzie łyżwiarze przerwali swój łańcuch, i znajdująca się na końcu dziewczynka, puszczonej wolno, sunęła prosto na skalisty brzeg zbliżając się do katastrofy. Na brzegu za łyżwiarzami płonęło ognisko, a chłopiec wpychał dziecko w płomienie. Na zamarzniętym jeziorze wysoki młodzieniec składał się do strzału. Celował w brązowe zwierzątko usiłujące uciec na brzeg do bezpiecznego lasu. Postać chłopca namalowana była z wielką dbałością o szczegóły — kraciasta kurtka, niebieskie dżinsy, czapka w czerwono-czarną kratę. Wszędzie, wokół jego stóp leżały drobne ciała



zabitych zwierząt. Każde z nich można było rozpoznać; były tam sarna, lis, szop, królik, świstak.

Sądzę, że w podobny sposób można ukazać każdego myśliwego, próbując podkreślić okrutną prawdę. Ten obraz był jednak czymś więcej niż sceną realistyczną; tkwiła w nim jakaś złośliwa myśl. Każda najmniejsza okropność namalowana była z upodobaniem, a efekt był wstrętny i odpychający. A jednak obraz osobliwie mocno oddziaływał na widza. Nie był podpisany żadnym nazwiskiem, widniały pod nim tylko nagryzmołone, trudne do odczytania inicjały.

Glen przeszedł do frontowej części galerii, by rozmówić się z kimś stojącym przy drzwiach. Gdy rozmówca odszedł, wrócił, zastając mnie wpatrzoną w scenę na zamrożonym jeziorze.

— Cóż za okropny obraz! — powiedziałam. — Kto go namalował?

Wydał mi się dziwnie zjeżony.

— Na swój sposób to arcydzieło — odpowiedział. — Czy widzisz po lewej stronie dom na szczycie wzgórza?

Nie zauważyłam przedtem domu. Światło słoneczne oświetlało wprawdzie jezioro, ale na szczycie wzgórza chmury rzucały cień i szary, wysoki dom niemal nikał wśród szkieletów zimowych drzew. Teraz zauważyłam, że również tam znajdowały się czyniące aluzje do zła szczegóły; spiczaste wieże podobne do sterczących uszu, szyby okien odbijające dziwne refleksy udreńczonych twarzy. Wszystko przeładowane szczegółami i groteskowymi rzeźbami z czasu „gotyku Carpentera”.

— To High Towers — powiedział Glen. — Opowiadałem ci o domu, w którym wyrosłem. Chandlerowie posiadają całą tę ziemię po drugiej stronie jeziora, Gray Rocks Lake, w pewnym sensie, też jest naszą

własnością, choć są tam tacy, którzy, jeśli ich się nie powstrzyma, chcieliby wszystko zepsuć, zagrabic i zniszczyć.

Pochyliłam się, aby uważniej przyjrzeć się niewyraźnym inicjałom, którymi był sygnowany obraz. I odczytałam je: „G. C. ”.

Poczułam na karku niesamowite mrowienie. Wyprostowałam się, by badawczo spojrzeć na Glena.

— Odpowiedz: to twój obraz, prawda? Dlaczego, Glen?! Dlaczego? Malowałaś dawniej tego typu rzeczy?

Rozgniewany odciągnął mnie.

— Nie, to nie jest mój obraz! Przestań patrzeć na tę ohydę! Wystawiam go, ale to nie ja go namalowałam. Odejdź!

Opierałam się naciskowi jego ręki. W obrazie było coś, czego nie rozumiałam i o czym natychmiast chciałam się dowiedzieć.

— Dlaczego nie chcesz, żebym patrzyła? Jest naprawdę bardzo dobry, choć budzi we mnie obrzydzenie. Nie musisz się go wstydzić, jeśli to ty...

Od jego uścisku zabolowało mnie ramię.

— Powiedziałem ci, że obraz nie jest mój. Nie chcę, żebyś go oglądała, bo pod jego wpływem uprzedzisz się do jeziora i High Towers. Nie chcę, Dino, żebyś miała uprzedzenia, ponieważ zamierzam cię tam zabrać. Pojedziesz ze mną, prawda?

Obrócił mnie wkoło, abym mogła stanąć do niego twarzą. Spojrzałam w górę w jego płonące oczy, które patrzyły pytająco, na pół zuchwale, na pół błagalnie.

Speszyłam się jeszcze bardziej.

— Dlaczego mam jechać do High Towers? — zapytałam.

— Ponieważ, Dino muszę rozpocząć pracę. Zamierzam wyrzeźbić z alabastru twoją głowę. Muszę wkrótce zacząć, nim utracę nastrój. Potem trudno byłoby mi go odzyskać.

— Ale ja zgodziłam się pozować ci tu — powiedziałam. — Mówiłeś, że będziesz rzeźbić w pracowni za galerią. Myślałam, że zaczniemy w tym tygodniu.

Delikatnie położył mi obie dłonie na ramionach, a moje ciało zdawało się unosić do góry, tęskniąc do dotyku jego rąk. Nie mogłam się temu oprzeć.

— Tu nie będziemy pracować — powiedział. — To jest złe miejsce. Wszystko, co w przeszłości tu zrobiłem, jest nieudane. To były lata straszliwych niepowodzeń. Tym razem nie mogę ryzykować. W High Towers mam zresztą odpowiednią bryłę kamienia, białą, przezroczystą jak lód, z delikatnym odcieniem zieleni. I miejsce też jest odpowiednie. Ma odpowiednią atmosferę.

Poczułam zakłopotanie. Zorientowałam się już jak trudno jest mu się sprzeciwić, a jednak byłam zmieszana. High Towers leżało w północnej części New Jersey.

Nie chciałam jechać do północnego New Jersey, tak samo jak nie chciałam, by Glen miał niebieskie oczy i czarne włosy. Istnieje teoria, według której kobieta, która pokocha pierwszy raz, to potem przez całe życie zakochuje się w tym samym typie mężczyzny. Wiedziałam, że nie była to prawda. Pragnęłam na zawsze uciec od wszystkiego co przypominało mi Trenta McIntyre'a, mężczyznę, który pochodził z północnego New Jersey. Chciałam już zapomnieć o jego długich krokach, krokach, które oddaliły go ode mnie na zawsze.

— Ależ Glen, przecież tu, w Nowym Jorku mam pracę — przypomniałam. — Nic na to nie poradzę, ale nie dostanę urlopu. Zwolnią mnie na zawsze! Glen, ja muszę myśleć o sobie! Muszę!

— Nie — odpowiedział spokojnie, bez nuty arogancji. — Tym razem musisz pomyśleć o mnie. O mojej pracy. Dino, to jest dla mnie kwestia życia lub śmierci! Ty wiesz o tym, prawda?

Wiedziałam. Przekonał mnie. Ale nadal się obawiałam. Co stanie się ze mną, gdy już wyrzeźbi swoje alabastrowe arcydzieło? Do czego będę mu wtedy potrzebna? Cofając się, uwolniłam się z jego rąk, odwróciłam od ciemnych, błagających oczu i uciekłam. W ostatniej chwili, tuż przed całkowitą kapitulacją, pragnienie ucieczki okazało się silniejsze.

Schwytał mnie, nim zdążyłam dobiec do drzwi galerii. Jego nastrój błyskawicznie uległ zmianie. Dogonił mnie triumfując żywiołowością, zakręcił mną po sali, popchnął za wystające skrzydło z obrazami pod wychodzące na ulicę okno. Tam pocałował mnie, najpierw na wpół prowokująco, potem pożądliwie. Uległam i oddałam pocałunek. Choć żadna z moich wątpliwości nie rozproszyła się, a obawa nie zmniejszyła, jego ramiona były jednak miejscem, w którym chciałam pozostać bez względu na to, co miała przynieść przyszłość.

— Zanim zabiorę cię do domu, weźmiemy ślub — powiedział. — Pobierzemy się bez rozgłosu tu, w Nowym Jorku. Teraz w High Towers nie ma nikogo z wyjątkiem ciotki Nomi. Możemy więc tam pojechać na miodowy miesiąc. Potem w domu zacznę pracować. Pokażę ci nasze jezioro i wzgórze. Zbliża się zima, a nie ma nic piękniejszego niż Gray Rocks w śniegu. Wtedy zewsząd otacza nas śnieg. Nie brudny śnieg miejski, lecz śnieg, którego dziewczyna z Kalifornii nigdy dotąd nie widziała.

W jego ramionach ogarnął mnie nagle spokój.

— Nie musisz żenić się ze mną tylko dlatego, że jestem ci potrzebna jako modelka — odpowiedziałam. — Pojadę do High Towers. Będę ci tam pozowała. Nie ma powodu, abys...

— Jest bardzo zwyczajny powód... — odpowiedział i przytrzymał moją głowę przed sobą. Długie palce wsunęły się w moje włosy.

W głębi duszy słyszałam głos: Mam kogoś poślubić? Zrezygnować ze swoich głupiutkich marzeń? Ale ja nie chciałam słuchać tego szeptu. Tamto skończyło się już dawno temu, nie pozostawiając złudzeń powrotu. Dlaczego więc nie miałabym dawnych planów zastąpić nowymi? Pozwoliłam Glenowi, by przytulił do siebie moją głowę. Usłyszałam mocne bicie jego serca.

— Nie kupuję sobie modelki, kochanie — powiedział. — Jesteś dla mnie lekarstwem na wiele rzeczy. Jesteś wolnością, ucieczką, sukcesem — wszystkim. Muszę mieć cię przy sobie.

Jakich dziwnych słów użył: „wolność”, „ucieczka”. Może należało zaprotestować, zaprzeczyć? Naturalnie, nic by nie odpowiedział, gdybym to zrobiła. A przecież celowo niczego więcej nie mówił, nie chcąc mnie spłoszyć na zawsze.

Ucieszyłam go, bo postąpiłam tak, jak sobie życzył. Nie miało to nic wspólnego z efektownymi racami i ogniami sztucznymi, które tak szybko spalają się. To miłość taka, jaka powinna być, hojna miłość dawana temu, kto jej potrzebuje. Nie miało znaczenia to, że ja dawałam, a on był tym, który brał. Często musi tak być, i nikt z dwojga ludzi nie cierpi z tego powodu. Było to oczywiście o wiele lepsze od bolesnego obdarzania uczuciem kogoś, kto tego nie chce.

Z całego serca pragnęłam dać Glenowi wszystko, czego potrzebował, by wypełnić pustkę i uwolnić go od wszystkiego, co mu przeszkadzało, tak, by znowu mógł pracować. Tłumaczyłam sobie, że przez słowo „wolność”, rozumiał właśnie zdolność do pracy, do odnalezienia zagubionego talentu, który ponownie uczyni go pełnym człowiekiem. Ponadto ja też chciałam być wolna, wolna od mężczyzny, który kiedyś trzymał mnie w ramionach, pozwalał mi płakać na swoim ramieniu, a potem cicho lecz zdecydowanie usunął mnie ze swego życia.

W muzeum, z powodu mojej rezygnacji zanadto nie ubolewano. Przez kilka następnych dni pochłaniał mnie wir działania. Zresztą Glen nie czekałby na mnie, miałam więc niewiele czasu by stosownie się przygotować. Z przeprowadzką nie było kłopotów, ponieważ jego asystent z galerii był już przyzwyczajony do przewożenia rzeczy w zależności od potrzeby.

Ślub wzięliśmy w bezbarwnych salach Municipal Building, choć nie dostrzegałam szarzyzny, bo Glen uczynił z niego zgodnie ze swoim żywiołowym, żywym usposobieniem uroczyste wydarzenie. Czułam się porwana niczym wstążka dziko szybującego latawca, który mknie pod niebem z trudem utrzymując się na uwięzi. Myśli o przyszłości były ostatnią moją troską. Przeszłość wymazałam całkowicie. Rakieta wystartowała.

Do matki napisałam długi, entuzjastyczny list i otrzymałam krótką odpowiedź. Był to wprawdzie serdeczny liścik, ale wtedy nie była już w stanie pisać wyraźnie; moja ciotka dodała kilka słów gratulacji; miałam więc rodzinę, która życzyła mi pomyślności na nowej drodze życia.

Gdy tylko prosta, złota obrączka znalazła się na mojej ręce — wybrałam ją, ponieważ nie lubię kunsztownych pierścieni, które chciał mi

kupić Glen; wysłał telegram do ojca przebywającego gdzieś w Portugalii. Malował właśnie jakiegoś byłego króla. Matka Glena zmarła, gdy miał pięć lat. Colton Chandler ponownie nie ożenił się, był więc jedynym z rodziców, którego należało powiadomić. Glen nie miał wprawdzie jego dokładnego adresu, ale biuro American Express w Lizbonie powinno go odszukać.

— Co powie twój ojciec? — spytałam Glena, gdy pisał telegram. Po raz pierwszy poważnie się zastanowiłam, co wielki Colton Chandler, artysta o światowej sławie, pomyśli o nagłym ślubie syna z nieznaną dziewczyną. Po raz pierwszy odczułam obawę co do ojca Glena, których nie miałam wcześniej.

Glen napisał na formularzu ostatnie słowo i bez uśmiechu odpowiedział na moje pytanie.

— Colton będzie szalenie szczęśliwy, a potem, gdy cię pozna, będzie sądził, że sam cię wymyślił.

Jego głos zabrzmiał dla mnie nieco oschle.

— Mój ojciec potrzebuje spadkobiercy, który nosiłby jego nazwisko i podtrzymywałby w przyszłości jego sławę. Jak dotąd rozczarowywałem go.

— Chciałabym mieć dzieci — powiedziałam łagodnie.

Glen spojrzał na mnie zaskoczony.

— Nie śpieszmy się z tym. Na razie chcę mieć cię tylko dla siebie.

Nie chciałam się spierać.

Glen nadał telegram i wróciliśmy do jego mieszkania. Zatelefonował do Nomi, jak nazywał swoją ciotkę. Znowu czekałam, podczas gdy on rozmawiał z High Towers. Panna Nomi Holmes, starsza siostra jego matki, gładko chyba przyjęła nowinę, choć uważałam, że to nierozsądne z jego strony uprzedzać ją na tak krótko przed naszym przyjazdem. Ale byłam już

pogodzona z faktem, że od Glena nie należy oczekiwać rozwagi i przezorności. Lubił reagować impulsywnie i kochałam go za to.

Ciotka dość spokojnie przyjęła wiadomość. Glen mówił szybko, czule przymilając się, by ją sobie pozyskać. Mimo to nie oddał mi słuchawki, abym mogła porozmawiać, a kiedy ją odłożył, rozweselony uniósł do góry brew.

— Ona przewróci dom do góry nogami — powiedział. — Na nasze powitanie zrobi generalne porządki.

— Ale co powiedziała? — zapytałam. — Co powiedziała o twoim ślubie ze mną?

— Powiedziała, że wprawdzie jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który potrafi przyjąć odpowiedzialność za żonę, ale jeśli wybrałem właściwą kobietę, to cieszy się z tego. Nomi mówi zawsze bez ogródek. Ma nadzieję, że jesteś rozsądną dziewczyną, która dopilnuje, bym całkowicie nie stracił głowy. Dino, czy jesteś rozsądną dziewczyną?

Nieco zbyt energicznie potrząsnęłam przecząco głową i rzuciłam mu się w ramiona.

— Nie mam rozsądku za grosz — wyszeptałam w jego policzek. — I co więcej, wcale o to nie dbam.



## 2

Było późne popołudnie ostatniego tygodnia listopada, kiedy samochodem Glena wyruszyliśmy do New Jersey. Lubiłam jazdę samochodem, nawet jeśli okolica była monotonna i szara, z wyblakłymi, jesiennymi kolorami, martwymi liśćmi na drzewach, a śnieg jeszcze nie padał, by to wszystko upiększyć.

Siedziałam obok niego w poczuciu wspaniałości stroju, jaki mi kupił zanim opuściliśmy Nowy Jork — biały wełniany płaszcz, kapelusz z białego futerka i białe sięgające do kolan buty. Nigdy nie ubrałabym się w ten sposób, ale Glen powiedział, że nie wolno mi ignorować swojej północnej krwi. Nigdy przedtem nie miałam okazji podkreślać tego, ale jak tylko spadnie śnieg, poczuję się w swoim żywiole, muszę więc odpowiednio się przygotować.

— Jesteś moją zimową dziewczyną. Od białych butów aż po śnieżnobiałe włosy, Dino. Nie zapominaj o tym.

Wprawdzie niewiele wiedziałam o swej północnej krwi czy o całym tym białym przepychu, ale moje uczucia były na wskroś radosne. Nigdy nie byłam tak kochana i tak kochająca. Głowę miałam wypełnioną wspaniałymi obietnicami składanymi sobie i Glenowi. Zamierzałam pokochać High Towers i Gray Rocks Lake. Bez względu na to, co Colton Chandler i Nomi Holmes sądziliby o naszym ślubie, zamierzałam pokochać również ich i próbować przypodobać się im na wszelkie możliwe sposoby. Nikt nie powinien żyć ze mną w niezgodzie ani potępiać mnie, skoro tak bardzo pragnęłam pozyskać ich sympatię. Z radością odrzuciłam całą swoją

niezależność, do której przecież przywiązywałam najwyższą wagę. Nie dla mnie feministyczne mrzonki. Urodziłam się, by być pożyteczną...

Glen był ze mnie zadowolony. On kierował, a ja słuchałam. Nigdy nawet nie wyobrażałam sobie, że mogę jak kameleon, przybierać jego barwy, zapach i wesołość, a nawet coś z jego beztróskiego sposobu bycia. Byłam towarzyszką jego chłopięcych zabaw i kochanką, współkonspiratorką, a niekiedy — nawet ku własnemu zdumieniu — również matką. Glen miał mroczne nastroje, wtedy przerażał mnie głębią jakiejś niezrozumiałej rozpacz, która zdawała się zarówno pobudzać, jak i hamować go. Być może nadchodziło to wtedy, gdy widział gasnący błędny ognik natchnienia. Wiedziałam o jego obawie, że gdy stanie przed czekającą w High Towers bryłą białego alabastru, a ja usiądę do pozwania, weźmie do ręki dłuto i młotek — świetlista wizja rozwieje się jak tęcza, gdy się zbliżyć do niej. W takich chwilach czułam, że sam sobie stwarza problemy. Moim zadaniem było zachować blask i nieskazitelność wizji w jego umyśle, by do odpowiedniej chwili nie umknęła.

Częściowo to mi się udało i gdy owego, późnego popołudnia ruszaliśmy w drogę do północnego New Jersey nasze nastroje przepelniał zapach i radość. Jak wszystko inne, polubiłam także jego samochód. Był to nisko zawieszony jaguar, przeznaczony do rozwijania dużych szybkości. Kremowo-biały wóz, od którego aż biła arogancja, przewyższający na szosie wszystkie inne samochody. Glen nie poprowadziłby nigdy auta w ciemnym kolorze. Powiedział, że znalazł mnie po to, abym pasowała do samochodu. Śmieliśmy się, nie można było czuć się bardziej beztrósko. Może zbyt beztrósko? Zbyt lekkomyślnie?

Podczas jazdy zaczęłam zadawać pytania. Dowiedzieć się wszystkiego co tylko można o swoim mężu, było wręcz fascynujące.

Urodził się w High Towers; będąc chłopcem mieszkał w Gray Rocks Lake. Kochał tę wiejską okolicę. Jego dość osobliwe wspomnienia bardziej były związane z zabawami i sportami zimowymi, niż z wypełnionym próżniactwem latem. Uprawiał narciarstwo w Sussex County i oczywiście łyżwiarstwo na jeziorze, a na wzgórzach saneczkarstwo. Ze szczególnym uczuciem mówił o okresie Bożego Narodzenia. Wiedziałam, że się cieszy na tegoroczne zimowe wakacje. Jednakże we wszystkim, co opowiadał, wyczuwałam jakąś lukę. Niemal jakby opuszczał coś ważnego, coś taił. Jeśli jednak rozmyślnie pozostawiał w swojej historii luki, nie bardzo mogłam protestować, ponieważ w mojej historii były również puste miejsca. Nie byliśmy już dziećmi.

— Czy naprawdę High Towers jest waszym domem rodzinnym? — chciałam się dowiedzieć. — Od jak dawna?

Zaśmiał się.

— Od czasów Coltona. Jego stary przyjaciel mieszkający po drugiej stronie jeziora, który zresztą tymczasem zmarł, opowiedział mu o przeznaczonej na sprzedaż posiadłości. Colton kupił ją tuż przed moim urodzeniem. Ale słuchając Coltona pomyślisz, że to właśnie któryś Chandler był tym, kto osiemdziesiąt lat temu zbudował dom. A propos, również ty będziesz musiała nazywać go Coltonem. Nie jest zwolennikiem wszelkiego ojcostwa.

Szybko pozostawialiśmy za sobą neonową dżunglę uczęszczanej okolicy, miasta malały i rzedły. Długie odcinki wiejskiej drogi wiły się między szarymi listopadowymi wzgórzami. Odczytywałam nazwy

miejsowości. Minęliśmy zakręty do Kinelon i Smoke Rise, po kilku milach dotarliśmy do Sztokholmu i byliśmy już w Sussex County. Gray Rocks i High Towers leżały w Sussex.

Zatrzymaliśmy się, by napełnić zbiornik benzyną, we Franklin, mieście, które, jak powiedział mi Glen, znane było z wydobycia surowców mineralnych.

Zjedliśmy obiad w komfortowej restauracji, w dawnej rezydencji gubernatora. Zapadał już zmrok, gdy ruszyliśmy dalej. Glen objaśnił, że przejeżdżamy teraz przez Hamburg Mountain. Nazwy tych miejsc, podobnie jak nazwy wielu miast amerykańskich, świadczyły o pierwszych osadnikach, Niemcach, Szwedach, Anglikach, Austriakach, przypominały tych, którzy z nostalgią wspominali rodzinne strony i miasteczkom nowej ojczyzny nadali nazwy ukochanych miast.

Glen powiedział, że zatrzymamy się w Sussex. Miał tam sprawę do załatwienia, ale zapewnił, że zostawi mnie w ciepłym miejscu, żebym poczekała na niego. Zanim dojechaliśmy do miasta, skręcił z drogi na parking przed sklepem, który służył też widocznie za końcowy przystanek autobusowy. Wysiadając, stąpęłam we wpół zamarzną breję opryskując sobie białe buty. Zimne i suche powietrze orzeźwiało, a gwiazdy nad głową świeciły jasno i wyraźnie.

Glen wprowadził mnie do wnętrza jasno oświetlonego sklepu i uklonił się człowiekowi za ladą:

— Halo, Sam. Czy mogę na chwilę zostawić tu moją żonę?

Uświadomiłam sobie nagłą ciszę w sklepie. Kilkoro robiących tu sprawunki ludzi, wpatrywało się we mnie bacznie, a właściciel sklepu wyszedł zza lady, by ucisnąć mi dłoń.

— Więc poślubiła pani Chandlera? — powiedział. Wyczułam, że Glen stał się nagle nerwowy i chciał odejść.

— Będę się tutaj doskonale czuła — zapewniłam go. — Zaczekam tu na ciebie.

Nie interesowałam się jaką sprawę ma załatwić, ani też nie pytałam go o nią.

— Będzie się tutaj czuła doskonale. — Sam jak echo powtórzył moje słowa. Szarmancko podprowadził mnie do przeznaczonej dla pasażerów ławki i wskazał mi miejsce. — Proszę się czuć jak w domu, pani Chandler. Usiadłam wyczuwając, że w białym wełnianym stroju dziewczyny z okładki rzucam się w oczy. Wyróżniam się, jestem przesadnie wystrojona i zupełnie nie na miejscu.

Głowy stopniowo się odwracały, a ja siedziałam sztywno, z wymuszonym uśmiechem na ustach, żałując, że nie zaczekałam w wozie. Tylko jedna osoba w sklepie nie przestała wpatrywać się we mnie, a jej spojrzenie było tak natarczywe, że przyciągnęło mój wzrok. W końcu trochę wyniośle odwróciłam głowę, by odwzajemnić je. Choć uważałam za naturalne, że wchodząc dzięki niedawnemu małżeństwu do sławnej rodziny, mogłam w małym miasteczku stanowić kuriozum. Jednak poczułam, że to szczególne wpatrywanie się, świadczyło bardziej o natarczywości niż o zaciekawieniu.

Napotkane oczy należały do mniej więcej szesnastoletniego chłopca. Na bujnej czuprynie ciemnobrązowych włosów nosił czapkę w czerwono-czarną kratę, ubrany był w niebieskie dżinsy, a na nogach miał krótkie buty z nie wyprawionej skóry. Wyrósł już z kurtki i jego ręce zwisały ze zbyt krótkich rękawów. Z wyglądu nic chłopca nie odróżniało od rówieśników, z

wyjątkiem być może mądrych oczu. Jego niebieskie, szeroko otwarte oczy w ciemnej oprawie rzęs pod ciemną linią brwi, były we mnie utkwione z wyrazem zdziwienia takim, z jakim królik wpatruje się w kobrę. A może było odwrotnie? Sprawiał wrażenie mocno zaintrygowanego i usposobionego wroga. Musiałam coś zrobić, by przerwać to wpatrywanie się. Uśmiechnęłam się i odezwałam do niego.

— Halo — powiedziałam. — Jestem Dina Chandler. Jak się nazywasz?

Zamrugał brązowymi rzęsami i końcem języka dotknął warg zastanawiając się. Potem podszedł do ławki i usiadł przy mnie.

— Nazywam się Keith McIntyre — powiedział i zamilkł w oczekiwaniu, jakby to nazwisko miało nasunąć mi jakieś skojarzenia, jego skupiony, badawczy wzrok przeraził mnie.

Nie mógł przecież wiedzieć o tym! Nie mógł wiedzieć, że nazwisko McIntyre wymazałam już ze swej bolesnej przeszłości. Zresztą było wielu McIntyre'ów, więc zaledwie mrugnięciem oczu przyjął je do wiadomości.

— Jak się masz — odpowiedziałam ze sztywną uprzejmością. — Czy zawsze wpatrujesz się w nowo przybyłych w ten sposób?

Na jego gładkiej twarzy wolno wykwitał rumieniec, a brwi zmarszczyły się groźnie.

— Jest tu pani niespodzianką — stwierdził. — Czy Glynis wie o pani?

Wszyscy w sklepie znowu nasłuchiwali. Po wymianie słów z chłopcem już nie wpatrywali się we mnie, ale też nie rozmawiali.

— Nie znam nikogo o imieniu Glynis — odpowiedziałam. — A powinnam?

Podniósł się szmer szeptów. Każdy wpatrywał się we mnie, a ja nie mogłam powstrzymać tego szeptania i przyglądania się. Żałowałam, że nie jestem na zewnątrz. Żałowałam, że Glen tu mnie pozostawił, nie uprzedzając o zamieszaniu, jakie mogłam wywołać wśród mieszkańców miasteczka.

Obrzuciłam sklep tym samym niby-wyniosłym spojrzeniem, którym zmierzyłam chłopca i wszyscy znowu zajęli się swoimi sprawami. Chłopiec popatrzył na mnie zdumionymi oczami i po chwili odszedł załatwiać swoje sprawunki.

Poczuwszy ulgę, że przynajmniej na chwilę poskromiłam ich ciekawość, siedziałam cichutko, nie próbując więcej wzbudzać ich zainteresowania i pragnąc, by Glen się pośpieszył. Gdy nikt już nie zwracał na mnie uwagi, drzwi się otworzyły i wszedł jakiś mężczyzna. Był wysoki, barczysty i miał czarne włosy. Podobnie jak chłopiec nosił zwykłe wiejskie ubranie. Oczy też miał niebieskie. Jego ojciec był przecież czarnowłosym Szkotem, a matka Irlandką o niebieskich oczach. Powinnam to wiedzieć!

Spojrzał na mnie jak na okładkową dziewczynę w nieskazitelnej bieli i odwrócił się nie przejawiając zaciekawienia. Potem znowu spojrzał, rozpoznał mnie i jego oczy rozbłysły. Od razu do mnie podszedł.

— Bernardina! — krzyknął. — Dorosła Bernardina!

Jego spojrzenie z wyrazem nieukrywanego zadowolenia zaskoczyło mnie. Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno. Poczulałam, jak zapłonęła mi twarz, a jednocześnie zlodowaciały ręce. Miałam suche usta i spocone dłonie. Czysto fizyczna reakcja była tak gwałtowna niczym cios. Ukłucie w sercu i nagłe, nienormalne wzburzenie z powodu mężczyzny, którego nie widziałam od ośmiu lat! Człowieka, w którym mając szesnaście

lat byłam namiętnie, głupio i z uporem zakochana! Położyłam rękę na drugiej dłoni idiotycznie zasłaniając swoją ślubną obrączkę.

— Jak mnie poznałeś? — zmieszana zapytałam, próbując opanować wzburzenie i odzyskać równowagę.

— Dobrze pytanie — odpowiedział — zważywszy, że kiedy ostatnio cię widziałem, nosiłaś stare wyrośnięte szorty i rozdartą na gwoździu bluzkę, która odsłaniała sporo złocistej skóry o odcieniu kalifornijskiej brzoskwini. A teraz widzę przed sobą spowitą w biel Madame Igloo. Poznałem cię jednak!

Miał zwyczaj mówić czasem w ten sposób, słowa toczyły mu się po języku, jakby wypróbowywał je przed przelaniem na papier.

— Chciałbym wiedzieć, jak duża wyrosłaś — ciągnął. — Chciałbym wiedzieć, czy twoje włosy już ściemniały, czy też jeszcze nie? Nie mogę zobaczyć pod tym kapeluszem. I czy straciłaś już wygląd zagubionej dziewczynki, który zawsze zbijał mnie z tropu? Straciłaś go?

W jakiś niejasny sposób zaczęłam się opanowywać. Miałam nadzieję, że zbyt wiele nie spostrzegł.

— Straciłam — odpowiedziałam lekceważąco. — Wyglądałam tak tylko dlatego, że złamałeś mi serce i porzuciłeś mnie. Odtrąciłeś moją szesnastoletnią, szczenięcą miłość!

— Byłaś kochanym kociaczkiem — powiedział łagodnie.

Przypomniałam sobie jego onieśmielającą delikatność.

— Pochlebiało mi, że uważałaś się za zakochaną we mnie. Żywiłem nawet nadzieję — przyznaję, trochę egoistyczną — że szybko nie wyleczysz się z tej miłości. Wyleczyłaś się?



— Wyleczyłam — odparłam i usłyszałam fałsz w swoim głosie. Być może kobieta nigdy nie potrafi wyleczyć się z pierwszej miłości. Po prostu wyrasta trochę i zajmuje się innymi sprawami, mając nadzieję, że są ważniejsze.

Chłopiec zrobiwszy swoje sprawunki wrócił i stanął przed nami.

— Hej, tatusiu, poznajesz ją? Czy wiesz, kim ona jest?

Był to więc jego syn, który miał osiem lat, kiedy poznałam Trenta McIntyre'a. Syn, o którym nie chciałam myśleć i którego matkę, choć nigdy jej nie widziałam, nienawidziłam.

— Oczywiście, że wiem, kim jest — powiedział Trent. — To jest moja dawna przyjaciółka, panna Bernardina Blake.

— Ależ nie! — chłopiec był dokładniejszy. Ona jest żoną Glena! Oto kim jest naprawdę. Żoną Glena Chandlera!

Ta sama dziwna cisza, która przedtem poraziła sklep, ogarnęła teraz ojca chłopca. Widziałam napięte mięśnie jego twarzy, ostry zarys jego szczęki. On też, i to bardzo się zmienił. Niebieskie oczy patrzyły badawczo, chłoneły mój wspaniały strój modelki, pokryte już smugami błotnistej mazi białe buty. Wydawało się, jakby gdzieś w głębi jego źrenic spadła kurtyna, jakby przed moją twarzą nieodwołalnie zamknęły się nagle drzwi.

— Ona nie wie, kim jest Glynis — rzekł chłopiec ze zdziwieniem w głosie.

Mężczyzna poruszył się i wyciągnął do mnie rękę, ale zasłona pozostała spuszczone, a drzwi zamknięte na klucz.

— Witaj w Sussex — powiedział. — Obawiam się, że mój syn zapomniał o wszelkiej ogładzie, jaką dzięki wychowaniu powinien mieć. Jesteśmy twoimi sąsiadami z kamiennego domu po drugiej stronie Gray

Rocks Lake. Przynajmniej mój syn tam mieszka z babką, ja natomiast bywam w domu miesiąc lub dwa, kiedy pracuję nad książką.

Nie wspomniał o swojej żonie, ale to nie miało znaczenia. Już nie.

— Obawiam się, że jeszcze bardzo niewiele wiem o jeziorze — odparłam — i ludziach, którzy tam mieszkają. Glen powiedział mi, że Colton Chandler, kiedy ożenił się, kupił dzięki przyjacielowi High Towers przed laty.

Trent skinął głową.

— Colton i mój ojciec od dawna byli przyjaciółmi; tatuś miał zwyczaj przyprowadzać go tu, kiedy byli chłopcami. Świat jest mały. Od kiedy jesteś mężatką?

— Od początku tego tygodnia — odpowiedziałam z pewną niechęcią, jakbym w jakiś dziwny sposób zdradziła moją prawdziwą miłość, a to z pewnością było absurdem.

— Glynis zawsze przyjeżdża do domu na Boże Narodzenie — wtrącił chłopiec. — Wtedy pani ją spotka.

— Kim jest ta Glynis, którą, jak uważa twój syn, powinnam znać? — spytałam Trenta.

— Odpowiedział szorstko: — Może będzie lepiej, jak zapytasz o nią swego męża. — Chodź, Keith. Jeśli znalazłeś, co chciałeś, to chodźmy już. Prawdopodobnie zobaczymy się znowu, Dino.

Nazwał mnie Diną. Nie Bernardina — już nigdy nie usłyszę Bernardina, byłam o tym przekonana.

Chłopiec zabrał z lady papierową torbę, ale zanim doszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do środka Glen. Obaj mężczyźni spotkali się twarzą w twarz. Jeszcze nim chłodno przywitali się, poczułam pomiędzy nimi nagły

wybuch wrogości. Potem Trent McIntyre odwrócił się, by obrzucić mnie ostatnim spojrzeniem oczu, które zbyt mocno utkwiły mi w pamięci.

— Jeśli pani, pani Chandler, poczuje się samotna, proszę obejść jezioro i złożyć wizytę mojej matce. Ucieszy się z pani odwiedzin.

— Nie będę samotna — powiedziałam odważnie. — W każdym razie, dziękuję.

Nie doceniał mnie, znając mnie taką, jaka byłem w przeszłości, a ja straciłam okazję, by mu to wyjaśnić. Ale ostatecznie co mogłam mu powiedzieć?

Trent i chłopiec wyszli i przez drzwi wdarł się do środka strumień chłodnego powietrza.

Glen uśmiechnął się do mnie, wyciągnął rękę i od razu wszystko było jak trzeba. Mój świat przestał się niebezpiecznie chwiać. Znowu wiedziałam, kim jestem.

— Chodź, kochanie — powiedział. — Pojedziemy teraz prosto do domu.

Zerwałam się na równe nogi i wraz z nim wybiegłam ze sklepu, śpiesząc się, by pozostawić za sobą te wszystkie wpatrujące się we mnie oczy. Zostać sama z mężem. Poczulałam ulgę, straszliwą ulgę, bo w tym całym wzburzeniu, gdy jednocześnie czułam żar i chłód, nie byłam pewna, co się stanie, gdy znowu zobaczę Glena. Jednak wszystko było w porządku. Tkwiąca we mnie zagubiona dziewczynka wciąż pamiętała Trenta McIntyre'a, ale kobieta — znała Glena Chandlera. Byłam panią Chandler.

Żadne z nas nie odezwało się, zanim nie znaleźliśmy się w samochodzie.

— Przepraszam, że zostawiłem cię w obozie wroga — rzekł, gdy skręciliśmy na drogę i wyjechaliśmy z miasta. — Musiałem nadać drugi telegram i skorzystałem z telefonu.

— Co masz na myśli, mówiąc „obóz wroga”? — zapytałam.

— McIntyre'ów. — Wzruszył energicznie ramionami. — Nasza lokalna wojna. Dora McIntyre — Pandora, jak ją nazywamy, postanowiła założyć nad jeziorem przedsiębiorstwo. Na szczęście to nie ona, lecz my posiadamy ziemię. Syn jest oczywiście jej współnikiem. To dziennikarz; okazuje się, że jest biografem. Pisuje biografie typu: wszystko co należy wiedzieć o rodzinie Roosevelтів.

Oburzona, niemal nie krzyknęłam. Znałam biografie, każdą z całej serii. W jego książce o wielkich nauczycielach, w sposób piękny i rzetelny był ukazany mój ojciec. Poczułam, że moja radość z powodu przyjazdu do domu w High Towers doznała uszczerbku. Nie podobała mi się ta lokalna wojna. Nie chciałam w niej brać udziału.

— Zapomnij o McIntyre'ach — rzekł Glen. Kiedy indziej będzie czas na wszystkie tego rodzaju przykre sprawy. Dina, kochanie, dojeżdżamy do domu, prawie jesteśmy na miejscu.

Droga znowu skręcała. Miasto opuściliśmy główną szosą wjeżdżając na drugorzędną drogę rozgałęziającą się na wzgórzach, zostawiliśmy je za sobą. Siedziałam w milczeniu, sztywna i napięta, odczuwając jakieś zagrożenie. Po obu stronach drogi rosły drzewa, samochód zaczął się wspinać na wzgórze. Nie mogłam już znaleźć przyjemności w zbliżaniu się do High Towers. Imię, wypowiedziane w sklepie, ciągle brzmiało mi w uszach. W końcu zapytałam:

— Kim jest Glynis?

Glen gwałtownie zmniejszył szybkość. W świetle tablicy rozdzielczej spojrzął na mnie. — Gdzie usłyszałaś jej imię?

— Tamten chłopiec, tam, w sklepie... Keith McIntyre. Zapytał mnie, czy Glynis wie o naszym ślubie.

— A ojciec Keitha? Co mówił Trent?

— Nic. Powiedział tylko, żebym zapytała ciebie.

Glen cicho zaśmiał się.

— I przypuszczam, że mocno cię nastraszył? To do niego podobne. Nie musisz się martwić, kochanie. Chociaż właśnie z powodu Glynis zatrzymałem się w mieście. Ona jest w Londynie, wysłałem do niej telegram. Chciałem, żeby nadszedł nie z Nowego Jorku, lecz z Sussex. Glynis jest moją siostrą, Dino.

Bardziej zdumiona być nie mogłam.

— Twoja siostra? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że masz siostrę?

Przesunął rękę, by położyć ją na mojej dłoni.

— Zaczekaj, kochanie. Zostawmy teraz Glynis w spokoju. Te chwile należą do nas, a nie do mojej ekscentrycznej rodziny. Chcę coś ci pokazać. Chcę pokazać ci, dlaczego mówiąc o McIntyre'ach użyłem słowa „wojna”. Nasze jezioro, choć go nie widać w ciemnościach, jest tam, tuż za tamtymi drzewami. Jesteśmy teraz na jego północnym krańcu.

Wóz podskoczył na wąskim wiejskim moście nad potokiem i skręcił na szeroką polanę przed długim, niskim budynkiem, który nie wyglądał na High Towers. Światła reflektorów padały skośnie na zbudowaną bez jednolitego planu konstrukcję z sekwojowego drewna. Zatrzymały się na umieszczonym w widocznym miejscu szyldzie z napisem: GRAY ROCKS INN. Zaintrygowana, zwróciłam się do Glena:

— Wydawało mi się, że mówiłeś, iż jezioro jest w stanie pierwotnym, a okolice prawie niezamieszkane?

— Dawniej tak było — odparł krótko. — Dopóki Pandora — matka Trenta — nie zbudowała przed dwoma laty tej potworności. Nazywamy ją puszką Pandory. Na szczęście nie przyniosło to dużych zysków, choć zdobyła klientelę, która przyjeżdża tu latem z Nowego Jorku. Zimą, jeśli ma zamówienia, otwiera gospodę na bankiety. Gdyby postawiła na swoim i zabudowała, jak planuje, wschodnie wybrzeże, utracilibyśmy nasze pustkowie na zawsze. Jednak mamy odpowiednio dużo ziemi po obu stronach jeziora, by ich powstrzymać. W każdym razie mój ojciec to robi.

Zdumiona wpatrywałam się w szyld. Wyobrażałam sobie odgradzony od zgiełku świata zakątek — lasy i wzgórza, z zagubionym pośród nich jeziorem.

— Skoro ziemia jest waszą własnością, to przecież ona nie może budować. Czy to nie przesądza sprawy? — spytałam.

— Colton jest wprawdzie nieobliczalny, ale ta sprawa musi być wkrótce uregulowana. Kiedy przyjedzie do domu na Boże Narodzenie, wtedy przekonamy go, by powstrzymał McIntyre'ów.

— Twoja siostra też przyjedzie na święta do domu?

— Nie wiem — odparł. — Ona też jest nieobliczalna.

Zapalił silnik i przyciągnął mnie do siebie, objął i przytulił twarz do białego, puszystego kołnierza mojego płaszcza.

— Przynajmniej moje reakcje są przewidywalne! Wiesz, co przewiduje dla nas? Początek cudownego miodowego miesiąca. Całe High Towers, czy przynajmniej nasza część, będzie należeć tylko do nas. Co więcej, już jutro zaczniemy pracować. Będziesz dla mnie pozować i

wszystko pójdzie jak z płatka. Dino, mam wciąż przed sobą wizję. I tym razem nie zamierzam jej utracić. Uda nam się to jeszcze przed świętami. Zobaczysz, tym razem nie ma ryzyka.

Ryzyka? Zastanawiałam się jakiego ryzyka? Ale nie zapytałam. Nadstawiłam twarz do pocałunku. Potem pozostawiliśmy za sobą gospodę z sekwojowego drewna i jadąc wijącą się przez zbocze drogą, dojechaliśmy do stóp podjazdu. Wóz podskakiwał na białej, kamienistej nawierzchni i błotnistych koleinach. Zaczął wspinać się, jadąc stromymi zakosami przez porośnięty smukłymi świerkami teren. Wyżej, w świetle reflektorów rysowały się sylwetki czarnych cedrów.

Gdy wreszcie dotarliśmy do rozległej polany na szczycie wzgórza, nad sosnami pojawił się księżyc. Jego blask doskonale oświetlał szary dom z wysokimi, sterczącymi jak uszy, wieżyczkami. Kiedy wysiadłam z samochodu i stanęłam, spoglądając w górę na płonące światłami okna, wieżyczki, kopuły i wysokie balkony, wyraźnie przypomniałam sobie oglądany w galerii Glena obraz, który tak mocno wrył mi się w pamięć. Nie chciałam o nim pamiętać, ale byłam przekonana, że ujrawszy go raz, nigdy już nie uwolnię się od tego okropnego malowidła podpisanego inicjałami „G. C. ”. Spoglądając w górę, w okna niemal widziałam refleksy przyciśniętych do szyb i wpatrzonych we mnie udęczonych twarzy, twarzy przepelnionych przebytym cierpieniem, którego nie da się zapomnieć.

— To twoja siostra namalowała ten obraz z twojej galerii? — spytałam. — Ten widok jeziora namalowała twoja siostra!

Odezwał się do mnie ostrzejszym niż kiedykolwiek przedtem tonem.

— Dino, przestań! Glynis nie ma nic wspólnego z tym, co jest między nami. Zapamiętaj to sobie. Ten obraz to jej kaprys. Czasami miewa takie pomysły. Zapomnij o tym. Oto prawdziwe High Towers, które nas oczekuje.

Ciotka Glena, Nomi, usłyszała chyba warkot wozu, bo szarpnięte frontowe drzwi domu otworzyły się. Na werandę i szerokie stopnie schodów padła smuga światła. W oświetlonych drzwiach stała drobna kobieta ubrana w długą, sięgającą aż do stóp szarą, domową suknię. Jej białe włosy były skręcone w loki. Światło z przedpokoju przeświecało przez nie, nadając im wygląd aureoli.

— Nomi! — krzyknął Glen.

Pociągnął mnie za rękę i razem przebiegliśmy biały kamienny podjazd i wbiegliśmy po schodach do góry. Glen pochwycił ją w ramiona i na werandzie zawirował z nią w koło. Ciotka, uderzając go lekko z żartobliwym wyrzutem po dłoniach, uwolniła się z jego objęć ucieszona i roześmiana. Śmiała się, dopóki patrzyła na niego, gdy odwróciła się do mnie, raptownie spoważniała.

— Witajcie w High Towers — powiedziała z kamienną twarzą. — Nie stójcie na chłodzie. Wejdźcie do środka.

Weszliśmy za nią do wąskiego, przebiegającego w poprzek domu korytarza. Miałam wrażenie, że go znam, bo widziałam go już oczyma Glena. Byłam w pewien sposób wdzięczna, że jego siostra nie namalowała wnętrza domu.

Architekt, który przed osiemdziesięcioma laty wybudował High Towers, był zwolennikiem przestronnych pokoi, natomiast niewiele uwagi poświęcił przedpokojom i schodom. Wprawdzie przy drzwiach frontowych nadal wisiał wiktoriański żyrandol, oświetlając podnóże schodów i



wyfroterowaną klatkę schodową, ale w wielu oprawkach żarówki były przyciemnione i nie wszystkie paliły się, tak iż przedpokój niczym tunel zdawał się tonąć w półmroku, a jego drugi koniec już całkowicie ginął w ciemnościach.

— Przygotowałam wam gorącą czekoladę — powiedziała ciotka Nomi. — Glen, kochanie, zaprowadź Dinę do salonu. Tam ogrzejecie się przy kominku. Choć nie uprzedziłeś mnie zbyt wcześnie, przygotowałam, co mogłam.

W nikłym świetle przedpokoju nie udało mi się wprawdzie przyjrzeć jej dokładniej, ale spostrzegłam, że porusza się z godnością i wdziękiem, zachowując pewną rezerwę.

Glen obejmując ją zaśmiał się.

— Nomi nigdy nie nauczyła się, że chcę czegoś mocniejszego niż czekolada, ale sam to sobie wezmę. Ty i Dina napijcie się czekolady. Moja żona nie jest ucywilizowana. Jeszcze nie jest.

Nomi zniknęła na tyłach ciemnego przedpokoju, a Glen szarpnięciem otworzył drzwi na prawo, wprowadzając mnie do najpiękniejszego pokoju, jaki kiedykolwiek widziałam. Był ogromny, z wysokiego, sklepionego i pokrytego sztukaterią sufitu zwisał kryształowy żyrandol, kapiąc szklanymi łzami, które migotały w blasku lampy i płomieni kominka. Pokój wypełniały różne barwy, które szokując budziły zachwyt. W pokoju leżał wielki, niezwykle chiński dywan w bladocytrynowym kolorze, stały też cztery wygodne wiktoriańskie sofy, obite welwetem. Dwie z nich w odcieniu morelowym, pozostałe ciemnopurpurowe. Kilka palisandrowych krzeseł miało miękkie turkusowe obicia. Wszędzie porozstawiane były stoliki, ozdóbki i śliczne bibeloty. Na jednej ścianie wisiały liczne obrazy, rzuciłam

okiem na dzieła Picassa, Braque'a i Matisse'a. To były oryginały. Na przeciwległej ścianie zawieszono jeden wspaniały portret.

W obszernym palenisku zachęcająco tańczyły płomienie. Na białym marmurowym gzymsie kominka stały w szeregu, odbijając się w lustrze smukłe afrykańskie rzeźby. XVIII i XIX wiek na każdym kroku mieszały się ze sobą i harmonizowały z XX-wiecznym malarstwem.

Glen dostrzegł moje pełne zachwyty spojrzenie.

— Ten pokój urządziła Glynis — powiedział. — Glynis razem ze mną — ale głównie ona. Rzeźby afrykańskie są moje. Pozwól, pomogę ci zdjąć płaszcz.

Wyśliznęłam się z ciepłego płaszcza, a moje oczy odkrywały coraz więcej urzekających detali znajdujących się w pokoju. To było zamieszkane muzeum i nagle poczułam się jak u siebie w domu. Glen zarzucił płaszcz na ramię i cofnął się o kilka kroków, by móc mnie podziwiać w srebrzystej wełnianej sukni przepasanej srebrnym łańcuszkiem, który kupił dla mnie u Tiffany'ego.

— Doskonale — powiedział. — Ile miałem szczęścia, że cię znalazłem! Rozgość się. Zaraz wrócę.

Cudownie było być uwielbianą, bardziej niż przez kogokolwiek przedtem, uważaną za najpiękniejszą i wystrojoną jak nigdy wcześniej. Całkowicie oddając się Glenowi, chciałam stać się dla niego wszystkim, czym on chciał, abym była.

Przemierzył przedpokój idąc do jadalni po brandy, a ja z zachwytem przechadzałam się po pokoju.

Wszystko, co zobaczyłam, przywracało mi ufność. Polubię Glynis, na pewno będziemy mieć wiele wspólnego. Pod wpływem nowych wrażeń, doznane w sklepie wzburzenie zatarło się w mojej pamięci.

Niewykluczone, że jeśli chodzi o znalezienie płaszczyzny porozumienia, ciotka Nomi okazałaby się trudniejsza od siostry Glena — myślałam. Czułam jej napiętą uwagę i pewną powściągliwość. Jakby czekała na okazję, by mnie skontrolować i wypróbować. To było jednak naturalne i nie wolno mi było przejmować się. Nie było powodu, by zaskoczona ciotka Glena miała przyjąć pannę młodą z otwartymi ramionami. Rozumiałam, że powinnam zbliżyć się do niej, ale przeczuwałam, że Nomi Holmes nie jest osobą, którą można łatwo poznać.

Nieodparcie przyciągnął moją uwagę zajmujący całą ścianę portret. To było oczywiście dzieło Coltona. Stałam przed nim w całkowitym skupieniu. Przedstawiał postacie chłopca i dziewczyny w wieku około siedemnastu, osiemnastu lat. Śmiałe, zdecydowane nowoczesne linie oraz oddane wewnętrzne napięcie, czyniły z obrazu Coltona Chandlera dzieło iście genialne. Na tle odległego lasu za dwoma siedzącymi postaciami widniał zarys okna, przesłoniętego cienką firanką.

Jego portrety nigdy nie były statyczne. Na tym obrazie obie postacie pochylały się ku sobie, jakby pogrążone w napiętej, ożywionej rozmowie. Za nimi podmuch wiatru wydymał brzeg firanki. Od razu spostrzegłam, że chłopcem był Glen — ogorzały, przystojny młodzieniec o jasnokasztanowych włosach, ciemnych oczach i wąskich ustach. Jednak postać dziewczyny napawała mnie lękiem. Pod każdym względem, z wyjątkiem długich kasztanowych włosów, była kopią Glena. Nawet ich stroje były podobne. Oboje ubrani byli w dobrze skrojone, płowe spodnie,

białe rozpięte pod szyją koszule i narzucone na ramiona jasnożółte swetry. Na nogach mieli buty do konnej jazdy z wywiniętymi miękkimi sięgającymi tuż za kostkę cholewami. Ich twarze nie były całkowicie widoczne ze względu na pochylenie. Dziewczyna wyciągała rękę ze szpicrutą, jakby zamierzała poklepać nią kolano chłopca.

Na obu twarzach widniał półuśmiech, oczy mieli ciemne i odrobinę wyzywające. Zgrabne uszy dziewczyny były odkryte, ponieważ włosy zaczesywała do tyłu, zawiązując je żółtą wstążką, Glen zaś był krótko ostrzyżony. Oboje stanowili swoje kopie — jedno było kopią drugiego. Glen i Glynis sprawiali wrażenie, że nie są tylko bratem i siostrą. Byli oczywiście bliźniętami, a ich podobieństwo osiągnęło najwyższy stopień, jaki może istnieć pomiędzy chłopcem i dziewczyną.

Weszła ciotka Nomi, niosąc antyczną tacę, zapełnioną filiżankami i talerzykami z delikatnej porcelany.

— Ostatnio nie mamy stałej służby — powiedziała. — Lubię jednak wiele rzeczy robić sama, z dorywczą tylko pomocą osoby dochodzącej z miasta. Nawiasem mówiąc, przyjechałam tu właśnie po to, aby Chandlerom prowadzić dom.

Szybko podeszłam do stolika przed kominkiem, by zrobić na nim miejsce na tacę, potem cofnęłam się z zamiarem ponownego obejrzenia portretu.

— Są bliźniętami, prawda? — zapytałam. Ciotka postawiła tacę na stoliku, wyprostowała się i spojrzała ocienionymi czarnymi rzęsami oczami. Uśmiechnęła się jednak do mnie.

— Nie powiedział ci? — spytała.

Potrząsnęłam przecząco głową. — Do niedawna nie wiedziałam, że w ogóle ma siostrę.

Wzruszyła lekko, okrytymi szarą suknią ramionami i wskazała mi turkusowe krzesło.

— Nie jestem wcale zdziwiona.

Pomyślałam, że muszę poznać rozwiązanie tej zagadki. Skoro Glen nie opowiada mi o swojej siostrze, może zrobi to Nomi.

— Ale dlaczego? Bliźnięta tak bardzo podobne z wyglądu, wewnątrznie też chyba siebie przypominają, a Glen to najbardziej czuły człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Przerwała nalewanie czekolady ze srebrnego dzbanuszka, ponownie obrzucając mnie ciekawym wzrokiem.

— Czuły człowiek — to dziwne określenie, jak dla tych bliźniąt. Zauważ, że choć bardzo lubię Glena, nie nazwałabym go „czułym”. Do obojga pasowały określenia: podniecający, nieopanowani, dziarscy. Ale czuli nie są. Pamiętaj, proszę, o jednym. Oni są kopiami. Bez cienia wątpliwości i niemal pod każdym względem są identyczni.

— W takim razie będę kochać również Glynis — powiedziałam ciepło.

Podawała mi czekoladę w filiżance z sewskiej porcelany i popijała swoją, nie komentując moich słów. Czułam jak czas upływa.

— Skoro oboje są tak bardzo do siebie podobni, dlaczego lubisz tylko Glena, a nie Glynis? — spytałam zuchwale.

Marszcząc brwi wpatrywała się w ciemny płyn w filiżance.

— Nigdy nie będziesz jej kochać — powiedziała. — Jesteś za odważna. Nie pozostawisz niczego w spokoju. Z ciekawości będziesz

myszkować, szperać, pytać i węszyć. Będiesz próbowała naprawiać pewne sprawy. Sądzę, że nieźle go ogłupiłaś.

— Och, proszę tak nie mówić! — krzyknęłam zmieszana. — Przepraszam, jeśli powiedziałam coś niewłaściwego. Po prostu to wszystko przytrafiło mi się tak nagle. Wciąż próbuję rozeznaczyć się w swojej sytuacji.

— Tak — wydawało się, że potakuje samej sobie.

— On chyba omotał cię tak zniechcąco, że zabrakło ci tchu. Od chwili gdy zadzwonił do mnie, zastanawiam się, dlaczego to się stało. Jesteś niebrzydka, ale inne też są ładne, a dotąd przecież nie ożenił się.

— Inne dziewczęta nie są takie jak Dina!

To był głos Glena, który właśnie wrócił trzymając w ręku szklaneczkę brandy.

Odwróciłam się do niego oczekując pomocy:

— Ciotka Nomi zastanawiała się, dlaczego mnie poślubiłaś. Czasami ja również się nad tym zastanawiam.

Ciotka westchnęła, ale nim zdołała przemówić, Glen podszedł do mnie, by złożyć na moim policzku kojący pocałunek.

— Dino, zdejmij kapelusz!

Nie czekał, aż spełnię jego prośbę, lecz sam go ściągnął, by odsłonić moje włosy. Zwinęłam je na czubku głowy i kiedy zdjął kapelusz, opadły mi luźno na ramiona.

Nomi Holmes wpatrywała się we mnie zdumiona.

— Jezus Maria, dziewczyno! Jesteś prawie tak samo srebrzysta jak ja!

— Z tą różnicą, że Dina ma srebrzyste włosy nie ze względu na wiek czy dlatego, że używa jakiegoś preparatu z butelki — powiedział Glen. —

One jej takie wyrosły. Są tak naturalne, jak ona sama. I zawsze takie będą, Dina to pewność.

Poczułam jak jego ciepłe usta musnęły mój policzek i ucieszona uśmiechnęłam się. W końcu niewiele o mnie wiedział. Lubiłam uważać się za osobę rzetelną, choć niekiedy ta cecha była przyczyną moich kłopotów.

— A więc poślubiłeś ją ze względu na włosy? — spytała cierpko ciotka Nomi.

Zaśmiał się rozbawiony i podszedł, by usiąść obok mnie na morelowej sofie.

— Tylko częściowo, kochana Nomi. Ona jest moim marzeniem, jest wizją, którą masz przed sobą pod postacią dziewczyny.

Przypił do mnie kieliszkiem brandy, a ja odwzajemniłam mu się z konieczności swoją czekoladą, wytracona z równowagi i dodatkowo zakłopotana tą wymianą toastów.

— Od dawna ją sobie wyobrażałem — ciągnął dalej. — Szukałem jej. Potem w Nowym Jorku wstąpiłem do muzeum i tam ją znalazłem; stojącą na stole i oczekującą mnie.

— W gablocie? — powiedziała Nomi.

— Niezupełnie, choć byłoby to miłe, gdybym zastał ją w takich okolicznościach. Czy nie widzisz tego, Nomi? Ona jest dziewczyną, którą mogę wyrzeźbić w alabastrze. W przezroczystym jak lód, zielonkawym alabastrze. Takim jak jej oczy. Czy zwróciłaś uwagę na jej oczy?

— Ten alabaster, który na górze w pracowni czeka na ciebie? — spytała Nomi, nie zwracając uwagi na moje oczy. — Och, Glen, gdybyś tylko zechciał!

— Zacznę — powiedział. — Jutro rano zacznę.

— Cudownie!

Sprawiała wrażenie zaskoczonej. Wstała, podeszła do portretu bliźniąt Coltona Chandlera i stanęła przed nim. Drobna, opanowana kobieta w skromnej sukni.

— Teraz on ci pokaże! — powiedziała. Wiedziała, że mówiła do dziewczyny na obrazie; do Glynis, która była bliźniaczą siostrą mojego męża.

— Czy wiesz, kiedy przyjedzie do domu? — zapytał Glen i usłyszałam w jego głosie nutę uszczypliwości.

— Czy, u licha, ktokolwiek o tym wie? — Nomi wzruszyła ramionami.

Glen wysączył resztki brandy i spojrzał na mnie błyszczącymi, ciemnymi oczami, w których dojrzałam triumf.

— Będziemy mieć czas. Czekałem, żeby do niej zatelegrafować, ale bez względu na to, co zrobi, zacznę pracować i skończę. Nie muszę skończyć przed jej przyjazdem. Muszę zrobić tylko tyle, by udowodnić, co potrafię.

Zdawał się mówić obcym językiem, którego nie rozumiałam.

— Czy siostra może nie zaaprobować twojego dzieła? — spytałam.

— Moja siostra jest częścią mojego dzieła — odparł.

Nomi ulitowała się nad moją niewiedzą.

— Moja droga, ona ciebie nie zaakceptuje, a nie dzieła.

— Tym razem nie! — szybko powiedział Glen. — Tym razem jest za późno.

Wszystkie moje początkowe wątpliwości i zakłopotanie powróciły na nowo z całą siłą. Nie lubiłam wymowy słów „tym razem”.



— Co się stanie, gdy alabastrowa rzeźba głowy będzie ukończona? Co wtedy stanie się ze mną?

— To dobre pytanie — powiedziała Nomi.

Glen śmiał się z nas.

— Ależ jesteście bojaźliwi! Czyż obie nie macie odrobiny zaufania do mnie? Czy mężczyzna, który pragnie dziecka, nie będzie zawsze uwielbiał jego matki? Czy nie kocha jej samej, a nie tylko ze względu na dziecko, które mu urodzi?

Uspokoiliam się, moja wiara w niego umocniła się.

— Nie jestem bojaźliwa, naprawdę. I zdaję sobie sprawę, jak subtelne dzieło zamierzasz wykonać.

Nomi obrzuciła mnie spojrzeniem, które oznaczało chyba aprobatę i zwróciła się do nas:

— Miałaś, Dino, długą jazdę. Jestem pewna, że chcesz obejrzeć swój pokój. Pozwól, że zaprowadzę cię na górę. Glen, czy zechciałbyś wnieść walizki?

Umyślnie wzięła mój płaszcz, który Glen przewiesił przez krzesło, ja zaś chwyciłam kapelusz i poszłam za nią. Glen skinął mi głową; wiedziałam, że z jakiegoś powodu spodobałam mu się, choć nie miałam pojęcia jak bardzo, lub dlaczego.

U podnóża schodów Nomi przekreśliła wyłącznik i u góry zapaliło się światło, do tego stopnia przytłumione bursztynowymi cieniami, że nadal panował półmrok. Glen wyszedł frontowymi drzwiami, by przynieść nasze bagaże, a ja wchodziłam schodami do góry, podążając za jego ciotką.

— Nikt nie wspomniał o ojcu Glena — rzekłam, wspinając się za nią.  
— Jak pan Chandler zareaguje na nasze małżeństwo?

Odpowiedziała mi niedbale:

— Będzie dość zadowolony. Zwłaszcza, jeśli urodzisz mu nowego Chandlera. Wiesz, oni stanowią klan. Ty zawsze będziesz autsajderem. Tak samo jak ja.

— Ale co ze mną będzie? — przemówiłam do poruszających się przede mną w kierunku szczytu stromych schodów wyprostowanych pleców. — Czy polubi mnie?

— Chandlerowie niezbyt przejmują się innymi — odrzekła cierpko, idąc przez wąski i ciemny przedpokój, drobna i prowokująco wyprostowana. — Mam nadzieję, że spodoba ci się twój pokój. Szarpnięciem otworzyła drzwi.

— To naprawdę najlepsza sypialnia w domu, okna wychodzą na jezioro, i jest największa. Colton przebywa w domu tak rzadko, że nie zwraca uwagi na wygląd pokoi. W każdym razie większość czasu spędza w pracowni na poddaszu. Glynis nie cierpi widoku jeziora, jej pokój znajduje się więc we frontowej części domu i wychodzi na podjazd. Natomiast dawny pokój Glena był po tej samej stronie i sąsiedował z jej pokojem. Ja też mam pokój z widokiem na jezioro. Kiedy przyjechałam tu, przyjęłam to, co zastałam i polubiłam go, choć jest mały.

— A więc dajesz nam twój pokój gościnny? — zapytałam w momencie, kiedy włączyła lampy oświetlające znajdującą się po drugiej stronie pokoju toaletkę.

— To był pokój mojej siostry, Elżbiety — powiedziała Nomi. — Żony Coltona. Matki bliźniąt. Lubiła rzeczy w stylu wiktoriańskim, starocia, które w mojej rodzinie były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Mam nadzieję, że potrafisz znieść widok tych idiotycznych gratów, bo ja nie.

Zobaczyłam płonące w kominku drwa, spostrzegłam ciemny mahoń i palisander, owalny dywanik i skrawki połyskującej woskiem gołej podłogi. W pokoju dominowało jednak zdumiewające łożo. Wiedziałam dostatecznie dużo o amerykańskich meblach, by od razu poznać, że jest to łożko Beltera, pochodzące z jego późnego okresu, kiedy przeładowywał meble ozdobami. Drewno palisandrowe było ciemne, niemal purpurowe, z czarnymi, jak należało oczekiwać, smugami. Wiedziałam, że jest laminowane, bo zwyczajne drewno nie nadawałoby się do tak misternych zdobień. Normalne drewno nie dałoby się wyrzeźbić w faliste linie i do tego w taki wzór. Wznosząca się ku górze krawędź wezgłowia łoża, u szczytu była zakończona ogromnym, cyzelowanym zwieńczeniem, następnie opadała w dół niczym ugięte ramiona, by opasać łożko po obu stronach. Krawędzie boków łożka obniżały się nisko, a potem znów wznosiły ku górze, łącząc się z innym łukiem, który zamykał tylną część łożka. Za podpory służyły grube, okrągłe, krótkie i niezgrabne, pozbawione wszelkiego piękna podstawki, których jedynym zadaniem było podtrzymywanie jego ciężaru. Cały mebel był po prostu staroświecki. Obeszłam go dookoła, przyglądając się każdemu szczegółowi i rozkoszując się perspektywą sypiania w takim łożu. Belter projektował oczywiście jeszcze inne meble, ale łożka były jego specjalnością.

Nomi obserwowała mnie z powagą, pozwalając mi oglądać wnętrze. Może na chwilę poczuła ulgę, że przestałam zadawać pytania. Jej rola w rodzinie Chandlerów nie była wcale łatwa, a teraz przyjechałam ja, by jeszcze powiększyć jej trudności.

— Na miły Bóg! — Glen stał w drzwiach, trzymając w obu rękach walizki. — Nomi, aniele, dlaczego, u licha, wybrałaś ten pokój? I co my pocniemy z tym łóżkiem-mauzoleum?

— Ty i Glynis urodziliście się w nim. W jej głosie znów zabrzmiał cierpki ton.

— Czy opowiedziałeś już Dinie o tej zamieci, która szalała w noc waszych narodzin? Colton nie mógł wtedy wyjść z domu, a przewody telefoniczne były zerwane. Cook i ja poradziliśmy sobie wspólnymi siłami. Elżbieta przeżyła poród, a wy, bliźnięta, urodziliście się szczęśliwie i bez żadnej skazy. Przynajmniej na pozór. Niekiedy jednak zastanawiam się, czy ta zamieć nie uczyniła wam czegoś, czego nie widać.

Uśmiechnęła się jednak i głos jej złagodniał.

— Nomi ma fantastyczną wyobraźnię — powiedział do mnie Glen. Postawił walizki i stapał po pokoju, pogwizdując w zakłopotaniu. — Sądzę, że to będzie musiało wystarczyć. Możliwe, że matka lubiła ten pokój, ale u mnie wywołuje on gęsią skórę. Nieważne, możemy się pozbyć tego muzealnego reliktu i...

— Pozbyć się łóżka Beltera? — spytałam zaskoczona i pieszczotliwie pogłaskałam rzeźbione ramię.

— Przynajmniej będziesz miała swoją własną łazienkę — wtrąciła Nomi. — Glen, chyba nie zostaniesz tu, w High Towers, na długo, prawda?

— Jeśli będę mógł pracować, zostanę na zawsze — odparł.

— Oczywiście, będziesz pracować, kochanie — powiedziałam. — I zostaniemy tu na zawsze, jeśli chcesz.

Przeszłam przez pokój, nie zważając na to, że Nomi obserwowała mnie z cierpką miną, zarzuciłam mu ramiona na szyję i pocałowałam go namiętnie.

Musiał chyba spojrzeć na ciotkę ponad moją głowę.

— Widzisz, Nomi? Widzisz, jaki skarb znalazłem?

— Hmm — chrząknęła, zabrzmiało to wymijająco i niepochlebnie. Odwróciła się i poszła do łazienki, by upewnić się czy są ręczniki i świeże kostki pachnącego sosną mydła, które zawsze będzie mi przypominać High Towers.

Glen nie wypuszczał mnie z objęć. Wykazał całą swoją błyskotliwość, którą w nim uwielbiałam. W końcu jego powrót do domu okazał się taki, jaki powinien być: dodający nowych sił, radosny i obiecujący spełnienie wszystkiego, czego pragnął najbardziej.

— Dziękuję ci za wszystko, Nomi — zawołał. — Dobrze mieć kogoś, na kogo można liczyć. Polubisz moją śnieżną dziewczynę, kiedy ją poznasz bliżej.

Obdarzyła go uśmiechem świadczącym o trwającej od dawna sympatii do niego. Trzymał mnie w ramionach, jej uśmiech mógł więc być przeznaczony również dla mnie. W odpowiedzi też się uśmiechnęłam. Chciałam ją polubić. Pragnęłam polubić każdego, kto był związany z Glenem.

Kiedy wyszła, zamykając cicho za sobą drzwi, Glen obejrzał się za nią z łagodnością, jaką rzadko widziałam na jego twarzy.

— Ona zawsze troszczyła się o mnie — powiedział. — Prawie nie pamiętam matki, umarła, kiedy byłem jeszcze taki mały. Natomiast Colton zawsze przebywał poza domem lub był zbyt pochłonięty swoją pracą, by

móc naprawdę troszczyć się o dziecko. Ale Nomi miała w sobie tyle miłości do ofiarowania. Po śmierci matki przelała ją na mnie. Zawsze można było liczyć na jej pomoc, tak iż nigdy nie odczułem braku matki.

Podobał mi się ton, jakim mówił o niej i poczułam sympatię do obojga.

— Mam nadzieję, że mnie polubi! — wykrzyknęłam.

— Nikt nie mógłby powstrzymać się przed polubieniem ciebie — odparł.

Wiedziałam, że nie mogłabym pragnąć szczęśliwszego początku miodowego miesiąca.



### 3

Nazajutrz rano niebo było szare. Było chłodno, czułam nadejście zimy i oczekiwanie ciemnej ziemi, nie pogrążonej wcale we śnie, lecz spodziewającej się groźnych wiatrów i burz, śniegu i lodu, które ją pokryją. Ogromne łóżce Beltera było jednak rozkosznie ciepłe i spałam głęboko, dopóki Glen pocałunkiem nie obudził mnie, gdy smugi dziennego światła przeniknęły przez okno. Przysunęłam się do niego sennie, oczekując swojej porcji miłości, ale gdy wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, wstał z łóżka, pozostawiając mnie zdziwioną i zbitą z tropu. Tłumaczyłam sobie próbując rozproszyć ogarniające mnie wątpliwości, że to po prostu dopasowywanie się bardzo młodej pary małżeńskiej.

Tego ranka wstałam przepełniona mieszanymi uczuciami; pragnęłam spełnić wszystko, czego tylko Glen zażądałby ode mnie. Zarazem jednak byłam zdecydowana, gdyby okazało się to konieczne, walczyć o swoje miejsce w tym domu i swoje prawa żony Glena. Oba te uczucia nie były ze sobą sprzeczne, ponieważ podporządkowane były tylko Glenowi. Gdyby Nomi i dwoje pozostałych, nie mogli polubić mnie, z trudem ale odeszłabym umierając ze smutku.

— Wyglądasz dziś na osobę bardzo zdecydowaną — powiedział Glen, gdy schodziliśmy na dół.

— Zgadzam się z tym w zupełności.

W zachęcającym świetle poranka, choćby najbardziej szarego dnia, nie bałam się nikogo i niczego. Ani mrocznego, nasłuchującego domu, ani groźnych krewnych Glena. Tak byłam odważna owego poranka i ani razu

nie pomyślałam o ciemnowłosym, szkockim Irlandczyku, mieszkającym po drugiej stronie jeziora.

Śniadanie zjedliśmy w jadalni o jasnokremowych ścianach, wypełnionej meblami Sheratona. Nad kredensem wisiał obraz Moneta, przedstawiający lilie wodne. Ciemnozielone zasłony z brokatu były rozsunięte. Siedziałam po prawej ręce Glena, mogłam między nimi spoglądać przez ogromne, trzyczęściowe okno ponad wierzchołkami drzew na niebo oraz w dół, w stronę srebrzystego jeziora, które w świetle wczesnego poranka przybrało odcień cyny.

Tego dnia wszyscy troje mieliśmy niespodziewanie wesoły nastrój. Nomi była w dobrym humorze, Glen zaś szeptał do mnie, gdy poszła do kuchni, by po raz drugi przyrządzić mu omlet. Tego ranka sprawiała wrażenie mniej nieprzystępnej i mniej powściągliwej, podczas gdy ostatniej nocy raczej zdawała się być wielką damą. Długą szarą suknię zmieniła na schludną szmizjerkę, która nadawała jej mniej poważny wygląd. Jej białe włosy nie wiły się już luźno, lecz były starannie zaplecione wokół głowy w warkoczyki, tworząc jakby małą koronę i podwyższając ją. Twarz pod białą koroną warkoczyków zdawała się być pogodna, jakby już zaakceptowała zmianę w życiu Glena i mnie.

Rano, czarną aksamitną wstążką mocno przepasałam włosy na karku, tak by opadały na plecy i nie rozsypały się luźno. Glen będzie wprawdzie chciał, żeby później je rozpuścić, ale teraz wołałam, żeby mi nie przeszkadzały. Za namową Glena włożyłam zielone spodnie i jasnozielony sweter, bo na poddaszu, gdzie mieliśmy przystąpić do pracy zaraz po śniadaniu, mogło być chłodno.



Nomi nie chciała nawet słyszeć o tym, żebym pomogła jej przy zmywaniu naczyń, toteż zaraz po odejściu od stołu, Glen zabrał mnie na górę. Wąskie schody wiodące na strych znajdowały się w tylnej części domu, w pobliżu drzwi do naszej sypialni. Glen szedł przede mną, by pozapalać światła. Potem podał mi rękę, żeby po kilku ostatnich stopniach wciągnąć mnie na górę. Wspięłam się na szczyt schodów tam, gdzie stał Glen, ze zdecydowaniem, które biło ze mnie blaskiem, niczym wypolerowana jednopensówka i było chyba mniej więcej tyle samo warte.

Muszę najpierw odnaleźć swoją drogę, nim coś zmusi mnie do podjęcia ostatecznej decyzji. Nie miałam wątpliwości, że Glen potrzebował pomocy. Wyczuwałam w nim nagłą, ogromną potrzebę działania. Musiałam na to jakoś zareagować, odpowiedzieć. Powinnam mu ulegać, a także, znając jego dążenia, wspierać go. Wyobraziłam sobie, jak gram tę subtelną, szlachetną i pożyteczną rolę aż do końca. Ta wizja podnieciła mnie.

Poddasze było olbrzymie i wysokie. Rozciągało się nad całym domem i prawie na całej przestrzeni można było wygodnie się poruszać. Zamykały je z dwu stron ściany szczytowe. Oprócz okien mansardowych Colton Chandler zainstalował na dachu trzy świetliki, aby do wnętrza mogło wpadać północne światło. Jednak pomimo okien i świetlików kąty pracowni były pogrążone w cieniu, Glen od razu oświetlił je lampami. Podłoga, z wyjątkiem porozrzucanych tu i ówdzie gładkich dywanów, była goła, zaś w części, którą zajmowała pracownia wyłożono ją winylowymi płytkami, by łatwo dawała się zmywać.

— Coltonowi podczas pracy niezbędne jest skupienie — powiedział Glen. — Należy do niego cała frontowa część strychu. Zainstalowaliśmy zasłony, którymi, jeśli jest w domu i chce odosobnienia, może się odgrodzić.

Glynis i ja podzieliliśmy się środkową częścią. Tamto miejsce z oknem jest jej, a to moje. Jak widzisz, ona całkiem serio zajmuje się malowaniem.

Nie było zasłony oddzielającej pracownię rodzeństwa. Po jednej stronie znajdowały się niezbędne do malowania przybory, sztalugi, zachlapany farbą podręczny stolik, poplamiona paleta i liczne pędzle stojące wokoło w kryształowych słojach. Natomiast w drugiej części pracowni nie było wielu oznak pracowitości artysty. Solidny stół był zbyt czysty, nie nosił śladów używania. Złożone sztalugi stały pod ścianą. Pusty był obrotowy stolik. Nie widziałam ani farb, ani pędzli, ani jakichkolwiek innych narzędzi, choć zauważyłam, że wąską ścianę między oknami zabudowano rzędem szafek. Glen podszedł do nich i zaczął wyjmować dłuta, drewniane młotki i ryłce, swoje rzeźbiarskie narzędzia. Stałam obserwując, jak planowo rozmieszczał je na stole, starannie badając każde z nich i sprawdzając ich ostrość. Tego ranka emanował z niego zapach, palił się wręcz do pracy, po której spodziewał się powodzenia. Przez jakiś czas był pochłonięty sprawdzaniem narzędzi, a ja czekałam, aż powie mi co mam robić.

Przeszłam do miejsca, gdzie miała zwyczaj pracować jego siostra. W bliźniaczkę tkwiła chyba odpowiedź na wiele intrygujących pytań związanych z Glenem. Poza tym, skoro zamierzałam zaprzyjaźnić się z Glynis i zyskać w niej sojuszniczkę, powinnam jak najwięcej dowiedzieć się o siostrze męża.

Tutaj, obrazy stały pod ścianami, jedne oprawione w ramy, drugie zaś zasłonięte tekturą. Najwidoczniej jako artystka była niezwykle płodna.

— Czy pozwoliłaby mi obejrzyć swoje obrazy? — zapytałam Glena.

Spojrzeniem wskazał mi kierunek.

— Rób jak chcesz. Jakie to ma znaczenie, czy pozwoliłaby czy też nie?

Była to dziwna odpowiedź. Wybrałam obrazy oparte o ścianę pod oknem. Podniosłam pierwszy z wierzchu i odwróciłam go ku światłu. Obraz, podobnie jak malowidło, które widziałam w Nowym Jorku, od razu przyciągnął moją uwagę. Także wykonany był w „prymitywnym” stylu, lecz techniką osiągalną tylko dla znakomitego artysty. Glynis Chandler namalowała zimowe jezioro Gray Rocks.

Obraz przedstawiał niesamowitą nocną scenę. Częściowo oświetloną wielką płaszczyznę zamrożonego i pokrytego śniegiem jeziora i jeszcze większy pas bieli, która pod czarnymi karłowatymi świerkami wspinała się po odległym wzgórzu. Nie były to jednak dostojne niebieskawe świerki, które zapamiętałam, lecz cherlawe i powyginane drzewa. Wszystko to stanowiło jednak tylko tło dla dramatycznej sceny rozgrywającej się na jednym z krańców jeziora. Strzelały tam wysoko w niebo płomienie wybuchając wokół drobnymi, błyszczącymi iskrami i rzucając na śnieg niesamowite żółte światło. Zachłanne czerwone i pomarańczowe języki ognia pięły się wysoko, pochłaniając budynek. W wyobraźni Glynis płonął Gray Rocks Inn. Namalowała pożar wraz ze wszystkimi potwornymi detalami. Drobne postacie przed gospodą z zapamiętaniem biegały w kółko po nasypie, bezskutecznie wylewając wiadra wody na płonący budynek. Samochód strażacki z miasta właśnie się zatrzymał. Maleńkie postacie strażaków zeskoczyły z wozu i wyciągały sikawki. Wszystko zbyt późno, by ugasić pożar. Przed jednym z okien płomienie rozdzielały się odsłaniając stojącą ze wzniesionymi do góry ramionami kobietę w bieli. Musiała krzyczeć, uwięziona za oknem, które nie dawało się otworzyć. Poniżej, przed domem z zadartą głową stał obezwładniony bezradnością, czarnowłosa mężczyzna. Patrzył na kobietę. Pokój za nią czerwieniał od

plamieni. Wiedziałam, że nie ma dla niej ratunku. W tym obrazie niszczycielskiego żywiołu przedstawiona była cała gama okropności i cierpienia.

Musiałam chyba krzyknąć, bo Glen zostawił narzędzia i podszedł spojrzeć na obraz. Potem wyjął mi go z rąk i postawił na sztalugach, gdzie światło było lepsze i studiował go w skupieniu.

— Co za wspaniała robota! Nie widziałem tego obrazu. Glynis co rok staje się lepsza.

Jego głos zabrzmiał tak entuzjastycznie, że przyjrzałam mu się zdumiona.

— Ależ to jest okropne! — krzyknęłam. — Nie dbam o doskonałość warsztatu. To potworność!

— Nonsens. Artysta ma prawo wyboru tematu i środków. Myślisz, że takie sceny nigdy w rzeczywistości się nie zdarzają? Jeśli postanowiła to namalować, miała do tego prawo.

W jego głosie brzmiał wyrzut skierowany do osoby z zewnątrz, nie rozumiejącej problemów i celów profesjonalistów.

— Świetnie rozumiem, co chciała wyrazić, w ten sam sposób to odczuwam. Nie rozumiesz tego, moje drogie niewiniątko? Ona wyraziła uczucia do tej nędznej gospody na skraju jeziora i niszczących Gray Rocks ludzi. Kobieta w oknie to oczywiście nasza Pandora. To ona za wszystko jest odpowiedzialna. A mężczyzna pod oknem, który wie, że nie może jej uratować, to jej syn, Trent McIntyre. To naprawdę piękny obraz. Wyraża wszystkie nasze uczucia, zarówno Glynis, jak i moje, jakie żywimy do McIntyre'ów.

Przypomniałam sobie słowa Nomi, iż powinnam pamiętać, że bliźnięta są pod każdym względem takie same. Uświadomiłam sobie, że wpatruję się w Glena z przerażeniem. Gdy odwrócił się od obrazu i spostrzegł wyraz mojej twarzy, roześmiał się.

Nie mogłam znieść także tego śmiechu. Powinnam odwrócić się i uciec z poddasza, próbować wydostać się z tego domu, tak jak zrobiłam to tamtej nocy w galerii w Nowym Jorku. Powinnam porzucić wcześniejszy zamiar, by stać się tym, kim on chciał, bym była, ale otoczył mnie ramionami i mocno trzymał w objęciach.

— Moje przestraszone biedactwo. Sądzę, że czujesz się, jakbyś trafiła do gniazda os. Ale nie jest tak całkiem źle. To, co robi Glynis, to prawdziwa terapia. Malując wyładowuje całą wrogość i to jej pomaga. Nie musi więc podpalać gospody czy próbować spalić żywcem Pandorę, bo wszystko to zrobiła już na płótnie bez niczyjej szkody. Poza tym, gdyby kobieta w oknie miała choć odrobinę rozsądku, rozbiłaby szybę i skoczyła na ziemię. Budynek gospody nie jest znowu taki wysoki.

Odsunęłam go tak, by móc spojrzeć mu prosto w twarz.

— Czy ty potrafiłbyś malować w ten sposób?

— W ogóle malować już nie mogę. Ale jeśli pytasz, czy wyrzeźbię dla ciebie coś takiego w kamieniu, to muszę zaprzeczyć. Glynis i ja mamy wprawdzie taki sam emocjonalny stosunek do jeziora, ale nie wybieramy tych samych rozwiązań. Jeśli zrobię coś z McIntyre'ami, użyję praktyczniejszych środków.

Nie chciałam o nich myśleć. Trenta McIntyre'a pogrzebałam głęboko w zakamarkach pamięci i nie zamierzałam sobie przypominać. Przycisnęłam

twarz do piersi Glena, nie chcąc patrzeć w jego błyszczące oczy i widzieć zachwyty nad obrazem siostry.

— Twoja ciotka Nomi powiedziała, że jesteście swoimi własnymi kopiami — wyszeptałam.

— Pod każdym względem jesteśmy kopiami, może z jednym tylko wyjątkiem, nie mam na myśli oczywistego faktu, że jestem mężczyzną. Chodzi o inną różnicę. Glynis jest opętana, ja natomiast nie. Dino, kochanie, ciesz się z tego i nie bądź taka przerażona!

Przytrzymał i nachylił mój podbródek, by móc mnie pocałować uspokajająco w usta. Nadal jednak fakt istnienia Glynis napawał mnie trwogą. Zawisł nade mną jej groźny cień. Jak mogłam walczyć z czymś, czego nie można było zrozumieć?

— Chodź tu z powrotem — powiedział i trzymając moje palce w cieplej dłoni zaprowadził mnie na swoją stronę poddasza, w kierunku światła, w świat bez koszmarów.

— Chcę ci coś pokazać i powiedzieć, co zamierzam robić. Nim zacznę rzeźbić, chcę, żebyś zobaczyła, jak pracuję.

Rozłożył solidny, trójnożny obrotowy stół, o blacie dostatecznie mocnym, by utrzymać kamienną bryłę. Na stoliku coś już było, coś zakryte suknem. Błyskawicznym ruchem zerwał zasłonę i ujrzałam bryłę alabastru, o której opowiadał mi w Nowym Jorku. Stała unieruchomiona, przymocowana do stolika drewnianą ramą. Gotowa do obróbki. Choć większa była od naturalnej wielkości głowy, rzeźba, która miała wyłonić się z tej bryły, będzie od niej mniejsza. Kamień był piękny i czysty. Przeświecał szkliście jak lód wywołując wrażenie takiej przezroczystości, jakby się spoglądało w lśniące głębie o zielonkawym odcieniu.

— Jest śliczny — powiedział. — Po prostu śliczny.

— Wiedziałem, że jest przeznaczony dla mnie, już gdy po raz pierwszy go zobaczyłem. Zabrałem go do High Towers, by czekał na właściwy moment. Nie zacznę jednak rzeźbić w kamieniu, zanim nie wykonam modelu. To będzie taki szkic twojej głowy w glinie, który da wyobrażenie o moim zamyśle. Wygładzę wszystkie ewentualne błędne cięcia i dopiero zacznę rzeźbić w kamieniu.

Przesunęłam dłonią po chłodnej i gładkiej powierzchni. Jeszcze nie tak wygładzonej, jak będzie pod koniec pracy, ale nawet teraz, śliskiej w dotyku i jaśniejącej delikatnym blaskiem.

— Trudno mi zrozumieć, że kamień może przemawiać do rzeźbiarza. To dziwne, że tyle piękna emanuje z czegoś tak twardego i opornego.

— Właśnie to jest uroda alabastru — powiedział Glen — tworzywa dość miękkiego do rzeźbienia. Prawdę mówiąc, trzeba bardzo uważać; jeśli dłuto się ześliznie, powstają w kamieniu głębokie rysy. Należy więc obchodzić się z nim nadzwyczaj pieczołowicie. Rysy powodują białawe, głębokie ślady psujące ostateczny efekt. Ale tym razem nie będzie żadnych rys. Ja mam wprawę, a ty dostarczasz mi inspiracji. Modelowanie w glinie raczej mnie nudzi, bo wyczuwam sam kamień. Rzeźba w kamieniu daje więcej satysfakcji, ale ryzyko jest większe. Pracowałem w kamieniu dość często, nawet jeśli efekty były nikłe. Ale będzie lepiej. Każdy artysta musi najpierw coś przeżyć, by potem móc uświadomić sobie, kiedy naprawdę może tworzyć.

Zapał w jego oczach nappełnił mnie nadzieją. To, co wyłoni się z tego kawałka kamienia, musi być tym, czego pragnął. Jeśli w jakiś sposób będę mogła do tego się przyczynić, muszę to zrobić! I to nie tylko przy pomocy

zachęt i pokładanej w nim wiary. Dobrze wiedziałam, że nie dysponuję odpowiednią wiedzą. Oceny muszą być rzeczowe i pochodzić od osoby kompetentnej. Gdybym potrafiła zrozumieć czego pragnie, być tym, czym chce, żebym była, może zdołałabym mu dopomóc.

— Czy Glynis również rzeźbi? — spytałam.

— Nie! I cieszę się z tego, bo ponoszę mniejsze ryzyko. Tworząc innymi środkami, mogę iść własną drogą. Nie muszę konkurować z nią na jej własnym gruncie.

— Dino, podejdź tu bliżej, żebym mógł ci pokazać, co chcę zrobić.

Stałam przed bryłą alabastru, którą obrócił tak, by światło słoneczne muskało jej powierzchnię. Potem wziął węgiel i z grubsza zaczął szkicować na kamieniu.

— Dino, widzisz? Tam, w głębi, jest głowa dziewczyny. Pewna lodowa nimfa z jeziora Gray Rocks. Jest uwięziona, pomogę jej się wydostać. Twarz wewnątrz kamienia zwraca się w ten sposób... Włosy spływają jej na plecy. Cięcie wypadnie chyba tuż poniżej nasady szyi, a włosy będą sięgać nieco poniżej tego miejsca z tyłu.

Rysował węglem długie kreski aż zobaczyłam włosy opadające tak, jak mi pokazywał. Dorysował nos i oczy we właściwej odległości od siebie, oraz zarys ust; to wszystko tkwiło głęboko w kamieniu, czekając, aż wyczaruje je z bryły lodu i przeniesie w żywy, słoneczny świat.

— Tu jest twoje podium — powiedział i ruchem ręki wskazał mi podwyższenie. Tu masz płócienne krzesło, jak się przekonasz — bardzo wygodne. Chcę, żebyś siedziała właśnie tu, na samym środku podłogi, abym mógł obchodzić cię dookoła i oglądać pod różnymi kątami. Praca nad przestrzenną formą musi odbywać się z różnych punktów widzenia. Każdy



fragment musi być powiązany z całością. Nie powinno się na przykład modelować nosa, nie uwzględniając tego czy harmonizuje on z profilem i czy pasuje do każdego innego rysu twarzy.

Rozwodził się nad swoją pracą, a ja słuchałam zafascynowana. Choć od dawna lubiłam dobre rzeźby, dopiero teraz oglądałam obróbkę kamienia, tę część pracy twórcy, którą wykonuje się na długo przed osiągnięciem ostatecznej doskonałości.

Usiadłam na płóciennym krzeselku na podium, a on obracał moją głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Powiedział, że każdy ma własny, charakterystyczny sposób noszenia głowy, nie muszę więc siedzieć sztywno. Mieliliśmy znaleźć pozę, w której mnie sportretuje.

Gdy był gotów, wyjął z puszki bryłę gliny i rzucił na drugi stolik. Specjalnymi narzędziami do modelowania zaczął formować ją i obrabiać.

Powiedział, że jest to ten etap pracy, którego bardzo nie lubi. Najmniejszą bryłę wykonaną w glinie można powiększyć do dowolnych rozmiarów. Natomiast wielkość bloku kamienia jest stała. Chodzi więc o obróbkę tworzywa, o uwolnienie i uwidocznienie swojej wizji poprzez usunięcie dłutem okrywającej ją zasłony. Jeśli ktoś chce zadać sobie trochę trudu, makieta mu pomaga.

Na występie mansardowego okna postawiłam lustro, by odbijało niewidoczną stronę glinianej bryły. Chociaż nie widziałam jak pracuje, od czasu do czasu mogłam w przelocie zobaczyć twarz Glena. Jego jasne oczy wyrażały koncentrację i wiarę.

Gdy pozowanie zmęczyło mnie, pozwalał mi odpoczywać, ale nie chciał pokazać, co już zrobił. Model twarzy z gliny był ode mnie odwrócony. Przeczynał, że najmniejsze wątpliwości czy cień krytyki mogły

odwrócić jego uwagę od istoty rzeczy. Nie widziałam więc efektów jego porannego trudu. Musiałam zadowolić się zapewnieniami, że wszystko idzie świetnie, że pokonał trudności, które tak długo go powstrzymywały.

Był to szczęśliwy poranek. Czułam się związana z nim mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Zapomniałam o dręczących wydarzeniach poprzedniego dnia. Wydawało się, że McIntyre'owie są gdzieś daleko, dalej niż po drugiej stronie jeziora. Dziś Glen oderwał mnie od bolesnych wspomnień i uszczęśliwił mnie.

Na lunch zeszliśmy do jadalni. Nomi znów podała i dotrzymywała nam towarzystwa podczas posiłku. Po południu przyjeżdżała z miasta dorywczo pracująca gospodyni. Miała pomóc w pracach domowych i przygotowaniu kolacji. Nomi opowiadała, że gdy nie ma nikogo, sama robi kolację, ale gdy Colton lub bliźnięta przyjeżdżają do domu, posiłki przy zapalonych świecach są uroczyste.

Siedzieliśmy przy stole popijając kawę, gdy Glen znowu wprowadził mnie w zdumienie. Byłam na tyle świeżo poślubioną żoną, że chciałam spędzać z nim każdą chwilę. On natomiast wyraźnie dał mi do zrozumienia, że wcale tego nie pragnie.

— Idę pospacerować po lesie, żeby zastanowić się nad pracą — powiedział. — Nie mogę więc zabrać ze sobą kogoś, kto tak mnie rozprasza, jak ty, Dino. Jeśli chcesz poznać dom lub pospacerować na dworze, nie zastanawiaj się. Słońce wyjrzy i ociepli się. Będzie piękny dzień.

Pragnęłam zgadzać się ze wszystkimi jego sugestiami, grać rolę służebnicy jego sztuki, postępować taktownie i spełniać każde życzenie. Gdy wyszedł, pozostawiając nas przy stole, Nomi, patrząc za nim, pokręciła lekko głową:

— Bliźnięta — oboje są samotnikami. Chyba że przebywają razem. Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić. Trochę mnie jednak intrygujesz. Wczoraj wieczorem dostrzegłam w tobie niezależność, ale dziś od chwili gdy zesłaś na dół, zachowujesz się jak echo, jak cień Glena.

— Dlaczego nie miałabym być jego nieodłącznym cieniem, skoro sprawia mu to przyjemność? — spytałam lekceważąco. — Pragnę mu tylko pomagać.

Nomi miała mały, spiczasty nos, który pocierała, gdy coś ją martwiło. Pocierała nos właśnie teraz, a jej brązowe oczy, tak jak wczoraj wieczorem, patrzyły badawczo i czujnie.

— Elżbieta była podobna — powiedziała. — Była cieniem Coltona i jego służącą. Colton myślał za nią, mówił za nią. Urobił ją na swoją modłę. I czasami okropnie się z nią nudził. Monotonia bez cienia żadnej emocji. Rozumiesz? Oto dlaczego Colton może wytrzymać w domu ze mną. Nie jestem jedną z Chandlerów ani żadnym cieniem. Przywiązałam się do Glena, którego zawsze traktowałam jak syna. Myślę, że kiedyś byłam nawet trochę zakochana w jego ojcu. Ale wycieraczką dla butów Chandlera lub echem jego słów nie będę!

Prawie jej nie słuchałam. Uważałam, że znam już Glena tak, jak tylko może znać żona i nikt poza nią. Moje wyobrażenia były jasne i wyraźne, jak jego wizja głowy, którą wyrzeźbi. Nikt lepiej ode mnie nie wiedział, czego potrzebuje i zamierzałam mu to dać. Gdyby okazało się, że chce, żebym go zaskakiwała i bawiła, wtedy będę się starać spełnić również takie życzenie. Ale teraz muszę być cicho i nie przeszkadzać mu.

— Sądzisz, że Glynis wkrótce przyjedzie? — spytałam.

— Podejrzewam, że wsiądzie do pierwszego samolotu, który uda jej się złapać — odparła Nomi uszczypliwie. — Nie pozostało nam wiele czasu, Dino, pozwolisz, że doleję ci kawy?

Przysunęłam filiżankę w jej stronę.

— Czy będzie to miało dla niej znaczenie, że brat jest żonaty?

— Bez jej pozwolenia? — powiedziała sucho. — Nie obejrzawszy sobie przedtem dokładnie dziewczyny? Jeśli jej pozwolisz, zetrze cię w proch.

Wysunęłam podbródek.

— Wobec tego nie pozwolę jej. Poślubiłam Glena, nie Glynis.

Nomi energicznym ruchem wpięła wysuniętą szpilkę w jeden z warkoczyków.

— To ty tak sądzisz.

— Dlaczego miałyby chcieć powstrzymać Glena od małżeństwa?

— Bo się boi. — Nomi z brzękiem odstawiła filiżankę.

— Ona musi z całej siły ucześcić się wszystkiego, co ją otacza, aby własne upiory jej nie porwały i całkiem nie zniszczyły. Trzyma się więc High Towers. Obstaje nawet przy jeziorze, choć czasem również się go boi. Ucześciłaby się też Coltona, gdyby ten, gdy tylko zechce, nie wyślizgiwał się jej z rąk. Nigdy nie trzymała się mnie, ponieważ mnie boi się najbardziej na świecie. Jestem osobą, której najmniej ufa. Nie bez powodu. Ale Glen należy do niej. Łączą ich najsilniejsze więzy krwi, takie jakie mogą istnieć tylko między bliźniętami. Trzyma się więc przede wszystkim jego. On wiele razy próbował oderwać się od niej. Ale jak dotąd zawsze przegrywał. Teraz wyzwolił się poślubiwszy ciebie. Jest to, jak wiesz, jego szansa na wolność.

Teraz pozostaje tylko patrzeć jak Glynis rozbije twoje małżeństwo. Jeśli oczywiście pozwolisz jej na to.

— Nie pozwolę! — powtórzyłam z uporem. — Nie jestem powojem ani niczyją szansą wolności. Nie jestem bezsilna i bezradna. Wierzę, że również Glen nie jest taki. Po prostu musiał spotkać właściwą osobę, by stać się pełnym człowiekiem. Teraz już nie jest połówką, bliźniakiem — jest moim mężem. Pragnę, żeby miał wszystko, co mu się należy. Jeśli będzie to dobre dla niego, będzie dobre także dla mnie.

— Hmm! — chrząknęła nie przekonana Nomi.

— Dlaczego Glynis miała by się ciebie bać? — spytałam.

Drobnymi, zwinnymi palcami zaczęła starannie składać serwetkę.

— Bo ona wie, jak bardzo nią pogardzam.

Jej głos był spokojny i pozbawiony emocji, jakby mówiła, że jest piękny dzień, ale później może padać. Wiedziałam, że nie był to właściwy moment na pytanie, dlaczego pogardza Glynis. Być może w przyszłości zaufa mi na tyle, żeby to kiedyś wyjawić, ale nie teraz, pierwszego dnia mojego pobytu w High Towers.

— Rano obejrzałam obraz namalowany przez Glynis — ciągnęłam, wciąż usilnie poszukując klucza do tajemnicy bliźniaków. — Był to przerażający obraz jeziora z płonącą gospodą i z uwięzioną jak w pułapce kobietą w oknie.

Nomi z kwaśną miną skinęła głową.

— Widziałam. Glen nazywa to „terapią”. Ja nazwałabym inaczej. Ale z drugiej strony, jestem staromodna, nie mogę się nawet chełpić wizytą u psychiatry. Wiem, kim jestem. To coś, z czym muszę żyć. Czasami niewiele o to dbam, ale skłonna jestem akceptować samą siebie.

Wstała zza stołu kończąc rozmowę.

— Chodź, Dino, ze mną, oprowadzę cię po domu. Nie mogę powiedzieć, że będziesz jego panią, bo oznaczałoby to, że uda ci się nią zostać. Colton — dopóki żyje, dopóty będzie jego gospodarzem. Tylko on potrafi dać sobie radę z Glynis. Mam nadzieję, że wróci do domu przed jej przyjazdem.

Spostrzegłam, że coraz bardziej lubię Nomi. Była szczerą i bezpretensjonalną. Gdyby kiedyś postanowiła mnie zaakceptować, miałabym przyjaciółkę, której mogłabym zaufać. Ale decyzji tej jeszcze nie podjęła. Nomi Holmes nigdy nie wydawała pochopnych sądów.

Pozwoliła mi zajrzeć do swego „nie upiększonego”, ale wygodnego salonu na dole; ze staromodnymi, niespotykanymi już meblami. Leżały tam przybory do szycia i stały małe krosna, a na wytartej sofie leżała zwinięta w kłębek duża, żółta, dzika kotka. Nie widziałam jej wcześniej, przeszłam więc przez pokój, by zawrzeć z nią znajomość.

— To Jezebel — powiedziała Nomi. — Ona również nie jest z Chandlerów. Glynis nie znosi kotów, tak więc, o ile nie włączy się po dworze prowadząc zgodny z jej imieniem tryb życia, mieszka w moim pokoju.

Kotka spojrzała bursztynowymi oczami o odcieniu nieco ciemniejszym od barwy sierści i po chwili namysłu pozwoliła się dotknąć.

Pod przewodnictwem Nomi, razem z dość wyniośle kroczącą za nami na miękkich łapkach kotką, obejrzałam dawny pokój Glena i na końcu, wielką frontową sypialnię z widokiem na podwórze — sypialnię należącą do Glynis.

Zaciekawiona zatrzymałam się w drzwiach, by się rozejrzeć. Muszę jak najwięcej dowiedzieć się o bliźniacze Glena.

Jezebel nie przekroczyła progu. Obrzuciła pokój wyniosłym spojrzeniem, uznając go za niegodny uwagi, i odeszła. Schodząc na dół ogon trzymała zadarty w górę, koniuszek trochę falował, być może pod wpływem irytacji z powodu silnego zapachu perfum w pokoju Glynis.

Siostra Glena wyłożyła ściany pokoju bladozieloną tapetą w deseń z liści paproci. Baldachim wsparty na czterech rzeźbionych i powyginanych kolumnach, był w tym samym, łagodzącym ostre kontury łóżka, odcieniu paproci.

Kołodę pokrywał wzorek w różowe i zielone płatki śniegu.

Szczegóły umeblowania nie interesowały mnie, gdyż przykuł mój wzrok jakiś przedmiot umieszczony w pobliżu frontowego okna. Na postumencie z tekowego drewna stała rzeźba kobiecej głowy z ciemnego marmuru. Nieodparcie coś mnie do niej ciągnęło.

Nomi sądziła, że oglądam widok za oknem. Podeszła więc i uchyliła jedno skrzydło wpuszczając do pokoju jasne, ciepłe powietrze prawdziwego indiańskiego lata, jakie zapanowało tego popołudnia.

— Colton kazał ściąć kilka drzew po obu stronach domu, żeby nie zasłaniały widoku — powiedziała. — Ale człowiek, który niegdyś zbudował High Towers, stworzył je dla kobiety, która chciała odgrodzić się od świata. Jego żona pochodziła z Filadelfii i nie lubiła widoku i zapachu wsi. Dawniej u stóp wzgórza była farma. Do tej pory można zobaczyć tam stodoły i wiejskie zabudowania. Ona jednak chciała, żeby były niewidoczne. Lubiała, jak drzewa otaczają dom ze wszystkich stron. Jej mąż, syn zamożnego farmera, sam był trochę ekscentryczny, przeto spełnił jej życzenie. Na

szczycie wzgórza postawił tę wiktoriańską budowlę. W tamtych czasach rozsądni ludzie stawiali domy w dolinach.

Zafascynowana przyglądałam się rzeźbie w czarnym marmurze. Widok rozciągającej się w kierunku wzgórz i dalekiego pasma gór Kittatinny, pofałdowanej niziny, był wprawdzie piękny, ale czarna rzeźba pochłoneła całą moją uwagę. Przypomniałam sobie, że Glen opowiadał mi o swoim jedynym udanym dziele w marmurze. Z pewnością to było to. Położyłam dłoń na rzeźbie, pod palcami nieomal wyczuwałam faliste loki podobne do gęstych i kędzierzawych włosów Glena. Tylko raz dotknęłam włosów Trenta McIntyre'a, były gładkie i jedwabiste. Jednak od chwili gdy wkroczył do mojego życia jako ktoś obcy, postanowiłam go nigdy więcej nie wspominać.

— Glen to wyrzeźbił, prawda? — zapytałam.

— Tak. Sądzę, że naprawdę jest świetne. Nawet Colton uważa, że to doskonała robota. Kilka muzeów wypożyczało rzeźbę na wystawy. Chwileczkę, oświetlę ci ją.

W pobliżu okna, wysoko na ścianie zainstalowany był strumieniowy reflektor. Nomi nacisnęła przełącznik i snop jasnozłocistego światła padł na błyszczący czarny marmur. Wyrzeźbiona twarz kobiety ożywiła się. Zobaczyłam twarz bliźniaczki Glena, jego twarz o żeńskich rysach. A jednak było w niej coś jeszcze. Rzeźba ukazywała przeraźliwą udrękę, twarz wykrzywiało cierpienie.

Zdumiona zwróciłam się do Nomi:

— Jeśli to jest Glynis, jak ona może znieść tę głowę w swoim pokoju? Chyba że...



— Glen rozumie ją tak dobrze, jak ona sama — rzekła Nomi. — Wie, co ją bawi i wie dlaczego. On nie tylko ją wyrzeźbił, lecz także pokazał jej smutek i przerażenie. Dlatego może to znieść. Poza tym przedstawił ją w duchu romantycznym; tak jak widzi samego siebie. Widzisz to?

Pochyliłam się nad głową, studiując pewien zdumiewający, dopasowany do całości, szczegół. Pod wpływem cierpienia wykrzywającego usta rysował się na twarzy każdy miesiąc. Wydawało się, że pod marmurową powierzchnią kryło się coś więcej niż martwa materia kamienia.

Zastanawiałam się nad słowami Nomi, że przedstawił ją w duchu romantycznym. Rzeźbiąc zdeformowaną pod wpływem emocji twarz?

— Właśnie! Bo chociaż zdolna jest do odczuwania strachu i wszelkiego zła, nie jest w stanie odczuć tak tragicznego cierpienia. Pomiął jej prawdziwe cechy, to jaka jest w rzeczywistości.

Głos Nomi zdradzał głębię uczuć, spostrzegłam, że jakaś wewnętrzna obawa mąci jej charakterystyczny spokój.

— Dlaczego tak bardzo nienawidzisz jej? — spytałam łagodnie.

Tym razem odpowiedziała, szybko odzyskując panowanie nad głosem.

— Bo zabiła moją siostrę Elżbietę! Z premedytacją uśmierciła własną matkę, matkę Glena.

Wpatrywałam się w nią zdumiona.

— Przecież kiedy ich matka umarła, Glynis miała zaledwie pięć lat, prawda? Była jeszcze dzieckiem. Co mogła zrobić?

Nomi bez słowa odwróciła się i odeszła. Wyszła z pokoju wyprostowana, z podniesioną głową w koronie białych warkoczyków.

Słyszałam skrzypienie schodów, gdy schodziła w dół. Choć była drobna i nieduża, kroki jej były ocieężałe.

Nagle z przerażeniem uświadomiłam sobie jaka Nomi Holmes była w rzeczywistości. Ślepa nienawiść z powodu czynu dziecka, wydawała się szokująca.

Znowu uważnie przyjrzałam się marmurowej twarzy i niespodziewanie poczułam sympatię do Glynis. Co za okropność musiała przeżyć jako dziecko, że stała się teraz opętaną kobietą? Może, mimo wszystko, jeśli tylko się zgodzi, zostanę jej przyjaciółką? Muszę nią być. Muszę o niej wszystko wiedzieć, abym mogła, gdy przyjedzie, coś jej zaoferować.

Zgasiałam światło i nagle poczułam, że mury domu przytłaczają mnie, że przygniata mnie jego mroczna, ciężka atmosfera. Jak daleko sięgam pamięcią, moje własne życie rodzinne było szczęśliwe, jasne i pełne słonecznego blasku. Natomiast w tym domu panował nastrój zimy. Surowy, niegościnnie i przenikliwie zimny. Żyli w nim oziębli ludzie z lodu.

Na zewnątrz zima jeszcze nie nadeszła. Słońce świeciło i jezioro czekało na mnie. Odwróciłam się plecami do czarnego marmuru i uciekłam schodami w dół. W to ciepłe, podarowane przez zimę popołudnie nie potrzebowałam płaszcza. Wyszłam frontowymi drzwiami, okrążywszy dom ruszyłam w stronę jeziora. U stóp stromego wzgórza widać było łagodną powierzchnię wody, w to bezwietrzne popołudnie, niebieską i cichą. Schodziłam przez suche, jesienne trawy, pomiędzy nagimi orzechowymi drzewami i smukłymi świerkami. Później skręciłam w lewo, idąc na przełaj po rozpościerającym się u podnóża sosnowego lasu, miękkim kobiercu z igieł.

W chwilę później byłam już na dole, na otwartej przestrzeni, nad brzegiem wody. Po raz pierwszy rozciągnął się przede mną pełny widok jeziora. W dali, po prawej stronie widziałam szare, strome i dzikie skały o ostrych wierzchołkach, od których pochodziła nazwa jeziora. Na pozostałej części tego, jak i przeciwległego brzegu nie było już skał, choć jezioro ze wszystkich stron otaczały wzgórza. Na wprost, po drugiej stronie stał kamienny osiemnastowieczny dom. Dom, w którym mieszkali McIntyre'owie. Białe, koronkowe firanki ozdabiały okna na pierwszym piętrze. Starannie utrzymane krzewy zdobiły jego otoczenie. Ten dom pochodził z wcześniejszego okresu niż High Towers i był utrzymany w lepszym stylu, przypominał człowieka wytwornego, który posiadał z wiekiem mądrość i dobre maniere. Natomiast sterczące jak uszy, wieżyczki High Towers zdawały się zawsze bezwstydnie podsłuchiwać. Po drugiej stronie jeziora nie było widać nikogo. Moje, czasem kapryśne serce, nie zabiło na myśl, że może pojawić się Trent. Tego popołudnia bez obaw, z całego serca byłam panią Chandler i nie chciałam być nikim innym.

Po raz pierwszy pomyślałam o Keithcie, chłopcu, którego spotkałam wczoraj wieczorem w sklepie. Wydawało mi się, że już dawno temu opowiedział mi o Glynis. Teraz wiedziałam o niej więcej. Zdając sobie sprawę z tego kim była, nadal nie wiedziałam dostatecznie dużo. Zastanawiające było też żywe zaciekawienie chłopca moją osobą.

Skręciłam w lewo, tracąc z oczu owe wysokie, szare skały i ruszyłam dziką ścieżką wzdłuż brzegu. Na krańcu jeziora pojawiła się gospoda z drewna sekwoi. Glen, pokazując mi ją wczoraj wieczorem, był wściekły, ale teraz, w świetle dnia nie wydawało się, by gospoda szpeciła jezioro.

Zbudowano ją z myślą o dostosowaniu do dzikiego otoczenia. Nie była więc dysonansem.

Oczywiście, pierwotne lasy były lepsze. Niegdyś wędrowali po tych terenach Indianie Lenape. Glen mówił, że kopiąc ziemię, wciąż znajdowano groty strzał. Trzymałam więc stronę tych, którzy chcieli zachować wszystko w stanie pierwotnym.

Przyśpieszając kroku, bo ścieżka biegła prosto, znowu byłam zdecydowana szukać rozwiązania wielu zagadek; muszę o wszystkim się dowiedzieć, muszę odkryć wszelkie tajemnice. Poszłam w stronę gospody Gray Rocks, pragnąc przyjrzeć się jej z bliska.

Być może chciałam się przekonać, do jakiego stopnia namalowany przez Glynis obraz płonącej gospody zgadzał się z rzeczywistością. A może musiałam się upewnić, że za oknem nie było płomieni i żadnej rozpaczającej kobiety w bieli z uniesionymi do góry ramionami?

Gdy szłam wzdłuż krzywej linii brzegu, gdzieś za wzgórzem rozległ się ogłuszający huk. W lesie wystrzelono ze strzelby. Chociaż nie miało to ze mną nic wspólnego, odgłos strzału w tym pustkowiu zaniepokoił mnie i szybciej ruszyłam drogą wiodącą do gospody.

## 4

Wystrzał ze strzelby nie powtórzył się, ale we mnie zaczęło narastać dziwne uczucie. Miałam wrażenie, że jestem jakoś związana z gospodą.

Był to szeroki budynek o pochylonym ku wodzie dachu; na obu krańcach miał dwa masywne kominy. Parter był dość wysoki, a szerokie, trzyczęściowe okna rozmieszczono na całej frontowej ścianie, by siedzący przy stolikach goście mogli oglądać widoki jeziora. Na obrazie Glynis okno, za którym widoczna była kobieta na tle czerwonych płomieni, było jednak wąskim oknem małego pokoju.

Wodziłam wzrokiem po szybach i sekwojowej ścianie, aż znalazłam to, czego szukałam, małe okienko przesłonięte rozłożystym świerkiem. Wąska rama była teraz pusta i lśniła w popołudniowym słońcu. Mimo to, złe przecucia i dziwny niepokój nie opuszczały mnie. Zapragnęłam zobaczyć jak pokój wygląda od wewnątrz i wyrzucić właśnie z jego okien. I proszę, kto teraz był opętany? Zastanawiając się nad tym, z kwaśną miną ruszyłam, by zaspokoić to pragnienie.

Latem, na pochyłości ciągnącej się od gospody w dół, aż do jeziora, rosłaby piękna trawa. Teraz pokrywały ją brązowe, zeschnięte kępki szeleszczące pod nogami, gdy po nich szłam. Okrążyłam budynek, by dojść do podjazdu i parkingu, na którym wczoraj wieczorem, jadąc samochodem zatrzymaliśmy się z Glenem. Duże kamienne stopnie prowadziły do przestronnej werandy i szerokich sekwojowych drzwi. Stały otworem, ale zawahałam się, czy wejść do środka. Zdawało się, że dookoła nikogo nie ma.

Nikt nie krztał się po podwórzu, nikt też nie patrzył na mnie z okien. Weszłam po stopniach i zatrzymałam się tuż przed drzwiami gospody.

— Czy jest tu ktoś? — zawołałam. — Można wejść? Odpowiedzi nie było.

Wkroczyłam do wyłożonego sosnową boazerią rustykalnego przedpokoju. Po jednej stronie stało sosnowe biurko, po drugiej umieszczono małą garderobę. Na wprost drzwi wisiał widoczek jeziora latem, oglądanego z tego krańca — ładna, nie odznaczająca się jednak niczym szczególnym akwarelka. Brzegi jeziora pokrywała zieleń, jakiej jeszcze nie widziałam, natomiast wierzchołek skały był matowy i szary, taki jaki ujrzałam tego ranka. Ani ciepłe słoneczne światło, ani błękit wody czy też zieleń brzegów nie łagodziły wyglądu posepnego i groźnego szczytu. Już sam kontrast sprawiał, że obrazek był interesujący. W głębi akwarelki, siedziała w łódce przy wiosłach kobieta, a jakiś mężczyzna ze spokojem łowił ryby. Nie musiałam sprawdzać, że na malowidle będą inicjały Glynis Chandler.

Drzwi na lewo prowadziły do baru zajmującego tę część gospody. Drugie wiodły prosto do wyłożonej boazerią jadalni. Naturalne, złociste drewno promieniowało tu ciepłem. Wszędzie na ścianach również zawieszono obrazy. Najwidoczniej pani McIntyre zachęcała miejscowych artystów do wystawiania prac. Kilka było raczej udanych, ale nie zatrzymywałam się, by je dokładniej obejrzeć.

Przeszłam zygzakiem pomiędzy stolikami, rzucając okiem na ujęty w ramy każdego z okien widok jeziora w dole. Dostrzegłam obrotowe drzwi wiodące do kuchni, minęłam je. Wreszcie zobaczyłam drzwi, których

szukałam. Z jadalni prowadził wąski korytarz, na jego drugim końcu uchylały się drzwi małego biura. Był to pokój z obrazu Glynis.

Nikt mnie nie wołał ani nie zatrzymywał. Weszłam więc do pokoju i zatrzymałam, rozglądając się wokół. Na dębowym biurku panował wzorowy porządek, papiery leżały równo ułożone w przegródkach, a szuflady starannie zamknięto. W rogu stał wieszak. Wisiał na nim damski kostium z nylonu. Na widok białego ubrania wzdrygnęłam się. Zbliżyłam się do okna i spojrzałam na pochyły, brunatny trawnik. Słońce schowało się za chmury, które wzmagający się wiatr skłębił na niebie. Jeszcze nie wiedziałam jak szybko zmienia się tu pogoda, a nad jeziorem pojawia się mgła, zaczyna padać śnieg czy też deszcz ze śniegiem, obniżając temperaturę i przesłaniając widok.

Okno było zamknięte. Bez dotykania wiedziałam, że nie otworzy się łatwo, bo zamek pokryty lakierem lub nie używany, będzie stawiać opór. Podeszłam do okna, doskonale zdając sobie sprawę, że znalazłam się tu dlatego, iż namalowany przez Glynis Chandler obraz płonącej gospody w jakiś sposób całkowicie zawładnął moją wyobraźnią.

W pobliżu brzegu jeziora spostrzegłam ruch, i gdy dalej przyglądałam się, ukazał się jakiś mężczyzna i zatrzymał, by spojrzeć w górę, wprost w okno. Był to Trent McIntyre. Serce, bez żadnego uprzedzenia, zaczęło mi zdradziecko walić jak młotem. Doznałam okropnego wrażenia, że scena z obrazu wypełniła się, a ja znalazłam klucz do jego zrozumienia. Teraz wiedziałam, dlaczego obraz prześladował mnie od chwili gdy ujrzałam go pierwszy raz. To ja byłam tą kobietą w bieli! Nawet jeśli tego ranka miałam na sobie jasnozielony sweter i ciemnozielone spodnie. Ja, Dina Blake, Dina Chandler, byłam tą kobietą, która z podniesionymi ramionami stała wśród

plamieni, podczas gdy mężczyzna na dole, bezradnie przyglądał się tej potworności. Obraz nie przedstawiał czegoś, co się zdarzyło, był proroctwem.

Odwrociłam się, nieomal spodziewając się, że zobaczę wykwitające za mną groźne, czerwone języki ognia. Zamiast tego, znalazłam się naprzeciw kobiety o krótkich, puszystych ciemnozłoty włosach. Patrzyła na mnie z żywym zaciekawieniem, a w jej oczach był taki sam intensywny jasny błękit, jaki widziałam w oczach jej syna i wnuka.

— Dzień dobry — powiedziała ze śpiewnym irlandzkim akcentem w głosie. — Jesteś chyba panną młodą, którą Glen przywiózł do domu nad naszym jeziorem? Trent opowiadał, że poznał cię w Kalifornii, gdy pracował nad książką o twoim ojcu. Jestem Dora McIntyre, możesz jednak mówić mi Pandora, każdy tu, tak mnie nazywa. Witaj w Gray Rocks!

Podeszła z wyciągniętą dłonią, a ja powitałam ją z ulgą, wdzięczna za obudzenie ze złego snu.

— Wkroczyłam na prywatny teren — powiedziałam. — Wchodząc wołałam, ale nikt mi nie odpowiedział...

— Byłam w suterenie. Tam na dole, nic nie słyhać. Jeśli chcesz, bardzo proszę, rozejrzyj się.

Zdjęła krótki, szary płaszcz i powiesiła go na wieszaku obok białego kostiumu. Miała szarą spódnicę w kontrafałdy, a szeroki skórzany pas z błyszczącymi, mosiężnymi ozdobami ścisnął ją w talii. Nosiła też przeznaczone do chodzenia po dzikich ścieżkach brązowe sportowe buty z niewyprawionej skóry.



Pandora McIntyre bynajmniej nie mizerna i niepokojąco chuda, była średniego wzrostu i nieco zażywna. Jej postać zdawała się harmonizować z pogodnym i otwartym sposobem bycia.

Na dworze od strony wzgórz rozległ się ponownie huk wystrzału. Kobieta momentalnie odwróciła się.

— Znowu poluje! — krzyknęła. — Jak ja nienawidzę polowania!

Bacznie nadśluchiwałam, bo strzał powtórzył się.

— To chyba na ziemi Chandlerów. Przechodząc przez las zauważyłam, że teren jest oznakowany.

— To nie ma znaczenia, jeśli strzelał Keith.

Pandora McIntyre wzruszyła bezradnie ramionami.

— Colton pozwolił mu tam polować!

Ktoś przeszedł przez werandę, kroki zbliżały się do biura. Po chwili stanął w drzwiach Trent i spojrzał na mnie zamyślonym, przenikliwym wzrokiem.

— Dzień dobry, Dino. Coś nie w porządku?

— Nie w porządku? — potrząsnęłam głową. — Dlaczego sądzisz, że...

— Jeśli w ogóle kiedykolwiek, jakaś kobieta spojrzała na mnie z lękiem, to właśnie byłaś ty, gdy wyglądałaś przez okno — powiedział.

Czułam, że się rumienię próbując wyjaśnić.

— Cierpię z nadmiaru wyobraźni — powiedziałam. — Rano widziałam obraz namalowany przez Glynis...

Pandora rzuciła synowi spojrzenie, potem odwróciła wzrok spoglądając na mnie i kiwając głową.

— To był obraz płonącej gospody?

— A więc widziałaś go? Ten obraz prześladowuje mnie. Stojąc przy tamtym oknie odczuwałam lęk — rzekłam i pozwoliłam zamilknąć głosowi, dochodząc do wniosku, że nie potrafię tego wyjaśnić słowami. Trent nie uśmiechnął się.

— Malarstwo Glynis ma swoistą, magiczną moc. Sam nie mogę zapomnieć jednego z obrazów. Chociaż nigdy nie widziałem tego inspirowanego pożarem gospody, Keith opowiadał mi o nim. Malując go ostatniej zimy, pokazała mu. Ale gospoda nadal stoi cała.

Matka, zdawało się, uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

— Ona uprawia pewien rodzaj prymitywizmu, którego nie należy traktować poważnie.

— Większość prymitywistycznych obrazów jest naiwna — odparł Trent — ale w tym, co robi Glynis, nie ma cienia naiwności.

Odezwał się tak szorstko, że spojrzałam na niego zaskoczona. Jakie uczucia nurtowały go? Nie przypominał mężczyzny, którego poznałam w Kalifornii.

Jego matka szybko zmieniła temat.

— Trent, czy od śniadania widziałeś Keitha?

Potrząsnął przecząco głową.

— Przypuszczam, że poszedł polować. Po południu, od czasu do czasu słyszałem strzały.

Na krótką chwilę przypomniał mi się inny obraz namalowany przez Glynis Chandler. Ten, zawieszony w galerii Glena w Nowym Jorku, który przedstawiał chłopca stojącego na zamarznietym jeziorze i celującego w zwierzątko uciekające na brzeg. Przypomniałam sobie krąg leżących wokół

jego stóp, zabitych zwierząt. Trent mówił prawdę, w malowanych przez Glynis scenach nie było nic naiwnego.

Pandora podeszła do biurka, wysunęła szufladę i wyjęła kartkę papieru.

— Lepiej będzie, jeśli wezmę się do pracy — powiedziała. — W przyszłym tygodniu otwieram gospodę na prywatne przyjęcia i muszę wszystko przygotować. Trent, jeśli chcesz mi pomóc...

Szkoda, że nie mogłam zaoferować także mojej pomocy. Uważałam, że nie wolno mi lekceważyć słów Glena o McIntyre'ach i wrogim obozie. Na pewno nie zaakceptowałyby żadnych przejawów przyjaźni do nich dwojga. Poza tym lepiej, żebym widywała Trenta jak najrzadziej. Spostrzegłam, jak bardzo się zmienił, ale nie dbałam o to. Polubiłam jednak Pandorę. Przyjemnie byłoby mieć przyjaciółkę spoza domu Chandlerów.

Trent odsunął się od drzwi, by przepuścić mnie. Nim jednak wyszłam z biura, usłyszeliśmy tupot stóp. Przez ogromną jadalnię biegł Keith, niezgrabnie rozpychając krzesła. Wpadł prosto na nas. W rękach wciąż trzymał strzelbę, ale zanim zatrzymał się, ostrożnie oparł ją za drzwiami biura. Jego nie ukrywanemu podnieceniu towarzyszyła odrobina buńczuczności. Mocne, brązowe włosy stercząc nad czołem tworzyły rozczochraną czuprynę, a pod brwiami, tak samo wyrazistymi jak u ojca, iskrzyły się błękitne, irlandzkie oczy.

— Wracają! — krzyknął. — Oboje wracają, Colton i Glynis! Stałem na wzgórzu nad drogą, widziałem jak jej wóz skręcił w stronę High Towers.

Trent i jego matka zamienili szybkie spojrzenia. Potem mężczyzna położył dłoń na ramieniu syna.

— Jeśli Glynis wraca do domu, nie jest to jeszcze ani początek, ani koniec świata, prawda?

Keith wstrząsnął ramieniem, uwalniając się od ręki ojca.

— Dla mnie wszystko się zaczyna, kiedy ona wraca do domu! Jak jej nie ma, jest beznadzieja i nuda.

Odwrócił się, ale Trent szybko do niego podszedł. Spozrzegłam na jego twarzy troskę.

— Lepiej Keith, jeśli zaczekasz. Nie będzie chciała, tak od razu, wziąć cię pod pantofel.

Młodzieńcza buntowniczość i oburzenie z powodu ojcowskiego pouczenia odbiły się na twarzy chłopca.

— Chcesz trzymać mnie z dala od niej. Zawsze chciałeś tego. Ale nie muszę już więcej robić tego, co mi każesz. Jestem dość dorosły, żeby za siebie myśleć. Ona w ostatnim liście napisała, że chce się zobaczyć ze mną. Napisała, że jestem jednym z pierwszych, których chciałyby zobaczyć po powrocie do domu. Mam pójść na Boże Narodzenie do High Towers. Spróbuj wtedy nie pozwolić spotkać mi się z nią!

Zuchwale pochwycił strzelbę. Było coś niepokojącego w sposobie, w jaki ją trzymał, nieomal jakby mógł użyć jej przeciwko ojcu.

Trent stał spokojnie naprzeciw syna. Nie poruszył się ani też nie cofał. Mimo to miałam wrażenie, że gdyby chłopiec zrobił choćby najmniejszy groźny ruch, mężczyzna byłby szybszy.

Pandora weszła pomiędzy nich.

— Pozwól mu odejść, Trent. To prawda, że nie potrafisz go powstrzymać.

Chłopiec ze strzelbą w dłoni już odszedł. Zbliżyłam się do okna i zobaczyłam, jak biegnąc długimi susami okrążył róg gospody i przemierzał trawnik. Uświadomiłam sobie, co dla mnie oznacza przyniesiona wiadomość. Glynis wróciła, a wraz z nią Colton, a to oznaczało, że wyjechali, zanim zdążył dotrzeć telegram Glena. Jeśli taka była prawda, to żadne z nich nie wiedziało o naszym ślubie. Zastanowiłam się, czy nie odszukać Glena i nie ostrzec go? Nie namyślając się, wyciągnęłam rękę w kierunku okna i uchyliłam je z łatwością. Nie było więc ani zamknięte, ani nie zacinało się. Jednak teraz, zawarta w obrazie przepowiednia nie obchodziła mnie. Oparłam dłonie o parapet i zawołałam do oddalającego się chłopca.

— Keith! Zaczekaj na mnie! Muszę odnaleźć Glena. Czy możesz mi pomóc odszukać go w lesie?

Odwrócił się, by spojrzeć do góry, niecierpliwy i nieskory do okazania łaskawości.

— Zgoda, zaczekam. Ale pośpiesz się.

Spojrzałam przeproszająco na nich dwoje.

— Muszę poszukać Glena i uprzedzić go. Dopiero co wysłał do ojca i siostry telegramy o naszym ślubie. Może więc on okazać się dla nich niespodzianką...

Ani Trent, ani jego matka nie odezwali się słowem. Spostrzegłam, że Pandora obserwuje mnie prawie z litością. Spojrzenie Trenta było bardziej obce i odsyłało mnie z powrotem do wrogiego obozu. Jednak gdy szłam przez jadalnię, towarzyszył mi, a na werandzie zatrzymał na chwilę.

— Wprawdzie już nigdy nie poznam cię lepiej — powiedział — ale wiem, że nie jesteś po stronie Chandlerów. Jeśli więc coś ci się przytrafi, coś zasmuci, przyjdź do mojej matki. Będiesz tu miała przyjaciółkę.

Niełatwo przyszło mi przyjąć takie zaproszenie. Znałam granice lojalności.

— Muszę uprzedzić męża — powiedziałam, schodząc po stopniach werandy.

Nieproszony szedł ze mną. Cichy i pogrążony w myślach nie skomentował moich słów. Poczulałam zakłopotanie, zastanawiając się nad sensem jego zawołanego ostrzeżenia. Razem obeszlśmy gospodę.

— Pobiegnę, bo Keith nie będzie czekał — powiedziałam.

Zatrzymałam się i wyciągnęłam dłoń.

— Dziękuję ci, Trent. Wszystko ułoży się dobrze, zobaczysz! Oczywiście genialna rodzina to dla mnie coś nowego, ale poradzę sobie. Zawsze daję sobie radę.

Uścisk jego dłoni wydawał się niedelikatny i pośpieszny.

— Może będzie lepiej, jeśli dowiesz się, o ile nikt inny nie powiedział ci już tego. Matka miała rację. Nie mogę zabronić Keithowi widywać się z Glynis, skoro on tego pragnie. Jest jej synem, ma do tego prawo. Colton oczywiście jest jego dziadkiem.

Wiadomość ta zaskoczyła mnie. Glen nigdy nawet nie napomknął o tym, że jego siostra była kiedykolwiek mężatką, i że to Trent był...

— Wobec tego... Wobec tego, ty... — spostrzegłam, że oszołomiona jąkam się.

— Nie! — zaprzeczył ostro, zanim przemówił.

— Nie jestem jej mężem od czasu kiedy Keith skończył osiem lat. Glynis odeszła ode mnie z własnej woli. Pozostawiła go mnie. Po rozwodzie zrezygnowała z mojego nazwiska i, podobnie jak ja, poszła swoją własną drogą.

Szliśmy po brunatnym trawniku w stronę jeziora, gdzie opodal brzegu czekał Keith.

— Lepiej będzie, jeśli się wszystkiego dowiesz, ponieważ jesteś teraz członkiem rodziny Chandlerów — wyjaśnił z niechęcią. — Pandora wychowała Keitha i do niedawna nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów. Glynis poświęcała mu niewiele uwagi. Teraz jednak, gdy jest nastolatkiem, chciałaby, żeby należał do grona oddanych jej osób. Niełatwo to strawić.

— Przykro mi — opanowałam się już. — Stokrotnie przepraszam.

Słowa były bezradne, ale wydawało się, że zaakceptował ich intencję. Surowy wygląd jego ust, nieco złagodniał.

— Nie chciałem martwić cię przeszłością, ale znam Glynis. Ona nie zaakceptuje ciebie jako żony Glena. Ona jest nieodpowiedzialna. Sama ustanawia własne reguły gry.

— Nie boję się — powiedziałam, dodając sobie otuchy.

Potrząsnął głową niemal z desperacją, jakby uważał mnie za beznadziejnie głupią. Zbiegłam po stoku, gdzie niecierpliwie czekał chłopiec. Zanim dotarłam do niego, Keith już ruszył ścieżką, tak że musiałam biec. Posuwaliśmy się więc gęsiego.

Mimo przejawionej w rozmowie z Trentem pewności siebie, byłam wstrząśnięta, nie mogłam myśleć jasno. Dawniej, będąc młodą dziewczyną, zazdrościłam Glynis jako żonie Trenta, choć nigdy przedtem nie widziałam jej. Teraz występowała w roli bliźniaczki mojego męża, kobiety, z którą

chciałam się zaprzyjaźnić. Czułam się oszołomiona i zaniepokojona. Jednakże, oprócz wywołanego wiadomością przyniesioną przez Keitha, zmieszania, zaczęła nurtować mnie pewna myśl. Nic nie powinno oderwać Glena od rozpoczętej tego ranka pracy. Z jakiegoś powodu zdawał się obawiać tego, jak Glynis odniesie się do niej. Wspomniał, że wystarczy mu czasu, by osiągnąć znaczne postępy, nim siostra przyjedzie do domu na Boże Narodzenie. Teraz ten czas był utracony. Ale nie wolno pozwolić jej zepsuć tego, co zamierzał zrobić — jeśli właśnie tego obawiał się z jej strony. Nie może zniechęcić go czy lekceważyć jego pracy. Potrafię jakoś wspierać męża z siłą i z wiarą, że nic, co siostra mogłaby zrobić lub powiedzieć, nie osłabi płomienia jego natchnienia.

Wraz z zachodem słońca brunatny, nagi stok owiał wiatr. Zadrżałam w cienkim swetrze. Próbując rozgrzać się, przyśpieszyłam nieostrożnie i potknęłam się o podobny do węża korzeń. Zawołałam do chłopca, który biegł przodem.

— Nie jestem przyzwyczajona do lasu. Idziesz dla mnie za szybko!

Zatrzymał się w swoim parciu na oślep pod górę i odwracając głowę, spojrzął. Zahaczyłam włosami o gałąź, która zerwała mi spinkę z włosów, przekrzywiła aksamitną wstążkę i szarpnęła, zmuszając do zatrzymania. Chłopiec oparł strzelbę o drzewo i podszedł, by uwolnić mnie od gałęzi; jego palce były niespodziewanie delikatne i zręczne. W lesie miał ruchy mniej niezgrabne niż w domu.

Szliśmy teraz razem na ile pozwalała ścieżka. Odzyskałam oddech.

— Czy zdajesz sobie sprawę z pewnego faktu? — zapytałam. — Każde z nas zyskało właśnie nowego krewnego. Zdaje się, że jestem twoją



ciotką, a ty moim siostrzeńcem. Wcześniej nigdy nie miałam siostrzeńca. To raczej interesujące.

Po raz pierwszy uśmiech rozjaśnił jego ciemną, młodzieńczą twarz.

— Nie masz dostatecznie dużo lat, żeby być moją ciotką.

— Ciotki mogą być w różnym wieku, ja w każdym razie jestem antykiem — powiedziałam. — Mam dwadzieścia cztery lata.

Wprawdzie uznał ten wiek za bezspornie sędziwy, ale między nami wytworzył się bardziej swobodny nastrój.

— Wiem dokąd Glen lubi chodzić — zaofiarował się Keith z informacją, gdy podążaliśmy ścieżką wzdłuż brzegu.

— Czy widzisz tam z przodu wierzchołek wznoszącej się nad brzegiem jeziora skały? Tam na górze, koło szczytu jest miejsce, które czasami odwiedza, kiedy chce być sam. Jeśli chcesz, pokażę ci prowadzącą do góry drogę, a potem przetnę las i wrócę do domu.

Byłam wdzięczna za pomoc, ale gdy ścieżka zwęziła się, znowu zostałam w tyle. Szedł teraz wolniej, a nawet zatrzymał się raz czy dwa, żeby odgiąć do tyłu gałąź, która by mnie uderzyła. Tu, w lesie chłopiec znowu wydawał się łagodniejszy i grzeczniejszy niż w gospodarze. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie aż do chwili, gdy nagle zatrzymał się przede mną na ścieżce i przyłożył strzelbę do ramienia. Instynktownie również zatrzymałam się, tak samo cicho jak on. Z karłowatych, brązowych zarośli w pobliżu brzegu wystawały sterczące uszy, uszy królika. Chłopiec celując powiódł strzelbą.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie!

Królik czmychnął, unikając niebezpieczeństwa i znikając za krzaczastym cedrem, a chłopiec opuścił strzelbę i ze złością rozejrzał się wokoło.

— Czego ryczysz?

— Królik! — krzyknęłam oburzona do głębi. — Dlaczego chciałeś zabić królika?

Parsknął oburzony.

— Jesteś, jak to nazywa Glynis, chodzącym cierpieniem! Powinnaś zobaczyć ją ze strzelbą! Ona nie jest bojaźliwa i głupia.

— Proszę, powiedz mi, dlaczego?! — upierałam się. — Nie zniosłabym zabicia jakiegokolwiek dzikiego zwierzęcia! Leśne zwierzęta mają tu większe prawo do życia niż my. Dlaczego chciałeś go zabić?

Poważnie zastanowił się nad moim pytaniem.

— Moja babka przyrządza pyszną potrawkę z królika. Ona wprawdzie też mówi, że nie znosi polowania, ale jednocześnie jada mięso. Poza tym farmerzy nie cierpią królików. One wszystko zżerają. Podobnie jak świstaki. Zabijam każdego świstaka, którego zobaczę. Lisy też. Tu jest ich mnóstwo. Farmerzy chcą, żeby je zabijać. Akurat w ubiegłym tygodniu upolowałem jednego tu, w tym lesie.

Byłam daleka w tym momencie od sympatii do farmerów.

— Żadne żywe stworzenie nie powinno być zabijane w ten sposób. A zwłaszcza coś tak pięknego i dzikiego jak lis. Dlaczego, powiedz mi prawdę, dlaczego zabijasz?

Patrzył zaskoczony moją gwałtownością i rzeczywiście zakłopotany. Niewątpliwie uważał mnie za głupią dziewczynę z miasta, która narusza panujący na wsi ład. Oprócz tego coś jeszcze go nurtowało, coś co chciałam

zrozumieć. Nie mogłam zapomnieć obrazu chłopca namalowanego przez Glynis. Jej syna zabijającego bezbronne zwierzątko, podczas gdy ciała innych martwych zwierząt leżały wokół jego stóp.

— Tylko nie przepraszaaj mnie — dodałam. — Powiedz mi prawdę!

Wsadził strzelbę pod pachę, wylotem lufy w dół i rozważał moje słowa.

— Perfekcja w strzelaniu? — Moje słowa były pytaniem, czekałam na odpowiedź.

— Myślę, że to jeden z powodów. Strzelam dobrze i lubię to udowadniać. Zwłaszcza jeśli coś jest w ruchu i mogę być szybszy.

— W jednej chwili coś żyje, a w następnej, przez ciebie, jest już martwe. Życie w lesie umiera, a ty udowadniasz jakim jesteś wspaniałym strzelcem. Dlaczego nie strzelasz do tarczy?

Był poważny i zamyślony, a gdy spojrzałam, zauważyłam, że mięśnie pod krzywizną szczęki miał napięte. Wpatrywał się prosto we mnie.

— Może to jedyny znany mi sposób, żeby udawać Boga — rzekł. — Każdy może mną poniewierać, ale nie zwierzęta w lesie. Mogę decydować o ich życiu i śmierci. Glynis zrozumiała to. Ona też potrafi udawać Boga, choć robi to inaczej.

— Nikt z nas nie jest Bogiem — odpowiedziałam. Ale on był przecież synem Glynis. Odwróciłam się oburzona. — Jeśli pokażesz mi, gdzie trzeba szukać Glena, pójdę dalej sama. Nie będziesz miał w pobliżu nikogo, kto przeszkodzi ci w polowaniu.

Uśmiechnął się szeroko, a jego oczy otwarte drwiły.

— Okay. Pokażę ci. Jeśli zawołasz Glena, może zejdzie i pomoże ci. Jeśli tam jest, już nas usłyszał, ale nie może zobaczyć, ponieważ zasłaniają świerki.

Z miejsca, gdzie staliśmy, rzeczywiście nie mogłam dostrzec skalistych szczytów, chociaż masywna podstawa szarej skały wznosiła się tuż przed nami, piętrząc się nad brzegiem jeziora.

— Musisz obejść ten skalisty blok na dole — powiedział chłopiec. — Nie jest ślisko, poradysz sobie. Po drugiej stronie jest ścieżka, która wije się w górę przez las. W połowie drogi do góry skała rozdwa się. Po przeciwnej stronie znajdziesz miejsce, z którego przedostaniesz się do pewnego rodzaju siodła pomiędzy dwoma turniami. Dalej są wręby skalne, jeśli chcesz, możesz wspiąć się po nich aż na sam szczyt. Ale, jeśli on jest tam na górze, nie robiłbym tego.

Przez chwilę sceptycznie rozważałam tę możliwość, potem zwinęłam w trąbkę dłonie wokół ust i odchyliłam głowę wykrzykując imię Glena. Echo spadło na jezioro głośno odkrzykując mi, ale żaden ludzki głos nie odpowiedział.

— Nie ma go na górze — powiedziałam do Keitha.

— Może być — odpowiedział. — Kiedy ukrywa się na górze, często nie odpowiada. Taki właśnie jest. Będziesz musiała się wspiąć i sprawdzić.

Chłopiec pragnął tylko uciec ode mnie, przedostać się do domu i spotkać z matką. Zaczęłam więc iść w kierunku miejsca, gdzie kończyła się ścieżka i nad jeziorem piętrzyła się wilgotna skała, w miarę wznoszenia ku ostrym wierzchołkom zmieniająca barwę z brunatnej na szarą.

— Jeszcze jedno... — powiedział Keith.

Odwrociłam się i spostrzegłam ostry błysk błękitnych oczu. Wydawało się, że teraz nie ma w nim ani krzty młodości. Czy Glynis wyrządziła temu chłopcu krzywdę? A może ponosi odpowiedzialność ojciec? Pozwolił przecież synowi wzrastać w dziczy.

— Jeszcze jedno — powtórzył. — Jak dojdiesz do skały, obejdź jej podstawę jak najszybciej. Nie zwalniasz u podnóża.

— Dlaczego? — spytałam.

— Ponieważ na szczycie jest dużo luźno leżących odłamków skalnych. Dużych kamieni. Gdyby ktoś chciał, mógłby jeden zepchnąć prosto na twoją głowę, stracić cię do wody, a może nawet zabić. Nie ma tam świerków, które mogłyby cię osłonić. Obejdź więc skałę szybko.

Zamieniłam z nim spojrzenie, zdumiona i zmieszana.

— Jeśli jest na górze mój mąż, nie zrzuci mi odłamków skalnych na głowę.

Chłopiec zbliżył się o krok.

— Nawet jeśli na szczycie nie ma nikogo obejdź skałę szybko. Widziałem, jak odłamki same spadały. Bądź więc rozsądna i pośpiesz się.

— Jak królik? — powiedziałam. — Właśnie to zrobisz, prawda? Wycelujesz we mnie, jakbym była królikiem, żeby mnie przestraszyć.

Jego uśmiech, od ucha do ucha, był jawnie bezczelny.

— Być może. Ale jeśli chcesz wiedzieć, powiem ci, że ta część jeziora nie jest dobrym miejscem. Moja babka, Elżbieta zginęła właśnie koło tych skał. Nie znałem jej, bo umarła, gdy moja matka miała zaledwie pięć lat. Tu właśnie jest miejsce, gdzie to się stało.

Zaciekawiona, znowu skupiłam uwagę. Była to jedna ze spraw, o których chciałam wiedzieć.

— Jak to się stało? Spadły na nią z góry kamienie?

— Nie — potrząsnął głową. — To wydarzyło się zimą, kiedy jezioro było zamrożone. Z tym, że lód nie był wszędzie dość twardy, ponieważ w tej części jeziora są źródła. Elżbieta i Glynis jeździły na łyżwach, pod jej matką lód załamał się i utonęła. Ciotka Nomi opowiedziała mi. Glynis nie będzie o tym mówiła. Pewnie po wypadku każdy ją oskarżał.

Historia była wprawdzie wstrząsająca, ale opowiedział mi ją tak, jakby delectował się tragedią, i to było jeszcze bardziej szokujące.

— Dlaczego ktoś miałby oskarżać dziecko? — zapytałam.

— Ludzie muszą kogoś oskarżyć, prawda?

Było to dziwne pytanie. Nie chciałam go więcej słuchać. Odwróciłam się i poszłam szybko w stronę szerokiego podnóża turni wznoszących się pochyło nad jeziorem. Dzięki gumowym podeszwom butów łatwo wchodziłam na strome zbocze skały. Opierając się ręką o chropowatą powierzchnię i wspinając ostrożnie, bez pośpiechu obeszałam podnóże. Żaden odłamek skalny z hukiem nie spadł na mnie. Kiedy bez szwanku, byłam już daleko, obejrzałam się. Keith stał tam, gdzie go zostawiłam, obserwując mnie. Pomachałam ręką, a on odpowiedział machając dłonią i szeroko się śmiejąc. Przynajmniej uznał, że nie jestem królikiem. Potem poszedł własną drogą, pod górę pomiędzy świerkami i cedrami, podążając szybko w stronę domu na spotkanie z matką.

Ziemia pod moimi stopami była nierówna, pokryta suchą, zimową darnią. Bliźniacze turnie wznosiły się w niebo rzucając w poprzek drogi poszarpane cienie. Wyciągnęłam szyję szukając oczami najwyższej skały, ale nie dostrzegłam niczego, żadnej kryjówki, żadnej spoglądającej na mnie z góry twarzy. Wznosząca się w górę nieregularna skała miała tu i ówdzie

wąskie występy, w których nagromadziła się ziemia porośnięta trawą i krzakami. W miejscu w połowie drogi na szczyt, malutki świerk przyczepił się niepewnie, wrastając w wypełnioną ziemią szczelinę.

Gdyby Glen rzeczywiście tu był i umyślnie nie chciał mi odpowiedzieć, nie poniżyłabym się, wołając go ponownie. Wspinając się po stromym zboczu, podążałam ścieżką wijącą się pod klonami, dębami i drzewami orzecha, która w części biegła do góry po brunatnym stoku, by potem, opasując najbliższą turnię, dojść do miejsca, w którym wzgórze stykało się ze skałą.

Zobaczyłam teraz, co Keith miał na myśli. U podnóża, turnie stanowiły wprawdzie jedną całość, ale w połowie wysokości rozdwajały się, tworząc wypełnione ziemią siodło, które łączyło je, i dostępne było tylko od drugiej strony. Miejsce, gdzie stałam, znajdowało się nieco powyżej tego siodła. Musiałabym zejść niżej, żeby znaleźć się pomiędzy bliźniaczymi turniami. Przez moment, wyobrażając sobie podejście, zawahałam się. Pragnęłam, żeby Glen, jeśli jest na górze, zszedł po mnie.

Ponieważ zachowywałam ciszę, usłyszałam, jak ktoś nadchodzi stokiem od strony domu, pewnie krocząc przez suche zarośla. Pobudziło to moją czujność. Może Keith w końcu zdecydował się obejrzeć mnie na skale? A może zbliżał się Glen? Karłowaty świerk przesłaniał tamtą część stoku, czekałam więc, by ktokolwiek to był, ukazał się.

Wyszła zza ostatniego drzewa. Ujrzałam dziewczynę zbliżającą się do wierzchołka skały. Instynktownie schowałam się za pień dębu, serce stanęło mi w gardle. Bez względu na to, czy chciałam tego, czy byłam przygotowana, nadszedł czas konfrontacji.

Glynis Chandler rzeczywiście przyjechała do High Towers i to właśnie ona szła dużymi krokami po stoku w moim kierunku.

RS



## 5

Rozpoznałabym w niej siostrę Glena wszędzie. Colton dzięki geniuszowi swego talentu w portrecie bliźniąt, namalowanym kiedy mieli po siedemnaście lat, uchwycił zasadnicze rysy jej charakteru. Teraz była piękniejsza, bardziej dojrzała i arogancka. Było coś władczego, a nawet zuchwałego w jej sposobie noszenia głowy, w uniesionym ku górze podbródku. To była kobieta, która dobrze wiedziała czego chce i z tupetem dążyła do celu, jaki by nie był.

Okrywające głowę Glynis krótkie włosy były gładkie, czerwieńsze od kasztanowych, może w nieco jaśniejszym odcieniu niż włosy Glena. Oczy ciemne, jak jego, wydawały się nawet większe, bo uwydatnił je najmodniejszy makijaż. Usta, pomalowane na ciemnoróżowy kolor, spragnione uśmiechały się, jakby wyprzedzając spotkanie z bratem. Wokół szyi owinęła długi, robiony na drutach szal w jasnożółtym kolorze. Ciemnobrązowy, zamszowy pas luźno i swobodnie otaczał płaszcz z wielbłądziej wełny. Brązowe buty ze skóry sięgały jej prawie do kolan, szła w nich lekko, od urodzenia przyzwyczajona do dzikiego stoku.

Nie dostrzegła mnie, byłam wdzięczna losowi za to krótkie odroczenie. Miałam przynajmniej tę przewagę, że mogłam ją obserwować nie zauważona i przygotować się do pojedynku, którego nie byłam w stanie odwlec i naprawdę nie chciałam dłużej odkładać. Niespodziewany widok Glynis Chandler sprawił, że zaczęło dziać się ze mną coś dziwnego. Słyszałam o niej wiele, ale mimo to nie dość dużo, i na przemian, raz nie miałam odwagi, a raz gorąco pragnęłam polubić ją. Nagle wszystko zniknęło

napełniając mnie nową siłą. Zobaczyłam ją. Była prawdziwą kobietą, a nie jakąś młodą wiedźmą, jak podpowiadała mi wyobraźnia. Była z krwi i kości i wcale nie bałam się jej. Jeżeli zechce mieć we mnie przyjaciółkę, zostanie nią. Jeśli nie, nie zabraknie mi odwagi do walki z nią, jeżeli przez wzgląd na Glena okaże się to konieczne. Coś z nową siłą popychało mnie ku konfrontacji.

Mimo to, jeszcze przez chwilę czekałam. Przez moment jej uwaga była skupiona na bliźniaczych wierzchołkach skały. Poruszała się ze zwinnością pantery. Głowę odchyliła do tyłu, tak by jej oczy mogły widzieć w górze zarys skał na tle szarego, pochmurnego nieba. Nie okryta głowa lśniła odcinając się od szarości. Gwałtowny podmuch wiatru wiejącego nad jeziorem i stokiem, pochwycił brzeg żółtego szala i zarzucił jej na ramię. Wyciągnęła ręce w kierunku wiatru, jakby delektując się jego dotykiem i zawołała brata.

— Glen? Glen! Jesteś tam? Wróciłam do domu! Zejdź i przywitaj się ze mną!

Spostrzegłam jakiś ruch pod szczytem turni bliższej jeziora. Z kryjówki wyłonił się Glen. Gdy zatrzymał się, zobaczyłam go wyraźnie, ale on, jeśli nawet zdawał sobie sprawę z mojej obecności na stoku, nie spojrzał w moją stronę. Cała jego uwaga była skierowana ku czekającej na przełęczy dziewczynie. Zszedł po skale tyłem jak po drabinie, poruszając się szybko i zwinnie. Wkrótce stanął przy niej. Obserwowałam wylewne przywitanie bliźniąt. Widziałam jak zarzucili sobie ramiona na szyje i objęli się w gorącym uścisku. Potem Glen odsunął siostrę na długość ramienia, przyglądając się jej uważnie i witając z uśmiechem. Jeżeli przedtem żywił co do jej powrotu jakieś wątpliwości, teraz one zniknęły. Obserwując ich

wiedziała, że ci dwoje stanowią jedno, w przeszłości i zawsze w przyszłości.

Zaledwie przed chwilą byłam przekonana, że muszę wspierać męża i chronić przed wpływem siostry na jego pracę. Teraz poczułam się obco. Gdzie było moje miejsce wobec tak uderzająco bliskich związków krwi?

— Colton razem ze mną wrócił do domu — ciągnęła Glynis. — Zostawiłam go w domu, żeby Nomi zajęła się nim, a sama poszłam poszukać ciebie. Kiedy mi powiedziała, że jesteś poza domem, w lesie, wiedziałam, że będziesz tutaj.

— Zawsze wiedziałaś gdzie jestem — odparł Glen. Jej głowa pochyliła się ku niemu.

— Tak, ale później coś się popsuło. Właśnie dlatego przyjechałam do domu z Coltonem. Urwała się nić między nami. Myślałeś, że tego nie czuję? Co się stało, Glen?

Nadeszła chwila, żeby przyłączyć się do powitania. Nie mogłam dłużej stać ukryta za dębem, czekając, aż któreś z nich podniesie głowę i zobaczy mnie. Schodziłam stokiem. Pod stopami trzasnęła mi gałązka i potoczył się w dół kamień. Brat i siostra jednocześnie się odwrócili, jakby stanowili jedną całość. Glen był tylko nieco wyższy. Stał trzymając rękę na ramieniu siostry, która obejmowała go w pasie. Obserwowali moje zbliżanie się do przełęczy. Znowu z całą wyrazistością uświadomiłam sobie, co to znaczy być obcym przybyszem. Nie byłabym Glenowi tak obca, gdyby Glynis, zamiast być jego siostrą, była moją rywalką. Schodząc do miejsca, w którym stali, odczułam w całej pełni, co nawzajem dla siebie znaczyli. Było to coś, czego ja nie znałam i nawet nie podejrzewałam. Mimo to nie wahałam się.

Wciąż czułam przyływ odwagi i, gdy zesłam, by przyłączyć się do nich, uśmiechałam się do obojga.

Glynis zachowała się wyzywająco. Podeszłam dość blisko, żeby spostrzec, jak w jej oczach błyskawicznie pojawia się wrogość.

— Kto to? — zapytała brata. Glen spojrział zaskoczony.

— Więc nie otrzymałaś telegramu? Ani ty, ani Colton?

Odsunęła się od niego.

— Jakiego telegramu?

— Podejdz, Dino, do mnie — zawołał. — Chcę cię przedstawić mojej siostrze. Glynis, to moja żona — Dina.

Nigdy nie wątpiłam, że przyzna się do mnie z dumą. Był moją miłością. Jednak byłam zaskoczona, widząc w jego oczach taki sam błysk, jak w jej. Jasne, tym razem on rzucił rękawiczkę.

Glynis przez chwilę tylko zawahała się, nim podeszła do krawędzi przełęcz, by wyciągnąć ku mnie dłoń. Z ochotą podałam jej własną rękę, a ona wciągnęła mnie na skalny występ, tak iż stałam pomiędzy nimi na pokrytej chwastami ziemi.

— W końcu zrobiłeś to, Glen — powiedziała łagodnie. Spostrzegłam, że jej głos stał się matowy. — Nigdy nie wierzyłam, że naprawdę to zrobisz.

— Halo, Dino Chandler!

Jej oczy były jednak zimne jak lód.

Glen poczuł się swobodniej. W końcu, mimo pierwszego, wrogiego spojrzenia Glynis, nie zanosilo się na bitwę. Poszliśmy razem w stronę domu, Glen jedną ręką obejmował Glynis, drugą mnie.

Od czasu do czasu lekko przyciskał rękę do mojego boku. Ten czuły dotyk uspokajał mnie, był obietnicą jego pomocy i ochrony w potrzebie.

Nadal dodawałam sobie otuchy, a moja wojowniczość pozostała nie wykorzystana. Zastanawiałam się, czy tak samo nie postępował z nią, obiecując swoją przychylność, tak by każda z nas uspokoiła się, a jego stosunki z jedną i drugą nie uległy zakłóceniu. Był to dziwny trójkąt.

Od czasu pojawienia się Glynis, nie pomyślałam o Keithcie, ale gdy ścieżka zakręciła i przed nami ukazał się dom, zobaczyliśmy czekającego chłopca. Z pewnością nie zastał już Glynis, skoro w tym samym czasie gdy zbliżał do High Towers, ona szła stokiem do Gray Rocks. Teraz, swobodnie oparty o brązowy pień orzechowego drzewa, trzymał w ręku strzelbę, której kolba opierała się o ziemię obok niego. Kiedy ukazaliśmy się, patrzył czujnym wzrokiem nieposkromionego i gotowego do walki, leśnego zwierzęcia: skupiony, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Ani na moment nie odrywał oczu od twarzy Glynis.

Podeszła do chłopca, zatrzymując się kilka stóp przed nim. Nie wiem, jak długo nie widziała go, ale nie wyrzekła ani słowa na powitanie.

— Namaluję cię w tej pozie! — wykrzyknęła. — Tym razem namaluję portret. Nazwę go „Chłopiec w lesie”. Keith, będziesz mi pozować?

Niepewnie odpowiedział na jej spojrzenie, ani nie uśmiechając się, ani nie poruszając, jakby była kimś, kogo nie chciał oceniać zbyt wcześnie. Zaśmiała się z tej przezorności, rozpostarła szeroko ramiona i pobiegła do niego. Szybko położył strzelbę na ziemi i czekał, nie wykonując w odpowiedzi żadnego innego gestu. Objęła syna ramionami. Spostrzegłam, że jest tak samo wysoki jak ona; chudy jak tyczka chłopiec, którego głowa znajdowała się na wysokości jej głowy. Zarumienił się, niemal bojaźliwie objął ją ramieniem i pozwolił ucałować swój policzek.

Glen porozumiewawczo trącił mnie.

— Pokazuje, że też ma kogoś... Spojrzałam na niego z przestraczem.

— Mam nadzieję, że chłopiec znaczy dla niej więcej niż tylko tyle — wyszeptałam.

Glynis, ciągnąc za sobą chłopca, odwróciła do nas twarz.

— Co sądzicie o tym moim wspaniałym synu? Przez ten czas, kiedy nie było mnie w domu, podrósł na pewno kilka stóp. Będzie modelem do znakomitego obrazu o tematyce leśnej, prawda, Glen? Keith, zaczniemy pracę od razu jutro! Będę czekała na ciebie od dziewiątej rano. Koniecznie przynieś ze sobą strzelbę. Ona jest częścią obrazu. I ubierz się tak samo jak teraz. Tylko nie wyelegantuj się słyszysz?

Oczy chłopca mówiły, że uczyni wszystko, cokolwiek ona zechce, ale nie odezwał się, ponieważ pochylony poprawiał strzelbę. Byłby uciekł stokiem w dół, gdyby Glynis nie trzymała go za ramię ciągnąc go z nami, gdy z podjazdu skręcaliśmy ku drzwiom wejściowym domu. Jak tylko doszliśmy do schodów, energicznie wyrwał się z uścisku.

— Przyjdę tu jutro rano, nie wejść do środka — powiedział i rzucił się do ucieczki, biegnąc z energią, jakiej nigdy przedtem nie przejawiał, i wyrażając tym biegiem swoją wielką radość.

Glynis zaśmiała się, obserwując jak w podskokach zbiegał ze stoku. Potem odwróciła się do Glena i do mnie.

— Chodźmy do środka i przedstawmy Coltonowi pannę młodą — powiedziała lekceważąco. — Wiem, że będzie zaciekawiony!

Drwiąco uniosła brwi, ale Glen uśmiechnął się do mnie.

— Tak, będzie zaciekawiony. Chodź Dino. Chcę, żeby Colton cię zobaczył.

Powiedział „żeby cię zobaczył”, a nie „poznał”. Ależ ja nie chciałam być przedmiotem na pokaz, po prostu zdobyczą, którą się pokazuje! Zachowywałam się więc trochę sztywno, gdy wchodziliśmy razem po schodach do domu. Nie odwołałam też całkowicie gotowości bojowej.

Ojciec bliźniąt był z Nomi w salonie. W kominku płonął jasny ogień, choć okna były otwarte. Kiedy weszliśmy, Nomi podawała mu szkocką z wodą. Wziął szklanekę i podniósł się ze stojącej w pobliżu kominka purpurowej, aksamitnej sofy. Otwarcie wpatrywał się we mnie oczami o niemal takim samym srebrzystym blasku, jak jego włosy. Były to dziwne, badawcze oczy, które widziały we mnie to wszystko, co tylko portrecista mógłby dostrzec: zarys kości, cerę, fakturę skóry, płaszczyzny na mojej twarzy. Był wysokim mężczyzną, wyższym od Glena. Nosił dość ostentacyjnie, uszyty w Londynie, jedwabisty szary garnitur o fasonie wybieranym przez dyplomatów, z jasnoczerwoną kamizelką i kosztownym, czerwono-szarym krawatem. Patrzył owymi srebrzystymi oczami, nic nie mówiąc, po prostu badając mnie, dopóki Glen lekko nie popchnął mnie w stronę ojca.

— Przypuszczam, Colton, że Nomi powiedziała ci — rzekł. — To jest Dina, moja żona.

Czekałam; tak długo i nieprzyjemnie przyszpilona tym badawczym wzrokiem, że nie miałam czasu, aby zwrócić uwagę na inne osoby w pokoju czy rozejrzeć się, by stwierdzić co kto robi; zdecydowana milczeć, dopóki Colton nie przemówi.

Nomi siedziała cicho, pochłonięta obserwowaniem płomieni, jakby w pokoju nie było prócz niej nikogo. Wiedziałam jednak, że zachowując milczenie, przysłuchuje się, a może nawet przygląda.

Bliźnięta stały razem, widziałam, jak bardzo byli do siebie podobni, wysocy, smukli i elegancy. Mieli pociągłe twarze z zaokrąglonymi podbródkami, wąskie stopy, smukłe ciała i długie ręce. I jeszcze te błyszczące, ciemne oczy, które mogły płonąć entuzjazmem, namiętnością lub gniewem.

Kiedy spojrzałam na Glynis, przechadzała się po pokoju, chichocząc do siebie, jakby знаła jakiś sekretny dowcip, którego nie chce nam opowiedzieć. Colton nie zwracał uwagi na nikogo, oprócz mnie. W końcu podniósł szklankę do góry, skinął lekko głową, wznosząc milczący toast, i odstawił ją na stolik do kawy. W odpowiedzi uparcie milczałam.

Glen objął moje ramiona.

— Colton, przestań ją prześwietlać! Wiem, że wygląda nieporządnie, bo biegła po lesie. Ma liście w rozpuszczonych włosach i przybrudzoną twarz. Kilka nitek wypruło się jej ze swetra. Ale zaczekaj, aż się ogarnie i wtedy ją obejrzyj!

— Ja tylko oniemiałem ze zdumienia — rzekł Colton Chandler. — Gdzie znalazłeś taką ślicznotkę? Jak ją przekonałeś, żeby wyszła za ciebie za mąż?

— Przypuszczam, że Glen ma zamiar ją namalować — wtrąciła Glynis, a w jej głosie zabrzmiała nuta złości — albo przynajmniej spróbuje tego dokonać...

Glen spojrzał na siostrę i odwrócił wzrok.

— Zamierzam wyrzeźbić ją w alabastrze. Zacząłem już pracować nad tym. Żadne z was nie może więc jej mieć, dopóki ja jej nie wyrzeźbię.

Glynis gwizdnęła cicho, a Colton utkwiał w nim wzrok.



Znosiłam to dostatecznie długo. Chciałam im wykrzyknąć, że jestem dziewczyną z krwi i kości, mam własne uczucia, nie jestem tylko tematem dla ich twórczości. Oderwałam się od Glena, przeszłam przez pokój i podeszłam prosto do Coltona Chandlera. Wyciągnęłam dłoń.

— Zawsze podziwiałam pańską twórczość — powiedziałam. — Ale w tej chwili artysta nie ma dla mnie znaczenia. Jest pan dla mnie ważny tylko jako ojciec Glena. Mam nadzieję, że może pan mnie uważać za dziewczynę, którą poślubił, a nie jedynie jako ewentualny model.

Nomi odwróciła się w swoim turkusowym krześle, żeby spojrzeć na nas, i wydała cichy głos, który wyrażał aprobatę dla mnie.

Glynis była mniej zadowolona.

— Obawiam się, Dino, że sama się oszukujesz. Coltonowie to klan malarzy i rzeźbiarzy. Sztuka jest wszystkim, na czym się znamy i na czym nam zależy. Teraz, gdy weszłaś do naszej rodziny, będzie lepiej jeśli nauczysz się to akceptować.

Chciałam oznajmić, że poślubiłam tylko Glena, ale upomniałam się już o własne prawa, mogłam więc jedynie czekać na odpowiedź Coltona.

Wyglądał okazalej niż każde z bliźniąt. Jego sposób bycia świadczył o władczości i pewności siebie. Pstryknął palcami w stronę Glynis, bez słowa uciszając ją i zbywając. Stała osobno, ręce splotła za plecami. Pod rozpiętym płaszczem z wielbłądziej wełny sięgającym długich butów, miała brązową suknię. Wyglądała jak dąsające się, ładnie ubrane dziecko, które nagle dostało klapsa. Zuchwała i blefująca; gdy tylko ojciec pstryknął palcami, od razu poczuła się obrażona.

Colton ujął wyciągniętą ku niemu dłoń i pochylił się składając wytworny, europejski pocałunek.

— Zawstydzasz nas wszystkich — rzekł. — Jestem rad, Dino, że poślubiłaś mojego syna. Mam nadzieję, że zaakceptujesz nas jako jego rodzinę, bo my bardzo chętnie cię przyjmujemy.

Była to krótka i oficjalna przemowa, ale czułam, że dość uczciwa. Niełatwo będzie go poznać i zrozumieć, ale przynajmniej teraz okazywał mi szacunek.

Nomi od razu zorientowała się, że nie był to rodzaj przemowy, na którą można odpowiedzieć z wdzięcznością. Wstała, kierując się ku drzwiom.

— Herbata wkrótce będzie gotowa — rzekła do wszystkich. — Jeśli chcecie się przygotować, idźcie szybko do swoich pokoi i zaraz schodźcie.

— Nie jestem głodna — odpowiedziała Glynis, wciąż dając się jak dziecko. Gwałtownie ruszyła za Nomi i wybiegła z pokoju.

Colton spokojnie obserwował wycofanie córki.

— Wyszło szydło z worka — powiedział do Glena. — Ale tym razem postąpiłeś właściwie. Dość już zrywanych zaręczyn dlatego, że siostra nie akceptowała twojego wyboru.

Glen niecierpliwie pociągnął mnie w stronę drzwi.

— Dina jeszcze nie wie o wszystkich moich podbojach i nieszczęśliwych aferach miłosnych — zadrwił. — Opowiedzmy jej o tym ogólnie.

Wychodząc z nim z pokoju przyłapałam się na śmiechu. Być może był on nerwową reakcją na tę trudną konfrontację. Wyszłam jednak z niej nie bez honoru, znowu mogłam podnieść głowę i być sobą.

— A więc nie jestem twoją pierwszą miłością? — powiedziałam lekceważąco, gdy wspinaliśmy się po schodach. — Nie znaczy to, że kiedykolwiek tak myślałam.

Nie odezwał się, dopóki nie doszliśmy do naszego pokoju i nie popchnął drzwi, które zamknęły się za nami. Potem wziął mnie w ramiona.

— O, tak. Jesteś moją pierwszą miłością! — rzekł. — Moją pierwszą i jedyną miłością. Pamiętaj o tym. Jesteś dziewczyną, o której marzyłem, kimś, na kogo czekałem. Od razu cię poznałem. Nie wierz więc w to, co mówią. Były inne, ale tym razem jest to coś szczególnego.

Kiedy przestał mnie całować, sprzeciwiłam się.

— A zerwane zaręczyny? Co z nimi?

— To były dziewczyny, które wybierałem, żeby dręczyć Glynis — odpowiedział. — Co jeszcze? Bliźnięta mogą zbyt mocno żyć ze sobą. Niekiedy jedno z nich za bardzo wiąże się z drugim, uzależnia się od niego. Czasami stają się zaborcze ponad dopuszczalne granice. Glynis poślubiła Trenta McIntyre'a, nie pytając mnie wcześniej o zgodę. Uciekła z nim... Może przede mną?

— A teraz spłacasz ten dług?

Przerwał mi rozważania, wsuwając palce w moje poplątane włosy, i uciszył, przyciskając mi twarz do swojego ramienia.

— Przestań rozmyślać, łamać sobie głowę i analizować. Zostaw to w spokoju. Jesteś teraz moja. A dziś po południu z powrotem zabierzemy się do pracy.

„Jesteś moja” i „z powrotem zabierzemy się do pracy”, żałowałam, że nie powiedział tego inaczej. Wiedziałam jednak, że artysta wypowiada się w swoim dziele, jeżeli stanę się częścią tego, co Glen chce stworzyć, zajmę

wówczas ważne miejsce w jego życiu. Nie powinnam więc zadawać zbyt wiele pytań, nie powinnam roztrząsać słów na wszystkie strony, tak długo jak sama potrafię się z nimi uporać. Nie komplikuj, powiedziałam sobie. Zostaw to, bo wszystko jest chyba naprawdę proste.

Niestety, nic co dotyczyło Glynis, nie było, ani nie miało być proste. W końcu przyłączyła się do nas podczas herbaty. Nie była już rozkapryszonym dzieckiem czy zazdrosną siostrą. Jeśli chciała, umiała być urocza i oczarowała ojca i brata. Urzekła również mnie. Tylko Nomi zachowała dystans; chociaż ciotka bliźniąt otwarcie nie przejawiała uczuć i nigdy nie dała im upustu, nawet na chwilę nie przestałam odczuwać jej niechęci wobec Glynis. Niechęci i nieufności.

Zaraz po herbacie Glen wziął mnie na górę do pracowni. Znowu upozował mnie i niemal gorączkowo zabrał się do pracy nad głową z gliny. Przez godzinę pracował przy zamkniętych przed Glynis drzwiach. Nic nie pomogło. Wpływy z zewnątrz i obecność nowo przybyłych, zniszczyły poranny nastrój. Gdy wysiłki Glena stały się beznadziejne; widziałam, jak wyęczał siły i jaki był napięty; odezwałam się z niskiego podium, na którym mnie upozował.

— Dlaczego nie wyjedziemy z High Towers? Dlaczego nie pojedziemy tam, gdzie mógłbyś pracować, gdzie nie byłoby nikogo poza mną?

Odpowiedział krótko:

— Tutaj mogę pracować! Tutaj albo nigdzie. Nie martw się, Dino. Ciągle jeszcze mam natchnienie. Rzecz w tym, że teraz muszę się śpieszyć. Muszę mieć coś do pokazania, zanim tu przyjdą zobaczyć co robię.

Tylko raz ktoś podszedł, żeby przekręcić gałkę drzwi od poddasza, i stwierdziwszy, że są zamknięte, odszedł, nie czyniąc wymówek. Ale w końcu rozległy się na schodach sprężyste kroki i stukanie.

— Hola, hola! — brzmiał głos Coltona. — Nie możemy na to pozwolić. Pracownie są dla nas wszystkich, nie chcę być odcięty od mojej.

Glen rzucił narzędzia i zirytowany podszedł do drzwi, by otworzyć. Wcisnęli się za nim do środka, Colton i Glynis. Siostra pełna złośliwej gorliwości. Glen nie miał możliwości, żeby zasłonić pracę, ochronić przed ingerencją, której tak pragnął uniknąć. Glynis od razu podbiegła do stolika. Podszedł również Colton. Sztywno siedziałam na podium, zażenowana i sztuczna, jakby to wszystko było komedią bez sensu.

— Czy wolno nam? — zapytał Colton dla zachowania pozorów, i Glen odsunął się od makiety. Colton i Glynis stanęli, nie odrywając oczu od glinianej głowy. Potem zamienili porozumiewawcze spojrzenia. Colton wzruszył ramionami, Glynis potrząsnęła głową. Bez słowa, każde oddaliło się do swojej części poddasza, pozostawiając Glena i mnie samych.

Glen zbliżył się do stolika, jednym uderzeniem ręki przewrócił glinianą głowę i zgniótł palcami. Potem długimi krokami opuścił pracownię, zszedł po schodach, pozostawiając mnie z tyłu. Pobiegłam za nim, ale poruszał się dla mnie zbyt szybko. Zanim dobiegłam do schodów prowadzących na parter, usłyszałam trzask frontowych drzwi.

Nomi stała, odprowadzając go oczami. Przygnębiona, powoli do niej zeszłam.

— Co mam począć? — powiedziałam. — Wszystko zdawało się dobrze układać, dopóki oni nie przyjechali do domu. Wierz mi, że tak było.

Ale po tym, jak zobaczyli jego dzieło, spojrzeli na siebie i odeszli; Glen zniszczył je i wybiegł z domu.

Nomi drobną, kościstą ręką ujęła moją dłoń, zaprowadziła do gasnącego w kominku ognia, i lekko popchnęła na wytartą, wygodną sofę. Zwinnie poruszając się, pogrzebała w palenisku i do tłącego się drewna dodała świeże polana. Gdy płomienie znów wystrzeliły w górę, usiadła naprzeciw mnie, składając ręce na kolanach. Kotka Jezebel na dywaniku przed kominkiem rozprostowała się i przeciągnęła szeroko ziewając.

— Posłuchaj mnie, Dino — rzekła. — Glen, gdy był bardzo młody, miał niezwykły talent. Tak samo Glynis. Byli naprawdę cudowni i wzajemnie wspierali się. Talent jednego bliźnięcia był częścią talentu drugiego. Dodawali sobie otuchy, wiary i nawzajem się inspirowali, jeśli któreś tego potrzebowało. Poza nimi samymi liczyło się tylko to, co powiedział Colton, bo był ich nauczycielem i krytykiem. Przed ukończeniem osiemnastego roku życia mieli wspaniałą wspólną wystawę w nowojorskiej galerii. Komentowano: „świeże, oryginalne i dobrze zapowiadające się”. Colton był jednak zaniepokojony. Instynktownie wyczuwał, że Glen zbyt dużo zapożycza od siostry i naśladuje ją. To się sprawdziło. Kiedy Glynis poślubiła Trenta McIntyre'a i przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie jej mąż pracował w gazecie, Glen załamał się. Później nigdy już nie zrobił czegoś oryginalnego, bez względu na to, jaki wybierał środek wyrazu. Udoskonalił wprawdzie technikę rzeźbiarską, którą obrał umyślnie, bo Glynis maluje; ale jest w tym więcej kunsztu niż talentu. Ona potrafiła rozpalić w nim ogień entuzjazmu, teraz ten płomień zgasł. To mistyka. Całkowicie wierzę w nią, bo mieszkam w tym domu z wybitnym artystą, z prawdziwym profesjonalistą, z Coltonem Chandlerem.

— A twórczość Glynis po jej ślubie? — zapytałam.

— To dość zastanawiające, bo okazało się, że ona nie była tak uzależniona od brata, jak on od niej. Odniosła jeszcze większe sukcesy; Glen nigdy nie miał jej za złe, że pozostawiła go w tyle, choć wiem, że cierpiał. Po tym, jak jej małżeństwo się rozpadło i Glynis odeszła od Trenta, bliźnięta znowu związały się ze sobą. Ale Glen już nie odzyskał sił twórczych.

Próbowałam zrozumieć o czym mówiła, całe to podłoże sprawy, ponieważ dotyczyło mojego męża.

— Czy to możliwe, żeby Glen nie miał talentu siostry? — zapytałam.

Nomi spojrzała z oburzeniem.

— Są bliźniętami tak bardzo podobnymi do siebie, mają te same skłonności. Oczywiście, że ma ten sam talent! Przypominam sobie jego wczesną twórczość. Widziałaś tę znakomitą rzeźbę głowy Glynis z czarnego marmuru?

To jest psychologiczna blokada. Siostra powstrzymywała go na wszystkie sposoby. Zjawiała się zawsze wtedy, gdy Glen zainteresował się jakąś dziewczyną. Szybko potrafiła zdemaskować słabości, głupotę lub pospolitość w każdej kobiecie, na jaką spojrzała. Glen, gdy tylko zaczął patrzeć na dziewczynę oczyma bliźniaczki, kończył romans. Ona teraz spróbuje zrobić to samo z tobą. Musisz się strzec! Glen rozpaczliwie potrzebuje cię. Do ciebie więc należy nie pozwolić Glynis na ponowne, tym razem całkowite, zniszczenie Glena. ponosisz za to odpowiedzialność.

— Ale dlaczego miałyby chcieć go zniszczyć? Dlaczego nie miałyby cieszyć się jego osiągnięciami?

— To jest pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć — Nomi była śmiertelnie poważna, gdy pochyliła się ku mnie, odczułam zarówno jej napięcie, jak i siłę spokoju. — Sama będziesz musiała znaleźć odpowiedź. Ale jest pewna sprawa, którą musisz zaakceptować.

Jeżeli wspomniane przez ciebie spojrzenie, które zamienili Colton i Glynis oznaczało, że praca nie szła mu dobrze, musi to być prawdą. Żadne z nich nie stworzyłoby wrażenia, że jest inaczej. Gdyby praca była dobra, mieliby tyle artystycznej uczciwości, żeby to przyznać. Dlatego Glen odczuł to tak boleśnie. Szanuje ich opinię. Być może, ta pierwsza próba powinna być zniszczona. Ale teraz musi znów zacząć, a to już zależy od ciebie.

Nomi wstała i odeszła, aby zasiąść przed krosnami, na których tkala z wełny wierzyste sukno.

Nie mogłam jej dać żadnego zapewnienia, nie mogłam nic powiedzieć. Piękny sen o inspirowaniu Glena, dającym mu szansę ucieczki przed dominacją siostry, już się rozwiewał. Jego miejsce zajęła przykra rzeczywistość, z którą nie potrafiłam się uporać. Glynis była potężniejszą przeciwniczką, niż kiedykolwiek mogłam sobie wyobrazić. Jak znaleźć w sobie dość siły i sprytu, żeby dopomóc Glenowi?

Słowa Nomi towarzyszyły mi przez resztę popołudnia. Były ze mną, gdy Glen wrócił do domu. Nie przyszedł jednak do mnie, ale wsiadł do samochodu i tuż przed kolacją, odjechał.

Glynis, Nomi, Colton i ja, zjedliśmy bez niego. Światło świec padało na puste miejsce Glena, jakby winiąc mnie i ostrzegając, że snując marzenia nie potrafię radzić sobie w realnym świecie.

Nomi znowu miała na sobie szarą suknię i ułożyła na wieczór włosy. Obsługiwała nas pani Dixon, gospodyni, która dojeżdżała z miasta. Nomi



pilnowała wszystkiego, najbardziej Glynis. Nikt nie wspominał o pracy Glena ani o moim pozowaniu.

Pod koniec posiłku Nomi skierowała rozmowę na McIntyre'ów i plan budowy domów po drugiej stronie jeziora. Glynis gorąco zaprotestowała. Ale ojciec wysłuchał jej spokojnie. Siedząc na końcu stołu wyglądał bardzo dystyngowanie, jego siwe włosy mieniły się srebrzyście w świetle świecy, a srebrzyste, błyszczące oczy czujnie obserwowały. Mnie. Nie byłam pewna, z sympatią czy bez. Kiedy Glynis skończyła tyradę o jeziorze, odezwał się bez urazy. Dotąd nie widziałam, żeby się rozzłościł lub zirytował.

— Od czasu wyjazdu myślałem o tym wszystkim i podjąłem decyzję. Sądzę, że powinienem sprzedać Pandorze ziemię, którą chce. Nie przebywam tak często w domu, żeby to, co dzieje się po drugiej stronie jeziora, miało dla mnie znaczenie. Nomi na pewno też nie dba o to. Moja droga Glynis, ty i Glen jesteście mieszczuchami. High Towers jest dla was tylko schronieniem na czas wakacji. Ziemia leży odłogiem, a powinna być uprawiana. Ponadto, w tym szczególnym okresie, nie jestem przeciwnikiem posiadania pieniędzy zamiast ziemi.

Glynis odłożyła widelec i utkwiała w nim wzrok. Dziś wieczorem, w brązowej sukni z koronki, wyglądała bardzo pięknie. Światło świec pogłębiało czerwonawy połysk jej włosów i jak doskonały krem rozjaśniało cerę.

— Glen i ja nie pozwolimy ci jej sprzedać — powiedziała.

Lewym kciukiem zaczęła głaskać lewą brew. Widziałam już, jak robiła ten ruch wcześniej, kiedy coś ją zdenerwowało.

Colton wytrzeszczył oczy.

— Zamierzasz mnie powstrzymać?

Nie bała się go i odpowiedziała przytomnie.

— Colton, nie możesz zniszczyć jeziora! Ta potworna buda, którą Pandora zbudowała jako gospodę, jest wystarczająco szkaradna. Zetną tam drzewa. Będzie hałas, wrzawa, ohydne domki sterczące nad wodą. Cała leśna zwierzyna zostanie przepędzona.

— Przypuszczam, że masz na myśli te dzikie zwierzęta, których nie udało ci się jeszcze zabić — oschle powiedział Colton.

Nagle nastąpiło między nimi spięcie. Próba sił, niczym trzask naprężonej liny.

Glynis patrzyła na swoje mocne dłonie o długich palcach, tak podobne do dłoni brata.

— W przyrodzie trzeba zachować równowagę — powiedziała łagodniejszym tonem. Ale to nie należy do sprawy.

— Ani trochę — zgodził się ojciec. — Zresztą nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Nomi, a ty co o tym sądzisz?

— Jakie to ma znaczenie? — odrzekła Nomi. — Możesz sprzedać pod warunkiem, że pozostawisz ziemię po tej stronie jeziora i nie wyrzucisz mnie z High Towers, kazać mi zamieszkać gdzie indziej.

— Ten dom zawsze będzie twoim domem, Nomi, jak doskonale o tym wiesz.

Colton lekko, kurtuazyjnie skinął głową w jej kierunku.

— Ale co z naszą panną młodą? Dino, jak ty uważasz?

Nie chciałam dać się wyciągnąć w spór.

— Wydaje mi się, że Gray Rocks to piękne, nie tknięte cywilizacją miejsce, ale niech przemówią za mnie słowa Glena. Słyszałam jak mówił, że

jeżeli potrafi tu pracować, możemy zostać w High Towers. Sądzę, że jest zmęczony życiem w mieście.

— To śmieszne! — odezwała się Glynis. — Oczywiście, że on nie może tu pracować. Przekonaliśmy się wcześniej. Jeśli zmusi się i spróbuje, znowu tylko serce będzie mu pękać. Ale niezależnie od tego, czy zostanie tu czy nie, będzie chciał, żeby te domy stały z dala od jeziora.

Bawiłam się nóżką kieliszka z winem, pragnąc uspokoić palce i starając się nie podnieść głosu.

— Nie sądzą — powiedziałam — żebyście dali mu szansę popracować. Dziś, to był tylko początek. On odnajdzie swoją drogę. Jestem tego pewna!

Spojrzenie Coltona mówiło mi, iż naprawdę jest zmartwiony i zasmucony, że musi mnie rozczarować.

— Sądysz, że nie znam swojego brata? — zaśmiała się nieprzyjemnie Glynis.

Wymieniłyśmy nad stołem spojrzenia. Udało mi się wytrzymać jej wzrok, mimo pogardy widocznej w jej oczach.

— Sądzę, że w tym przypadku nie znasz go dobrze — powiedziałam. — Mógł się trochę zmienić.

— Poślubiwszy ciebie! — słowa Glynis smagnęły mnie jak batem.

Siedziałam po prawej stronie Coltona, który wyciągnął rękę i położył ją na mojej dłoni, uśmiechając się przy tym z aprobatą.

— Brawo, Dino! Jednak, mimo tej porcelanowej cery, masz coś z Wikingów! Ale jeżeli zamierzasz przeciwstawiać się siostrze Glena, powinnaś się strzec. Moja piękna pantera ma ostre pazury.

Nagle Glynis ogarnął zły humor. Nie było to już dziecinne nadąsanie, ale bardziej ponury, budzący grozę nastrój. Ponad resztkami posiłku spostrzegłam ukradkowe spojrzenia. Przeczynałam, że w jej głowie, za tymi ślicznymi, ciemnymi i nadąsanymi oczami, wykluwał się jakiś plan. Ale nie dbałam o to. Liczył się tylko Glen.

Po kolacji, gdy wszyscy zasiedli w salonie przed kominkiem, popijając kawę z delikatnych filiżaneczek, opuściłam ich, żeby przejść się po domu. Jak na razie, miałam dość towarzystwa Chandlerów. Musiałam się trochę odprężyć. Liczyłam, że pomoże mi książka.

Biblioteka była też gabinetem Coltona. Odnalazłam wyłącznik i weszłam do pokoiku. Na półkach stały rzędem książki, mebli było niewiele, tylko masywne, mahoniowe biurko, za nim obite czerwoną skórą krzesło, duża kanapa i stolik z karafką i szklankami. Wśród setek książek na półkach, stały okazałe albumy i dzieła potrzebne do prac badawczych.

Odczytując tytuły i nazwiska autorów, stwierdziłam, że panował tu prawdziwy, biblioteczny ład. Dziwna rzecz, poszukałam pod „Mc” — i znalazłam nazwisko McIntyre. Colton miał kilka książek Trenta. Była tu książka, która przyniosła mu spore uznanie, poświęcona Henry'emu Brooksowi Adamsowi, człowiekowi, który odciągnął go od pracy reportera kroniki wypadków i popchnął na drogę literacką. Książka o Brexie Harte'em też była. Pamiętałam ją szczególnie dobrze, bo zbierając materiały do niej, Trent przyjechał do Kalifornii spotkać się z moim ojcem. Ta wizyta podsunęła mu pomysł tomiku krótkich esejów o wielkich nauczycielach amerykańskich, zbioru, który uwzględniałby też Johna Blake'a. Tak więc jego pobyt u nas przedłużył się do miesiąca, podczas którego przysłuchiwał

się błyskotliwym wypowiedziom ojca i milcząco sporządzał notatki, by je później wykorzystać.

Książka ochoczo, jakby należała do mnie, wsunęła mi się w rękę. Zdjęłam ją z półki i otworzyłam na rozdziale, który chciałam ujrzeć. Dobrze wiedziałam, gdzie szukać stronic o dr. Johnie Blake'u.

Utonęłam w wielkim klubowym fotelu. Wyciągnęłam wygodnie nogi i zaczęłam czytać. To nie, bez powodu, był najlepszy esej w książce. Trent McIntyre uczęszczał jako student na wykłady mojego ojca. Znał więc go nie tylko jako przyjaciela, ale i nauczyciela. John Blake zachęcał go do pisania, a Trent przyjeżdżał do nas do Kalifornii dowiadywać się o wszystkim, co działo się na uczelni od czasu gdy ją ukończył. Lubił ojca. A ja lubiłam Trenta. Fakt, że miał na wschodnim wybrzeżu żonę i syna, nie stanowił niczego istotnego dla szesnastolatki, która o nic dla siebie nie prosiła. Nie oczekiwałam, że mnie zauważy czy potraktuje poważnie. Chciałam po prostu z dystansu uwielbiać go. Trwało to miesiąc, zanim mój ojciec tak niespodziewanie zmarł.

Kiedy pewnego późnego wieczora przyszedł do niego Trent, głowa ojca spoczywała na biurku, jakby spał. Odszedł, jego serce przestało bić, ale aż do ostatnich chwil wiódł szczęśliwe, pełne życie. Potem moja matka (krzepki Wiking!) całkowicie załamała się. Zaaplikowano jej środki uspokajające, wezwano pielęgniarkę i posłano po jej siostrę, żeby nam pomogła. Zanim przyjechała ciotka Olga, ponieważ nie było nikogo innego na podorędziu, zaopiekował się nami Trent. Zorganizował pogrzeb i zajął się mną, bo oprócz chorej matki, nie miałam nikogo.

Z determinacją zaczęłam czytać rozdział poświęcony ojcu. Chciałam przypomnieć sobie nie Trenta, lecz właśnie jego. Miła, niezbyt urodziwa

twarz ojca, zdawała się przepływać między moimi oczami a zadrukowanymi kartkami. Doskonale pamiętałam jego mądrość i poczucie humoru. Jego krytycyzm wobec wyników pracy studenta mógł wprawdzie być druzgoczący, ale władał skalpelem krytyki tak umiejętnie i delikatnie, że nikt prawie nie odczuwał bólu. Zawsze wzbudzał w studencie przekonanie, że następnym razem może wypaść lepiej. W znacznym stopniu studenci stanowili jego życie. Opuściwszy salę wykładową, często całe godziny spędzał w bogatym i różnorodnym świecie literatury.

Matka była wtedy o wiele większą realistką niż jej mąż. Trent uchwycił pewien zabawny epizod, który to ilustruje. Mianowicie, kiedyś matka rezolutnie poradziła sobie z przeciekającą rurą, od której ojciec uciekł, pogrążając się w klasycznym opisie burzy z ulubionej książki. Pewnego razu Trent powiedział, że jestem zbyt podobna do ojca — doskonale radzę sobie w świecie imaginacji, a uciekam przed skutkami swoich rzeczywistych czynów.

Bez względu na to, kogo wspominałam, Trent z powrotem pojawiał się w moich myślach. Dopóki żyję, nigdy nie zapomnę owego deszczowego popołudnia, kiedy wróciłam do domu z pogrzebu. Wyszłam do mokrego ogrodu i rzuciłam się na trawę a moje łzy ciekły na ziemię jak krople deszczu. To właśnie Trent znalazł mnie, podniósł, wziął w ramiona, i ubłoconą zaniósł z powrotem do domu. Obmył i wytarł mnie dużym ręcznikiem, potem wziął mnie na kolana, jakbym miała dziesięć lat, a nie szesnaście. Wyplakiwałam się na jego ramieniu, podczas gdy on opowiadał o ojcu i namawiał do mówienia o nim również mnie, żeby rany krwawiły swobodnie i później nie ropiały.

Tamtego, mrocznego deszczowego popołudnia, tak bardzo ich obu kochałam. Obydwu złączyło jedno wielkie, bolesne uczucie miłości, które całkowicie mną owładnęło. Było to w porządku dopóty, dopóki Trent uważał mnie za dziecko. Ale ja nie byłam dzieckiem. Stawałam się kobietą i nagle zapragnęłam więcej niż może oczekiwać dziecko. Trent wyrwał mnie z letargu, wywołując prawie szok. Zbeształ mnie. Powiedział, że nie wolno trwonić świeżego, cudownego uczucia szczenięcej miłości dla starszego, żonatego mężczyzny. Powinnam znaleźć chłopca w swoim wieku i jak należy przeżyć pierwszą miłość.

Ale czy ktoś kiedykolwiek mógł zakazać miłości? Poczułam się odrzucona, chociaż wiedziałam, że zasłużyłam na to. Od tamtych chwil beznadziejnie pokochałam go na długo. Być może, nigdy nie przestała go kochać tkwiąca we mnie dziewczyna.

Ta myśl raptownie wytrąciła mnie ze wspomnień i skłoniła do zamknięcia i odłożenia książki z powrotem na półkę. Ani przez chwilę nie miałam zamiaru pozwolić, żeby marzenia na jawie szesnastolatki kolidowały z prawdziwym małżeństwem.

Glen nie wrócił do domu, ale wiedziałam co powinnam zrobić. Pobiełam na górę do mojego pokoju, założyłam ciepłe spodnie i sweter, wśliznęłam się w granatową kurtkę z mosiężnymi guzikami, pochwyciłam latarkę i po cichu zaczęłam schodzić schodami.

Jednak nie dość cicho. Zanim doszłam do podnóża schodów, Glynis wyszła z salonu, zamykając za sobą drzwi. Czekając na mnie niespokojnie krążyła po przedpokoju, jak drapieżne zwierzę. Przypomniało mi się, jak Colton nazwał ją swoją „piękną panterą”. Gdy poruszała się, spostrzegłam

błysk jakiegoś świecącego przedmiotu, który trzymała w dłoniach. Kiedy zesłam na parter, wyciągnęła go w moją stronę.

— To dla ciebie — powiedziała; w jej głosie usłyszałam nutę przebiegłości.

Wcale jej nie ufałam, ale przynajmniej nie bałam się. Znowu stałam się rezolutna. Była tylko zepsutym, zazdrosnym, zbyt zaborczym wobec brata-bliźniaka, dzieckiem. Przy każdej możliwej sposobności będzie chyba dla mnie niemiła, ale nie dbałam o to. Moja wiara, że mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, wyparowała całkowicie. Wiedziałam, że gdybym musiała z nią walczyć, by wesprzeć Glena, zrobię to.

Przedmiotem, który wręczyła mi, była kula z opalizującego szkła o średnicy około sześciu cali. Wzięłam ją pod światło zyrandola, zabłysła tęczą w zielonym odcieniu.

— Co to jest? — zapytałam.

Uśmiechnęła się niemal słodko.

— To magiczna kula. Do czarów i zaklęć. Rozumiesz? Ludzie zawieszali takie kule w oknach dla ochrony przed złymi duchami. Od lat je zbieram. Jeśli chcesz, popatrzę w nią kiedyś i przepowiem ci twoją przyszłość. Wiesz? Będiesz tego potrzebowała, skoro tym razem Glen, mimo wszystko, ma dokonać cudów. Zwłaszcza ty będziesz potrzebowała jej pomocy, bo już go rozczarowałaś i zawiodłaś. Przypuszczam, że uzależnia go od ciebie inspiracja twórcza. Byłoby lepiej, gdybym mu to powiedziała.

Szklana kula zachowała ciepło jej rąk. Gdy obracałam ją w palcach, rozległ się dość nieprzyjemny, zgrzytliwy dźwięk. Nie lubiłam go, odłożyłam więc kulę na stolik w przedpokoju.



— Nie sędę, żeby Glen potrzebował jakichś czarów i zaklęć — powiedziałam z lekceważeniem.

— Ależ one nie są dla niego! To właśnie ty ich w tym domu potrzebujesz! Będziesz musiała przeciwdziałać czarom Nomi, prawda? Sędę, że już rzuciła na ciebie urok!

Nie miałam ochoty dłużej dać się dręczyć.

— Dobranoc — rzekłam wychodząc frontowymi drzwiami.

Nie zapytała mnie, dokąd w tę mroczną wiejską noc idę, ani też nie poszła ze mną. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, zapaliłam latarkę i odnalazłam drogę po stopniach w dół. Gdy dochodziłam do podjazdu, poczułam, że coś porusza się obok mnie. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że to Jezebel postanowiła dotrzymać mi towarzystwa.

Noc była chłodna, nic nie pozostało z wieczornego nastroju indiańskiego lata. Na wzgórzu wiał silny wiatr, po niebie płynęły postrzępione chmury. Księżyc znikł, wydawało się, że jest bardzo ciemno, jednak świeciły trochę gwiazdy. Po kilku chwilach oczy zaczęły się przyzwyczajać do mroku. Gdy schodziłam krętym podjazdem, który prowadził do drogi w dole, Jezebel również szła ze mną. Byłam jej wdzięczna za towarzystwo.

Może to daremny trud? Może tylko niepotrzebnie przeziębę się? Mimo to, nadal schodziłam w dół. Raz czy dwa, jakieś dzikie zwierzątko z szelestem przemknęło po martwych liściach i kotka czujnie nadstawiła uszy. Innym razem w oddali zaszczekał lis i w pustym świecie, przez który wędrowałam z kotką, szeroko rozniósł się niesamowity dźwięk. Za nami nie było widać nawet światła domu.

Trzymałam się drogi, dopóki nie ukazały się dwa potężne słupy wyznaczające wjazd do High Towers. Kiedyś między nimi znajdowała się dwuskrzydłowa brama, ale dawno już usunięto ją i pozostały tylko same kamienne bloki. Wspięłam się na jeden z nich i usadowiłam na jego płaskim szczycie. Wsadziliśmy ręce głęboko w kieszenie kurtki, machając nogami czekałam, aż Glen wróci do domu.

RS

## 6

Wiatr, niczym rwący potok, nieustannie szumiał i szeleścił w gałęziach drzewa nade mną. Podmuchy muskały, ostrzegając przed zimą. Podniosłam kołnierz żakietu, podciągnęłam kolana na słup i patrzyłam przez drogę w stronę wielkich, ciemnych pól rozciągających się poniżej posiadłości Chandlerów. Tu i tam w dolinie płonęły światła. Nie była ona jednak gęsto zaludniona, nie zauważyłam też nigdzie jadących samochodów. Jezebel przeszukiwała zarośla w pobliżu słupa i nie oddalała się zbyt daleko.

W przejrzystym powietrzu nocy porzuciłam rojenia, ożywiłam się i odzyskałam jasność myślenia. Jednak nie rozmyślałam teraz o Glenie. Wydawało mi się, że dla własnego spokoju powinnam przestać o nim myśleć, dopóki nie wróci, wtedy zastanowię się nad wszystkim, co się zdarzyło.

Zamiast więc rozpamiętywać postępowanie Glena, rozważałam spotkanie z Pandorą McIntyre i zastanawiające zdanie wypowiedziane przez Trenta, że w razie konieczności mogę odwiedzić jego matkę. Znowu przypomniało mi się zaskakujące ujawnienie małżeństwa Glynis z Trentem oraz fakt, że Keith był ich synem. Wiele spraw zdawało się budzić niepokój, miałam wrażenie, że było to kolejnym dowodem zła, które Glynis potrafi wyrządzić. Ani Pandora, ani też Trent nie byli zachwyceni, że siostra Glena poniewczasie oczarowywała Keitha, ale pozornie nie umieli utrzymać chłopca z dala od niej, a może nie potrafili naprawdę?

Zastanowiłam się, co teraz Trent sądził o Glynis. Nigdy nie powiedział o niej nic dobrego, a mimo to przez lata, jakie minęły od rozwodu, nie ożenił

się powtórnie. Glynis natomiast wyglądała na kobietę, z którą każdy mężczyzna chciałby się ożenić. Nigdy też nie uwolnił swego syna spod jej wpływów, tak jak należałoby oczekiwać.

Zanim zobaczyłam samochód, usłyszałam warkot w oddali. Szybko nadjeżdżał szosą, niewidoczną z drogi biegnącej za słupami bramy. Słychać było jak wóz zwolnił, żeby zakręcić przed jeziorem. Światła reflektorów rozbłysły wzdłuż drogi, sięgając w moją stronę i w miarę zbliżania się świeciły coraz mocniej.

Pozostałam na kamiennej grzędzie, jasne smugi wyłuskały mnie z ciemności i wyraźnie oświetliły. To był wóz Glena, który przejechawszy bramę wjazdową, zakręcił, zahamował i zatrzymał się. Szyba w oknie samochodu była opuszczona, Glen spojrzał na mnie. Księżyc skrył się za pędzącymi po niebie chmurami i na jego twarz padł cień.

— Halo, Dino! — Głos miał spokojny. — Co robisz na dworze?

Z jego tonu wywnioskowałam, że nie był już rozgniewany, urażony czy zdenerwowany. Zeskoczyłam z kamiennego słupa i podbiegłam do samochodu. Momentalnie wyciągnął przez okno rękę, za kołnierz żakietu przyciągnął mnie do siebie i pocałował; szybko i delikatnie.

— Czekałam na ciebie — rzekłam. — Żałuję, że nie pozwoliłeś, żebym pojechała z tobą.

— Następnym razem pozwolę ci — obiecał, chociaż gdy później nadeszła ta chwila, i to w gorszych niż te okolicznościach, znowu o mnie zapomniał.

Obeszłam samochód, a on otworzył drzwi. Wsunęłam się do środka i usiadłam obok niego. Gdy wóz nadjeżdżał, Jezebel znikła, była gdzieś indziej, zajęta własnymi sprawami, nie potrzebując już mojego towarzystwa.

— Zanim dziś wieczorem wyszłam z domu — powiedziałam — Glynis dała mi szklaną kulę, którą nazwała magiczną. Mówiła, że będę jej potrzebowała.

— To do niej podobne. — Glen uśmiechnął się. — Gdyby dziś istniały czarownice, Glynis byłaby na pewno jedną z nich. Przestraszyła cię?

— Nie. Nie muszę chronić się przed demonami ani uczyć się czarów.

Nie zapalił od razu silnika, wyczułam, że jest lekko podniecony. Sięgnął po moją dłoń i przytrzymał w swoich rękach

— Nie powinienem był im pozwolić, wyprowadzić się z równowagi — rzekł. — Colton i Glynis mieli rację, że gliniana głowa jest nieudana. Nie musieli mi tego mówić. Tego popołudnia wszystko szło źle. Dlatego musiałem się oderwać od tego i staranie wszystko rozważyć, ale nigdy nie myślę jasno, gdy Glynis jest w domu. Czasami nie mam pewności, czy do głowy przychodzą mi moje myśli czy też jej. A na razie muszę iść własną drogą. Ty, Dino, będziesz mi pomagała.

— Oczywiście — odpowiedziałam. — Wszystko, czego tylko ode mnie zechcesz, kochanie.

— To glina mnie odstręczyła — ciągnął. — Jestem całkowicie przekonany, że muszę pracować w kamieniu. Pracować tak, jak tworzący arcydzieła starzy mistrzowie. Chcę pod palcami czuć kamień, a nie glinę, jego nędzną namiastkę.

To nowe uniesienie zarówno ucieszyło, jak i przestraszyło mnie. Cudowne było widzieć go znowu podekscytowanego i pełnego zapału do pracy. Zdecydowanego nie pozwolić, by cokolwiek, co Colton lub Glynis powiedzą, zniechęciło go. Ale jednocześnie nie wiedziałam, czy jego zamiary były rozsądne czy też realne. Tak niewiele wiedziałam o pracy w

kamieniu. Miałam świadomość, że są pisarze, którzy rozpoczynają pracę bez jakiegokolwiek planu i z powodzeniem kończą powieści. Ale, czy można tak samo postępować rzeźbiąc w alabastrze, z którego niczego nie da się wymazać?

Odpowiedział na moje wątpliwości, jakbym wypowiedziała je na głos.

— Cały plan mam w głowie — rzekł. — Dlatego nie potrzebuję niczego innego. Jest wielu rzeźbiarzy, którzy mając wizję tego, co pragną zrobić, od razu pracują w kamieniu.

Zapalił silnik i wjechaliśmy stokiem na polanę przed domem. Oświetlone okna obserwowały nas, a gdy wchodziliśmy po frontowych schodach, znowu rozległ się samotny, przyzywający głos lisa.

W domu Glen nie odezwał się do nikogo, lecz ruszył na górę ciągnąc mnie ze sobą. Nie zatrzymał się jednak na piętrze, poszedł prosto do mrocznej mansardy, wciąż prowadząc mnie ze sobą. Kiedy wszystkie światła, jakie znajdowały się w wielkiej pracowni, były już zapalone, zabrał się do pracy. Nie zdjął nawet kurtki.

— Dziś wieczorem możesz wszystko obserwować — rzekł. — Nie jesteś mi jeszcze potrzebna do pozowania. Zbyt głęboko ukrywa cię alabaster, żebyś mogła służyć mi za model. W każdym bądź razie, wyczuję palcami kształt twojej głowy. Najpierw jednak muszę ją uwolnić od nadmiaru ukrywających zasłon.

Powiedział, że dawny alabaster, tak często wspominany w Biblii, był twardszy od tego. Współczesny alabaster jest miękki i rzeźbienie w nim to przyjemność. Poddaje się obróbce niemal każdego użytego narzędzia, gdyby chciał, mógłby pracować nawet drewnianymi przyborami rzeźbiarskimi.

— Portret nie będzie tak udany, jak byłby wtedy, gdyby go wykonać w marmurze. Przezroczystość alabastru zamazuje formę i zaciera cienie, ale jest to materiał odpowiedni do mojego zamiaru, wywołania wrażenia oziębłości.

Glynis nie mogła ścierpieć swojej nieobecności przy tym i w końcu weszła na górę zobaczyć, co robi Glen. Nawet na nią nie spojrział. Natomiast ja, zuchwale utkwiłam wzrok w jej twarzy, choć wydawało się, że mnie nie spostrzegła. Obserwowała brata, jak ociosywał krawędzie alabastrowej bryły, tak iż można było już zobaczyć kształt wyłaniającej się głowy. Glynis nie odzywała się, aż brat nie przerwał pracy.

— Czy nie zepsujesz alabastru pracując od razu w kamieniu? — zapytała.

Unikał jej wzroku.

— Glynis, proszę, bądź miła i wyjdź! Nie znasz tej bryły tak jak ja.

Było mi nieomal jej żal, taki smutek odmalował się na jej twarzy po tych słowach. Jeśli on był uzależniony od Glynis, ona także zależała od niego. Bez względu na spory i kłótnie, łączyły ich mocne więzy. Być może zbyt mocne, żeby ktoś inny stał się dla nich najważniejszy. Nie chciałam stawać między nimi. Miałam własne miejsce. Przede wszystkim Glen był moim mężem, pragnęłam ujrzeć, jak staje się twórcą tej klasy, jakiej uważał, że może zostać. Muszę być żoną, która mu w tym dopomoże.

Glynis wyszła bez słowa, poruszając się tak cicho i dyskretnie, jak kotka Nomi. Kiedy odeszła, sędzę, że Glen odczuł jedynie ulgę. Przez jakiś czas pracował w skupieniu, potem przerwał, żeby oczyścić alabaster i wytrzeć go z kamiennego pyłu. Całą uwagę skoncentrował na błyszczącym pod jego palcami kamieniu.

— Dino, idź spać! Przyjdę później. Chcę zakończyć te przygotowania, żeby jutro zacząć już serio.

W korytarzu natknęłam się na Coltona stojącego we drzwiach swojego pokoju i nadsluchującego odgłosów pracy Glena na górze.

— Musi jeszcze popracować, żeby przygotować kamień do rzeźbienia na jutro — powiedziałam.

Uśmiechnął się miło.

— Niezmiernie się cieszę, nie przeszkadzają mi odgłosy pracy artysty. Najważniejsze, że odnalazł własną drogę. Nie pozwolił, żeby pokonał go strach przed niepowodzeniem, tak jak działo się to przedtem. Masz, moja droga, dobry wpływ na niego.

Nie mogłam chyba być bardziej zadowolona. Cokolwiek myślała o mnie Glynis, Colton Chandler stanął po mojej stronie, a już zorientowałam się, że to on rządził w tym domu. Był silniejszy, niż ktokolwiek z nas, może z wyjątkiem Nomi. Ona musiała być mocna, żeby przez te wszystkie lata wśród Chandlerów, przeżyć.

Powiedziałam dobranoc i poszłam do naszego pokoju. Gdy zapaliłam światła przy toalecie, jakiś przedmiot na łóżku zamigotał barwami tęczy. Koło poduszki czekała na mnie magiczna kula. Oburzona przemierzyłam pokój i podniosłam ją. Nie wahając się ani chwili, ruszyłam przez westybul do pokoju Glynis i zapukałam do drzwi.

Nikt nie odpowiadał. Znowu zapukałam, a potem uchyliłam drzwi. Nie było nikogo, ale paliły się światła. Jedno na nocnym stoliku, drugie oświetlające rzeźbę z czarnego marmuru. Zaniiosłam zieloną szklaną kulę do łóżka Glynis i położyłam ją tam. Niech czeka koło jej własnej poduszki! Nie chciałam, żeby tej nocy taka dziecinna zabawka prześladowała moje sny.



Odwracając się od łóżka, ujrzałam stojący na stole olbrzymi, ręcznie pleciony, indiański kosz. W koszu piętrzyły się magiczne kule. Były różnej wielkości, od małych, używanych jako korki do butelek, aż po wielką, większą nawet od tej, którą Glynis uparła się ofiarować mi. Mieniły się wszystkimi kolorami, były bursztynowe, żółte, purpurowe, czerwone. Nie miałam jednak teraz czasu, żeby się nimi zainteresować. Przed wyjściem z pokoju musiałam jeszcze raz spojrzeć na udręczoną twarz, którą wyrzeźbił Glen.

Poznałam już Glynis, wiedziałam więc, że była to wierna podobizna; dodatkowo rzeźba wydobywała na jaw to, co kryło się w głębi. Glen nie mógłby przedstawić jej w ten sposób, gdyby nie znał jej tak dobrze jak samego siebie. Widok wyrzeźbionej twarzy poruszył mnie i otrząsnął z głębokiej niechęci do Glynis. Być może, to ja ponosiłam za wszystko odpowiedzialność, może też ja wywoływałam wrogość.

— To nie jest do oglądania dla ciebie! — powiedziała Glynis, stojąc w drzwiach.

Odwróciłam się zmieszana.

— Zwróciłam ci twoją szklaną kulę — gestem wskazałam na łóżko. — Nie potrzebuję jej, rozumiesz?

Mijając mnie podbiegła do łóżka, podniosła zieloną kulę, kołysząc i tuląc ją w dłoniach.

Spróbowałam przypomnieć sobie wątpliwości, jakie odczuwałam zaledwie przed chwilą, spróbowałam powrócić myślą do postanowienia, by nie zaognić sytuacji.

— Glynis — powiedziałam — czy nie możemy zacząć wszystkiego od nowa? Jesteś siostrą Glena, cieszyłam się na spotkanie z tobą, chciałam, żebyś mnie polubiła.

Kiedy denerwowała się, jej ciemne oczy wyglądały jak lśniące gagaty. Teraz była zdenerwowana. Przerzucała magiczną kulę z jednej ręki do drugiej, jakby w tym ruchu chciała wyładować całe napięcie.

— Polubiła! — powtórzyła jak echo. — Skoro jesteś tak zupełnie nieodpowiednia dla niego? Czy wyobrażasz sobie, że taka głupia blondyneczka jak ty, zdołałaby być dobrą żoną dla Glena!?

Ruszyłam do drzwi, widząc, że nie ma sensu zostawać. Ale, zanim je otworzyłam, odwróciłam się, by zadać ostateczne pytanie.

— Czy nie wydaje ci się, że żywiłabyś dokładnie takie same uczucia wobec każdej dziewczyny, którą poślubiłby twój brat?

Wykonała tak błyskawiczny ruch, że ledwie zdążyłam się pochylić, gdy szklana kula mknęła prosto we mnie. Uderzyła w drzwi za mną i roztrzaskała się. Na głowę i ramiona posypały mi się odłamki. Gdybym się nie schyliła, kula trafiłaby mnie prosto w twarz...

Wyszłam do przedpokoju, czując się tak rozbita jak kula, której szklane drzazgi miałam we włosach.

Huk musiał rozleć się donośnym echem wewnątrz domu. Zarówno Colton, jak i Nomi wyszli z drzwi swoich pokoi. Colton pierwszy zrozumiał co się stało, szybko podszedł i dotknął mojego policzka, odginając palec zabrudzony farbą.

— Jesteś skaleczona — rzekł. — Włosy masz pełne szkła.

Huk wciąż brzmiał mi w uszach, nie mogłam się odezwać. Dużymi krokami podszedł do drzwi pokoju Glynis i spojrzał na rozsypane odłamki szkła na podłodze. Nie ruszyła się z miejsca, z którego cisnęła kulę.

Twarz miała spokojną, bez wyrazu, z wyjątkiem dzikiego blasku w oczach — dzikiego, zwierzęcego ognia, który widziałam nawet z korytarza. Zanim Colton odezwał się do niej, zszedł Glen z poddasza i ujrzał nas, stojących w korytarzu.

Podeszła do niego Nomi.

— Glynis rzuciła w twoją żonę jedną ze swoich drogocennych, magicznych kul — rzekła oschle.

Glen spostrzegł krew na moim policzku, zbliżył się, by wyjąć mi odłamek szkła z włosów. Także jego, płonące jak węgle oczy pełne były gniewu. Dużymi krokami podszedł do miejsca, gdzie obok łóżka stała Glynis.

— Jeżeli kiedykolwiek jeszcze spróbujesz zranić Dinę... — rzekł. — Jeśli kiedykolwiek dotkniesz ją palcem... Bez względu na to, co jej uczynisz, zrobię ci to samo, zapamiętasz!?

Pod wpływem słów brata twarz jej wykrzywiła się, pograżając w tym skrywanym zazwyczaj bólu, który uchwycił Glen rzeźbiąc ją w czarnym marmurze. Wyglądała jak pozbawione wszystkiego dziecko, bezbronne i niezdolne do obrony do tego stopnia, że z jej oczu wзираły tylko cierpienie i udreka.

Przez chwilę obawiałam się, że Glen uderzy ją, nie chciałam tego. Ale po chwili jego ręka opadła. Był odwrócony do mnie plecami, nie widziałam jego twarzy. Colton ociężale wzruszył ramionami i wrócił do swojego pokoju.

— Glen — powiedziała — zostaw, proszę. Być może rozgniewałam ją...

Sprawiał wrażenie, że nie słyszy. Patrzył na twarz siostry, widząc to, co kiedyś wyrzeźbił. Ona zaś musiała chyba dostrzec w jego oczach zmianę nastroju. Wargi jej zadrgały i nieśmiało wyciągnęła dłoń, a w chwilę później była w jego ramionach. Tulił ją czule, szepcząc urywane słowa, jakby pocieszał dziecko. Byli nie do rozdzielenia.

— Chodź — powiedziała Nomi, kładąc mi rękę na ramieniu. — Chodź ze mną, przemyję ci policzek i pomogę wyjąć szkło z włosów.

Drzwi pokoju Coltona były zamknięte, gdy wraz z Nomi szłam do jej apteczki pozwalając, żeby zaopiekowała się mną. Byłam zbyt oszołomiona i odrętwiała, żeby zrobić coś innego, niż spełniać jej polecenia. Opatrując mnie nie odzywała się, tak jakby nie było nic więcej do powiedzenia. Ujrzała co się stało i na tym koniec. Ale ręce Nomi dotykały mnie bardzo delikatnie, choć nigdy nie widziałam tak surowego wyrazu na jej twarzy. Nie przebaczyłaby Glynis tego nowego wyskoku tak łatwo, jak uczynił to Glen.

Tej nocy długo czekałam w ciemnych, wygiętych ramionach olbrzymiego łóża. Glen przyszedł do sypialni dopiero po północy. Nie zapalił światła mając chyba nadzieję, że śpię. Rozebrał się w ciemnościach i cicho, nie dotykając mnie, wśliznął się do łóżka.

— Nie zraniła mnie — powiedziała. — Ale niewiele brakowało...

Od razu odwrócił się, wsunął mi rękę pod głowę, tak iż znalazłam się w zagięciu jego ramienia.

— Nie miej jej tego za złe — wyszeptał. — Bardzo cię kocham. Potrzebuję cię. Ale musimy dać jej czas. Nikt nigdy nie oduczył jej

wybuchowości. To tylko jej sposób uwalniania się od spraw, które ją ranią. Nie uderzyłaby cię naprawdę tą kulą. Umyślnie nie trafiła. Teraz musimy zapomnieć o tym. Udawajmy, że to nigdy się nie wydarzyło.

Jak mogłam udawać?! Wiedziałałam lepiej niż on, co zamierzała zrobić. Ktoś, kto wybucha furją szaleńca, powinien być pod nadzorem! Ale Glen był przy mnie blisko, jego wargi i ręce domagały się czułości. Kochałam go bardzo. Uczucie to było na tyle silne, żeby próbować zrozumieć ściśle więzy łączące go z bliźniaczką i usiłować zaakceptować je.

Zasnęliśmy w swoich ramionach i chociaż trochę pocieszyłam się.

Nazajutrz rano rozpoczęła się w domu energiczna krzątanina. Przez noc bardzo się oziębiło. Jezioro po raz pierwszy tej zimy pokryła warstwa lodu. Przez cały ranek nikt z nas nie wychodził na dwór. Nomi pracowała w domu i nie zbliżała się do pracowni. Colton był zajęty we własnym atelier, przygotowaniem obrazów na zbliżającą się wystawę w Nowym Jorku. Później zszedł, żeby napisać listy w sprawie wypożyczenia innych płócien na wystawę od tych, których portretował.

Keith McIntyre, ze strzelbą w ręku, ubrany w stare dżinsy, kurtkę i czapkę w kratę, punktualnie przybył pozować dla Glynis. Glynis, całkowicie odzyskała równowagę, była wesoła. Zajęła się szkicowaniem. Nie przyszła na śniadanie, ale kiedy mijałyśmy się w przedpokoju, powiedziała tak miłym głosem „dzień dobry”, jakby się nic nie stało. Nie przeprosiła mnie.

Glen poważnie zaczął pracować nad rzeźbą alabastrowej głowy. Teraz był przygotowany i pełen zapału, by wyczarować mnie z kamienia. Co jakiś czas obchodził rzeźbę dookoła, by patrzeć w różnym oświetleniu, oglądając ją ze wszystkich stron. Odnosił każdy najdrobniejszy rys do pozostałych cech. Niekiedy odwracał się od bryły i obchodził mnie. Używał nawet

cyrkla kalibrowego, żeby zachować właściwe proporcje. Chwilami rozmawiał, ale cały czas był pochłonięty pracą. Mówił, że nos, bardziej niż cokolwiek innego, nadaje twarzy charakter, a najtrudniej jest uchwycić uszy. Zostawi je na później, a być może, całkowicie przesłoni je luźno opadającymi włosami.

Jego praca niezwykle zafascynowała mnie, byłam wdzięczna, że rzeźbiąc, udzielał mi objaśnień.

Miałam wrażenie, że Glynis i Glen zawarli pewien rodzaj paktu, bo w tym czasie żadne z nich nie przekraczało niewidzialnej linii oddzielającej ich pracownie. Żadne nie próbowało też podglądać pracy drugiego. Wydawało się, że wszelka wrogość między nimi zniknęła.

Ten miły nastrój całkowitego spokoju trwał przez następne dni. Po pewnym czasie przestałam obserwować, jak głowa wyłania się z kamienia, ponieważ gubiłam wszelką perspektywę. Będę w napięciu czekać, aż ujrzę gotowe dzieło. Glen opowiedział, jak zamierza uchwycić wyraz moich oczu, nie przy pomocy samych gałek ocznych, lecz wykorzystując płaszczyzny i wgłębienia wokół nich. Właściwe nasycenie powierzchni światłem nadawało oczom wyraz i ożywiało je.

Colton w tym czasie odbywał wędrówki po lesie. Ponieważ planował ponowny wyjazd zaraz po Nowym Roku, zrobił sobie wakacje i odpoczywał. Któregoś dnia sporządził szkic mojej twarzy. Podziwiałam jego geniusz, z jakim tchnął życie w wizerunek. Podpisał go inicjałami i dał mi, prosząc jednak, żebym nie pokazywała go Glenowi. Jeszcze nie teraz, powiedział, twierdząc, że Glen musi patrzeć na mnie własnymi oczami. Dołączyłam więc szkic do moich rzeczy osobistych jako coś w rodzaju skarbu i nic nie wspomniałam Glenowi.

W czasie tych grudniowych tygodni, które przybliżały nas ku Bożemu Narodzeniu, Nomi rozpoczęła świąteczne przygotowania. Poleciała Keithowi przynieść z lasu zielone gałęzie i poszukać ostrokrzewu rosnącego na stoku nad bagnem, daleko przy krańcu jeziora. Kiedy dowiedziała się, że nie mam dla nikogo oprócz Glena prezentów, zawiozła mnie przez brunatne pagórki Sussex do najbliższego miasta, gdzie zrobiłam niewielkie sprawunki. Nomi robiła wrażenie osoby wesołej, niemal szczęśliwej. Opowiadała mi o śnieżnych świętach Bożego Narodzenia w Gray Rocks Lake, z czasów gdy jeszcze żyła jej siostra. Wciągnęła mnie w swój nastrój. Obserwowałam niebo, szukając oznak wróżących śnieg.

W owym czasie, z wyjątkiem Keitha, rzadko widywaliśmy McIntyre'ów. Niekiedy Glynis zatrzymywała chłopca na lunch i z zapalem oczarowywała go. Rzuciła mgliste obietnice zabrania go do Nowego Jorku i wspólnego zamieszkania. Podejrzywałam, że obietnic tych nie zamierza dotrzymać. Z zażenowaniem obserwowałam ją, rozważając prawdopodobny bunt chłopca, gdy znudzi ją ten przyływ macierzyństwa i wróci do swego życia w mieście, bez niego. Rozmyślałam jak Trent i jego matka uporają się z tym, co pozostawi po sobie Glynis.

Często podczas posiłków wynikały dyskusje nad planowanymi przez McIntyre'ów zmianami. Glynis i Glen gorąco wówczas spierali się z ojcem. Nomi i ja milczałyśmy, tak samo chłopiec, chociaż chciwie przysłuchiwał się wszystkiemu, o czym była mowa. Zastanawiałam się, czy coś z tych rozmów zabierał do domu, przekazując ojcu i babce. Colton wprawdzie zwyczajnie grał na zwłokę i nie przeciwstawiał się, ale przeczuwałam, że w styczniu przed wyjazdem podejmie decyzję w sprawie ziemi. Problem ten

nigdy nie wydawał mi się naprawdę ważny. Jednak musiałam się nim zainteresować.

Każdej nocy temperatura spadała do minus kilkunastu stopni, a nawet w dzień często wynosiła poniżej minus dwudziestu. Jezioro zamarzało, z zaciekawieniem obserwowałam ten proces. Spostrzegłam, że powierzchnia lodu nigdy nie była czysta i gładka, lecz wszędzie zamarznięte zmarszczki i rysy tworzyły desenie. Niekiedy miałam wrażenie, że fala załamała się na powierzchni i tam zamarzła. Niekiedy w ciągu dnia temperatura zmieniała się i słyszałam „mowę” lodu. Był to głośny, podobny do sapania dźwięk: łomp-łomp-łomp, który rozchodził się z jednego krańca jeziora na drugi, wywołując echo. Wywoływało go topnienie i ponowne zamarzanie wody pod powierzchnią jeziora. Wskutek tego powstawały szczeliny w lodzie, zmieniał się też poziom wody.

Śniegu wciąż nie było. Glynis i Keith kilka razy poszli na łyżwy. Glen namawiał mnie, żebym poszła z nimi, bo sam właśnie teraz nie chciał tracić czasu przeznaczonego na pracę. Nie miałam ochoty jeździć na łyżwach, ani z Glynis, ani sama. Kilkakrotnie widziałam na lodzie Trenta i zastanawiałam się, jakby to było, gdybym założyła łyżwy i wyszła do niego. Jednak Trent należał do innego świata i nie starałam się zobaczyć z nim.

Miałam wrażenie, że Glen zapomniał o incydencie z magiczną kulą i całkiem przebaczył siostrze. Rzeźbiąc zdawał się walczyć z jakąś niewidzialną i nieprzekraczalną granicą, której nie rozumiałam. Kamień wymaga wprawdzie czasu, ale on prawie wszystkie, bezsenne godziny poświęcał pracy. Ja natomiast znalazłam się wówczas w stanie zawieszenia, jakby wokół mnie nie było realnego świata czy jakiegoś trwałego punktu zaczepienia.



Keitha widywałam prawie codziennie, ale myślę, że on poza Glynis nie dostrzegał chyba nikogo. Całe jego młodzieńcze, żarliwe uwielbienie skupiło się na matce, którą tak mało znał, i która w niczym nie przypominała matek innych chłopców. Nigdy nie była rodzicielskim autorytetem i nigdy nie starała się trzymać go w ryzach. Pobłażliwa w najwyższym stopniu, stawała się złośliwym towarzyszem dziecięcych zabaw. Każdy odruch jego młodzieńczego buntu skierowany był przeciwko ojcu i babce. Glynis zaś zachęcała go do uciezek z realnego świata po drugiej stronie jeziora. Nie było nikogo, kto by go przekonał, iż gdy chodziło o niego, Glynis była mirażem, że ofiarowywała mu świat, będący w istocie błyskotką, którą należało odrzucić wraz z wyblakłymi poświęceniowymi ozdobami na choinkę.

Raz czy dwa próbowałam porozmawiać o tym z Glenem, ale w tym ostatnim tygodniu przed Bożym Narodzeniem z trudem potrafił skupić uwagę na czymś innym niż praca. Był zapatrzonej w swoje wnętrze, nie miałam już wesołego, wymagającego towarzysza czy kochanka, przy którym zapominałam o bożym świecie. Nie znaczy to, że oczekiwałam, iż będzie się zajmował tylko mną, zwłaszcza teraz, gdy tak bardzo pochłaniała go praca. Wiedziałam, że na razie istnieję dla niego prawie wyłącznie jako model. Głowa uwalniająca się z lodowatego, alabastrowego więzienia, była jedyną ważną sprawą. Potem mój mąż do mnie powróci. Ale tymczasem, nadal byłam bardzo samotną panną młodą. Samotną i więcej niż trochę, przestraszoną.

Odbywałam długie spacerunki brzegiem jeziora. Za bliźniaczymi wierzchołkami szarej skały, odkryłam krętą ścieżkę. Stała się ona moją ulubioną dróżką, prowadziła na teren bagien, gdzie wąski strumyk wijąc się wpadał do jeziora. W miejscu tym, kępy bagnistej trawy przycupnęły jak

długowłose chochliki, których nogi, niczym korzenie tkwiły w zamarzniętym bagnie.

Był to czas oczekiwania i niepewności, ponieważ zupełnie nie wiedziałam co mnie czeka. W chwilach, gdy nie pracowaliśmy w atelier, Glen obrzucał mnie spojrzeniem, które sprawiało, że zastanawiałam się, czy nie uległ podszeptom siostry, czy nie patrzy innymi oczami — takimi jakimi ona chciała, żeby mnie widział. Jednakże podczas tych ostatnich, fatalnych dni przed Bożym Narodzeniem nie miałam żadnej broni, której mogłabym użyć przeciwko Glynis.

Któregoś dnia, kiedy Keith pozował dla swej matki, a Glen i ja pracowaliśmy w atelier po drugiej stronie poddasza, Glynis rozpląkała się ze złości, rzuciła paletę i porozrzucała pędzle. Musiała chyba przestraszyć Keitha, bo przybiegł do nas, wołając Glena. Ale zanim cokolwiek można było zrobić, Glynis krzyknęła do syna, żeby wracał do domu, i wściekając się opuściła poddasze.

Glen spokojnie odezwał się do chłopca:

— Nie martw się. Czasem miewa złe dni, gdy nie wychodzi jej robota. Na razie idź do domu, a kiedy wrócisz, udawaj, że nic się nie stało.

Chłopiec odszedł przygnębiony; gdybym miała wolny czas, być może przesłabym się z nim do jeziora i spróbowałabym nawiązać przyjaźń. On również był samotny i niepewny matki. Ale Glen potrzebował mnie przez resztę przedpołudnia. Pracował teraz nad włosami. Musiały mi swobodnie i luźno opadać na ramiona. Włosy zdawały się w nim jako artyście wywoływać zarówno fascynację, jak i przygnębienie. Wiele razy podchodził do mnie, żeby unieść w górę kosmyki, jakby poprzez wyczucie ich gęstości i ciężaru, mógł tchnąć palcami w bezwład kamienia swoją wizję włosów,

Tego dnia popołudnie jeszcze nie minęło, gdy rzucił narzędzia i zwolnił mnie. Pogoda była słoneczna, ale chłodna, ubrałam się więc w spodnie i ciepły żakiet, upięłam na karku włosy i jak zwykle ruszyłam stokiem na spacer. Kiedy doszłam do ścieżki biegnącej wzdłuż jeziora, skręciłam w kierunku Gray Rocks oddalając się od gospody. Po przeciwnej stronie jeziora zobaczyłam Pandorę idącą drogą przed jej kamiennym domem. Pomachała do mnie ręką, a ja zastanawiałam się czy nie przejść na drugą stronę i nie odwiedzić jej. Powstrzymała mnie jedynie myśl o niezadowoleniu Glena. Szczególnie teraz nie chciałam go rozgniewać.

W dole na lodzie ukazał się łyżwiarz. Spostrzegłam, że był to Trent McIntyre. Poruszał się pewnie, pochylając się do przodu i robiąc długie, równe, łyżwiarskie szusy. Cały czas zwracał jednak uwagę na rysy w lodzie. Nie widział mnie. Obserwowałam go tak długo, aż zniknął mi z oczu za zakrętem. Widocznie pracował nocami, bo gdy czasem po zapadnięciu zmroku wyglądałam z okna sypialni, widziałam jak siedzi przy oknie na górze, przy maszynie do pisania. Słyszałam też stukot klawiszy, dźwięk, który tak bardzo nie harmonizował z westchnieniami wiatru. Szłam przed siebie zastanawiając się, o czym jest jego książka, i kogo opisuje tym razem. Kiedy opracowywał materiał o moim ojcu, czasem odczytywał mi urywki i całe rozdziały, a ja byłam życzliwą słuchaczką lubiącą przyglądać mu się, gdy czytał. Glena przy pracy obserwowałam już w inny sposób. Zastanowiłam się, czy nie stałam się typem kobiety, która kocha tylko wtedy, gdy jest pieszczona i poświęca się jej całą uwagę. Nie, to nie była prawda! Byłam spragniona miłości zawsze, gdy Glen chciał mi ją dawać, ale później, gdy jego wszelkie zainteresowania i fascynacje zdawały się skupiać na pracy, nadal go kochałam,

Kiedy w swym marszu dotarłam do potężnej podstawy wierzchołków Gray Rocks, z łatwością minęłam ją, tak jak robiłam to prawie każdego dnia. Teraz, znając już las i jezioro, nie zastanawiałam się nad znajdującymi się w górze na turni, ruchomymi odłamkami skał, przed którymi przestrzegał mnie Keith. Gdy minęłam skały, szłam prostą ścieżką, posuwając się swobodniej, wystawiałam twarz na podmuchy orzeźwiającego wiatru.

Linia brzegu była nieregularna, wrzynała się w wodę, potem cofała, tworząc zatoczki i kanały. Kiedy obchodziłam jedno z tych zakoli, na ścieżce przed sobą zobaczyłam coś połyskującego w słońcu. W poprzek drogi leżała, zmieciona ze zbocza podmuchem wiatru, kupa suchych liści. Pośrodku sterczała z niej, odbijając słoneczne promienie, stara butelka po wodzie sodowej. Śmiecie w tym miejscu były dość dziwną sprawą, ale chociaż na terenie posiadłości stały tabliczki z napisem „PRZEJŚCIE WZBRONIONE”, obcy niekiedy przechodzili tędy, pozostawiając wzdłuż drogi odpadki.

Na nogach miałam nowe buty z zielonego zamszu, które Glen szczególnie lubił. Przypuszczam, że to właśnie one uratowały mnie. Nie chcąc wchodzić w zakurzoną stertę, odłamałam z drzewa na stoku gałąź. Wyciągnęłam ją przed siebie, zamierzając przetoczyć butelkę do miejsca, z którego mogłabym ją podnieść. Potem zamierzałam zmieść gałęzią liście ze ścieżki do wody.

Jednak, gdy tylko uderzyłam lekko kijem w środek liści, gdzie leżała butelka, wszystko z trzaskiem wyleciało w powietrze. Coś ostrego drasnęło moją kostkę i wyrwało kij z ręki. Oszołomiona wpatrywałam się w rozburzoną stertę; zauważyłam, że butelka pękła na pół i toczyła się na brzeg jeziora, podczas gdy na kijku mocno zacisnęły się stalowe szczęki

potrzasku. Była to duża pułapka na zwierzęta, w którą łatwo mogłam włożyć stopę! Nagle uświadomiłam sobie piekący ból w kostce, spojrzałam na porwane pończochy i zobaczyłam, że przez nylonowe nitki sączy się krew.

Tak mało brakowało, żeby stalowe szczęki zmiażdżyły mi stopę, iż poczułam wstrząs. Usiadłam na skale i utkwiałam oczy w rwącej kostce. Na skutek uderzenia stopa wprawdzie bolała mnie, ale mogłam poruszać nią. Wydawało mi się, że żadna kość nie była złamana.

Znad jeziora wołał mnie jakiś głos, podniosłam oczy, by ujrzeć jak jedzie na łyżwach w moją stronę Trent McIntyre.

— Co się stało? — krzyknął, zbliżając się do miejsca, gdzie siedziałam. — Usłyszałem coś przypominającego odgłos zamykającego się samotrzasku, jesteś ranna?

— To potrzask — odparłam. — Był ukryty w tamtych liściach, ale zatrzaskując się drasnął tylko moją kostkę.

Wyciągnęłam stopę, by mu ją pokazać.

Ślizgał się z butami zawieszonymi na szyi, zdjął więc teraz łyżwy i szybko założył buty. Łyżwy rzucił na ziemię, podszedł do skały, ukląkł przy mnie, żeby zbadać moją stopę. W jednej chwili podwinął nogawkę spodni i zerwał zniszczoną pończochę, żeby odsłonić skaleczone, krwawiące miejsce. Czystą chusteczką sprawnie przewiązał ranę. Wciąż klęcząc przytrzymał stopę w dłoni i spojrzał w górę na mnie.

— Drobne kostki — rzekł. — Mała wąska stopa. Ten potrzask łatwo by ją złamał.

Z trudem mogłam znieść jego czułość i serdeczność. Był tylko wspomnieniem z przeszłości, nie powinnam myśleć o nim jako o kimś realnym tylko dlatego, że był dla mnie miły.

— Przestań! — potrząsnęłam głową. — Nic się nie stało. Czuję się dobrze.

Wstał i wyciągnął dłoń.

— Czy możesz wstać? Pomogę ci wrócić do domu, jeśli jesteś w stanie iść.

Wypróbowałam stopę stając na niej całym ciężarem ciała. Bolała dość mocno, ale poradziłam sobie, opierając się na jego ramieniu. Kiedy przekonał się, że mogę ustać na nogach, puścił mnie, żeby pochylić się nad sidłami i przysunąć je do siebie kijem, który nadal tkwił pionowo w zaciśniętych szczękach.

— To miejsce każdemu wydawałoby się nieodpowiednie do zakładania pułapki na zwierzynę — rzekłam.

Ciemnowłosy Trent był pochylony nad stalą, ale gdy na mnie spojrzał, spostrzegłam w jego twarzy gniew.

— To, jak mi się zdaje, jeden z potrzasków Keitha. Ale nie byłby taki niemądry, żeby zastawiać go właśnie tu. Wszyscy widzieliśmy jak szłaś ścieżką...

Odwrocił głowę, by spojrzeć na mnie pytająco, i opuścił oczy. Wiedział, że myślimy o tym samym. Tylko jedna osoba mogła umyślnie ulokować tu samo-trzask, żebym to ja stała się ofiarą. Przez chwilę w myślach, byłam z powrotem w pokoju Glynis i ujrzałam nadlatującą w kierunku mojej twarzy zieloną kulę. Zbyt okropne, żeby o tym myśleć!

— Och, nie! — krzyknęłam. — To niemożliwe...

— O, tak! Całkiem możliwe! — wciąż był rozgniewany. — Usiłowano cię złośliwie okaleczyć. Jeśli zdołasz, chodź! Podejźmy do domu.

Przeciągał mnie przez trudne do pokonania miejsca, przesadzał nad leżącymi kłodami, a raz, gdy stok był nierówny i trudny do przebycia, wziął mnie na ręce i przeniósł wyżej, gdzie było już łatwiej iść. Przewyciężając ból wspierałam się na nim, łudząc się przez krótką chwilę, że wspomnienia stały się rzeczywistością i mam dawnego przyjaciela.

Kiedy dotarliśmy do domu, próbowałam podziękować mu, nie chcąc, żeby wchodził. Chciałam uciec, obawiając się, że wszystko popsuje. Ale on nie należał do ludzi, którzy raz powziąwszy decyzję, rezygnowali.

— Wejdę z tobą do domu — powiedział i razem weszliśmy po stopniach.

Znał dom bardzo dobrze, wiedział, że drzwi nie będą zamknięte. Kiedy otworzył je na oścież, dobiegły nas głosy z salonu a Jezebel przebiegła obok, jakby dłużej nie mogła wytrzymać w domu.

Trent wziął mnie za rękę i lekko ścisnął.

— Nie martw się, wszystko załatwię.

Otworzył drzwi salonu i popchnął mnie przed siebie. Poczułam ciepło ognia z kominka, przy którym Colton Chandler wraz z całą rodziną popijał popołudniową herbatę. Stałam przy drzwiach, z jedną nogawką spodni podwiniętą, i zbroszoną krwią chusteczką Trenta. Czekałam, aż cztery twarze odwrócą się w naszą stronę.

Colton siedział na purpurowej sofie z sewską filiżanką w ręku, Nomi przysiadła na turkusowym krześle, nalewając herbatę stojącemu obok Glenowi. Glynis w płowych spodniach, smukła i wysoka, była również. Stała przed obrazem bliźniąt namalowanym przez ojca, gdy byli jeszcze mali.

Wszyscy czworo wytrzeszczyli oczy, kiedy kulejąc weszłam do pokoju. Nomi ostrożnie odstawiała dzbanek z herbatą na stolik, a Glen postawił filiżankę, którą wręczyła mu ciotka.

Pierwszy przemówił Colton.

— Dzień dobry, Trent. Byłem ciekaw, kiedy cię zobaczę. Co się stało ze stopą Diny?

Glynis kołyszącym krokiem odeszła od obrazu, zatrzymując się przy ojcu oparła ręce na biodrach, w jej oczach pojawił się błysk złości.

— Oczywiście, wydarzył się wypadek... — rzekła.

Trent obrzuciwszy ją spojrzeniem, zwrócił się jednak do Coltona.

— To nie był wypadek. Na ścieżce, nad brzegiem jeziora zastawiono na nią żelaza chwytny. Były ukryte w stosie zeschniętych liści, gdy zatrasnęły się, tylko przypadek uratował ją przed okaleczeniem.

Coś nieuchwytnego działo się w pokoju. Glynis była już przy boku ojca, Glen stanął tuż za nią. Troje Chandlerów skupiło się razem, tworząc barierę przeciwko wszystkim obcym i wznosząc mur dla ochrony własnych pozycji. Ci troje mogli się między sobą spierać, ale wobec reszty świata tworzyli zwarty klan.



— Co masz na myśli, mówiąc „zastawiono na nią”? — zapytał Colton prowokująco.

Nomi wydała stłumiony dźwięk, jakby dając upust oburzeniu.

Trent spojrział na nią.

— Masz rację, Nomi. Keith nie zastawiłby ich tam. Ale sądzę, że wiem, kto to zrobił.

Glynis poklepała ojca lekko po ramieniu i podeszła do Trenta. Teraz nie interesowała się już mną. Policzki zarumieniły się jej, spojrzała wyzywająco na Trenta.

— Dina ma talent do znajdowania błędnych rycerzy, prawda? No, popatrz, jak bardzo w porę spotkałeś ją w lesie, żeby ją uratować i przyprowadzić do domu!

— Zdobyłaś potrzask od Keitha — oskarżył ją Trent. — To ty zastawiłaś go na ścieżce!

— Daj spokój! — wtrącił się Glen. — Wiemy, że jesteś obrażony na Chandlerów, ale takie oskarżenie wyssane jest z palca...

— Twoja żona mogła znaleźć się w szpitalu ze złamaną nogą — powiedział oschle Trent. — Radziłbym ci, żebyś po tym, co się zdarzyło, lepiej się o nią troszczył.

Lekko dotknął mojego łokcia i oczy na chwilę mu złagodniały.

— Bernardino... — powiedział.

Nie chciałam jego litości i bałam się, że mogę się rozplakać. Kiedy opuścił salon i dom, miałam wrażenie, że tracę wszystko, co mogło mnie uchronić przed klanem Chandlerów.

Glen objął mnie ramieniem, delikatnie posadził na krześle i ukląkł, żeby obejrzeć kostkę.

— To nie wymaga, Dino, leczenia szpitalnego. Jak mi się wydaje, to tylko otarcie skóry i być może stłuczenie.

Zniecierpliwiłam się i jak nigdy dotąd, trochę wściekłam.

— Oczywiście, to nie wymaga leczenia w szpitalu! Trent powiedział tylko, że mogłam się tam znaleźć! Żelaza zatrzasnęły się, kiedy grzebałam gałęzią, zacisnęły się na niej, mnie tylko zadrasnęły.

— A dlaczego musiałaś grzebać w potrzasku? — zapytała Glynis.

Zamieniłam z nią spojrzenia, i jeśli jeszcze je miałam, to resztki wątpliwości mnie opuściły. Kusila mnie teraz tak samo, jak przedtem zwabiła do pułapki przy pomocy pustej butelki. Mógł ją znaleźć jakiś spacerowicz i uruchomić samotrzask. Jednakże nikt prócz mnie nie przechodził tamtędy. Najpierw rzucona w przypiływie gniewu kula magiczna, potem sidła, zastawiono z bardziej zdecydowanym rozmysłem.

— Twoja siostra chce się mnie pozbyć — rzekłam do Glena.

Ponownie odniosłam wrażenie, że szczep Chandlerów znowu zwarł się, żeby wspólnie odeprzeć tak zwariowany zarzut.

— Jeśli pozwolisz — powiedział Colton, ignorując moje słowa — sądzę, że możemy kontynuować przerwana rozmowę.

Uświadomiłam sobie, że potrafił być równie oziębły jak jego córka. A Glen pod wpływem słów ojca natychmiast o mnie zapomniał.

— Tak — rzekł — jestem za tym, żeby pokaz odbył się od razu. Jestem gotów.

— Ale ja nie! — powiedziała Glynis. — Nie jestem zadowolona ze szkiców Keitha. Próbowałam ołówka i akwareli, mam w połowie wykończony obraz olejny i na dodatek pół tuzina szkiców ołówkiem, a mimo to nie jestem zadowolona.

— W takim razie to odpowiedni moment, żeby obejrzeć co zrobiłaś — powiedział Colton. — Jutro rano wyjeżdżam do Nowego Jorku, zawieźć do domu obrazy. Będę w podróży przez dzień lub dwa. Tego popołudnia urządzimy więc jeden z naszych pokazów, tak jak zazwyczaj to robiliśmy. Czy byłem dla was nauczycielem przez prawie całe wasze życie, czy nie?

Glynis miała posępną minę, ale Glen zwrócił się do mnie ucieszony.

— Kochanie, chodź na górę, do pracowni. Chciałbym jeszcze coś zrobić, zanim Colton będzie miał dla nas czas. Stopa nie będzie ci chyba dolegać na schodach, prawda?

Przez cały czas Nomi siedziała cicho przy oknie, ale teraz podniosła się i odepchnęła Glena. Nomi, drobna, zdecydowana postać z podwyższającą ją koroną warkoczyków.

— Jak możesz być taki bezmyślny? Chodź ze mną, Dino. I pamiętaj o tym co ci powiedziałam. Chandler nigdy naprawdę nie widzi niczego oprócz Chandlerów. Powinnaś usłyszeć wrzawę jaka się podnosi, gdy jeden z nich skaleczy się. Chodźmy do kuchni, wezmę bandażę i ciepłą wodę, żeby opatrzyć ci kostkę. Glen, ona nie wejdzie na żadne schody! Nie pozwolę na to.

W końcu jednak wspięłam się po schodach. Kiedy moja stopa została obmyta i Nomi zabandażowała ją bardzo fachowo, poczułam się znacznie lepiej. Będzie chyba przez dzień lub dwa siniec i puchnąć, ale teraz nie bolała mnie tak bardzo, i odzyskiwałam już równowagę psychiczną. Muszę odtąd mieć się na baczności przed Glynis, bo Glen niewiele mi pomoże. Skoro jednak potrzebował mnie na górze, musiałam tam iść. Nomi bandażując mi stopę, wyjaśniła, co oznaczało słowo „pokaz”.

Kiedy rodzeństwo było młodsze i wciąż jeszcze uczyło się malować, ojciec pozwolił im na utrzymywanie twórczości, w pewnym sensie, w tajemnicy. Nikomu nie było wolno przerywać, krytykować, bądź też przesadnie chwalić pracy drugiego. Ale po pewnym czasie, kiedy szkice były gotowe, Colton urządzał to, co nazywał pokazem. Pozwalał dzieciom wnikliwie przyglądać się swoim, nawet niedokończonym pracom i oczekiwał od nich krytycznego, profesjonalnego sądu.

— To był jego sposób, żeby kontrolować wszystko, co zrobili — rzekła Nomi. — Doceniam w nim jednak to, że nie narzuca ani też nie preferuje własnych gustów. Potrafi uznać to, co dobre nawet jeśli nie odpowiada to jego osobistym upodobaniom. Ale nie toleruje mierności i potępia ją, dlatego bliźnięta trochę obawiają się tego rodzaju próby. Rzecz jasna, że od pewnego czasu nie był w stanie zmusić ich do tego.

Trudno teraz było mi myśleć o rzeźbie i malarstwie.

— Co sądzisz o potrzasku ukrytym na ścieżce? — zapytałam.

Owinęła plaster wokół gazy, żeby się nie zsunęła, unikając mojego wzroku. Było tak samo jak wtedy, gdy Glynis rzuciła we mnie magiczną kulą, Nomi nie odezwała się. Zastanowiłam się, dlaczego obawiała się zaangażować, zając stanowisko, skoro zazwyczaj dość otwarcie wypowiadała swoje zdanie.

— W rzeczywistości potrzask ich nie obchodził — rozważałam zdumiona. Nie zauważyłam, żeby Glen lub Colton, przekonawszy się, że nie odniosłam poważniejszej rany, zainteresowali się, czy to Glynis umieściła tam pułapkę, by mnie zranić.

— Oni są realistami. Nie byłaś poważnie skaleczona, więc przeszli do innych spraw. Jeśli ktoś umyślnie umieścił potrzask, nie potwierdzą tego,

żeby nie tracić czasu. Masz szczęście, że nadszedł Trent i pomógł ci wrócić do domu.

— Był dla mnie miły — rzekłam. Pomimo że jestem jedną z Chandlerów.

Nomi parsknęła.

— Nie jesteś żadnym z Chandlerów i nigdy nie będziesz! Nie staniesz się ani trochę bardziej, niż była Elżbieta, lub kiedykolwiek zostanę ja. Dobrze byłoby o tym pamiętać. Powstrzyma cię to przed liczeniem, że jedno z nich ochroni cię przed innymi. Oni jednoczą siły, rozumiesz? Widziałaś to dzisiaj.

— To nie jest poważna rana — przypomniałam. — Gdyby było inaczej, Glen zaniepokoiłby się bardziej...

— Jestem tego pewna — zgodziła się. — Gdyby twoja stopa była złamana, jego najlepszy model znalazłby się w szpitalu. Z tego by się nie ucieszył!

Wywinęłam się z jej rąk, wcisnęłam na zabandażowaną stopę zamszowy but i luźno go zapięłam.

— To było nieprzyjemne, co powiedziałaś. Nie sądzę, żeby to była prawda.

Po raz pierwszy dostrzegłam łagodność na jej twarzy — coś miękkiego i drżącego, coś, co przypominało zbieranie się na płacz i dawny ból. Poklepała mnie lekko po policzku.

— Wiem, moje dziecko. Zbyt często wypowiadam ostre i raniące słowa. Nie pozwól, żeby to samo stało się z tobą.

— Pójdę na poddasze — powiedziałam. — Nie używam ostrych słów. Chcę pomóc Glenowi a teraz mogę już wejść po schodach.

Glen był tam, czekając na mnie pracował nad alabastrem. Jego oczy na mój widok zabłyśły.

— Jak się czujesz, kochanie? Nomi lubi opiekować się nami i rozstawiać nas po kątach, jeśli coś nie gra. Cieszę się, że pozwoliłaś jej opatrzyć sobie ranę.

Nic na to nie mogłam powiedzieć. Chciałam wprawdzie zapytać, co naprawdę myśli o potrzasku, ale to nie był właściwy moment. Podeszłam więc do krzesła na podium, a Glen ustawił mnie pod odpowiednim kątem. Kiedy Glynis i ojciec weszli, Glen pracował dłutem wklęsłym i młotkiem. Glynis nie spojrzała w naszym kierunku i poszła do własnego atelier. Colton stanął pośrodku strychu, na neutralnym terenie. Widziałam go z krzesła. Wyglądał na wysokiego, przystojnego mężczyznę ze srebrzystymi włosami i czerstwą twarzą, na której rysowały się delikatne zmarszczki. Narobił hałasu gromkim oświadczeniem:

— Komunikat meteorologiczny zapowiada burzę śnieżną od zachodu — powiedział. — Do wieczora będzie już tutaj, pojedę więc dziś do Nowego Jorku. Do jutra możemy być zasypani śniegiem. Jak tylko skończymy, pomożesz mi, Glen, zanieść obrazy do wozu. Ale najpierw wszyscy obejrzymy nad czym oboje pracowaliście. Glen, Dino, chodźcie — najpierw obejrzymy prace Glynis.

Odniosłam wrażenie, że Glynis nie przejawia na to zbytnej ochoty. Wciąż miała nadąsaną minę, nie ruszyła się, żeby wziąć swoje prace i umieścić na sztalugach, dopóki ojciec nie kazał jej tego zrobić. Stawiała więc, jedną po drugiej na sztalugi, abyśmy mogli je obejrzeć. Prezentowane szkice i obrazy zaintrygowały mnie.

Glynis najwyraźniej starała się przedstawić Keitha na różne sposoby, ale pomimo talentu, wszystko, czego się tknęła, było pozbawione prawdziwego życia. Na akwareli stał w lesie, oparty o drzewo. Wyglądał prawie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam go oczekującego na nią w dzień jej przyjazdu. Kolba strzelby opierała się o ziemię, prawą ręką przytrzymał lufę. Udało się jej uchwycić podobieństwo, ale było w tym coś fałszywego.

— Martwe, bez wyrazu — rzekł Colton i odwrócił się do syna, oczekując potwierdzenia.

Glen spojrział na siostrę ze smutkiem.

— Glynis, obawiam się, że to prawda. To niezależne od ciebie.

Pokazała nam obraz olejny. Tym razem chłopiec stał na ścieżce nad brzegiem, ściskając w jednej ręce za uszy królika, w drugiej strzelbę. Szczegóły były drobiazgowo odtworzone i obraz był raczej ładny, ale twarz po kilkakrotnych przeróbkach była bez wyrazu.

— Twoje pejzaże są lepsze — rzekł Glen. — Być może zbyt lubisz chłopca, żeby namalować go we właściwym ci stylu. Malując, nie masz zwyczaju patrzeć życzliwymi oczami. Rozumiesz? W tym co robisz, tkwi zawsze coś złośliwego. A to... jest kiczowate, bez smaku.

Glynis chwyciła pędzel i złamała go na pół.

— Nic z tego! — powiedział ostro Colton. — Zepsuto cię, moja droga. Zawsze wychwalaliśmy cię pod niebiosa — i słusznie — ale każdy artysta ma swoje złe okresy, kiedy nic mu się nie udaje. Widocznie jesteś w takiej fazie. Proponuję, żebyś wniosła do tego, co malujesz, więcej życia. Zarówno akwarele, jak i olej, są statyczne. To do ciebie nie pasuje. Jesteś, moja droga,

istotą, która działa. Nie stoisz spokojnie, ty polujesz na zdobycz, i twój obraz powinien być pełen ruchu.

— Mogłabyś przedstawić Keitha obdzierającego tego królika ze skóry — powiedział oschle Glen. — Jestem pewien, że chłopiec, jeśli będziesz chciała, wyświadczy ci tę przysługę.

Glynis zmarszczyła nos.

— Nie znoszę wszystkiego, co pachnie rzeźnią. Nie lubię obdzieranych ze skóry zwierząt!

— O, nie... — rzekł Glen — wolisz je zastrzelone lub schwyte w sidła.

Pierwszy raz zrobił aluzję do potrzasku. Glynis zdjęła ze sztalug swoje prace i po kolei je podarła. Ojciec spojrział na nią z niechęcią i przeszedł do pracowni syna. Glen ruszył w stronę alabastrowej głowy, jakby chciał ją ochronić. Wiedziałam, że obawiał się ojcowskiej krytyki i ewentualnych drwin. Był bardziej przyzwyczajony do ostrych sądów niż Glynis, ale ta rzeźba tyle dla niego znaczyła. Tak samo jak Glen bałam się, że ojciec ostudzi jego wenę twórczą, która nie opuszczała go od chwili przybycia do Gray Rocks Lake.

Martwiliśmy się niepotrzebnie. Colton, jeśli dostrzegł doskonałość, doceniał ją. Przyglądał się głowie, oczy mu błyszczały, a twarz płonęła. Wnikliwie obejrzał ją pod każdym kątem i doszedł do wniosku, że ja również mogę na nią spojrzeć. Tak bardzo bałam się o Glena, byłam przerażona, że jego wielkie nadzieje spełzną na niczym. Ale teraz zobaczyłam, że stworzył wspaniałe dzieło.



Trudno mi było uzmysłwić sobie podobieństwo do mnie. Czułam się tak, jakby rzeźba nie miała nic wspólnego ze mną, z wysiadywaniem na krześle i pozowaniem.

Glen zastosował cięcie poniżej szyi. Alabastrowa głowa wysoko unosiła podbródek. Nagie ramię wynurzało się z lodowatego kamienia i lekko podnosiło ku górze, jakby więziona w zimnej materii boginka, próbowała się uwolnić skokiem.

Twarz rzeźby była zarazem moja, jak i zupełnie inna. Ożywiała ją energia życiowa, surowa i nieczuła, zupełnie pozbawiona ludzkiego ciepła. Była piękna i czysta, bo nie skażona prawdziwym życiem. Tak więc nie mogła to być moja twarz.

Nawet dziecko nigdy nie jest w tak chłodny sposób niewinne, jak ta boginka. O ile rzeczywiście rzeźba wyrażała niewinność!

Drugie ramię było nadal nie wyrzeźbione; wiedziałam, że Glen zamierza tak je pozostawić. Lewą stronę aż po szyję więził kamień, dalej wyłaniała się cała reszta. Kilka, jakby poruszanych wiatrem kosmyków, spoczywało na widocznym prawym ramieniu, spływające do tyłu włosy, zdumiewająco ożywiały kamień. Wiele szczegółów rzeźby nie było jeszcze dokończonych, ale to, co zostało zrobione, było dobre.

— Oczywiście nie jest jeszcze wykończona — powiedział szybko Glen. — Trzeba jeszcze popracować nad detalami twarzy i całą głową. I wciąż próbuję dobrze uchwycić włosy. Żeby były takie, jakie ma Dina.

Colton uciszył te wynurzenia, mówiąc jakby z lękiem:

— To wspaniałe. Glen, odnalazłeś siebie! To przyniesie ci sławę. I po tym, co zrobiłeś, nie utracisz już swojego stylu. Niedoświadczona Dina pomogła ci odzyskać siły. Trzymaj się jej. Trzymaj się jej i...

— ... i trzymaj ją z dala od potrzasków — powiedziała stojąca za nami Glynis, głosem tak chłodnym, jak biały alabaster. Chłodny, śnieżnobiały alabaster z zielonym odcieniem zazdrości.

— Teraz nie mam już czasu — rzekł Colton, ignorując córkę. — Muszę jechać. Glen, pomóż mi przenieść obrazy.

Zanim Glen ruszył się z miejsca, żeby pomóc ojcu, Glynis podeszła blisko do rzeźby i lekko dotknęła ją dłońmi o długich palcach. Zaskoczyło mnie to, co powiedziała.

— To jest udane, Glen. Nadzwyczajnie udane. Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś, z wyjątkiem rzeźby z czarnego marmuru. Zastanawiam się, czy wiesz dlaczego?

Glen odwrócił się do niej tak ochoczo, że aż serce mi zadrżało. Chyba zdążył już przekonać się, że nie można jej ufać, a może był jedynym, który odważył się jej zaufać?

— Powiedz mi, co masz na myśli — rzekł.

Zainteresowało to nawet Coltona, który zatrzymał się, żeby usłyszeć, co miała do powiedzenia.

Delikatnie, prawie z czułością, Glynis przesunęła dłonią po twarzy, tej mojej i nie mojej twarzy, badając wrażliwymi palcami jej zarys, jakby była niewidoma.

— To odwrotność rzeźby z czarnego marmuru, ale również jej uzupełnienie. To nie Dinę wyrzeźbiłeś w bryle alabastru. Wiesz o tym, prawda?

Glen odwrócił się. Był zupełnie blady, gdy gwałtownie zaprzeczał:

— Nie! nie! Mylisz się, Glynis. Ja nie miałem takiego zamiaru.

Siostra przez chwilę patrzyła na niego, a potem zupełnie bez uprzedzenia wybuchnęła płaczem i uciekła z poddasza. Usłyszeliśmy hałas na schodach i trzask drzwi na dole.

Bładość Glena była chorobliwa, ale ojciec nie zwracał na to uwagi.

— Sytuacja odwróciła się — powiedział. — Ona się cofa, podczas gdy ty, posuwasz się naprzód.

Z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzy podszedł jeszcze raz spojrzeć na rzeźbę.

— W gruncie rzeczy okazała się bardzo spostrzegawcza — rzekł. — Odkryła prawdę bez względu na to, czy akceptujesz to czy też nie, Glen. Położył dłoń na alabastrowej głowie. — Oboje nigdy się od siebie nie uwolnicie. Nie próbuj więcej niepotrzebnie dokuczać siostrze. A teraz chodź ze mną i pomóż mi zapakować rzeczy do samochodu. Dina z taką stopą nie nadaje się do tego.

Colton uśmiechnął się do mnie niezdecydowanie, podnosząc kilka płócien i ruszając po schodach w dół. Mimo wszystkich jego pochwał, byłam poza klanem.

Jednak myślałam tylko o Glenie; dostrzegłam, że jest wstrząśnięty. Zwróciłam się do niego, pragnąc mu zaofiarować moją miłość, wiarę w niego i ukojenie.

— Nie wierz w to, co mówi twoja siostra... — zaczęłam, ale przeszedł obok, potrącając mnie spojrzał prawie ze wstrętem i poszedł pomóc ojcu.

Kiedy znosili obrazy do samochodu, zatrzymałam się przy rzeźbie, wnikliwie usiłując przyjrzeć się jej. Tak, miała to w sobie. Domyślałam się już, co Glynis miała na myśli. Ten nieludzki akcent, z pewnością nie był moją cechą. Znałam jego pochodzenie i przez chwilę poczułam, jakby

również mnie uwięziono w lodowatej bryle. Dzisiejszej nocy twarz, która nie była moja, na pewno nawiedzi moje sny. Odwróciłam się plecami do rzeźby i zesłam z poddasza pragnąc znaleźć się jak najdalej od niej.

Obrazy były już włożone do wozu, stanęłam przy frontowym oknie, żeby obserwować odjazd Coltona. Popołudniowe niebo pociemniało, a szare, postrzępione chmury wskazywały na to, że wkrótce będzie padać śnieg. Nomi stanęła obok mnie. Opowiedziałam jej o skutkach „sądu” Coltona. Nie wspomniałam tylko o tym, co powiedziała Glynis. Nomi była chyba więcej niż trochę zadowolona, zarówno z sukcesu Glena, jak i z niepowodzenia Glynis. Nigdy nie pozwalała zapomnieć, że zawsze była przeciw Glynis. Nie byłam jednak pewna, czy tym samym jest po mojej stronie. Teraz, opatrzywszy mi stopę, przynajmniej zainteresowała się mną; wykorzystałam to.

— Opowiedz mi o matce Glena — poprosiłam. — Opowiedz mi o Elżbiecie...

Nomi nie odpowiedziała ani nawet nie spojrzała na mnie.

Tymczasem na dworze Colton usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Opuścił szybę, pomachał do Glena i zakosami zjechał podjazdem w kierunku szosy. Glen przez chwilę stał, odprowadzając go oczami, a potem ruszył w las, chyba w kierunku Gray Rocks, aby odnaleźć siostrę.

Kiedy znikł z pola widzenia, Nomi wzięła mnie pod rękę i powoli zaprowadziła do swego salonu. Jezebel wróciła już na swoje miejsce i leżała na wytartej sofie, leniwie mrucząc.

— W tym pokoju zawsze będziesz bezpieczna — powiedziała dziwnym tonem. — Glynis nigdy tu nie przychodzi. Zbyt przypomina jej matkę, nie może znieść oskarżenia, które w nim się kryje.

— Czy mogłabyś mi teraz opowiedzieć? — zapytałam. — Chcę to zrozumieć. Tak wiele spraw dotyczących Chandlerów jest dla mnie tajemnicą. W jakim sensie ten pokój wiąże się z Elżbietą?

— Podczas nocnych burz ten pokój jest najcieplejszy w całym domu, a ponieważ Elżbieta często marzła, gdy bliźnięta były małe, tu zazwyczaj spędzaliśmy wieczory, a nawet także popołudnia. Colton często, tak jak teraz, przebywał poza domem. Elżbieta chciała więc, żebym z nią była. Nigdy nie była silna, a dzieci już wtedy były niesforną parą.

Podeszła do biurka i otworzyła je, podczas gdy ja siedziałam obok Jezebel i głaskałam jej sierść. Po chwili Nomi wróciła, niosąc fotografię. Była to stonowana odbitka w kolorze sepii przedstawiająca ładną kobietę o słodkiej twarzy, uczesaną zgodnie z modą lat trzydziestych w kok. Oczy miała jasne, trochę zmartwione, usta łagodne, ale podejrzewałam, łatwo drżące.

— Nie miała dość sił, żeby poradzić sobie z Chandlerami — powiedziała Nomi i odłożyła album z fotografiami. — Dlatego ja musiałam znaleźć dość sił za nas obie. I mogę powiedzieć, że wytrzymałam. Nie ujarzmili mnie, chociaż nie raz próbowali.

Zamyślona potarła mały, ostry nos, a ja uśmiechnęłam się do niej z rosnącą sympatią.

— Z całą pewnością nie ujarzmili cię. Ale zaczynam zastanawiać się nad sobą.

Wyciągnęłam stopę i spojrzałam na puchnącą kostkę.

— Po świętach Glen zabierze cię stąd — rzekła Nomi. — Zgodnie z tradycją wszyscy przyjeżdżają do domu na święta i spędzają tu Nowy Rok.

Potem znowu się rozjadą, ale teraz Glynis może kurczowo trzymać się brata. Musisz więc upierać się, że nie zostaniesz z nią na dłużej w jednym domu.

Wszystko zależy od tego, jak będzie się czuć Glen. Jeżeli odnalazł się w pracy, tak jak zdaje się uważać jego ojciec, nie mogę sprawiać mu zawodu i nalegać na zmiany.

Z uporem powróciłam do sprawy Elżbiety.

— Keith powiedział mi, że jego babka na jeziorze, za Gray Rocks, dostała się pod lód.

Nomi uklękła przed ogniem na kominku i dołożyła kilka brzoźowych polan. Potem przykucnęła na dywaniku rozłożonym przy kominku i wyciągnęła ręce ku płomieniom, jakby zrobiło się jej zimno. Twardym, beznamietnym głosem opowiedziała mi całą historię.

— To zdarzyło się na Nowy Rok. Elżbieta zabrała Glynis na łyżwy. Glynis bawiła się nowymi zabawkami, które dostała na święta, i nie chciała wychodzić. Nawet jako pięciolatka była diabełkiem. Glen wprawdzie był tak samo przewrotny, ale u niego przejawiało się to w trochę inny sposób. Tamtego dnia, zanim wyszły z domu, córka upierała się, żeby jeździć w jej ulubionym miejscu. Zrobiło się cieplej, była nieznaczna odwilż, a tamto szczególne miejsce, chociaż doskonałe do ślizgania, ponieważ lód na powierzchni topnieje tam najszybciej, a potem zamarza gładko, często bywa też niepewne, bo przez okrągły rok biją tam źródła. Elżbieta, aby przerwać jej marudzenie, powiedziała, że pójda gdzie chce Glynis i zobaczą jak twardy jest lód. Nigdy nie dowiemy się dokładnie, co się tam wydarzyło. Jak można wydobyć prawdę z pięcioletniego, przerażonego dziecka? Na ile zdołaliśmy na podstawie tego, co później opowiedziała Glynis, odtworzyć zdarzenie, to nie posłuchała ona ostrzeżeń matki. Założyła swoje łyżewki i

poszła ślizgać się właśnie tam, i lód zakołysał się pod jej ciężarem. Być może, gdyby matka została na brzegu i zaczekała, aż nieposłuszne dziecko zawróci, wszystko byłoby dobrze. Ale Elżbieta musiała chyba stracić głowę, spróbowała dogonić ją i przyprowadzić z powrotem, nim lód się załamał. Oczywiście pod wpływem większego ciężaru lód pękł. Lodowata woda porwała ją, a Glynis cała wróciła na brzeg.

Nomi umilkła. Wpatrywała się w rozżarzone brzozone kłody z takim natężeniem, jakby widziała tam rozgrywającą się dramatyczną scenę. Twarz pociemniała jej z bólu i... czegoś więcej.

— A więc Glynis patrzyła jak umiera matka, wiedząc, że to jej wina?  
— cicho zapytałam.

Nomi podniosła się z dywanika i usiadła na krześle.

— Nie. Jeszcze gorzej. Być może, gdyby Glynis pobiegła prosto do domu, zdołano by uratować Elżbietę. Ale dziecko wiedziało, że matka szła ją ukarać, uciekło więc i ukryło się. Minęła więcej niż godzina, nim odnaleziono ciało jej matki. Początkowo przypuszczaliśmy, że Glynis też mogła zginąć w jeziorze, ale najpierw przeszukaliśmy las i odnaleźliśmy ją w kryjówce, w grocie na szczycie Gray Rocks, tam gdzie nie wolno było jej chodzić. Kiedy ojciec sprowadził ją na dół i zabrał do domu, ze strachu wpadła w histerię. Upłynęły tygodnie, zanim dowiedzieliśmy się co się stało.

Nie chciałam wprawdzie zajmować się czymkolwiek, co dotyczyło Glynis, ale pomimo to, ta historia wzruszyła mnie. Czułam litość dla dziecka, które spowodowało tragedię. Jej wina była winą dziecka, jej występki był czynem pięcioletniej dziewczynki!

Oczy Nomi błyszczały, wyraz twarzy miała surowy. Jej myśli opuściły pokój, w którym siedziałyśmy z Jezebel; na nowo przeżywała dawną tragedię.

— Nie możesz wciąż jej winić — rzekłam. — Jak można nienawidzić dziecka z powodu dziecinnego wybryku, nawet bez względu na jego skutki?

— Nigdy nie była dzieckiem! — Nomi ozięble spojrzała w moją stronę. — Glynis zawsze była zła, nawet w dzieciństwie. Była małym potworem, a teraz jest jeszcze potworniejsza. Nie zmieniła się. Wystarczy, że spojrzysz na swoją kostkę, a znajdziesz potwierdzenie.

— Być może to dorośli, którzy ją oskarżali, zrobili z niej jakiegoś potwora — rzekłam. — A co było później?

Nomi potrząsnęła głową z oburzeniem.

— Nigdy nie byliśmy okrutni wobec niej. Nie mogłam wprowadzić jej przebaczyć, ale nie pokazywałam Glynis moich uczuć. Kiedy była dzieckiem, nie dawałam jej odczuć, jak bardzo cierpię z powodu śmierci siostry.

Ale dziecko to wyczuje — pomyślałam. Wyczuje, czy jest kochane czy też nie.

— Właśnie wtedy jeszcze bardziej zbliżyła się do brata — ciągnęła Nomi. — Byli już mocno związani jako bliźnięta, ale po tym, co się stało, kochała go i ufała mu jak nikomu innemu. On nigdy jej nie oskarżał, a odczuwając brak matki, oboje mocno przyłgnęli do siebie. Colton nie mógł zastąpić im matki, a ja mogłam się tylko nimi opiekować. Z czasem pokochałam Glena i Kocham go nadal. Ale jego siostra to co innego. Ostrzegałam cię już, że gdyby mogła, rozbiłaby twoje małżeństwo. Teraz wygląda na to, że próbuje zranić cię także fizycznie. Być może, spróbuje w



walce z tobą wykorzystać Keitha. Wystarczy uciekanie się do sposobu, w jaki zdobyła od niego potrzask. Wciąż go przekupuje obietnicami zabrania do Nowego Jorku, chociaż potrafię wyobrazić sobie tryb życia, jaki tam prowadzi — moralny rozkład! Tam nie mogłaby się nim posługiwać. Ale tu...

— Dlaczego Trent pozwala synowi przebywać w High Towers? Przecież tu jest pod jej wpływem? — zapytałam.

— To stara historia. Ma związek z procesem rozwodowym. Rozwodu on chciał. Glynis nie dbała o formalności. Ustalono, że chłopiec pozostanie u babki, gdzie zgodnie z prawem matka mogłaby go odwiedzać. Nie muszę mówić, że Glynis nie chciała, żeby chłopiec z nią mieszkał. Na początku nie miało to znaczenia. Teraz jest inaczej, ale Trent ma związane ręce. I to kolejna pretensja, jaką mam do niej.

Nomi powiedziała więcej niż zamierzała. Być może był to powód, dla którego unikała najmniejszej wzmianki o tych sprawach: wiedziała, że może się zdradzić z kipiącą w niej do tej pory pasją, wściekłością, która była tak nieprzyjemna.

Poczułam, że salon przytłacza mnie i znów zapragnęłam uciec. Powiedziałam, że pójde na górę do pokoju po książkę, i zostawiłam Nomi przed kominkiem z Jezebel.

Wciąż przerażona historią Nomi, rozpamiętywałam przeszłość i współczułam dziecku, którym była Glynis. Przechodząc przez hall, przed schodami natknęłam się na wpadającego frontowymi drzwiami Glena i tuż za nim, wrzeszczącą, dorosłą Glynis. Nigdy nie widziałam Glena tak bladego i wściekłego. Minał mnie, jakbym była powietrzem i wbiegł po schodach. Drzwi zatrzasnęły się za Glynis. Zobaczywszy mnie, oparła się o

filar schodów, ręce wsunęła w kieszenie płowych spodni. Włosy miała rozwichrzona przez wiatr. W jej oczach jawnie kryła się zapowiedź zrobienia mi czegoś, tak iż zapomniałam o opuszczonym dziecku. Przez nieskończenie długą chwilę dokładnie przyglądała mi się, przyłożyła paznokieć kciuka do brwi i kreśliła nim linię tym gestem, który zdawał się oznaczać, że znowu knuje jakąś intrygę.

— O co wam poszło? — zapytałam.

Uśmiechnęła się, wyglądała jak tajemnicza kotka. Dziwiłam się, dlaczego nie lubiła kotów, skoro tak często sama je przypominała. Nie podobały mi się kryjące się w jej spojrzeniu obietnice. Cokolwiek zamierzała zrobić, nie chciałam doświadczyć skutków tego.

Na tupot stóp wbiegającego po schodach Glena, wyjrzała z salonu Nomi i zatrzymała się, przyglądając z głębi hallu. Nim zdołałam ruszyć za mężem po schodach w górę, Glen, założywszy na sweter ciepłą kurtkę, znowu wybiegł. Próbowałam odezwać się do niego, ale tylko mignął mi w przelocie.

— Wychodzę! Muszę uwolnić się od tego domu. Nie wiem, kiedy wrócę. Nie spodziewajcie się mnie wcześniej niż jutro; jeśli w ogóle wrócę!

— Glen! — zawołałam z płaczem. — Glen, zabierz mnie ze sobą! — ale on już odszedł, nie zważając na moje słowa.

Nomi zareagowała natychmiast. Chwyciła płaszcz z wieszaka w hallu, założyła go i pobiegła za nim. Kiedy pośpieszyłam na werandę, zobaczyłam jak biegnie do wozu Glena. Zdażyła wsiąść, zanim zapalił silnik, odjechali razem, samochód przechylał się na zakrętach stromo spadającej w dół drogi.

Śmiech Glynis zabrzmiał okropnie.

— Moja droga, Nomi zaopiekuje się nim. Mój kochany braciszek nie jest z nas w tej chwili zadowolony. Ale Nomi dopilnuje, żeby nie jechał jak szalony. Powstrzyma go też nadchodząca śnieżycą. Padają już pierwsze płatki. Jakże kocham zimę! Nie umiem oddychać gorącym powietrzem. Gdy jest zimno, mogę wreszcie zaczerpnąć w płuca powietrza, wyjść na dwór i żyć! Trudno mi doczekać się pierwszej zamieci, mam nadzieję, że właśnie się zaczyna. Oby śnieg padał wiecznie! Zaspy będą po sam dach!

Spojrzałam w górę na jaśniejące niebo i zobaczyłam lśnienie pierwszych płatków śniegu.

— Co mu zrobiłaś? — chciałam dowiedzieć się. — Czym tak go zdenerwowałaś?

Zaczęła wchodzić po schodach.

— Nie sądzisz, że ważniejsze jest to, co on mi zrobił? — powiedziała i pobięła w górę do swego pokoju.

Gdy za nią patrzyłam, z salonu Nomi wyszła Jezebel. Głos Glynis i jego ton sprawiły, że każdy włos na jej tygrysim ciele zjeżył się. Podeszła sztywno na czubkach pazurów, z podniesionym do góry puszystym ogonem i błyskającymi szaleństwem oczami, jak kot w złym humorze.

Uciekłam do salonu, zamykając drzwi. Z wyjątkiem, zajętej w kuchni przygotowywaniem kolacji, pani Dixon, byłam z Glynis i Jezebel, dwiema trochę szalonymi istotami, sama. Po ósmej wieczorem gospodyni też miała wyjść.

## 8

Pani Dixon wcześniej podała kolację, wrzuciła naczynia do zmywarki i zabrała się do wyjścia. Powiedziała, że nie chce wracać do domu samochodem podczas zamieci, a pogoda pogarsza się z każdą minutą. Kiedy odeszła, siedziałyśmy z Glynis w salonie przy kawie, jak-gdyby wszystko było w porządku. Podczas kolacji próbowałyśmy rozmawiać wychwalając panią Dixon, ale Glynis prawie bez przerwy wpatrywała się we mnie mrocznym, zawoalowanym spojrzeniem, które nie zdradzało myśli. Moje zakłopotanie rosło.

Po odejściu gospodyni siedziałyśmy przed ogniem, nadśluchując, jak w dom uderza zawierucha, i wiatr zawodzi w kominie. Wyobraziłam sobie wieżyczki domu, sterczące w górę jak uszy, które uważnie łowią każdy dźwięk. Niesiony podmuchami wiatru śnieg tłukł o szyby i zgrzytał jak pustynny piasek. Dom od czasu do czasu drżał pod wpływem uderzeń wichury.

Glynis tego wieczoru ubrała się do kolacji, jakby jej ojciec i brat byli obecni. Miała na sobie śmiałą kreację: długi, jedwabny golf w żółte słoneczniki na białym tle. Nie poszłam na górę przebrać się ze spodni i swetra, ponieważ nie chciałam tam być z nią sama. Zachowywanie form grzecznościowych wydawało się bezsensem teraz, gdy zniszczyła wiarę Glena w jego talent. Prawie cały czas nadśluchiwałam odgłosów powracającego samochodu Glena, dźwięku, który nie miał się rozlec tej nocy.

— Zadałaś mi wcześniej pewne pytanie — powiedziała, popijając małymi łydkami cointreau, jej oczy były zamyślane. — Byłaś ciekawa, co tak zdenerwowało Glena. Czy nadal chcesz to wiedzieć?

Odczekałam chwilę, żeby dokończyć kawę i odstawić filiżankę.

— Przypuszczam, że to ty go zdenerwowałaś — rzekłam. — Ale czym?

— Chciałabym ci to powiedzieć. — Usadowiła się w rogu sofy, jakby to była miła rodzinna pogawędka. — Skoro go poślubiłaś, sędzę, że dobrze byłoby, gdybyś zrozumiała pewne sprawy. Ani Glen, ani ja nie istniejemy oddzielnie. Jesteśmy naprawdę jednością. Zawsze o tym wiedziałam i akceptowałam to. On z czasem przestał to uznawać. Doszedł do dziwnego przekonania, że go wyjaławiam, żeby rozwijać własny talent, tak że jemu nic nie pozostaje. Próbował więc zerwać łączące nas więzy, oddalić się ode mnie i uniezależnić. Być „jedynakiem”. Dlatego ożenił się z tobą i próbuje stworzyć to dzieło na górze...

— Z którego, jak twierdzi jego ojciec, bardzo łatwo może powstać arcydzieło — odpowiedziałam.

— Och, w zupełności zgadzam się! Nigdy nie twierdziłam, że tak nie jest. Ale nie spostrzegł, dopóki nie zwróciłam mu uwagi, że jego rzeźba kryje jeszcze drugą istotę, tym razem wyrażoną w białym alabastrze. Pod twoją dziewczęcą urodą wykreował siłę — a to ja! Rzeźba ma twoją twarz, a to tylko coś zewnętrznego i powierzchownego. Duszą ożywiającą kamień, jestem jednak ja, Glynis Chandler, jego bliźniaczka!

To był absurdalny pomysł. Chciałam jej to powiedzieć. Ale jeśli to prawda? Gdy po południu przyglądałam się rzeźbie, nie mogłam dostrzec żadnego podobieństwa do mnie...

Wstałam z krzesła, podeszłam do okna, próbując zobaczyć tańczące za szybą płatki śniegu, ale ujrzałam tylko własną twarz i pokój odbijający się w czarnej szybie.

— Kiedy przyjadą pług śnieżny? — spytałam przez ramię.

— Kto to wie? Niekiedy dwa, trzy dni byliśmy zasypani śniegiem lub tkwiliśmy w okowach lodu. Nie mieszkamy przy głównej szosie. Pług pojedą najpierw tam, gdzie jeżdżą rozwożące uczniów szkolne autobusy. Poza tym, jeśli spadnie więcej śniegu, nikt nie będzie mógł wjechać naszym podjazdem, zanim się go nie odśnieży. To robota Glena, kiedy jest w domu. Mamy traktor z pługiem do odśnieżania, który obsługuje. Albo Nomi telefonuje do farmerów z sąsiedztwa. Teraz jednak nie ma nikogo, kto by się zatroszczył o to, przypuszczam więc, że możemy być w tarapatkach.

— A ty nie możesz... — zaczęłam.

Siedziała w pokoju za moimi plecami tak cicho, że aż odwróciłam się, żeby zobaczyć co robi. Przyglądała mi się z rozbawieniem opromieniającym jej twarz. Paznokciem kciuka lekko zakreślała linię na jednej z brwi.

— Może mogę, ale czy chcę? — wymamrotała. — Nie uważasz, że jest tu nam dość przyjemnie? Nam dwom, najbardziej zainteresowanym Glenem!

Miałam wrażenie, że drasnęły mnie w kark kocie pazury, prawie jakby to Jezebel dotknęła mnie zimnymi łapkami. Jednak instynkt podpowiadał mi, żeby nigdy nie okazywać strachu przed Glynis. Za bardzo by się ucieszyła i wykorzystałaby mój lęk jak jaguar, który podkradając się paraliżuje przerażoną ofiarę. Nie wolno mi teraz myśleć o lecącej prosto we mnie szklanej kuli. Nie wolno mi myśleć o potrzasku w lesie. Nie powinnam się zdradzać, że obserwuję ją oczekując skoku, który może mnie zabić!

— Nigdy nie widziałam śnieżycy na wsi — rzekłam. — Chyba wyjdę pospacerować koło domu.

— Zaczekaj — powiedziała. Najpierw muszę ci coś pokazać. Chciałabym, żebyś obejrzała obraz, który namalowałam rok czy dwa lata temu. Myślę, że gdzieś tu powinien być.

Podeszła do biurka z uchylnym blatem, ciągnąc za mosiężną gałkę, wysunęła górną szufladę, Przerzuciła kilka szkiców i obrazów, wybrała jeden i przyniosła do mnie. Mimo iż naprawdę nie miałam ochoty nic oglądać, wzięłam go pod duży żyrandol, gdzie było najlepsze światło.

Była to nieduża akwarela — chyba nie większa niż siedem na dziesięć cali. Jej temat chorobliwie zafascynował mnie. Miałam wrażenie, jakby Glynis odgadła moje myśli o potrzasku i wielkim kocie. Jakby wrażliwość lub nienawiść zapewniła jej szczególną zdolność czytania myśli.

Nie miałam wątpliwości, że namalowanym kotem była Jezebel beznadziejnie zaplątana w zaciskającej się wokół jej ciała sieci. Zwierzę miało się wściekle, próbując uwolnić się. Przerażone, żółte oczy kotki płonęły wściekłością, stuliła uszy, i parszając obnażyła zęby. Jedna łapa, z dziko rozcapierzonymi pazurami, wystawała z oka sieci, w drugim był nienaturalnie wygięty ogon.

Glynis zbliżyła się, by stanąć obok mnie. Uśmiechnęła się chytrze.

— Biedna Jezebel. Nic dziwnego, że nie znosimy się nawzajem. Nic by jej nie było, gdyby się tak nie miała. Muszę powiedzieć, że nie była spokojnym obiektem do malowania, ale sądzę, że uchwyciłam ją raczej dobrze, prawda?

Spodziewała się, że będę zaszokowana, cofnę się ze wstrętem, kiedy więc zwracałam jej obraz, pewnie trzymałam go w dłoni.

— To bardzo dobre. Nieprzyjemne, ale bardzo dobre. Znacznie lepsze od szkiców Keitha, które ostatnio zrobiłaś.

To ona zdumiała mnie wycofaniem się. Wyrwała mi akwarelę i włożyła z powrotem do szuflady. Miała przyspieszony oddech, gdy przemówiła:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie miałam niczego na myśli, ale nagle przewaga uderzyła mi trochę do głowy. Miałam dość jej okrucieństwa. Chcąc pomóc Glenowi nie mogłam być ciągle zwierzyną, na którą się poluje. Tym razem atakowałam ja.

— Możliwe, że jesteś bardziej niezależna niż Glen, ale czy nie sądzisz, że może nadejść czas, iż to on, chcąc podtrzymać talent, wyciągnie z ciebie wszystko i zostaniesz „pusta”? Czy nie przypuszczasz, że bliźniactwo tak rzutuje na psychikę? Byłoby dziwne, żebyś nie musiała cofać się, gdy tylko on posunie się do przodu, czyż nie?

Glynis zamknęła szufladę biurka z takim hukiem, że podskoczyłam; usłyszałam, jak posypały się drzazgi. Zostawiła ją zamkniętą krzywo i przeszła przez pokój takim samym swobodnym krokiem, jakim spacerowała po lesie. Słoneczniki na golfie od Pucciego zawirowały wokół niej.

— Wydaje mi się, że pominęłaś najważniejszą rzecz, o jaką mi chodziło, gdy pokazałam ci akwarelkę z Jezebel — powiedziała — spodziewałam się, że jesteś dość inteligentna, żeby dostrzec moje intencje. Schwytej w rybacką sieć kotce, nikt nie przyszedł z pomocą, nim nie skończyłam malować. Czy dziś wieczorem nie jest tak samo z tobą? Czy szalejąca na dworze zamiec nie pochwyciła cię już w swoją sieć, a ty nie jesteś skazana tylko na mnie?



Na karku poczułam znowu zimne pazurki. Rzeczywiście, rozumiałam to doskonale. Czulałam to przez cały czas, od chwili gdy Nomi podbiegła do samochodu Glena, zostawiającego mnie samą z Glynis! Ale nie powinnam okazywać strachu.

— Wątpię, żebym była schwytana w sieć — rzekłam. — Przede wszystkim nie jestem bezradna. Wystarczy, że wyjdę z domu i nie wrócę.

— Ale nie zrobisz tego — gwarantuję... Musiałam jej to udowodnić. Szybko zerwałam się

z miejsca, zbyt szybko, niemal w panice. Ból przeszył mi całą nogę. Pokuśtykałam na górę do mojego pokoju, ostrożnie założyłam buty, narzuciłam płaszcz i zawiązałam na głowie szal. Kiedy schodziłam po schodach, Glynis już czekała. Pantera czyhała na zdobycz.

— Przejdę się do McIntyre'ów — rzekłam.

Uśmiechnęła się do mnie słodko.

— Dopuszczysz do tego, żeby Glen po powrocie do domu, nie zastał cię? Bojąc się jego siostry wolisz, żeby się dowiedział, że poszłaś do obozu wroga? Jesteś tak głupia, jak podejrzewałam! Nie sądzisz, że on już zauważył, że Trent nie przypadkowo uwolnił cię z potrzasku i wmówił ci, że to ja go tam zastawiłam?

— A nie zrobiłaś tego? — spytałam.

Wzruszyła ramionami.

— Zabawniej będzie pozwolić ci zgadywać. Ale nie spodziewaj się, że nie przeczytałam rozdziału książki Trenta o twoim ojcu. Nie zapominaj, że byłam jego żoną, gdy pojechał do Kalifornii i dokończył ten esej. Wrócił do domu z niezłą bajeczką o umysłowo chorym dziecku, które wyobrażało sobie, że jest w nim zakochane. Och, słyszałam o tej jego czarującej

Bernardynie! Bądź spokojna, przeczytałam wasze listy. Wiem, kim jest Dina Blake — jeśli nawet Glen tego nie wie. Trzymałam to w sekrecie, do wykorzystania we właściwym momencie.

Nie mogłam znieść przenikającego mnie chorobliwego żaru, nie mogłam też wytrzymać świdrującego bólu, wobec którego byłam bezradna. Nic bardziej nie mogło mnie wytrącić z równowagi niż fakt, że ona od samego początku wiedziała o mojej pierwszej, nieprzepartej miłości do Trenta. Świadomość, że czytała te niewinne dziewczęce listy! Ale jeśli nawet tak mnie zraniła, nie okażę jak bardzo przejęłam się jej słowami.

— Idę na spacer — powiedziałam chłodno i wyszłam frontowymi drzwiami.

Śnieg nie sypał jeszcze tak bardzo i zasy nie były głębokie, wiatr także złagodniał. Ale teren by już zdradliwy, obchodząc dom poślizgnęłam się i upadłam wykręcając znowu zranioną kostkę. Gdy kuśtykając, wyszłam na otwartą przestrzeń, z całej siły uderzył we mnie wiatr od jeziora i ostre ziarenka kłujące w twarz. To był deszcz ze śniegiem, poczułam jak wbijają mi się w policzki lodowe szpilki. Powitałam je z zadowoleniem, jak wszystko, co pozwoliłoby zatrzeć wywołaną przez Glynis wizję Trenta dzielącego się z nią treścią moich listów, śmiejącego się z nich i nie mającego zamiaru odpisywać.

Noc nie była tak ciemna, jak się spodziewałam. Z okien domu padało światło tworząc jasne plamy na pokrytej bielą ziemi. Także śnieżycą rozjaśniała i ożywiała czeluści nocy. Stok przede mną był śliski jak szklanka. Czepiając się wilgotnych gałęzi sosen wyprostowałam się torując sobie powrotną drogę do podjazdu. Tej nocy nie można było zejść po

zboczu i przejść przez zamarznięte jezioro, chyba że chciałoby się ślizgać przez całą drogę.

Stopa wprawdzie mnie bolała, ale wyżej, na podejździe radziłam sobie łatwiej. Tam jednak, gdzie szosa stromo pięła się na wzgórze, nie zdołałam ustać na nogach. Po drugim upadku, czołgając się, wycofałam się na płaski teren. Z trudem dotarłam do otwartej przestrzeni. Deszcz ze śniegiem znowu uderzył z całą siłą, potykając się weszłam po śliskich stopniach na werandę. Przynajmniej Glynis nie zamknęła mi drzwi. Ciężko oddychając na wietrze smagającym moją płonąca twarz i odczuwając rwący ból w kostce, doszłam do domu.

Miałam przez chwilę wrażenie, że łatwiej stawić czoło Glynis, niż walczyć z wrogim żywiołem na zewnątrz, ze światem lodu, w którym wszystkie moje nadzieje, a nawet moje życie, mogły, jak mi się wydawało, rozbić się na zimnej szklanej tafli, która odbijała moją przerażoną twarz. Wieś może być piękna, spokojna i łagodna. Ale potrafi zniszczyć tego, komu brakuje odwagi do walki z jej najgorszymi humorami.

Na szczęście Glynis nie pokazała się. Niewątpliwie domyślała się, że wrócę do domu, ale nie zadała sobie trudu, żeby obejrzeć mój sromotny odwrót po przegranej bitwie z zamiecią. W pustym salonie paliły się światła. Nie gasząc ich, ruszyłam na górę. Po drodze postanowiłam wejść do pokoju Nomi po Jezebel i dla towarzystwa zabrać ją do siebie. Jednak przypomniawszy sobie ulubienicę Nomi z dzikimi oczami i zjeżoną sierścią, tę którą znałam, jak i tę namalowaną przez Glynis, miauczającą i fukającą ze złości, postanowiłam, dopóki Glen nie wróci, sama sobie dotrzymać towarzystwa.

Zasnęłam z odgłosami śnieżnej burzy w uszach.

Spadł grad i prawdziwa zamieć rozpętała się na dobre, grzebiąc całą okolicę, dom i jezioro pod grubą warstwą nawianego śniegu.

Zasnąłam. Obudził mnie chrobot przekręcanego klucza drzwi. Zostałam uwięziona, jak Jezebel w zaciskającej się wokół niej sieci. Nie wiedziałam, dlaczego to zrobiła. Nie potrafiłam stwierdzić, czy uczyniła to tylko po to, żeby mi dokuczyć, czy planowała coś gorszego.

Przez dłuższą chwilę leżałam rozbudzona. Później usiadłam przed kominkiem i podłożyłam do ognia. Nadśluchiwałam odgłosu kroków w korytarzu. Dźwięku, który nie rozległ się. Być może kroki skradały się bezszelestnie, że nic nie usłyszałam. Rozmyślanie o tym napawało mnie coraz większym lękiem. Przypomniałam sobie wszystko, co przydarzyło mi się od chwili gdy Glen Chandler wszedł do muzealnego magazynu i zrobił na mnie tak silne wrażenie. Nie wyobrażałam sobie, że ktoś taki jak ja, mógł zachować się inaczej. Tak łatwo było zaakceptować czarowny sen i uznać go za rzeczywistość.

Jednak naprawdę go kochałam, a on kochał mnie. Nie wątpiłam w to, chociaż teraz, z powodu Glynis, nasza miłość była zagrożona. Pragnęłam być razem z Glenem, tęskniłam za mężczyzną, jakim był, zanim pojawiła się jego siostra. Współczułam mu i rozumiałam tę jego słabość. Nikt oprócz mnie nie mógł mu pomóc, ale teraz także ja nie umiałam sobie poradzić.

Po pewnym czasie stwierdziłam, że nie mogę dłużej czuwać. Znużona wgramoliłam się z powrotem do łóżka, wsunęłam pod jego lodowate przykrycie, naciągnęłam kołdrę na głowę i niemal od razu zasnąłam.

Kiedy znów się obudziłam, było już rano. Usiadłam na łóżku w wyziębionym pokoju i spojrzałam na zegarek. Była szósta godzina. Grzejnik nie zaczął jeszcze działać. Wstałam, czując w sercu chłód wypalonych

uczuc, ogarnął mnie ziąb. Wciąż jeszcze byłam w szlafroku. Podeszłam do wychodzącego na jezioro okna i odsunęłam zasłony. Okno do połowy było zasypane śniegiem. Chuchnęłam na zamarznąłą szybę i wytarłam szron, żeby móc wyjrzeć.

Na białą, obcą krainę, wciąż sypał śnieg. Nie sposób było dostrzec nic znajomego. Drzewa i ziemię pokrywały wysokie, białe zaspasy. Konary kołysząc się, ugiwały się nisko pod ciężarem śniegu. Rosnący pod oknem mały świerk, ze zwisającymi z każdej gałęzi ciężkimi soplami, zgięty był niemal na pół. Tam, na dworze było przynajmniej szare światło dnia. A mnie ostatecznie nie przytrafiło się nic złego, z wyjątkiem nieudanej nocnej wędrówki.

Rankiem zawsze czułam się pewniej, byłam odważniejsza. Teraz, dodatkowo roznosił mnie gniew. Podeszłam do drzwi, przekręcając gałkę stwierdziłam, że nadal są zamknięte. To był zupełny absurd! Co chciała zyskać, trzymając mnie zamkniętą w pokoju jak więźnia? Jeżeli nadal śpi, natychmiast ją obudzę!

Potrząsnęłam drzwiami i waliłam w nie z furją. Wykrzykiwałam imię Glynis, żądając, żeby przyszła i wypuściła mnie. Zrobiłam hałas na cały dom. Glynis powinna go usłyszeć, gdziekolwiek by nie była. Mimo to nic się nie stało. Absolutnie nic. Z nikąd nie dobiegał żaden dźwięk. Powoli narastało we mnie mrozące krew przecucie, że może zamknięto mnie i opuszczono na zawsze. Glynis orientowała się w tej wiejskiej okolicy lepiej niż ja. Była przyzwyczajona do śniegu i lodu. Wszędzie stały narty, raki i solidne buty. Gdyby zechciała wyjść, mogłaby to zrobić, pozostawiając mnie w zimnym i pustym domu, zamkniętą na klucz.

Znalazłam małe radio tranzystorowe Glena i włączyłam je. Spróbowałam ponownie rozpalić ogień. Z radia dobiegały trzaski spowodowane zakłóceniami atmosferycznymi. Odbiór lokalnych rozgłośni był utrudniony, jednak znajomy głos ze stacji nowojorskiej przebił się. Podawano złowieszcze wiadomości o zablokowanych drogach, zerwanych przewodach elektrycznych, porzuconych samochodach i przypadkach zamarznięcia na śmierć w strefie podmiejskiej. „Najgorsza śnieżycyca tuż na początku zimy...”. „Najsroższa śnieżycyca, jaką kiedykolwiek odnotowano wczesną zimą...”. „Najgorsza śnieżycyca od...”. Wyłączyłam radio. Ogrzewałam ręce przy ogniu, rozważając, co powinnam zrobić.

Przynajmniej miałam własną łazienkę, wodę do kąpieli i do picia, nawet gdyby miało się ochłodzić. Brakowałoby natomiast jedzenia, chyba że Glynis zamierzała je dostarczyć. Jeżeli zamkneła ogrzewanie, wkrótce zapanuje lodowate zimno. Umyłam się, założyłam ciepłe brązowe spodnie i dwa żółte swetry. Musiałam oszczędzać drewno do kominka.

Kiedy wreszcie zawołała mnie przez drzwi, jej głos był tak cichy, że ledwo ją słyszałam.

— Dino? Dino? Wstałaś? — Ten szept przejmował mnie grozą.

Podbiegłam do drzwi i gwałtownie nimi potrząsnęłam.

— Dobrze wiesz, że wstałam. Otwórz natychmiast i wypuść mnie!

Próbowałam też dyplomacji.

— Glynis, nie zamierzasz chyba na serio, trzymać mnie pod kluczem? Przecież w taką śnieżycę możemy wzajemnie się potrzebować!

— Człowiek może dość długo wytrzymać bez jedzenia — powiedziała.  
— Jest zbyt wysoko, żebyś wyszła oknem, nawet gdyby udało ci się skruszyć lód. Bądź więc grzeczna! Za chwilę ogrzeję ci trochę pokój.

— Glen się wścieknie — ostrzegłam. — Nie przypuszczasz chyba, że pochwali ten wybryk?!

— Wybryk? — cicho powtórzyła Glynis, lepiej panując nad głosem niż ja. — Nie przejął się potrzaskiem, prawda? Zresztą ja nie nazwałabym tego wybrykiem. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego zamknęłam cię, powiem ci. Chcę mieć więcej czasu do zastanowienia się, nie pozwolę, żebyś w tym czasie uciekła do McIntyre'ów, lub korzystała z telefonu.

— Zastanowić się? Nad czym? — prowokowałam.

— No wiesz?

W jej cichym głosie było zdziwienie, jakbym powinna była domyśleć się.

— Oczywiście nad tym, co mam z tobą zrobić! Jest tak wiele interesujących możliwości, że nie byłam w stanie zdecydować się. Ale na pewno wkrótce wymyślę coś naprawdę rozkosznego. Coś, o czym nikt poza tobą i mną nigdy się nie dowie. Coś, o co nie ja, lecz ty, będziesz oskarżona...

Nie powinnam dopuścić, żeby ten mamiący głos przeraził mnie. Ponownie walnęłam w drzwi.

— Glynis, jesteś szalona! Nic nie możesz zrobić. Jeśli dotkniesz mnie, spotkasz się z oporem. Ja...

— Och, nie dotknę cię — rzekła lekceważąco. — Nie w taki sposób, jak sobie wyobrażasz. Nie bezpośrednio...

— Szklaną kulą rzuciłaś w dość bezpośrednim odruchu! — powiedziałam.

Znowu rozległ się jej cichy, niesamowity śmiech.

— Oczywiście, to był błąd. Wybuch złości.

Zastanawiałam się czy naprawdę była szalona. Czy może zupełnie przy zdrowych zmysłach, przewrotnie rozkoszująca się tym, że sprawiała wrażenie szalonej. Nie wiedziałam, co było gorsze.

— Keith!

Wykrzyczała to imię w nagłym przypiływie natchnienia, przestraszając mnie.

— Być może wykorzystam Keitha! Moja droga Dino, równie dobrze możesz z powrotem położyć się do łóżka. Długo nie będziesz mieć nic do roboty. Muszę porozmawiać z Keithem. Na razie, do widzenia...

— Glen wróci! — krzyknęłam, ale usłyszałam już tylko oddalające się kroki. Miałam przeczucie, że bardzo dobrze wiedziała, że Glen nie przyjedzie. Być może nawet nigdy nie wróci w sensie powrotu do mnie.

Przemierzyłam pokój, czując się odizolowana i doprowadzona do rozpacz. Przypomniałam sobie, jak Glen potraktował sprawę potrzasku, jak nie przejął się nim naprawdę, jak zlekceważył moje skaleczenie. Tym razem był to inny rodzaj potrzasku i nawet gdyby tu był, mógłby wszystko potraktować jako żart, zabawny psikus siostry.

Co miałam robić? Nie tylko teraz, natychmiast, ale także w przyszłości? Jak miałam postępować z tą parą okropnych bliźniąt? Byli jednością. A mimo to nie byli tacy sami, ze względu na ambiwalencję ich uczuć. Niekiedy odpychali się, ale skoro tylko rozłam między nimi groził utrwaleniem się, ponownie łączyli się w jeszcze ściślejszy niż kiedykolwiek związek. Teraz byłam dla nich zagrożeniem, nie będą więc mnie tolerować. Glynis zniszczy miłość Glena do mnie, a może zniszczyć mnie. Już naprawdę nie byłam pewna, czy w odpowiedniej chwili Glen nie pomógłby jej. Czy w rzeczywistości nie pomagał jej już teraz, odjeżdżając i zdając



mnie na jej łaskę? Znał każdą jej myśl i każdy odruch. Bardzo dobrze wiedział w jakiej sytuacji mnie zostawia. Nie mogłam liczyć na niczyją pomoc. Jeżeli miałam wydostać się z tych tarapatów, musiałam radzić sobie sama.

Obeszłam pokój dokonując przeglądu. Miał dwa okna, jedno, przez które przed chwilą wyglądałam, znajdowało się bardzo wysoko nad pochyłym zboczem, i drugie wychodzące na mały balkon. Spróbowałam otworzyć okno od balkonu. Z trudem, ale uchyliłam je pomimo oporu twardej lodowej skorupy. Do pokoju wpadł śnieg, ale nie przejmowałam się i przez otwarte okno weszłam w głęboką zaspę. Śnieg natychmiast nasypał mi się do butów. Podeszłam do balustrady. Biel nawianego śniegu oślepiła mnie. Drewnianą balustradę pokrywał grubą warstwą lód. Oczyszcziłam kawałek i opierając się o nią spojrzałam w dół. Odległość między balkonem i ziemią była wprawdzie znaczna, ale głębokie zasy sięgały na wysokość okien salonu Nomi. Glynis zapomniała o zaspach!

Panowało przenikliwe zimno, włosy i rzęsy miałam pokryte szronem, a topniejący śnieg ściekał mi po twarzy. Z powrotem wsunęłam się do sypialni. Jak najciszej zamknęłam okno, zrzuciłam buty z nóg i zaczęłam zastanawiać się nad następnym krokiem. Oczywiście na myśl nasunęły mi się prześcieradła! Zerwałam je z łóżka, zwinęłam po przekątnej w dwie długie liny i związałam.

Przynajmniej raz byłam zadowolona z białego, wełnianego stroju dziewczyny z okładki. Opatulał mnie, miał też wełniane nauszники, które teraz naciągnęłam. Długie buty sięgały kolan, chroniąc obolałą kostkę. Do kieszeni włożyłam zrobione na drutach rękawiczki z jednym palcem i wyszłam na balkon. Balustrada zrobiona była z rzeźbionego drewna, ale

umocowano ją do solidnych, żelaznych słupków. Wokół jednego z nich zawiązałam koniec pierwszego prześcieradła. Moja matka była dobrą żeglarką, teraz błogosławiłam ją za zaznajomienie mnie z łodziami, linami i żeglarskimi węzłami. Trudno powiedzieć, żeby moje zejście w dół było pełne wdzięku. W obszernym ubraniu, niezdarnie przeszłam przez poręcz i zjechałam po związanych prześcieradłach. Spadając, osunęłam się w zaspe, która złagodziła upadek. Znalazłam się po pas w śniegu. Jak najszybciej wygramoliłam się z niego i przedostałam do miejsca przy ścianie domu, skąd mogłam spojrzeć na okna w górze. Nikt na mnie nie wyglądał. Nic nie poruszyło się w oknach, oprócz kotki na parapecie salonu Nomi. Jezebel spoglądała na mnie zza nawianego śniegu. Kiedy zaczęłam schodzić po zboczu, stuknęła łapką w szybę. Ona też była schwyтана w pułapkę, ale teraz nie mogłam jej pomóc.

Ruszyłam zboczem najszybciej, jak mogłam iść z rwącym bólem w kostce. Szłam do Trenta. To było jedyne co można było zrobić. Nieważne, że dawno temu śmiał się z uczuć uczennicy. Miał prawo się śmiać. Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bolesna może być pierwsza miłość szesnastolatki. Każdemu wydawałabym się śmieszna, teraz wiedziałam o tym. Niemniej, chodziło o moje życie, i nawet Glen zrozumiałby to, co zamierzałam zrobić.

Świat, w który wkraczałam, w niczym nie przypominał tego, co widziałam kiedykolwiek przedtem. Śnieżycą ustała, ale jej skutki były widoczne na każdym kroku. Z okapów domu zwisały jak stalowe bagnety, ciężkie sople, z każdej połyskującej, brunatnej gałęzi zwieszały się lodowe stalaktyty. Schodząc ze wzgórza przyglądałam się wiecznie zielonym krzewom. Odniosłam wrażenie, że okrutnie powykrzywiane pod ciężarem

prawdziwego lodu i śniegu, przedrzeźniały świąteczne choinki. Każdy konar był oszroniony i lśnił tęczo w słońcu, które wzeszło nad jeziorem. Pierwszy raz omal się nie rozplakałam, przypominając sobie jak bardzo lubił ozdabiać naszą choinkę ojciec. Chandlerowie nawet świąteczne drzewko przemienili w błyszczący lodem koszmar. Chandlerowie? Czyżbym zaliczała już Glena do grona osób, przed którymi czułam strach i które nienawidziłam? Odrzuciłam tę myśl.

Śnieżycy wprawdzie ustała, ale wiatr dał nadal, potrząsał oszronionymi gałęziami, które wydawały dziwny brzęk, rozsypując kryształki lodu. Marsz nie był już tak trudny, jak zeszłej nocy, ponieważ śliski lód pokrywała teraz gruba warstwa świeżego śniegu. Na każdym kroku niemal całe buty zapadały mi się w śniegu, doszłam do wniosku, że poradzę sobie zapierając się piętami, i tak brnąc schodziłam ze wzgórza. Stopa bolała mnie mniej niż wtedy, gdy zaczynałam wędrówkę przez zasy.

Schodziłam więc dość szybko i wkrótce znalazłam się nad brzegiem jeziora. Dzień był mroźny, wiatr świszcząc rozwiewał śnieg po jeziorze jak dym. Usypywał też zygzakowate wzory na lodzie, tkając jakby deseń indiańskiego kilimu. W górze skłębione i postrzępione chmury pędziły po błękitnym, porannym niebie.

Otrząsnęłam śnieg z płaszcza i tupiąc strząsnęłam z butów. Ruszyłam przez zamarznąłą płytę jeziora. Wolne od śniegu miejsca były śliskie i musiałam iść ostrożnie.

Czułam, że pomimo śnieżnobiałego stroju jestem doskonale widoczna. Zdałam sobie sprawę z tego, jak muszą się czuć zwierzęta pokonujące otwartą przestrzeń. Gdyby Glynis wyglądając przez któreś z okien na tyłach domu, zobaczyła mnie, poczułabym na plecach świdrujący wzrok. Chociaż

zyskałam już przewagę, nie będę zupełnie bezpieczna, dopóki nie dojdę do McIntyre'ów.

W połowie drogi, nagle tknięta złym przeczuciem, przypomniałam sobie o alabastrowej głowie. Uciekłam, pozostawiając w domu Glynis z dziełem brata, o które była zazdrosna. Powstrzymywała ją moja obecność, ale co będzie, jeśli postanowi uszkodzić rzeźbę? Nie, z całą pewnością nie zrobi tego. Była siostrą Glena i na tyle artystką, żeby uszanować świetną robotę. Prawdę mówiąc, nie mogłam i nie chciałam wracać. Powrót byłby zbyt niebezpieczny, już przekonałam się, co to znaczy nie doceniać Glynis.

Na wprost, po drugiej stronie jeziora ukazał się kamienny dom. Minęłam zasy przyzominające pomarszczoną powierzchnię wody i byłam coraz bliżej. W kuchni paliły się światła. Oznaczało to, że Pandora wcześniej była na nogach i przygotowywała śniadanie. Poczulałam nagły głód, gorąco zapragnęłam schronienia i przyjaznego towarzystwa. Trent mówił, że zawsze mogę odwiedzić jego matkę. On znał Glynis. Sam przecież z nią mieszkał.

Na frontowych drzwiach obramowanych chropowatymi kamieniami, wisiał przewiązany olbrzymią czerwoną kokardą wieniec z ostrokrzewu. Dróżka była już oczyszczona ze śniegu. Zapukałam do drzwi, otworzył je Keith, robiąc oczy, jakbym była zjawą.

— Jak tu dotarłaś?

— Zboczem. Przez jezioro, właśnie uciekłam, czy zaprosisz mnie do środka? Uciekłam przed twoją matką — odpowiedziałam.

Mówiłam lekko jakby wszystko było żartem, tak jak to określiłam w rozmowie z Glynis. Keith cofnął się i przepuścił mnie, choć wyczuwałam jego niechęć. Od czasu naszego pierwszego spotkania zmienił sposób

zachowania. Podejrzewałam, że matka musiała nastawić go przeciwko mnie. Nie miała żadnych skrupułów w tym co robiła i mówiła. Mogła więc mieć go kłamstwami. Macierzyństwo nigdy nie miało dla niej znaczenia.

Pandora usłyszała nasze głosy i wyszła do szerokiego korytarza, dzielącego dom na dwie części. W ręku miała łopatkę. Przywitała mnie życzliwym uśmiechem. Nie zadawała osobistych pytań, tylko ponagliła mnie, żebym zdjęła płaszcz i kazała Keithowi ściągnąć mi buty. Zawołała do Trenta:

— Będziemy mieli gości na śniadaniu! Zejdź na dół, mój drogi!

Na parterze do przedzielał korytarz na dwa długie pokoje. Pandora opowiadała, że przed prawie dwustu laty dom był gospodą; pokój, do którego mnie zaprowadziła, stanowił jadalnię. Po drugiej stronie korytarza mignęła mi wysoka choinka. Prawdziwa choinka, która pomogła mi rozwiać wizję owych sztucznych drzew w lesie. Świąteczne dekoracje tworzyły miły nastrój i rozsiewały przyjemny zapach. Kuchnia była kiedyś zadymioną norą w piwnicy, ale później odgrodzili część jadalni, robiąc z niej nowoczesne, przewiewne pomieszczenie. Stół był zastawiony chińską porcelaną w niebieski wzorek z wierzbowych liści. Było wiejskie masło, miód z Sussex i brązowy dzbanek na mleko pasujący do brązowych kubków do kawy, czekających już w pogotowiu na swoim miejscu.

Pandora kazała Keithowi przygotować dodatkowe miejsce. Zapytała, czy lubię bekon z naleśnikami i zabrała się do pracy. Siedziałam na solidnym drewnianym krześle, które pochodziło z innego stulecia, próbując złapać oddech. Nikt nie zadał mi żadnego pytania, dopóki nie zszedł na dół Trent. Sprawiał miłe wrażenie, miał niewyszukane ubranie, brązowy golf i sztruksowe spodnie, jego ciemne włosy zaczesane do góry, odsłaniały wciąż

wilgotne od prysznica czoło; próbowałam patrzeć tak, jak osoba obca, pomijając dawne uczuciowe zaangażowanie. Nie mogłam przecież dłużej stawiać czoła własnej śmieszności!

Podszedł do miejsca, gdzie siedziałam, przez chwilę stał, przyglądając mi się z powagą. Potem postawił krzesło naprzeciwko i pochylił się. Nie dotykał mnie, ale pilnie mi się przypatrywał. Zrozumiałam, że muszę mu wszystko opowiedzieć. Nigdy nie był człowiekiem, którego można oszukać.

Rozmowa przyniosła mi ulgę. Odrzuciłam wszelką lojalność wobec Chandlerów. Opowiedziałam o wyrażonej przez Coltona „ocenie” prac rodzeństwa i alabastrowej rzeźbie Glena, dzięki której odzyskał siły twórcze i może zdobyć sławę w artystycznym świecie. Pandora, pracując przysłuchiwała się z drugiego końca kuchni. Keith wpatrywał się w ścianę.

— Glynis w tym, co zrobił, zobaczyła siebie — powiedziałam. — Zniszczyła jego poczucie wyzwolenia spod jej dominacji oraz przekonanie, że stworzył coś wyłącznie sam. Uciekł więc od niej. Wsiadł do samochodu i odjechał, Nomi pojechała razem z nim.

— Powinien zabrać cię ze sobą — powiedziała oburzona Pandora, przewracając naleśniki.

— Prosiłam, żeby mnie zabrał, ale nie sądzę, żeby nawet mnie usłyszał. Wieczorem Glynis zaczęła mnie dręczyć, poszłam więc na górę i siedziałam w pokoju. Potem, o północy zamknęła mnie na klucz. Jeszcze dziś rano byłam zamknięta. Wtedy podeszła do drzwi, powiedziała, że zostanę tam tak długo, aż ona zdecyduje co ze mną zrobić. Chyba się trochę przeraziłam...

Trent wydał gniewny pomruk.

— Ona jest tak nieopanowana, że może stać się niebezpieczna.

Spojrzałam na Keitha, zastanawiając się na ile w jego obecności możemy mówić otwarcie. Twarz wprawdzie pociemniała mu z gniewu, tak samo jak twarz ojca, ale widziałam, że nie czuje do mnie sympatii.

— Ale dlaczego? — zapytała Pandora. — Dlaczego miałyby dopuścić się aż takiej skrajności?

— Wydaje mi się, że częściowo dlatego, iż nie idzie jej dobrze praca — powiedziałam. — Próbowала namalować Keitha i nic jej nie wychodzi. Jest więc sfrustrowana i atakuje wszystko, co stanie jej na drodze. W tej chwili głównie mnie.

Pandora podała śniadanie i przyłączyła się do nas. Stwierdziłam, że jestem głodna i mogę jeść. Mówienie sprawiło mi ulgę, poczułam się też swobodniej. Trent i Pandora jedli również. Tylko Keith wpatrywał się w talerz nie ruszając jedzenia. Gdy przestałam mówić, wtrącił się zadając własne dociekliwe pytania.

— Czy to moja wina, że Glynis nie potrafi namalować mnie tak jakby chciała? Czy to moja wina, że praca idzie jej źle?

— Oczywiście, że nie — zaczęłam mówić, ale Trent mnie powstrzymał.

— Mogę ci na to odpowiedzieć. To nie ma nic wspólnego z tobą, Keith. Jej nie wychodzi, ponieważ nie może znieść, że Glen zrobił coś lepszego niż ona. Uważa, że najlepszym sposobem, aby go powstrzymać, jest sprawienie, żeby poczuł się winny, winny do tego stopnia, by stracił pewność siebie.

Twarz Keitha pociemniała.

— Akurat, ponieważ ty jej nienawidzisz!

Przerwał mu dzwonek telefonu. Pandora wyszła na korytarz, żeby podnieść słuchawkę. Wyteżyłam słuch, mając nadzieję, że może to Glen dzwoni. Nie był to jednak Glen, lecz Glynis, która chciała rozmawiać z Keithem. Odebrał telefon w korytarzu, nie słyszeliśmy jego wymamrotanych odpowiedzi. Kiedy wrócił do stołu, nie wyjaśnił nam niczego, tylko pośpiesznie jadł śniadanie. W chwilę później skończył je i wstał znowu przerywając opowieść. Miałam wrażenie, że prawdopodobnie, od chwili gdy zadzwonił telefon, nie usłyszał nic z tego, co mówiłam.

— Chce, żebym przyszedł — powiedział do babki, unikając wzroku ojca. — Potrzebuje mnie do czegoś.

Trent chciał coś powiedzieć, ale chłopiec wyszedł zbyt szybko. Zobaczyłam ból i zatroskanie na twarzy ojca, znałam i rozumiałam jego bezradność.

— Dobrze zrobiłaś przychodząc tu — rzekł, gdy chłopiec wyszedł z pokoju. — Nie zostawaj w tym domu sama z Glynis. Ona nigdy z nikim nie podzieli się Glenem, jeśli tylko będzie w stanie temu zapobiec. Od czasu gdy byli dziećmi, pożera go po trochu. Gdyby nie fakt, że jesteś dziewczyną, o którą chodzi, powiedziałbym, że dobrze by dla niego było wyzwolić się i znaleźć sobie żonę. Ale dla ciebie...

Pandora wyciągnęła rękę nad stołem, żeby dotknąć ramienia syna.

— Pst! mój drogi. Glynis kocha go. To oczywiste! Nie widzisz tego?

— Widzę — odrzekł Trent i skupił się całkowicie na jedzeniu.

Zwróciłam się do Pandory po radę.

— Co mam zrobić, jeżeli Glen i Nomi pojechali do Nowego Jorku?

— Oczywiście zostań z nami — odrzekła. — Ale wydaje mi się, że nie powinnaś się denerwować. Zeszłej nocy podczas takiej śnieżycy nikt nie



mógł odjechać daleko. Wszystko wskazuje na to, że zatrzymali się w najbliższym motelu i zostali tam na noc. W pobliżu są tylko dwa czy trzy. Może zadzwonię do nich i przekonam się, czy możemy ustalić miejsce pobytu twojej rodziny?

Była małą, zdumiewająco sprawną i skutecznie działającą osobą. Poruszała się szybko, aczkolwiek racjonalnie. Dzięki temu nie sprawiała wrażenia kobiety, która się śpieszy. Jej mała głowa z wieńcem niezwykle, miodowych włosów zabawnie pochyliła się ku mnie. Kojące słowa uwolniły mnie od upiornej atmosfery High Towers.

Trent z rozbawieniem uniósł w górę brew.

— Pozwól Pandorze to załatwić. Moja matka może wydawać rozkazy bez względu na zamieć.

Po kolei zaczęła telefonować do najbliższych moteli. Przy drugiej próbie dowiedziała się, że Glen i Nomi są na liście gości. Czekaliśmy, aż właściciel poprosi Glena do telefonu. Przypuszczam, że na myśl o wyjaśnieniu czegokolwiek przez telefon musiałam zdradzić się z panicznym strachem jaki mnie ogarnął, ponieważ Pandora uspokajająco skinęła głową.

— Porozmawiam z nim, nie denerwuj się.

I zrobiła to. Delikatnie powiedziała, że powstała trudna sytuacja, która zmusiła mnie do przyścia na tę stronę jeziora. Będę tu na niego czekać. Kiedy przejadą pługi i Glen wraz z Nomi dojedzie, może wstąpić i zabrać mnie.

Glen o nic nie pytał i widocznie wyraził zgodę, ponieważ Pandora nie musiała niczego uzasadniać.

— On wie — powiedziała odłożywszy słuchawkę. — Glen wie, że nie powinien był zostawiać cię samej ze swoją siostrą, domyśla się, że coś

knęła. Pługi wkrótce wyruszą, ta szosa jest bardziej uczęszczana, niż boczna droga po drugiej stronie jeziora. Do dziesiątej, może wcześniej, Glen powinien już przedostać się.

Staliśmy w szerokim hallu, którego podłogę tworzyły solidne, ręcznie ciosane deski. Przez kratkowane okienka na obu jego końcach sączyło się poranne światło słoneczne. Zamieć zupełnie ustała. Kiedy Pandora odłożyła słuchawkę, zadałam jej pytanie, które mnie prześladowało.

— Czy Glynis wyrządziła już komuś krzywdę? Mam na myśli to, czy jest zdolna do...

— Tylko swojej matce — powiedziała Pandora drewnianym głosem —... oraz mojemu synowi i wnukowi...

— Dina co innego miała na myśli. Tak, ona jest zdolna zrobić prawie wszystko, jeżeli pobudki, którymi się kieruje, są dostatecznie silne. Nikt nie zdołał utrzymać jej w ryzach. Tak długo będzie nieposkromiona szła własnymi drogami, aż ktoś nie złamie jej karku, co może się stać któregoś dnia — odezwał się Trent.

Jego głos zabrzmiał tak, jakby on sam chciał to zrobić, ale gdy spojrzał na mnie, jego rysy były łagodne.

Odwróciłam wzrok trochę pocieszona, ale i zaniepokojona. Niegdyś pragnęłam, żeby patrzył na mnie, jak na dorosłą kobietą. Teraz było za późno.

Zaofiarowałam się pomóc Pandorze w kuchni, ale potrząsnęła głową.

— Nie ma mowy! Masz już dość na cały tydzień! Trent, dlaczego nie oprowadzisz Diny po domu? To może być dla niej coś nowego, pomimo że pracowała w muzeum.

Rzeczywiście, to była dla mnie nowość. Nigdy dotąd nie byłam w zamieszkałym, dwustuletnim domu i wszystko, co zobaczyłam, ciekawiło mnie. Ogromny pokój główny pysznił się dwoma paleniskami. Ich ceglana podmurówka była na tyle głęboka i szeroka, że można było gotować i piec dla rzeszy głodnych podróżnych. Ściany pokrywała boazeria z czarnego orzecha włoskiego, a głęboko osadzone drzwi podkreślały ich grubość. Świerkowe belki, o krawędziach ozdobionych w łezki, biegły w poprzek sufitu, podtrzymując podłogę piętra. Na górze był znowu obszerny hall wyłożony szerokimi deskami oraz dwa długie pokoje po obu stronach.

— W dawnych czasach podróżni nie żądali osobnych sypialni — powiedział Trent. — Gdy zajeżdżały dylizanse, gości umieszczano tak, jak w domu akademickim, w pokoju dla mężczyzn po jednej stronie lub w pokoju dla kobiet po drugiej. Z czasem podzielono jednak te pokoje na mniejsze.

Zaglądałam po kolei do każdego pokoju, podziwiając piękne obramowania kominków i kredensy zwieńczone łukami, których wierzchołki zdobiły rzeźbione zworniki. Dom miał zdecydowany charakter. Zbudowano go na całe lata, pieczołowicie, ale z prostotą.

Pokój, po zwróconej ku High Towers stronie domu, należał oczywiście do Keitha. Wszędzie leżały rzeczy chłopca. Był wśród nich różnego rodzaju sprzęt sportowy, przybory myśliwskie i medale, które zdobył jako strzelec. Zanim wyszliśmy, Trent podszedł do biurka, podniósł z niego obraz i odwrócił, żebym mogła go zobaczyć.

Był to namalowany przez Glynis widok przeciwległego krańca jeziora z płonącą gospodą. Ten nieszczęsny obraz ze stojącą za zamkniętym oknem kobietą w bieli na tle strzelających w górę szkarłatnych płomieni.

— Nie wiedziałem, że ma ten obraz — powiedział Trent. Musiała go chyba niedawno dać mu. Zobaczyłem go pierwszy raz.

Uznałam, że jest tak samo szkaradny i straszny jak wtedy, gdy ujrzałam go po raz pierwszy. Odwróciłam się.

Trent położył obraz z powrotem na biurko syna.

— Doskonale rozumiem, dlaczego to cię niepokoi. Dobrze, że Pandora nie ma przerostu wyobraźni, inaczej mogłaby mieć złe sny. Glynis dała mu go tylko po to, żeby nas zdenerwować. Chodź, Bernardino. Bardzo mi przykro, że ci go pokazałem.

— „Bernardino” powiedziałaś? Nikt inny nigdy tak mnie nie nazywał.

Trent uśmiechnął się, a ja uświadomiłam sobie, że od przyjazdu nad jezioro, nigdy nie widziałam go naprawdę szczęśliwego. Uśmiech złagodził jego ostre rysy i zgasił błysk cynizmu w oczach.

— Zawsze je lubiłem. To cały „kawał” imienia i mówi o twoich przodkach. Chociaż co prawda nie wykazałaś się krwią dzielnych Wikingów.

Każdy, z wyjątkiem Trenta, zawsze wyśmiewał moje imię. Nie pasowało do mnie tak samo, jak i do matki, ale imię to osobista sprawa i zawsze czułam się niedorzecznie wzruszona, że Trent je lubi.

Skorzystałam z tej atmosfery, żeby zapytać.

— Co, ty i twoja matka, zamierzacie zrobić z jeziorem, że wywołuje to u Glena i Glynis taką zawziętość?

Podprowadził mnie do okna w hallu, skąd mogłam wyjrzeć na jezioro w kierunku gospody.

— Ludzie zaczynają wyprowadzać się z miast i szukają ziemi. Miejsca podobne do tego są już całkowicie wyeksploatowane, tandetne domy stoją

tam zbyt blisko siebie, niszczy się przyrodę. Właśnie o tym piszę w mojej nowej książce, książce o ginącym krajobrazie wiejskim.

— Nie pisujesz już biografii?

— To też jest pewien rodzaj biografii; piszę o różnych miejscowościach, które zostały zniszczone lub uratowane przez ludzi. Ten temat irytuje mnie. Przy trochę większej trosce o planowanie i bardziej kompleksowym wykorzystaniu, krajobraz wiejski nie musi ginać. Miejsca, takie jak to powinny być udostępnione ludziom, którzy chcą wybudować domy, ale też utrzymywać je w nie zmienionym stanie. Pandora nosi się z takim właśnie zamiarem. Nie będzie ścinała wszystkich drzew wokół każdego domu, pozostawi się spory teren, będą przepisy określające standardy budowlane. Nie chodzi o kosztowne, lecz o dobre domy. Ma to być racjonalne osiedle, w którym ileś tam rodzin będzie mogło wychować dzieci w atmosferze wsi. Zadba się o las i jezioro, pozostawiając je w znacznej części w stanie naturalnym. Plan wydawał mi się bez zarzutu i powiedziałam mu to.

— Dlaczego wobec tego Chandlerowie tak bardzo sprzeciwiają się?

— Nie wydaje mi się, żeby Colton był przeciwny — odrzekł Trent. — Ale Glynis i Glen są opętani żądzą posiadania wszystkiego, co ich otacza. Nigdy nie lubili się dzielić. Chcą mieć wszystko, gdyby to było możliwe to, tysiące akrów ziemi. Pragną, żeby pozostało to w stanie naturalnym, nie z uwagi na piękno przyrody czy żyjące tu zwierzęta i ptaki, lecz ze względu na ich prymitywne poczucie własności. Wszystko musi pozostać tak dzikie, jak oni. Na namalowanym przez Glynis obrazie płonącej gospody widać jakie są jej uczucia.

Od szosy biegnącej ponad jeziorem rozległ się ryk potężnego motoru. Wyrzłałam, aby ujrzeć nadjeżdżający z hałasem czerwony pług. Wyrzucił w górę dwa wirujące łuki śniegu.

— Oczyszczają drogę! — krzyknęłam. — Glen powinien zaraz tu być. Razem z Nomi.

Trent stał tuż za mną i obserwował mnie. Kiedy odwróciłam się, powiedział o czym myśli.

— Co powiesz Glenowi na temat wizyty u nas?

Nie uśmiechał się już. Jego spojrzenie znów było surowe.

— No wiesz... oczywiście prawdę. Opowiem mu ze szczegółami co zrobiła Glynis, że zamknęła mnie w pokoju i próbowała nastraszyć.

— Sądziś, że ci uwierzy? — spytał szorstko.

To prowokacyjne pytanie rozgniewało mnie.

— Oczywiście, że mi uwierzy! Wie, że nie kłamię. Nie będzie stał beczynnie przyglądając się, jak jego siostra mnie dręczy. Wiem, że nie będzie!

— Przypuszczam, że mogłabyś mu odmówić pozwania — powiedział sucho. — To by go zmusiło do zastanowienia, obudziło go.

Odskoczyłam od okna, w jednej chwili robiąc się jeszcze bardziej wściekła. Fakt, że Trent pomagał mi uwalniać się z pułapek Glynis to jedno, ale że atakował mojego męża, to już zupełnie inna sprawa. Teraz on był obcy.

— Co usiłujesz mi wmówić? — zapytałam. — Cokolwiek by to nie było, nie będę słuchać, jeśli powiesz coś przeciwko Glenowi!

Nie było w nim już ani odrobiny łagodności.

— Lojalność jest wskazaną rzeczą dla żon — powiedział ostrym, ironicznym tonem.

— Wiesz, o czym myślę? — teraz ja go prowokowałam. — Wydaje mi się, że coś się w tobie załamało i już w nic nie wierzysz. I w nikogo. Było mi ciebie żal, bo za to, co stało się przed laty, mogła ponosić winę Glynis, ale nie znam tej historii z jej punktu widzenia. Być może, pomimo tego co wiem, to ty ją wypędziłeś! Być może...

Nie było sensu ciągnąć dalej. Nie byłam zadowolona z tego, co mówię. Przed chwilą odnosiliśmy się do siebie serdecznie i z delikatnością, jaką pamiętałam z przeszłości. Teraz to zniknęło.

Odwrociłam się z powrotem do okna, ale gdy przycisnęłam twarz do szybki, próbując jak najdalej ogarnąć wzrokiem szosę do miasta, podszedł, obrócił mnie i potrząsnął za ramiona tak mocno, że pod wpływem jego gniewu i uścisku silnych dłoni, zadrżałam.

— Nie trać ani chwili na litość dla mnie — rzekł. — Nie jestem pobłażliwy dla tych, którzy pastwią się nad innymi, ale nie mam też cierpliwości dla dobrowolnych ofiar, a ty chyba nią jesteś. Musisz się ocknąć, żeby zobaczyć prawdę. Zawsze byłaś marzycielką, a ja nie jestem w stanie obudzić cię ze snu.

— Nie! To nieprawda! — krzyknęłam. — Już raz to zrobiłeś, nigdy więcej ci na to nie pozwolę. Straszliwie mnie zawiodłeś! Mogłeś odpowiedzieć na jeden czy dwa głupie listy, mogłeś zdobyć się na odrobinę uprzejmości, bez względu na to, jaka głupia i młoda byłam!

— Jakie listy? — zapytał.

Wpatrywaliśmy się w siebie, powoli odzyskując opanowanie. Przemówiłam pierwsza.

— Glynis wiedziała, co było w moich listach. Dała mi do zrozumienia, że razem śmieliście się z nich. Akurat dziś rano powiedziała mi o tym.

Gniew, który w nim zapłonął, przeraził mnie, ale nie był skierowany przeciwko mnie.

— Nigdy nie śmiałem się z ciebie. Stan w jakim byłaś, nie był zabawny. Był oczywiście przykry, przerażałaś mnie. Nie mogłem wprawdzie patrzeć jak cierpisz, ale nie chciałem też pozwolić, żebyś mi się narzucała, a potem się wstydziła.

— Wstydziłam się, tak czy owak — powiedziałam. — Przez długi czas nieustannie umierałam ze wstydu. Ale wyrosłam z tego. Oczywiście!

Mimowolnie przypomniały mi się przeczące temu słowa starej piosenki „... tylko nie wtedy, gdy wieje łagodny wiatr... ”.

— Oczywiście, że wyrosłaś. — Oczywiście miał łagodne. — I nigdy nie powinnaś myśleć, że byłem nieczuły na twój urok. Wydoroślałaś przez jedną noc, właśnie w moich ramionach. I niewiele brakowało... Uwierz mi, musiałem szybko wycofać się. Byłaś zbyt młoda i zupełnie niewinna, choć jednocześnie byłaś prawdziwą Ewą.

Zacisnęłam mocno ręce, bo poczułam, że drzę.

— Czy odpowiedziałbyś... Czy odpowiedziałbyś na listy, gdybyś je otrzymał?

— Oczywiście, że odpowiedziałbym. I dobrze spisałem się udając wujka i postępując łagodnie, ponieważ robiłbym to z bezpiecznego dystansu. Wtedy byłem wciąż zakochany w Glynis i próbowałem uratować coś z naszego małżeństwa. Ale nigdy nie odszedłbym bez najmniejszego słowa „dziękuję” za taki piękny prezent, jaki chciałaś mi dać. Kiedy nie



napisałaś do mnie, pomyślałem, że zrezygnowałaś i postanowiłaś zerwać kontakty ze mną.

— Och, zerwałam! Zerwałam! — powiedziałam i zaczęłam płakać jak dziecko, nie usiłując powstrzymać płynących z oczu łez. Próbowałam wyjaśnić.

— To nie ja płaczę! To ta dziewczynka, którą dawniej byłam. Ona, nieustannie płacząc, jest we mnie nadal. Muszę się jej pozbyć, bo ja również kocham. Jestem straszliwie zakochana w Glenie Chandlerze.

— Wiem — rzekł.

Delikatnie starł palcem łzę z mojego policzka.

— Wiesz, nie tak dawno temu próbowałem skontaktować się z tobą. Widzisz, nie zapomniałem, dużo myślałem o tobie. Ostatnio, kiedy byłem na Zachodnim

Wybrzeżu, dzwoniłem, żeby się o ciebie dowiedzieć. Telefon odebrała ciotka opowiadając, jak bardzo chora jest twoja matka. Nie chciałem więc być natrętny. Teraz żałuję, że nie odnalazłem cię zanim nie spotkałaś Glena Chandlera.

Odwrócił się gwałtownie i po kilka stopni na raz, zbiegł po schodach. Zostałam przy oknie, próbując się pozbierać. Drżałam z zimna, ale w środku cała gotowałam się, wszystko było zbyt absurdalnie dziecinne, żeby można było to znieść.

Gdy stałam czekając, aż przestaną mi płynąć łzy, długi kremowy wóz Glena w oddali mijał zakręt, jadąc drogą do gospody. Glen był tym, kogo potrzebowałam! Wytarłam twarz i podbiegłam w stronę schodów, krzycząc do Pandory:

— Jadą! Zdołali się przedostać!

Nie mogłam poczuć większej ulgi i to wcale nie dlatego, że skończyła się moja udreka z Glynis. Odetchnęłam z ulgą, ponieważ mogłam uciec od samej siebie, od tej marzącej na jawie dziewczyny, która wciąż próbowała kierować moim życiem.

Pandora czekała w pobliżu frontowych drzwi. Wydawało mi się, że oczy posmutniały jej, gdy spojrzała na mnie. Przypomniałam sobie, że i ona należała do wrogiego obozu. Nie miała prawa być smutna, bo gorąco pragnęłam znaleźć się w bezpiecznych ramionach Glena, które ochronią mnie przed Glynis. Przed takim mężczyzną jak Trent, również. A nawet przede mną samą, najbardziej przede mną.

Trent pomógł mi włożyć buty. Kiedy dotknął mojej stopy, skrzywiłam się z bólu. Spojrzał badawczo, ale nic nie powiedziałam. Po marszu przez zaśnieżone zbocze mogłam się spodziewać, że będzie mnie boleć, ale nie powinnam już więcej akceptować jego uprzejmości i życzliwości. To było zbyt niebezpieczne. Przytrzymał mi płaszcz, podał kapelusz i pomógł zawiązać rzemyk pod brodą. Ale nie miał mi już nic więcej do powiedzenia ani ja jemu.

Usłyszeliśmy, jak przed domem trzasnęły drzwiczki samochodu. Całkowicie, a przynajmniej zewnętrznie doszłam do siebie. McIntyre'owie byli uprzejmi, musiałam im podziękować, ale czy rzeczywiście liczyli się teraz, gdy Glen przyjeżdżał po mnie?

Wyciągnęłam dłoń do Pandory.

— Dziękuję za ratunek. Dziękuję wam obojgu.

Nie podałam ręki Trentowi, ale i tak ją ujął i chwilę przytrzymał.

— Proszę, bądź ostrożna, Bernardino — rzekł. — I zadzwoń, jeśli będziesz nas potrzebować.

Nie od razu jednak odjechaliśmy. Na zaproszenie Pandory, Nomi wraz z Glenem weszli do środka. Pandora przywitała ich serdecznie, nalegała, żebyśmy przed odjazdem wypili filiżankę kawy. Chciała też poradzić się w jakiejś sprawie.

Zebraliśmy się po domowemu wokół stołu kuchennego. Atmosfera była tu o wiele bardziej pogodna i swobodna niż kiedykolwiek w High Towers.

— Zostało tylko kilka dni do wigilii — rzekła Pandora. — Od lat nie urządzaliśmy ogniska na wolnym powietrzu. Co powiecie na to, gdybyśmy w tym roku znowu je zorganizowali? W tym samym miejscu, po naszej stronie jeziora? Zatrószczymy się o jedzenie, ale Nomi, gdybyś chciała przynieść jedną ze swoich cudownych babek z bakaliami...

Ledwo słuchałam. Glen siedział trzymając rękę na oparciu mego krzesła. Zanim wszedł, czule mnie pocałował. Wszystko w moim życiu znowu powróciło do normy. Jego sprzeczka z Glynis nie uderzała już we mnie. Całkiem odzyskał pogodne usposobienie. W zgodzie z towarzyskimi zwyczajami uśmiechał się do Pandory, jakby nigdy nie wspominał, iż McIntyre'owie należą do wrogiego obozu. Nie próbował nawet docinać Trentowi. Osłaniana jego ramieniem o mało nie mruczałam jak kot. Pokazywałam Trentowi jak wygląda prawdziwy stan rzeczy, jak bardzo kocha mnie mój mąż, a ja jego.

— Sądzę, że powinniśmy trzymać cię z dala od Coltona — powiedział Glen do Pandory. — Ale jeśli zawieszysz rozmowy na temat kupna ziemi, sądzą, że ognisko będzie wspaniałym przedsięwzięciem. I specjalny poczęstunek dla Diny. Colton wyrazi zgodę. Lubi rodzinne ceremonie.

— A co z Glynis? — wtrącił się Trent.

Glen wzruszył ramionami.

— Zrobi po swojemu, jak zwykle. Ale spróbuję przekonać ją, żeby przyszła. Może będzie z pożytkiem dla Keitha i dla nas wszystkich, zebrać się razem. Rozpalimy ognisko w wigilię, skoro tylko zapadnie zmrok.

— Będą kłopoty — sucho i z przyganą odezwała się Nomi.

— Nie bądź Kasandrą — odpowiedział Glen. — Wszystko będzie dobrze. Dina jest naszym talizmanem, który zapewni wszelką pomyślność.

Miałam wrażenie, że Trent zgadzał się z Nomi, ale nikt więcej się nie sprzeciwiał, dokończyliśmy kawę i poszliśmy do samochodu Glena. Usiadłam obok niego z przodu, a Nomi za nami. Miała dziś rano kwaśną minę i była w złym humorze. Podejrzewałam, że jeszcze nie przebaczyła Glenowi jego nagłej ucieczki z poprzedniej nocy. Gdy uśmiechnęłam się do niej, spojrzała na mnie tylko groźnie.

— No, jedziemy — rzekł Glen, gdy samochód toczył się drogą wokół jeziora. — Dino, powiedz mi lepiej o co tu chodzi. Nie zrozumiałem nic z tego, co Pandora trajkotała przez telefon. Dlaczego rano przeszedł na drugą stronę jeziora? I w jaki sposób udało ci się tego dokonać?

— Udało? — powiedziałam i wyczuwszy zmianę tonu w jego głosie, zjeżyłam się trochę. — Udało mi się dzięki temu, że związałam dwa prześcieradła i spuściłam się w dół z balkonu naszego pokoju. Po tym, jak Glynis zamknęła mnie na klucz...

Glen roześmiał się, a ja trochę się odsunęłam od niego.

— Brawo, Dino! To ją nauczy, że nie może płatać takich figli mojej żonie. Przekonasz się, że czasami przebiera miarę w żartach, ale nie miej jej tego za złe. Należy ona do psotnych stworzeń. Ja również, choć nie do tego stopnia. Rozumiesz? Nie powinnaś się przejmować.

— Ale ja się przejmuję! — krzyknęłam. Wpadłam nagle w furję. Strasznie mnie dręczyli.

Zamknięto mnie w pokoju, grożąc wyrządzeniem krzywdy, a Glen zbywa wszystko lekceważeniem.

— Uważasz, że nie przejmowałam się, że rzucono we mnie magiczną kulą? — ciągnęłam dalej wzburzona — lub tym, że zastawiono na mnie potrzask na zwierzęta, czy tym, że o północy zamknięto moje drzwi, zapowiadając, że nie będę miała jedzenia i ogrzewania? Ale najbardziej przejęłam się sposobem, w jaki śmiała się z tego. Wydaje mi się, że twoja siostra jest stuknięta!

Glen wyciągnął prawą rękę i przycisnął mnie do oparcia fotela. Wóz skręcił w bok, zarzucił, i Glen puścił mnie, żeby z powrotem wjechać na szosę.

— Nigdy nie mów takich rzeczy! — powiedział grubiańsko. — Nazywając ją szaloną, tak samo mnie obrażasz. A żadne z nas nie traktuje lekko takich rzeczy.

— Lepiej więc będzie, jeśli po powrocie do domu spojrzysz na to dzieło z alabastru, nad którym pracujesz — powiedziała Nomi. Nie powinieneś był wczoraj wyjeżdżać i zostawiać go. Mówiłam ci to po drodze. Jak zgadniesz, co może przyjść do głowy twojej zrównoważonej i rozsądnej siostrze? Ona jest dostatecznie obłąkana.

Glen nie potrafił jej odpowiedzieć. Pochłaniało go prowadzenie wozu, podczas gdy ja siedziałam trzęsąc się z gniewu i oburzenia. Szosa po stronie High Towers była ledwo przejezdna. Dojechaliśmy do zasypanego śniegiem podjazdu i trzeba było wysiąść i wspinać się na wzgórze, brnąc przez głęboki śnieg poznaczony tylko zamarzniętymi na skorupę śladami

królików. Glen ignorując mnie, pomagał Nomi. Radziłam sobie tylko dzięki butom; z bólu zaciskałam zęby, ale byłam zbyt przygnębiona, żeby przejmować się fizycznym bólem.

Gdy dotarliśmy do domu, Glen wbiegł po schodach, żeby otworzyć drzwi. Przynajmniej raz były zamknięte, musiał czekać, aż Nomi wybawi nas swoim kluczem. Przeszłam na drugą stronę werandy, patrzyłam na gałęzie sosen uginające się pod ciężarem śniegu. Było widać, że przeciągnęła tędy śnieżycą, zaczarowany krajobraz oślepił słonecznym blaskiem. Wiatr ucichł i wszystko pod śnieżnym płaszczem zdawało się być pogrążone w ciszy i spokoju. Tak ciche, jak chłopiec ze strzelbą w dłoni, który stał pod jednym z drzew, opierając się o pień i obserwując nas. Pomachałam mu ręką, ale nie odpowiedział. Miałam wrażenie, że pomimo pozornego spokoju był mocno podniecony. Jakby oczekiwał, że stanie się coś niesamowitego. Był jej synem, być może, że bardzo jej synem.

Glen wszedł do środka. Gdy wbiegał po schodach, pośpieszyłam za nim. Nie zatrzymał się przy naszym pokoju, ale popędził dalej, na poddasze. Podążyłam za nim, aż do ostatniego stopnia.

Przez duże świetliki przenikało ciepłe światło zalewając całą pracownię. Glen podbiegł do miejsca, w którym zostawił głowę z alabastru. Nie było jej tam. Przez chwilę stał, wpatrując się w obrotowy stolik, zaskoczony tym, że jest pusty. Potem biegał po pracowni szukając. Próbowałam mu pomóc, a kiedy nic nie znaleźliśmy, znowu pobiegł do schodów; schodząc, krzykiem przywoływał Glynis. Usłyszeliśmy jej głos dobiegający z salonu, ale nie poszłam już za nim na parter. To była sprawa między nim i jego siostrą. Bez względu na to, co się stało, w co Glynis

wetknęła swój nos, nie chciałam być tam w chwili wybuchu, który mógł nastąpić.

Zamiast tego podeszłam do drzwi naszej sypialni i spróbowałam je otworzyć. Drzwi nie były już wprawdzie zamknięte, ale zgrzytnęły o jakąś ciężką przeszkodę, która nie powinna była tam się znaleźć. Zniecierpliwiona popchnęłam drzwi i przedmiot, który był krzesłem sprzed mojej toaletki, przesunął się trochę. W tym momencie coś, co znajdowało się na nim, zakołysało się i przechyliło. Rozpaczliwym wysiłkiem spróbowałam chwycić chwiejący się przedmiot i uchronić go przed upadkiem. Było jednak za późno. Alabastrowa rzeźba runęła na gołą podłogę z hukiem, który jeszcze długo dźwięczał mi w uszach, i roztrzaskała się.

## 9

Uklękałam obok rozbitej na drobne kawałki głowy, odrętwiała z przerażenia i zbyt wstrząśnięta, żeby myśleć jasno. Mogłam tylko pozbierać odłamki roztrzaskanej, przezroczystej bryły i bezskutecznie próbować złożyć z powrotem w to, czym była. Oczywiście rozbiła się i w żaden sposób nie można było przywrócić jej dawnego wyglądu.

Wydawało mi się, jakbym z oddali słyszała Glena pytającego, co się roztrzaskało. Głos mi się załamał, nie powiedziałam ani słowa. Potem wbiegła po schodach Glynis. W chwilę później stała za mną w otwartych drzwiach, wpatrując się w to, co leżało na podłodze.

— Och, nie! — krzyknęła, a ja podniosłam głowę i spojrzałam na nią z rozpaczą. Ona to zrobiła, nie ja. Ale mnie obarczą winą. Zaplanowała to!

— Doskonale udało ci się, prawda? — powiedziałam.

Wytrzeszczyła na mnie swoje ciemne, błyszczące oczy.

— Ja? Co ja mam z tym wspólnego? Od samego początku byłaś zazdrosna o pracę Glena. Zazdrosna, ponieważ poświęcał więcej uwagi swojemu pięknemu dziełu, niż tobie. A więc teraz...

— Co się stało?

— To był Glen stojący na schodach. Nie mogłam znieść widoku jego twarzy, a jednak nie potrafiłam od niego oderwać oczu.

Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na kogoś ukochanego, kto jest śmiertelnie ugodzony. Zaciekawienie, jakie miał na twarzy, ustąpiło miejsca oszołomieniu i niedowierzaniu. Po czym twarz mu się wykrzywiła z bólu i śmiertelnej udręki. Odepchnął mnie i pochylił się nad nieszczęsną, rozbity



rzeźbą. Ukląkł, żeby podnieść odłamek, który był zaokrąglonym szczątkiem ust i podbródka. Widok był makabryczny. To ja tam leżałam rozbita. Nie, bryła zimnego alabastru, lecz moje własne ciało. To byłam ja, której nigdy już nie uda się z powrotem złożyć w jedną całość. Chwila ta przypominała moment z obrazu płonącej gospody, ale tysiącrotnie spotęgowany. Wolałabym stawić czoło pożarowi niż oglądać, jak w oczach Glena kona błysk nadziei.

Odzyskał głos, ale zwrócił się nie do mnie, lecz do siostry.

— Jak to się stało?

Glynis opadła na kolana obok niego i objęła go ramionami.

— Kochany, nie patrz tak. Nie rozpaczaj. Rozumiem twój ból! Że też zrobiła ci taką złośliwą i potworną krzywdę!

Zdruzgotany, tak jak jego rzeźba, pozwolił jej przez chwilę trzymać się w objęciach. Potem odsunął się i wstał, żeby spojrzeć mi w twarz. Jego oczy były podobne do jej oczu, tak samo lśniły gniewem.

— Lepiej mi powiedz! — rzekł.

Byłam zbyt zrozpaczona, żeby odczuwać coś więcej niż otepienie.

— Otworzyłam drzwi, głowa przewróciła się i rozbiła. Stała oparta na tym krześle od toaletki. Ktoś postawił ją tam, żeby zatarasować drzwi...

Glen ruszył w moją stronę, nie wiem co zrobiłby, gdyby Glynis nie stanęła pomiędzy nami.

— Zaczekaj, Glen! Nie rób nic głupiego. Ona jest bezmyślna i młoda. Nie ma pojęcia, jakie znaczenie ma dla artysty dzieło. Być może nie chciała, żeby to się stało... Glen, posłuchaj mnie!

Przywarłam do ściany, zafascynowana i przerażona słuchałam, jak dalej mówiła.

— Być może sądziła, że zanosząc rzeźbę do swego pokoju po twoim wczorajszym odjeździe, uchroni ją przede mną. Przypuszczam, że gdy dziś rano tak idiotycznie wyszła przez okno, uciekając jak dziecko, zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że będzie wracać tymi zatarasowanymi drzwiami.

Nawet w moich uszach mój głos zabrzmiał przeraźliwie.

— Przestań! Przestań kłamać. Glen, to nieprawda! Nie ma ani słowa prawdy w tym, co powiedziała!

Glynis pobłażliwie uśmiechnęła się prezentując zrozumienie dla mojego wybuchu.

— Nie wiem, czy to co mówiłam, jest prawdą, czy też nie. Oczywiście to domysły. Zamierzałam tylko podsunąć ci usprawiedliwienie, o ile chcesz je przyjąć.

— Ona ją tam postawiła! — krzyknęłam — Glen, nie znosiłam rzeźby na dół. Nie opierałam jej o drzwi! Dlaczego miałabym zrobić taką głupią i nikczemną rzecz? Ktoś z pewnością przewróciłby ją...

— Właśnie — rzekła Glynis. — Jeśli nie chcesz skorzystać z mojej podpowiedzi, to lepiej powiedz mu prawdę.

— Zaczekajcie obie! — W Glenie narastała rozpacz. — Przestańcie lamentować nade mną, to nic nie pomoże. Moja praca... — przerwał jakby dla zaczerpnięcia tchu — moja zaprzepaszczona praca... Jak to się stało?

— Powiedziałam prawdę — rzekłam. — Wiesz, że nie należę do tych, którzy kłamią. Glen, uwierz, uwierz mi!

— Glynis? — zapytał. — Glynis, czy to ty postawiłaś tam rzeźbę?

Widać po niej było żal z powodu jego straty, ale był w niej również spokój i niekłamana szczerść, której nie pojmowałam. Stała przed bratem, wprowadzie nawet nie dotykając go, ale nigdy przedtem nie widziałam w niej

więcej czułości i oddania. Mówiła prosto i przekonująco. Gdybym nie wiedziała, że było inaczej, sama mogłabym jej uwierzyć.

— Glen, wiesz, że nigdy nie okłamywaliśmy się. Nie dlatego, żebyśmy czasami nie mieli na to ochoty, ale dlatego, że zawsze wiedziałam, kiedy kłamiesz. Tak samo było, kiedy ja próbowałam cię okłamać. Teraz nie kłamię. Nie dotknęłam rzeźby od chwili, gdy pokazywałeś ją wczoraj. Zapewniam cię, że nie zniosłam jej do twojego pokoju ani nie ustawiłam za drzwiami jako pułapki. Nikt nie mógłby tego zrobić i wyjść drzwiami do hallu, Dina zdałaby sobie z tego sprawę, gdyby dobrze przemyślała swój plan. To mogło być zrobione tylko przez osobę, która wyszła oknem. A nie byłam nią, mój drogi, ja!

Spojrzał jej prosto w twarz, przenikliwie i groźnie. Spojrzał i uznał jej słowa. Potem ukląkł na podłodze obok szczątków i zaczął je zbierać, jeden po drugim.

— Glen, twoja siostra kłamię — musiałam znów powiedzieć. — Twoja bliźniaczka, twoje drugie ja, kłamię. Ale to nie ma żadnego znaczenia, Glen. Liczy się tylko twój talent. Możesz zacząć rzeźbić inną głowę. Będę pozować. Zaczynaj! Może następna będzie jeszcze lepsza.

Spojrzał na mnie oziębło i obco.

— Uważasz, że mógłbym kiedykolwiek znowu spojrzeć na ciebie w ten sam sposób? — Uniósł do góry brew. — Czy sądzisz, że mógłbym kiedykolwiek czuć do ciebie to samo co przedtem? — Trzymał w rękach zebrane odłamki. Nie było w nim nawet odrobiny miłości do mnie.

Nadal miałam na sobie wierzchni strój, płaszcz i buty. Odwróciłam się, bez słowa wyszłam z pokoju i zeszłam na dół. Nomi czekała w hallu, ale nie próbowała pytać mnie o nic ani nie zatrzymała mnie. Minęłam ją.

Gdy obeszłam dom, chłopiec nie stał już pod rozłożystymi gałęziami sosny. Jego ślady prowadziły wzdłuż domu od strony jeziora, a potem po zboczu w dół wzgórza. Widoczne były także moje ślady, pozostawione dziś po porannej śnieżycy. Podeszłam do miejsca pod balkonem, gdzie upadłam puszczając koniec związanych prześcieradeł. Wszystko było tak, jak zostawiłam. Prześcieradła trzepocząc w podmuchach wiatru zwisały z metalowego słupka. Nie było innych śladów, żadnego znaku świadczącego, że ktoś jeszcze zszedł w ten sam sposób i brnął potem przez czysty śnieg, zostawiając swój trop.

— Czego szukasz? — rozległ się głos ze skraju lasu.

Odwróciłam się i ujrzałam Keitha McIntyre'a stojącego w pewnej odległości, tam gdzie kończyły się sosny i zaczynały się nagie, bezlistne drzewa. Podeszłam wolno, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, jakby on sam był leśnym stworzeniem, które gdybym je wystraszyła, mogłoby czmychnąć jak królik. Odezwałam się dopiero, gdy zbliżyłam się na tyle, że wyraźnie mogłam widzieć jego twarz.

— Szukam śladów kogoś, kto oprócz mnie dziś rano przeszedł przez balustradę.

Potrząsnął głową, jakbym wprawiała go w zakłopotanie.

— Nie wiem, o czym mówisz. Dlaczego miałyby być tu jakieś ślady?

— Wydaje mi się, że jednak wiesz — powiedziałam. — Sądzę, że prędzej czy później, musisz powiedzieć Glenowi prawdę.

— Jesteś stuknięta! — powiedział przez ramię, odwrócił się i zaczął zbiegać ze wzgórza długimi susami, jak zawsze ze strzelbą w rękę.

Wróciłam do domu. Musiałam znaleźć sposób, żeby wydobyć prawdę od Keitha, bo jego matka nic mi nie powie. Ale on przede mną uciekał.

Powinnam więc nauczyć się, jak żyć z agonią mojego małżeństwa. Wiedziałam, że się skończyło, chyba że potrafię udowodnić Glenowi, co zrobiła jego siostra. Ale nawet wtedy nasze małżeństwo może się rozpaść, bo on wcale nie musiałby być mi wdzięczny ani też przebaczyć mi takiego dowodu.

Przez następne, poprzedzające wigilię dni nie zobaczyłam Keitha. Stan mojej kostki poprawił się i kilka razy w ciągu dnia wędrowałam po lesie, szukając wszędzie chłopca ze strzelbą. Kilkakrotnie schodziłam do podnóża Gray Rocks, ale Keith starannie mnie unikał i nigdzie nie dostrzegłam jego czerwonej, kraciastej czapki.

Nie pójdę do jego ojca. Nie poproszę o nic Trenta McIntyre'a. To wszystko było przekreślone i skończone. Nadal we mnie tkwiła, mała dziewczynka niezdolna do uporania się z problemami dorosłej kobiety. Wiedziałam, że Keith był pod wpływem Glynis i nie ponosił całej odpowiedzialności. Nie chciałam, żeby Trent znów rozgniewał się na niego. Sama powinnam odnaleźć chłopca i najpierw z nim porozmawiać. Musi być jakiś sposób, żeby mu wytłumaczyć co mi zrobiono, co on mi zrobił. Zostałam pomówiona o rozbicie rzeźby Glena, dlatego mój mąż odwrócił się ode mnie. Ten chłopiec z pewnością nie był tak nieczuły, żeby nie zrozumieć mojej udręki. Także przez wzgląd na niego, trzeba mu wyjaśnić motywy postępowania matki. Trzeba skłonić go, żeby spojrzał na nią bez fałszywych i idealistycznych iluzji. Zdemaskowanie byłoby dla niego wstrząsem, może tragedią, ale lepiej, żeby to stało się teraz, zanim ona doszczętnie go zepsuje.

Codzienne życie toczyło się zwyczajnym trybem. Nomi odśnieżyła podjazd, żeby Colton wracając, nie miał kłopotów. Zawieszono świąteczne

wieńce i gałęzie. Pod żyrandolem w salonie wisiała jemiola, ale wbrew wcześniejszym nadziejom, nie przyniosła mi szczęścia. Nomi bezustannie była pochłonięta świątecznymi wypiekami. Zrobiłyśmy zwykłe, cotygodniowe zakupy żywności, a ponadto kupiłyśmy wielkiego indyka. Pakowanie prezentów odbyło się za zamkniętymi drzwiami. Trwały wszystkie zwyczajne przygotowania do świąt, ale pod powierzchnią codzienności nie było, bynajmniej, nic normalnego.

Nazajutrz po tym, jak zostałam zamknięta na klucz, Glen wyprowadził się z pokoju, który wspólnie dzieliliśmy, do pokoiku, w którym mieszkał będąc chłopcem. Wchodząc po południu na górę usłyszałam jak Glynis śmieje się pomagając mu przenieść rzeczy. Domyśliłam się, że to właśnie ona podsunęła mu tę myśl, ale nic nie mogłam poradzić. Nie potrafiłam błagać Glena o miłość, którą przestał mnie obdarzać, ale nie wierzyłam do końca, że mógł tak raptownie stracić wszelkie uczucia do mnie. Gdybym tylko mogła wyrwać go spod wpływu Glynis, znaleźć sposób, żeby dotrzeć do dawnego Glena, którego znałam i kochałam! Ale jedyną moją nadzieją był Keith, który ulotnił się jak kamfora.

Pogrążona w smutku pakowałam biały jedwabny golf, który kupiłam w Nowym Jorku, by podarować go z miłością Glenowi. Teraz, dotykając miękkiego materiału, poczułam pustkę. Od czasu, gdy rzeźba została rozbita, prawie nie odzywał się do mnie. Na podłodze nie było żadnego śladu po rozbitym kamieniu, ale w nas wypadek pozostawił głęboką ryse.

Z drzwi zniknął klucz, ale dla Glena byłam powietrzem, obcą, całkiem nieznaną osobą. Często bolało mnie gardło od powstrzymywanych łez, bo płakać, a tym samym upokarzać się przed Glenem i Glynis, nie chciałam.

Oboje zbliżyli się wówczas jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek przedtem. Miałam wrażenie, że stała się dziwna rzecz, jakby oboje doznając twórczego niepowodzenia, związali się z jeszcze większą niż wcześniej siłą, stając się znów jednością. Podczas gdy Glen przestał mnie zauważać, Glynis nie przestawała mnie obserwować. Było to chyba najgorsze ze wszystkiego widzieć, jak śledzą mnie jej szydercze oczy, przebiegłe i czujne, dające do zrozumienia, że jeszcze nie skończyła ze mną naprawdę. Ugodziła mnie sztyletem w plecy, ale coup de grace miał jeszcze nastąpić.

Jedyną moją powierniczką była Nomi. Powiedziałam jej wszystko. Opowiedziałam jej o tym, co jak sądziłam, wydarzyło się. Tkając na krosnach, słuchała uważnie, ale nie umiała mi nic doradzić. Zgodziła się, że to, co się stało, wyreżyserowała Glynis, a Keith był niewątpliwie instrumentem, którym się posłużyła. Nic jednak nie można było zyskać wysuwając oskarżenia, jeśli się nie miało dowodów na ich poparcie. Nomi nawet stwierdziła, że tylko by mi to zaszkodziło. Glynis i jej brat-bliźniak ponownie pogodzeni, nie podziękowaliby mi, gdybym pokusiła się o jakąkolwiek próbę oderwania jednego od drugiego.

Równocześnie, w najwyższym stopniu uwidocznili się ich bliźniactwo. Stanowili całkowitą jedność. Każde ich poruszenie było ruchem jednej i tej samej osoby. Nic ich nie różniło ani wygląd, ani mowa czy jakieś reakcje. Ich oczy spotykały się i wydawało się, że natychmiast czytają w swoich myślach. Jednocześnie wybuchali śmiechem, a oboje śmieli się często. Tego w Glenie nie mogłam zrozumieć. Poniósł poważną stratę, przeżył prawdziwą tragedię, jaką stanowiło zniszczenie jego najlepszego dzieła, a mimo to, z lekkim sercem śmiał się z siostrą, jakby absolutnie nic nim nie wstrząsnęło. Jeżeli uważał mnie za żonę, to nie dostrzegłam tego

dowodów. Miałam wrażenie, jakby Glynis go zaczarowała. Jak gdyby z rozbitego alabastru wyzwoliła się jej beztroska, a rzeźba z czarnego marmuru odsunęła się w cień.

Czasami cierpiałam rozczulając się nad sobą. Zanurzałam się w nowym uczuciu osamotnienia i przeżywałam utratę miłości Glena. Ale niekiedy, a zdarzało się to coraz częściej, zbyt byłam rozgniewana, by cierpieć. Przypomniałam sobie użyty przez Trenta zwrot, w którym określił mnie jako „ofiara”. Nie chciałam być ofiarą i przy pierwszej okazji zamierzałam zdemaskować Glynis i jej nikczemne podstępny. Najbardziej zależało mi na uratowaniu Glena, chciałam znowu zobaczyć w nim niezależnego mężczyznę, oderwanego od niej, samodzielnego człowieka. Będę na to czekać. Moje małżeństwo było zagrożone, a także w pewnym sensie, moja integralność.

Raz czy dwa próbowałam spokojnie i rozsądnie porozmawiać z Glenem, ale nie sposób było się z nim porozumieć. Oczywiście zorientował się, że zamierzam go przekonać o winie Glynis i nie chciał mnie słuchać. Jego oziębłość przypomniła mi, że nawet w najszcześniejszych chwilach uważałam Chandlerów za ludzi z lodu.

Po śnieżycy nastaly dni cieplejsze. Śnieg zaczął topnieć i woda spływała strumykami po słonecznych zboczach. Nadal leżał tylko tam, gdzie zbocze przesłaniał cień, i znikał po trochu, dzień po dniu, podobnie jak lód, którym Glen zmroził moje serce. Często nocą temperatura spadała tak bardzo, że powierzchnia jeziora ponownie zamarała i nadawała się do jazdy na łyżwach. Chociaż w Nowym Jorku nauczyłam się jeździć, nie miałam teraz odwagi wyjmować łyżew.



W miarę zbliżania się wigilii czyniono, jakby nic się nie stało, dalsze przygotowania do zaproponowanego przez McIntyre'ów ogniska. Pandora zaprosiła na wigilię nad jeziorem, sąsiadów mieszkających wzdłuż drogi do Gray Rocks. Znosili drewno na opał, przypadającą na nich część jedzenia do przygotowania pod gołym zimowym niebem, jak i gotowe domowego wypieku paszteciki, placuszki, świąteczne ciastka. Nomi była w doskonałej formie, policzki miała zarumienione od żaru kuchni, oczy błyszczały jej jak dziecku, które niecierpliwie czeka na świąteczne przyjęcie. Od czasu do czasu opamiętywała się, prorokowała zgubę i katastrofę, ale poza tym, nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej. Natomiast Glen i Glynis zachowywali się tak, jakby rzeźba z alabastru nigdy nie istniała. Trudno było mi to pojąć. Dlaczego Glen nie cierpiał tak, jak ja? Niekiedy śniłam nocą o owej lodowej twarzy, którą wyrzeźbił, twarzy mojej i nie mojej. Bolałam nad zniszczeniem pracy Glena, małżeństwa i mojej miłości. Odnosiłam wciąż wrażenie, że żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia dla Glena. On i Glynis ponownie byli jednością i to im wystarczało. Oczywiście zapomniał, że kiedykolwiek myślał o ucieczce przed dominacją siostry. Jedno w tej parze niepokoiło mnie szczególnie. Miałam wrażenie, że knują coś przeciwko Pandorze. Obmyślali jakiś plan mający przeszkodzić jej w budowie projektowanego osiedla po drugiej stronie jeziora. Kiedy ktoś wspominał o tym projekcie, przyłapałam ich na wymianie porozumiewawczych spojrzeń, słyszałam też ich szepty, kiedy w pobliżu nie było nikogo prócz mnie. Przypominali psotne, złośliwe dzieci, przed którymi ciągle trzeba się mieć na baczności, nie zachowywali się jak dorośli, rozsądni ludzie.

Lękiem napawał mnie nieznany blask, jaki promieniował od Glynis. Ubierała się przeważnie na czarno, często zakładając dla ozdoby, lśniące

gagaty. Gdy poruszała się, odbijały światło. W takim właśnie, ciemnym blasku było jej do twarzy. Ciemnym i chłodnym jak zimowa noc. Zastanawiałam się, czy chodzi jej o to, by przypominać Glenowi rzeźbę swojej głowy w czarnym marmurze — teraz jedyne jego arcydzieło.

Dzień poprzedzający święta był słoneczny, temperatura wynosiła trochę poniżej zera. Prognoza pogody zapowiadała bezchmurną, jasną i niezbyt mroźną noc. Świąteczna choinka stała w salonie i tego popołudnia, kiedy wrócił Colton, dekorowaliśmy ją. Przyjechał obładowany paczkami, wesoły, wylewny i nie przeczuwający katastrofy. Ale gdy wszedł do salonu, gdzie pracowaliśmy nad choinką, w nagłej ciszy wszyscy czworo spojrzeliśmy na niego z poczuciem winy. Musiał więc wywnioskować, że podczas jego nieobecności coś się stało.

Popatrzyłam na Glena i uświadomiłam sobie, jak bardzo cierpiał, że ojciec dowie się co się stało z alabastrową głową. Ta praca przywróciła mu w oczach ojca szacunek i teraz obawiał się utraty ojcowskiego uznania.

Wpatrywaliśmy się milcząco w Coltona, ale Glynis przerwała ciszę, podbiegła do ojca, żeby go pocałować, wyjęła z jego rąk paczki i pomogła mu zdjąć płaszcz. Tego popołudnia miała na sobie czarne, zwężające się ku dołowi welwetowe spodnie oraz czarny, robiony szydełkiem pulower ozdobiony czarnymi, podłużnymi koralikami. Wokół głowy zawiązała nawet czarną jedwabną przepaskę, żeby przytłumić kolor włosów. Gdy Colton to zobaczył, nazwał ją swoim „czarnym aniołem”.

Wybrałabym inne określenie. Nomi ujrzawszy twarz Glena, zeszła z drabiny, z której zawieszała wysoko na choince, ozdoby.

— Zostaw to mnie — szepnęła do niego. — Nie odzywaj się, dopóki nie porozmawiam z ojcem.

Siedząc na podłodze koło choinki i mocując na dolnych gałęziach kolorowy łańcuch, pozostawałam na drugim planie. Kiedy Colton przywitał się z Nomi i objął ramieniem na powitanie rodzeństwo, podszedł, żeby podnieść mnie z mojego miejsca.

— Wyglądasz jak różowy kwiatusek w tym swetrze i spódnicy, a srebrzysty kolor dodaje ci urody — powiedział. Nie pocałował mnie, tak jak bliźniaków, ale z powagą trzymał na odległość ramienia, uważnie przyglądając się mojej twarzy.

— Coś jest nie w porządku. Znam się na twarzach. Coś się w tobie załamało.

— Zostaw Dinę w spokoju — rzekła Nomi. — Lepiej będzie, jak pójdiesz i porozmawiasz ze mną, zanim zaczniesz zadawać pytania.

Glynis uśmiechnęła się promiennie, ale Glen unikał wzroku ojca.

Colton lekko poklepał mnie po ramieniu i poszedł z Nomi do jej saloniku.

Od chwili gdy wyszli, Glen i Glynis zachowywali się tak jakby mnie nie było. Pochylili ku sobie kasztanowe głowy i zaczęli szeptać, ale nie na tyle cicho, żebym nie mogła ich słyszeć.

— Nie martw się — wymamrotała Glynis. — Kiedy Pandora zrozumie, że wymyślone przez Indian Lenape określenie: Upiorne Miejsce — to jedyna odpowiednia nazwa dla Gray Rocks, zrezygnuje ze swojego głupiego planu.

— Jesteś pewna? — zaczął Glen.

Glynis delikatnie stuknęła go w ramię i kiwnęła głową w moją stronę.

— Ściany mają uszy — powiedziała i oboje wybuchnęli śmiechem.

Nigdy nie czułam się tak wściekła, osamotniona i sfrustrowana. Kiedy próbowałam obmyślić jakiś sposób postępowania czy zobaczyć perspektywy przed sobą, wszystko zatracało się w mroku. Jediną nadzieję wciąż pokładałam w chłopcu, który powinien być wieczorem na zorganizowanym przez Pandorę ognisku. Muszę być w pogotowiu, by zaskoczyć go, nakłonić do rozmowy i wszystko mu wyjaśnić. Być może Colton jako dziadek chłopca pomoże mi. Ale będzie to zależeć od tego, co Nomi postanowiła mu powiedzieć. Na ile znałam Nomi, postara się oszczędzić mu jak najwięcej zmartwień.

Nie wyszli na długo, Colton przed Nomi wszedł do pokoju wielkimi krokami i podszedł prosto do syna.

— Nie patrz takim wzrokiem, chłopcze — powiedział. — Nomi opowiedziała mi o tym przykrym wypadku. Zdaje sobie sprawę, że w tej chwili nam wszystkim wydaje się to tragiczne. Nie powinienes jednak zadrećcać się ponad miarę. Sądysz, że nie niszczyłem kiedyś moich prac? Nawet pewnego razu kazałem wyrzucić z samolotu sześć portretów. I wiecie, co potem zrobiłem?

— Tak, mój drogi, wiemy — powiedziała Glynis z figlarną złośliwością. — Mówiłeś nam o tym wiele razy: zacząłeś od nowa. Namalowałeś te wszystkie obrazy na nowo, poświęcając wiele czasu i zadając sobie ogromny trud, żeby znaleźć osoby, które musiały ci po raz drugi pozować.

Triumfalnie potwierdził.

— A każdy z tych portretów wyszedł mi lepiej niż za pierwszym razem!

Glynis słodko uśmiechnęła się do niego.

— Między wami jest jednak pewna różnica. Nie sędzę, żeby Glen miał ochotę rzeźbić Dinę po raz drugi.

— Ma się rozumieć, że chce! Nie wolno zaprzepaścić czegoś takiego. Glen...

— Nie, Colton — powiedział do ojca gromkim głosem Glen; rzadko słyżałam, żeby przemawiał takim tonem. — Nie chcę ponownie rzeźbić Diny. Mam inny plan. Zamierzam wykonać rzeźbę głowy Glynis, tym razem z drewna. Użyję jakiegoś doskonałego, ciemnego drewna, które będzie miało odpowiednią spoistość i połysk. Będzie lepsza od rzeźby z alabastru. Glynis zawsze była moim najlepszym modelem.

Wszyscy wyraźnie widzieliśmy, że znów się zapalił. Wyglądał tak, jak wtedy, gdy odnalazł mnie w muzeum. To był ten rodzaj podniecenia, jakim płonał pracując nad rzeźbą z alabastru. Czułam się tak rozbita, jak tamta bryła alabastru. Teraz naprawdę straciłam męża.

Glynis zapaliła się również. Oboje byli jednakowi, straszliwie jednakowi.

— W tym samym czasie ja będę jego modelem, a on moim — krzyknęła. — Już widzę, jak go namaluję. To uwolni mnie też od czarnych myśli.

Colton był z nich zadowolony. Z oziębłością człowieka, dla którego liczy się tylko sztuka, odsuwał od siebie wszystko, z wyjątkiem faktu, że jego dzieci znowu biorą się do pracy. Nie był natomiast zadowolony ze mnie, chociaż się starał. Użył słowa „wypadek” określając to, co zrobiłam. Nomi musiała mu chyba sporo opowiedzieć i w końcu postanowił złożyć winę na mnie. Takie wyjście było prostsze.

Gdyby nie to, że chciałam odnaleźć Keitha, nie poszłabym tej nocy na ognisko. Musiałam jednak iść, bo wiedziałam już, że Colton nie przyjdzie mi z pomocą. Nie potępiałam Nomi za nie uwydatnienie roli Glynis w całym zdarzeniu. Chyba nie mogła zbyt otwarcie wyjawić mu szczegółów mojej szalonej opowieści, skoro tylko moje słowa obwinały o to, co się stało, jego córkę. A więc muszę iść na przyjęcie i porozmawiać z Keithem. Muszę znaleźć sposób, żeby się bronić.

Nie byłoby mi łatwo stawić czoła jakiegokolwiek rywalce; a poza tym, czy ktoś znalazł już sposób na pokonanie bliźniaczki?

RS

## 10

Tego popołudnia, gdy dekorowana przez ogarnięte niepohamowaną radością rodzeństwo, choinka była gotowa, oboje poszli pracować na poddasze. Tak bardzo zapalili się do swoich podwójnych projektów, że nie mogli czekać do jutra. Zaproponowałam Nomi pomoc w ostatnich przygotowaniach, ale zbyła mnie machnięciem ręki. Teraz przejawiała wobec mnie tylko zniecierpliwienie. Colton siedział w swojej pracowni pisząc listy. Nawet Jezebel zniknęła na dworze w słonecznym blasku późnego popołudnia.

Pozostawiona sama sobie, ubrałam się na wspinaczkę, wzięłam lekką lornetkę Glena i zeszłam do Gray Rocks. Znowu nie spostrzegłam ani śladu Keitha, ale ognisko już płonęło. Tym razem skierowałam się na przełęcz w miejscu, gdzie rozdawiała się skała, i wspięłam się tam. Nade mną wznosiły się bliźniacze szczyty — on i ona — pomyślałam z sarkazmem. Pod jedną z piętrzących się w niebo turni, dostrzegłam wiodącą do góry ścieżkę. Wgłębienia w skale, jedne naturalne, drugie wycięte, dobrze pasowały do rąk i stóp. Krok po kroku wspięłam się na płaskie miejsce w pobliżu wierzchołka. Spostrzegłam, że wydrążona skała tworzyła tu małą grootę. Usiadłam pod osłoną jej sklepienia. Otoczyły mnie kamienne ściany, byłam ukryta przed światem.

Nikt by mnie nie spostrzegł, chyba że zaczęłabym krzyczeć na całe jezioro.

Zwinąwszy się jak ślimak, który wśliznął się do skorupy, zastanawiałam się nad moją kłopotliwą sytuacją podczas tej przedziwnej

wigilii. Nie odczuwałam nic ze świątecznego nastroju. Wszelkie oczekiwania obróciły się wniwecz. Zadumana, z żalem wspominałam czasy, gdy mogłam oglądać w mieście okna wystawowe i śpieszących klientów. Wspominałam Armię Zbawienia, świętych Mikołajów, a nawet mechaniczne rzępolenie kołęd. Brunatny, zimowy las, niemal bez odrobiny śniegu, nie miał nic wspólnego ze świętami. Podobnie jak piknik z ogniskiem pod gołym niebem.

Byłam panną młodą bez pana młodego. Lepiej nie zastanawiać się nad tym. To, co przydarzyło się Glenowi, było chwilowe, musiało minąć. On znowu mnie pokocha. Wiedziałam, co do mnie czuł. Nie mogłam stracić czegoś tak cennego z powodu bryły alabastru, która miesiąc temu była niczym, a teraz leżała roztrzaskana. Musiałam pokonać chorobliwe wątpliwości, które mnie nurtowały. Mgliście pomyślałam o Trencie i przyjacielskiej rozmowie z nim. Kiedyś mnie pocieszył, ale teraz wiedziałam, że już tego nie zrobi.

Z oddali dobiegł jakiś krzyk, wyczołgałam się więc z mojej ślimaczej skorupy, żeby wstać. Czyżby mnie wołali? Czy to był głos Glena? A może tylko echo?

Choć wokół mnie była tylko ściana skalna z kryjówką i nagie kamienie przeciwległej turni, stwierdziłam, że opierając się o sięgającą do piersi skalną barierę, mogę objąć wzrokiem niemal całe jezioro. Z tego miejsca doskonale usłyszałabym każdy dźwięk dobiegający nawet z oddali. Nikt mnie nie wołał.

Słońce zniżało się już do miejsca, gdzie miało zniknąć za wzgórzami, niebo zaczął zabarwiać wspaniały zimowy zachód słońca. Po drugiej stronie jeziora, ognisko płonęło teraz zupełnie jasno. Z wysokości tej skalnej grzędy



czułam zapach palącego się drewna. Wkrótce Chandlerowie będą musieli zejść nad jezioro, mnie z nimi nie będzie. Jeśli odczuwali moją nieobecność, mogli zawołać. Nie odpowiedziałabym. Wiedziałam, że to dziecinada, ale byłam już zmęczona ich zuchwalstwami. Oderwana od nich, przynajmniej mogłam być sobą.

Ostrożnie wychyliłam się przez skałę i uświadomiłam sobie, że przebywanie na wysokości daje dziwne poczucie siły. Podo mną rozpościerało się całe jezioro. W połowie przeciwległego brzegu widziałam dom McIntyre'ów, a poniżej płaszczyznę łąki, nad którą unosiły się płomienie ogniska. W nadchodzącym zmierzchu, ogień od czasu do czasu zakwitał głębszym szkarłatem. Wokół ogniska poruszały się małe postacie, jak drobne figurki z Nocy Walpurgii na obrazie Glynis Chandler.

Przy pomocy lornetki mogłam nawet rozróżnić osoby. Nikogo z Chandlerów nie było tam, ale dostrzegłam Pandorę, małą i pulchną w wąskich spodniach i obszernym swetrze. Trent był również, oszczędny i sprawnymi ruchami doglądał ogniska. Gości i ich dzieci nie znałam. Panował tam nastrój radosnego oczekiwania, którego nie mogłam podzielać.

Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam rozprzestrzeniające się po niebie barwy zachodzącego słońca, smugi szkarłatu, złota i szafranu zlewające się w oddali z jasnym błękitem.

W żaden sposób nikt nie mógł dostrzec mnie w cieniu skały. Zza kamiennej bariery wyszłam na szeroki występ, z którego miałam jeszcze lepszy widok na jezioro. Czubkiem buta potraçałam ruchomy odłamek skały i serce na moment skoczyło mi do gardła, gdy wielka bryła ilastego łupka oderwała się i runęła z łoskotem w dół po stromym zboczu. Uderzając o podnóże skały rozłupała się na tysiące kawałków i spadła do jeziora. Nie

było tam jednak nikogo, kogo mogłaby zranić. W polu widzenia lornetki nic się nie poruszało, nikt nie szedł ścieżką.

Uniosłam lornetkę i przeszukałam przeciwległy kraniec jeziora, gdzie Gray Rocks stopniowo zacierało się w cieniu rosnących wszędzie wokół lasów. W niektórych oknach paliły się światła. Myślę, że Pandora korzystała z kuchni i lodówek gospody, żeby przygotować piknik. W jakiś dziwny sposób przyciągnęło mój wzrok, małe okno biura. Gdy odnalazłam je przez lornetkę, serce znowu skoczyło mi do gardła. Okno płonęło czerwonym ogniem podsycanym purpurowymi płomieniami. Glynis, malując swój obraz, musiała chyba mieć wizję podobną do tego widoku.

Ale był to tylko zachód słońca, oblewający po kolei każde okno purpurą. Światło zabarwiało frontową ścianę gospody i oświetlało opadający w kierunku wody trawnik, podczas gdy reszta okolicy tonęła w cieniu. Widok był dramatyczny i piękny.

Kiedy dalej przyglądałam się, ukazała się idąca dużymi krokami jakaś postać. To wyszedł z lasu Keith. Przechodził okrążając dom i prowadząc do wejścia ścieżką. Przynajmniej raz nie niósł strzelby, ale za to poruszał się prawie chyłkiem, jakby śpieszył się, ale i obawiał, że ktoś go zobaczy. Wkrótce zniknął z pola widzenia. Gdyby babka wysłała go w jakiejś niewinnej sprawie, nie poruszałby się w ten sposób. Nie lubię takich podejrzanых sytuacji, ale z tej odległości nie mogłam nic poradzić.

W tym momencie, na przeciwległym brzegu, tam gdzie droga zakręcała, rozbłysły światła samochodu. Patrzyłam, jak zatrzymał się na parkingu w pobliżu domu McIntyre'ów. Otworzyły się drzwi i wysiadł Colton, obszedł samochód i pomógł wsiąść obciążonej paczkami Nomi. Razem ruszyli w stronę ogniska. Glen i Glynis nie zjawili się.

Zastanawiałam się, gdzie się podziewają. Czy Glen szukał mnie? Czy pomyślał o mnie? Chyba nie, odpowiedziałam sobie, i poczułam gorycz.

Jednak nie to, czy Nomi i Colton dotarli do ogniska było ważne, lecz fakt, że Keith znajdował się po drugiej stronie jeziora sam. Gdybym szybko zeszła z góry i poszła brzegiem, byłoby jeszcze dostatecznie jasno, żeby trafić do gospody. Dotarłszy tam, znalazłabym się pomiędzy Keithem a ogniskiem, do którego powinien chyba wrócić.

Schodzenie ze szczytów Gray Rocks było trudniejsze niż wspinaczka. Zawiesiłam lornetkę na szyi, żeby mieć wolne ręce, i schodziłam tyłem, tak jak Glen, powoli krok za krokiem, ostrożnie wyczuwając stopami strome zbocze pode mną.

Po zejściu na dół, przedarłam się na brzeg jeziora i odnalazłam ścieżkę, którą tak często spacerowałam. W szybko zapadającym zimowym zmierzchu teren stawał się coraz trudniejszy. Wyblakłe barwy na ciemniejącym niebie były już tylko nikłym wspomnieniem zachodu słońca. Szłam jednak najszybciej jak mogłam, a jednocześnie ostrożnie, zwracając uwagę na kępy trawy porastające ścieżkę i kupy liści, które nieoczekiwanie mogłyby zamienić się w pułapki.

Znalazłam się teraz prawie na przeciwko ogniska. Słyszałam jego trzask, widziałam jak strzelają wysoko w powietrze iskry. Nie było to niebezpieczne, bo ten odcinek brzegu został oczyszczony, nie rosły tam drzewa, a ziemia wciąż była jeszcze wilgotna po śnieżycy szalejącej w zeszłym tygodniu. Wszędzie biegały wrzeszcząc i śmiejąc się dzieci, a dorosłych pochłaniało przygotowywanie kielbasek i dzielenie słodkich bułeczek z rodzinami. Leżąca wprost przede mną gospoda, pogrążona była w mroku. Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie wyobraziłam sobie

świateł w jej oknach. To, co wyglądało na światło elektryczne, także mogło być po prostu odbłaskiem zachodzącego słońca.

Ale Keith tam był i musiałam się pośpieszyć. Nie zauważyłam, żeby wracał wzdłuż jednego lub drugiego brzegu, musiał więc być w gospodzie.

Teraz poruszałam się tak szybko, że o mało nie wpadłam na Glynis i Glena, idących wzgórzem z High Towers. Zatrzymałam się w samą porę. Cofnęłam się i ukryłam za pniem rosnącego nad wodą, wielkiego jaworu. Schodzili ze stoku, śmiejąc się i trzymając za ręce. Glynis miała na sobie ciemnopomarańczową kurtkę z opadającym na plecy futrzanym kapturem, który odsłaniał krótkie włosy rzucające cienie na jej bielejącą w półmroku twarz. Glen, również bez nakrycia głowy, był w swojej ulubionej kurtce i ciemnych spodniach.

Gdy doszli do brzegu, Glen zeskoczył na lód i wyciągnął ręce do Glynis. Siostra pochwyliła je jak tancerka, lekko i z wdziękiem zeskoczyła w dół. Obserwowałam ich, jak ruszyli przez jezioro, czasem specjalnie ślizgając się, czasem wpadając na siebie i obejmując się. Zachowywali się głośno i spontanicznie jak dwoje dzieci. Jeżeli kiedykolwiek jakaś tragedia dotknęła Gray Rocks Lake, nie pamiętali o tym tego wieczora.

Nie obejrzelisi się i nie spostrzegli mnie, cała ich uwaga była skupiona na strzelającym iskrami ognisku przed nimi. Opuściłam kryjówkę za drzewem i znowu szybko ruszyłam. Teraz biegłam, starając się nie potknąć. Nie miałam już pewności czy Keith nadal był w gospodzie. W ciemnościach mógł niepostrzeżenie wymknąć się w każdym kierunku.

Po pięciu minutach byłam w gospodzie. Wszędzie panowała cisza. Zgasły ostatnie promienie słońca i okna były ciemne, z wyjątkiem jednego na drugim końcu gospody, które w swojej czarnej głębi odbijało skaczące

plomień. Żaden chłopiec nie wynurzył się z cienia, by stanąć przede mną. Nikt nie odpowiedział, gdy zawołałam, głośno wykrzykując jego imię. W końcu musiałam pogodzić się z jego nieobecnością.

Powinłam iść na przyjęcie i sprawdzić, czy tam go nie ma. Wciąż nurtowała mnie myśl, że muszę porozmawiać z Keithem, przekonać, żeby mnie wysłuchał i zrozumiał, jaką straszną wyrządził mi krzywdę. Podejrzewałam, że moje wysiłki mogą być daremne, gdyż tak całkowicie i bez reszty pozostawał pod wpływem Glynis. Prawdopodobnie wyśmiałby mnie lub rzucił jedno z tych swoich złych spojrzeń i odwrócił się obojętnie. Pomimo to, musiałam spróbować. Nie miałam wyboru.

Po tej stronie jeziora maszerowało się łatwiej, bo brzeg był mniej zarośnięty i łagodniej pochylony. Słyszałam śmiechy i krzyki, widziałam jak strzeliste płomień rozsypują nad jeziorem grad iskier. Ogień migotliwym półkolem zabarwiał różowo powierzchnię lodu. Tej nocy wiatr był słaby i języki ognia sięgały wysoko, jakby chciały dosięgnąć gwiazd. Wszędzie wokół, poza kręgiem jaskrawego światła, panowały gęste, nieprzeniknione ciemności. Wewnątrz kręgu uwijało się mnóstwo ludzi.

Glen od razu mnie spostrzegł i podszedł tak szybko, że serce zadrżało mi nadzieją. Spotkaliśmy się w pewnej odległości od ogniska, ale nie powitał mnie czułym spojrzeniem, czy też słowem.

— Gdzie byłaś? — spytał. — Nomi, zanim wyszła z Coltonem, szukała cię po całym domu. Wszyscy sądziliśmy, że lepiej by wyglądało, gdybyś przybyła razem z całą rodziną.

— Poszłam na spacer — powiedziałam cicho. — Nie sądziłam, że ktoś odczuje moją nieobecność.

Glynis stała tuż za nim.

— Znowu użala się nad sobą. Dąsa się, bo nie chcesz wysłuchiwać jej kłamstw na mój temat. Dlaczego nie powiesz jej, żeby wróciła do domu i dała nam spokój. Dopóki nie przyszła, bawiliśmy się cudownie. Dlaczego nie powiesz jej tego?

— Ponieważ chcę, żeby została — rzekł Glen. — Chcę, żeby została i żeby choć raz rozchmurzyła się. Dino, chcę zobaczyć, jak się uśmiechasz. Pokaż, jak udajesz niesamowicie szczęśliwą pannę młodą.

Odwrociłam wzrok od jego jawnie kpiących oczu.

— Jak mogę być szczęśliwa, skoro nie chcesz nawet mnie wysłuchać? — powiedziałam bezradnie.

Również Glynis z lubością dręczyła mnie.

— A widzisz! Znowu wraca stara melodia: wysłuchaj-mnie-wysłuchaj-mnie!

— Po co przyszłaś, skoro masz zamiar być ponura i użalać się nad sobą? — zapytał Glen.

Poczułam się jak przyszpilony owad. Bez względu na to, jakbym się nie wykręcała, wciąż mnie kłuli. Rozejrzałam się wokół błędnym wzrokiem. Nie szukałam pomocy, bo nikt by mi jej nie udzielił, ale jakiejś drogi ucieczki. I wtedy zobaczyłam chłopca. Stał trochę na uboczu, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami, twarz miał ukrytą w cieniu. Błądził po nim odbłask płomieni ukazujący jego usta wykrzywione grymasem podejrzania. Wyglądał jak dzikie stworzenie, które nagle zatrzymało się przy tropie, ponieważ zwietrzyło drapieżnika. Wyglądał, jakby całym sobą uważnie przyglądał się i nadśluchiwał.

— Przyszłam zobaczyć się z Keithem — krzyknęłam. — Chcę porozmawiać z nim. Pragnę...

Gdy tylko odezwałam się, Keith rozpląnął się w tłumie wokół ogniska, a Glynis złapała mnie za ramię i brutalnie potrząsnęła.

— Prześladowiesz mojego syna! Powiedział mi, że szukasz go, chcesz go dopaść! A wszystko dlatego, że ubzdurałaś sobie, iż potwierdzi twoje kłamstwa. Ale on nie chce tego zrobić, nie chce!

— W jaki sposób mógłby to zrobić? — sucho powiedział Glen.

Miałam dosyć szczucia i zadreczania mnie. Zapalczywie krzyknęłam:

— Mógłby, gdyby zechciał, bo bardzo dobrze wie, że to jego matka ponosi winę za to, co się stało z alabastrową głową. Wystarczy, że zbliżę się do niego i porozmawiam, gdy Glynis nie będzie pilnować swego młodego...

Glen spoliczkował mnie tak raptownie i mocno, że straciłam równowagę i o mało nie upadłam. Glynis natychmiast położyła dłoń na jego ramieniu.

— Hej, nie denerwuj się! To nie pora na publiczne przedstawienie. Dino, dlaczego nie wyjedziesz? Wyjedź do Nowego Jorku! Dlaczego w tej chwili nie wrócisz do domu i nie spakujesz swoich rzeczy? Nie możesz oczekiwać razem z nami świąt...

Odwrociłam się od obojga i bez namysłu pobiegłam, nie zwracając uwagi na kierunek. Dokądkolwiek, byle być poza zasięgiem ich znienawidzonych głosów, z dala od ich złośliwych twarzy. Zatrzymałam się przy kępie drzew nad samym brzegiem. Z ulgą weszłam w ich cień i przeszłam na drugą stronę. U moich stóp rozpościerało się zamarzniete jezioro. Leżał tam duży, płaski głaz, na który weszłam, jak na pokryte skorupą lodu podium.

Tu, w świetle gwiazd i migoczącym za drzewami blasku ognia, przy akompaniamencie należących do innego świata śmiechów i krzyków,

ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się. Byłam bezbronna wobec osaczającego mnie zła. Nie miałam też lekarstwa na uśmierzenie bólu w sercu po utraconej miłości. Czułam tylko zamęt, żal i ból. Wprawdzie płacz przyniósł mi ulgę, ale łzy nie przestawały płynąć i zaczął wstrząsać mną głuchy szloch.

Delikatne dłonie dotknęły moich ramion. To nie były ręce Glena. Odwróciłam się, by spojrzeć w twarz Trenta, niewyraźną w bladym świetle gwiazd, ale poznałam intensywny błękit jego oczu. Tego też nie mogłam znieść. Delikatność i czułość rozbiłyby mnie zupełnie.

— Posłuchaj mnie, Bernardino! — rzekł. — Przestań szlochać i posłuchaj! Czy przypominasz sobie pewne popołudnie sprzed wielu lat? Deszczowe popołudnie w Kalifornii, kiedy znalazłem cię leżącą twarzą na mokrej trawie i rozpaczliwie płaczącą z powodu innego zmartwienia?

Powstrzymałam się od szlochu i słuchałam potakując głową.

— Wydawało ci się, że tamtego dnia umrzesz z rozpacz. Myślałaś, że nie zniesiesz życia, z którym rozstał się twój ojciec. Przypominasz to sobie?

Znowu mogłam tylko skinąć potakująco głową.

— A mimo to przeżyłaś, zdobyłaś się na odwagę. Czas złagodził ból, zawsze tak jest. Teraz potrafisz myśleć o nim z radością i czułością, bez tego głębokiego smutku, który wtedy odczuwałaś. Tak będzie znowu. Poniesiesz konsekwencje, moja droga, nieudanego małżeństwa, bo to jest nieudane małżeństwo, i zaznasz jeszcze wielu lepszych i szczęśliwszych chwil.

Nie byłam w stanie przyjąć słów otuchy. Potrafiłam myśleć tylko o tym, co wydarzyło się przed minutą.

— Glen spoliczkował mnie — rzekłam.



— Wiem. Widziałem. I musiałem się powstrzymać od interwencji, żeby nie pogarszać sytuacji. Od tej chwili powinnaś wiedzieć, że nie możesz zostać w tym samym domu, co Glynis. Jeśli jeszcze istnieje jakaś szansa na uratowanie twojego małżeństwa, to tylko z dala od Glynis i Gray Rocks.

Nie mogłam odpowiedzieć. Nie wiedział wszystkiego. Nie wiedział o tym, co zrobił jego własny syn, żeby wrogo nastawić Glena przeciwko mnie. Wciąż zagubiona w wirze zdarzeń, mogłam tylko unieść ku niemu wilgotną twarz. Przypominałam sobie, jak kiedyś, dawno temu podniósł mnie na duchu. Teraz też łaknęłam czegokolwiek, co by mi pomogło i uśmierzyło wewnętrzny ból. Trent pochylił się. Przysunął twarz ku mojej, a ja pomyślałam, że jego pocałunek byłby delikatny i kojący. Zamiast tego ochryply głos Glynis przebił się przez ciemności i wdarł między nas.

— Proszę bardzo! — krzyknęła. — Glen, oto co miałam na myśli! Czy to nie rozczulająca scena?

Trent pochylił głowę i wściekły pocałował mnie brutalnie, a potem odwrócił twarz do nich. Glynis o mało nie tańczyła wokół nas z radości, że wszystko układa się po jej myśli. Wszystko co robiła, żeby rozbić moje małżeństwo, wydawało owoce. Musiała to chyba uważać za najwspanialsze zrzączenie losu. Tej nocy, w ciemnopomarańczowej kurtce sama wyglądała jak płomień, lśnienie odbitego światła — radosny, triumfujący płomień.

Glen tym razem nie podniósł ręki, ale w głosie miał chłód i zawziętość.

— Tak, widzę co masz na myśli. Dino, Glynis opowiedziała mi o tym jak kilka lat temu byłaś zakochana w tym człowieku i o tym, że nigdy nie przestałaś go kochać. Co, tam w Kalifornii, wydarzyło się? Co naprawdę było między wami?

Wtedy Trent uderzył go. Glen pod wpływem ciosu upadł łapiąc się za szczękę. Glynis skrzecząc z wściekłości rzuciłaby się na Trenta, ale przycisnął jej ręce do boków i potrząsał nią, dopóki głowa nie przechyliła się jej do tyłu i pisk nie zamarł w gardle. Spojrzała przerażona i ucichła.

— Jest między nami do wyrównania rachunek za wszystkie szkody, jakie wyrządziłaś w przeszłości — powiedział. — Może lepiej będzie, jeśli to sobie zapamiętasz. Na razie ci daruję, ale jeśli nie odwołasz kłamstw, które naopowiadałaś bratu, będziesz miała ze mną do czynienia.

Odepchnął ją, ciskając o drzewo, i wspiął się na stromy brzeg.

Glynis wyprostowała się, potem upadła na kolana, żeby czule zawodzić nad bratem. Glen nie był zraniony, lecz z nieprzytomną miną siedział wyprostowany i lekko zamroczony potrząsał głową raz w jedną, raz w drugą stronę. Nie mogłam znieść tego widoku. Czułam się tak oszołomiona i zmieszana, jakbym to ja została uderzona przez Trenta. Potykając się wróciłam w stronę ogniska, wycierając łzy z wilgotnej twarzy. Musiałam się opanować, bo nadal nie rozmawiałam jeszcze z Keithem.

Przez resztę wieczoru wszystko wydawało mi się obce, nierealne, jakby za mgłą. Zdołałam zjeść trochę z tego, co mi podano. Wypróbowałam też jakąś cząstkę swojego „ja”, dla którego przyłączenie się do rozbawionego towarzystwa, było czymś wprost niemożliwym. Kiedy jednak zaintonowano w końcu kolędy, nie mogłam śpiewać. Wszystko wydawało mi się zbyt sztuczne i fałszywe. Kolędy o Cichej Nocy i miasteczku Betlejem nie pasowały do czegoś, co było piekłem. Glynis z powrotem przeciągnęła Glena na swoją stronę, łącząc się z nim w diabelskim sojuszu. Nie było już dla mnie miejsca w życiu Glena. A jednak wciąż, z uporem,

musiałam spróbować jedynej drogi, o której wiedziałam, że jest niezbędna — musiałam porozmawiać z Keithem.

Spostrzegłam, że od czasu do czasu przelotnie pojawia się i znika w tłumie wokół ogniska. Miałam wrażenie, że unika towarzystwa rówieśników, i jeszcze raz uświadomiłam sobie jego dzikość, która wprawdzie pozwalała mu na obcowanie z ludźmi, ale w każdej chwili mogła go zmusić do ucieczki w stronę bezpiecznej kryjówki. Nie było żadnej szansy na rozmowę.

Nagle, podczas przyjęcia zaskoczył wszystkich Colton, niemal zdawkowo oznajmiając, że sprzeda Pandorze potrzebną jej ziemię. Pandora była rozpromieniona. Uściskali sobie ręce, jakby nigdy pomiędzy ich rodzinami nie było żadnych waśni. Glen wyglądał na wściekłego, ale obserwowałam przede wszystkim Glynis, podejrzewając, że decyzja Coltona wszystko pogorszy. Tej nocy nawet purpurowe płomienie, nie mogły rozjaśnić jej ciemnych jak gagaty oczu. Podejrzewałam, że ma jeszcze do spleatania sporo figli, których skutki tym razem mogłyby być fatalne.

Glen znów przyłączył się do kręgu gości, powracając z Glynis przy boku. Migotliwe światło nie uwydatniało siniaka na jego szczęce. Trent stał z dala od nich i ode mnie, ale mimo to czułam, że zwraca na wszystko baczną uwagę i byłam mu za to wdzięczna. W mojej walce przeciwko bliźniakom nie byłam już zupełnie sama.

Przez cały wieczór, aż do chwili, gdy wszyscy wzięli się za ręce i okrążyli ognisko, Glen nie zbliżał się do mnie. To był już ostatni rytuał tej nocy i tym razem zmusiłam się do śpiewania z innymi. Jakieś resztki mojej odwagi i dumy na powrót odżyły, gdyby jeszcze Glen wziął mnie za rękę, żeby przyłączyć do zabawy, rozchmurzyłabym się i ukryłabym cierpienie.

Śpiewałam ze ściśniętym gardłem, bo słowa pieśni „Dobre dawne czasy” zupełnie, jakby odnosiły się do mnie. Dzisiejszej nocy w przykry sposób odczuwałam nieobecność bliskich osób. Ukochanych osób, które dawno straciłam: ojca, matki, dalekiej i niedostępnej nie tylko z uwagi na odległość, lecz również na jej podeszły wiek i chorobę, Trenta, którego straciłam dawno temu, będąc jeszcze młodą i głupią dziewczyną. I Glena, który był moim mężem. Kiedy okrążaliśmy ognisko, wziął mnie za rękę, ale jego palce były chłodne, i wiedziałam też, że drugą dłonią trzymał za rękę Glynis.

Zanim skończyły się pożegnalne uprzejmości, miałam już wszystkiego dosyć. Wyrwałam się z kręgu bawiących, ale Glen nawet tego chyba nie zauważył, bo gdy odchodziłam, właśnie zaśmiewał się z Glynis. Obawiając się, że może jeszcze coś mi zrobić, jeśli dopadnie mnie sama, uciekłam wzdłuż brzegu. Wybrałam dłuższą drogę do domu prowadzącą wokół jeziora, bo na zamarznętej tafli byłabym zbyt widoczna, mógłby mnie zobaczyć i gonić.

Nie mogłam pogodzić się z taką wigilią i jutrzejszym Bożym Narodzeniem. Bez względu na to, jak samotna byłam dawniej, nigdy wcześniej nie czułam się tak straszliwie nieszczęśliwa. Nie umiałam znaleźć żadnego sposobu ani lekarstwa na uśmierzenie nieznośnego bólu. Na szczęście podczas marszu ogarnął mnie zbawienny gniew. Nie poddam się rozpaczycy i nie będę bez przerwy rozczulać się nad sobą! Jeśli chcę pograć się w złości i żalu, to mam do tego prawo, ale pokonana jeszcze nie jestem.

Nadal nie wiedziałam co robić, ale wraz ze spokojem wróciły do mnie słowa Trenta i podtrzymały mnie na duchu. Smutek z czasem przemija.

Nadejdą lepsze dni. Muszę tylko jakoś przeżyć to, co mi się przytrafiło, a znajdzie się wyjście, które wydobędzie mnie z dna rozpacz.

Zbliżyłam się już do gospody, gdy nagle coś przerażającego przyciągnęło moje oczy. Nie wszystkie jej okna były pogrążone w ciemnościach. Po ramie najmniejszego z nich, wiała się purpurowa serpentyna, która po chwili wybuchła językami ognia. To był pokój z obrazu Glynis! I tym razem rzeczywiście płonął.

Byłam blisko gospody, zaczęłam biec, ale dym wydobywał się już z otwartych okien, a płomienie stawały się coraz jaśniejsze i coraz bardziej zachłanne. Straciłam oddech, musiałam przystanąć. Spróbowałam krzyczeć, żeby zwrócić uwagę ludzi przy ognisku. Niestety, mój słaby głos ginał wśród śpiewów i śmiechów. Pobiegłam dalej. W końcu, sam ogień ich zaalarmuje.

Gdy dotarłam do trawnika przed domem, znowu spojrzałam w górę. Ujrzałam wypełnione płomieniami wnętrza pokoju i buchające kłęby dymu. Obiegłam róg gospody, potknęłam się na schodach i nieomal wpadłam w ramiona Keitha, wychodzącego właśnie głównymi drzwiami.

Od razu przyczepiłam się do niego jak pijawka i chociaż próbował, nie mógł mnie strząsnąć. Zaciśnęłam ręce na jego ramionach i potrząsnęłam nim ze wszystkich sił.

— Gdzie jest woda? — wrzeszczałam. — Gdzie jest hydrant?

Nadal próbował wyrwać się, gdy spostrzegłam, że nie ma zamiaru pomóc, pozwoliłam mu odejść i popędziłam do drzwi. Wtedy ruszył za mną, tym razem okazał się silniejszy ode mnie i zatrzymał mnie.

— Nie możesz wejść do środka! Tam się pali. Gospoda spłonie. Nie możesz tam wejść!

Przestałam się szamotać i stanęłam twarzą do niego.

— A więc to twoja sprawka! Podпалиłeś posiadłość babki! Zrobiłeś to, bo Glynis tak chciała. Och, jak możesz być taki głupi i ślepy?

— Nie twój interes! — wrzasnął. — Odkąd tu przyjechałaś, nie robisz nic innego, tylko wszędzie wtykasz nos!

— Jak możesz być taki niegodziwy i głupi? — ciągnęłam. — Czy nie widzisz, jak od początku ona cię wykorzystywała, żeby osiągnąć to, czego chce; licząc na to, że to ty poniesiesz za wszystko odpowiedzialność?! Ty ustawiłeś rzeźbę, żebym ją przewróciła tak, jak ci kazała Glynis. Nigdy nie będzie za to obwiniona, bo sama nie dotknęła jej. Zniszczyłeś moje małżeństwo i nastawiłeś mego męża przeciwko mnie! To ja miałam ponieść wszystkie konsekwencje zamiast twojej matki! To wszystko było ukartowane! Ale nie wolno ci po raz drugi być takim głupcem. Tym razem powstrzymamy to, co ona zaczęła. Chodź i pokaż mi, gdzie jest wąż!

Widząc moją wściekłość, uspokoił się. Uścisk zelżał, puścił mnie. Usłyszałam trzask płomieni wewnątrz gospody. Odwrócił się raptownie, wszedł do środka, a ja za nim. Przebiegł hall i obszerną jadalnię, podbiegł do półki przy ścianie, gdzie znajdował się hydrant.

— Odkręć to — krzyknął rozwijając gaśniczy wąż. Gdy zapamiętałam odkręcałam kurek, przeciągnął go przez jadalnię i skierował wylot na kłęby dymu i płomienie ognia w biurze. Ogień syczał i skwierczał, a para kłębami unosiła się w górę, Keith pracował z nieoczekiwanym zapalem, jakby w gaszeniu ognia znajdował tyle samo przyjemności, co w jego wzniesieniu.

Zorientowałam się, że pożar zaczął się od zapalenia plastikowego kosza na śmieci, a potem przeniósł się na zasłony przy otwartych oknach. Jedna z nich wciąż się paliła i płomienie wydostawały się na zewnątrz,

dopóki Keith nie skierował na nią węża, a czarne, ociekające wodą szczątki nie spadły z powrotem do pokoju.

Jedyne co mogłam zrobić, to tylko wpaść w jeszcze większą złość.

— Tam, przy biurku twojej babki! — wrzasnęłam. — Nie pozwól, żeby spaliły się jej dokumenty! Co skłoniło cię do takiego nikczemnego czynu? Nie masz własnej woli? Nie masz za grosz odwagi? Jesteś zbyt wielkim gnojkiem, żeby powiedzieć Glenowi prawdę o tym, co się stało, żeby wyprowadzić go z błędu co do mnie!

— Ogień prawie dogasa — rzekł cicho. — Nie spłonęło tak wiele rzeczy. Wydaje mi się, że pożar nie rozprzestrzenił się. A teraz cicho! Ani słowa więcej, bo w przeciwnym razie obleję cię wodą.

Wymamrotałam coś i umilkłam, moja furia konała jak gasnący ogień. W takiej sytuacji zastał nas Trent. Zobaczył mokry, cuchnący rozgardiasz w biurze i nas, niemal ramię w ramię, we wspólnej niedoli.

## 11

— Co tu się dzieje? — zapytał Trent. — Zobaczyłem dym i...

Przepchnął się między nami, podniósł do góry ociekający wodą, pokryty popiołem kosz na śmieci i wyrzucił go przez okno. Potem znów zapytał:

— Co się stało?

Keith zamykał dopływ wody przy hydrancie, miał posępną minę. Jego oczy unikały wzroku ojca.

Jakąś odezwałam się. Czułam, że powinnam chronić chłopca.

— Keith i ja zobaczyliśmy dym. My... My przyszliśmy tu mniej więcej w tym samym czasie i użyliśmy węża, żeby ugasić ogień. Coś się zapaliło w koszu na śmieci...

Trent odetchnął z ulgą, wywołując we mnie jeszcze większe poczucie winy. Roześmiał się i poklepał Keitha po ramieniu.

— No, przez chwilę myślałem, że to ty podпалиłeś.

— Dlaczego miałby to zrobić? — wtrąciłam się nie zwlekając. — Keith ugasił pożar.

Można jednak do niego dotrzeć, o ile ojciec wszystkiego nie popsuje, wpadając we wściekłość.

— Mówisz głupstwa! — ciągnęłam. — Obwinić własnego syna o podpalenie! To był wypadek.

Keith spojrział na mnie z pogardą.

— To ja podпалиłem — powiedział do ojca, zacisnął usta i zamilkł.

Chociaż chłopiec odrzucił moją obronę, nadal starałam się pomóc mu.



— Glynis namówiła go! On przynajmniej nie dopuścił do rozprzestrzenienia się ognia. Dzięki temu pożar nie wyrządził poważniejszych strat.

Trent odwrócił się do mnie z taką samą pogardą jak syn. Nie był już czułym, miłym mężczyzną, który tak niedawno pocałował mnie.

— Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do domu. Masz na dzisiaj dosyć! Odprowadzę cię do High Towers.

— Nie — powiedziałam. — Zostań z Keithem. Znam drogę.

— Nie możesz po nocy przedzierać się przez las — rzekł. — Zaczekaj chwilę, a...

— Wrócę do domu z Coltonem — odparłam i wyszłam, zanim zdążył mnie zatrzymać.

Kiedy wyszłam na dwór, spotkałam biegnącą do gospody Pandorę. Zorientowałam się, że ogień był widoczny znad jeziora.

— Pożar ugaszony — powiedziałam. — Są pewne szkody, ale nieduże. Nie wchodź teraz do środka. Pozwól Trentowi porozmawiać z synem. I nie wpuszczaj innych.

Pandora jak zawsze okazała się bystra, miała intuicję. Szybko, nie zadając żadnych pytań, zajęła stanowisko na schodach, a ja odszukałam ścieżkę nad jeziorem. Po drodze, każdego kogo spotkałam, powiadamiałam, że przypadkowy pożar został ugaszony. Gdy doszłam do dogasającego ogniska, zauważyłam, że Glen i Glynis jeszcze tam byli i nie zdradzali najmniejszej ochoty, żeby pójść do gospody i dowiedzieć się co się tam stało.

Do High Towers wróciliśmy samochodem Coltona. Bliźniacy byli zdenerwowani i podekscytowani. Podnieceni przebiegiem wieczoru i

oświadczeniem Coltona o sprzedaży ziemi, zdenerwowani z powodów, które tylko ja znałam. Colton nie dopuścił do żadnej dyskusji na temat ziemi, gdy jednak stawali się natarczywi, po prostu kazał im zamilknąć i dopiero wtedy umilkli. Teraz, gdy plany związane z Keithem spaliły na panewce, zastanowiłam się, co jeszcze mogą wymyślić.

Po powrocie do domu cieszyłam się, że mam sypialnię wyłącznie dla siebie. O dziwo, czekała tam na mnie Jezebel. Wzięłam ją na ręce i stanęłam przy oknie, skąd był widok na kamienny dom. W pokoju Trenta znowu paliło się światło. Poprzez zamrożone jezioro dobiegało ostre staccato klawiszy maszyny do pisania, stwarzając wrażenie akompaniamentu do tej dziwnej wigilii Bożego Narodzenia. Cieszyłam się, że dobrze mu idzie pisanie. Mój ojciec wierzył w jego zdolności, ja również.

Stojąc tak, myślałam też o Keithcie. Zastanawiałam się, czy wypowiedziane dziś wieczorem słowa zdołały w ogóle do niego dotrzeć. Zadawałam sobie pytanie, jak potraktował go Trent po moim odejściu. Chłopiec popełnił wprawdzie przerażający czyn, ale mimo to, przez moment miałam wrażenie, że reaguje na to co mówię, jakbym wzbudziła w nim przynajmniej chwilowe zainteresowanie. Czy jednak to wystarczy, żeby nakłonić go do wyjawienia Glenowi prawdy? Powątpiewałam. Czego można oczekiwać od chłopca mającego taką matkę? Glynis umiała skutecznie czarować i potrafiła go omotać.

Kiedy byłam już w łóżku, po raz pierwszy od czasu przeprowadzki do swojego starego pokoju, wszedł do naszej sypialni Glen. Delikatnie uniósł Jezebel i wypuścił ją do hallu, skąd schodami pognęła w inne, bezpieczniejsze miejsce. Glen, rzecz zastanawiająca, nie odczuwał do kotki

awersji, tak samo jak ona do niego. Najwidoczniej, przynajmniej w tym różnił się od Glynis.

Odwróciłam się i zamknęłam oczy. Nie wiedziałam, dlaczego przyszedł, nie miałam też mu nic do powiedzenia. Ale on chciał mi coś powiedzieć. Jednak nie słowo „przepraszam”. Nie wspomniał o spoliczkowaniu mnie czy o ciosie zadany przez Trenta, choć chciał pomówić właśnie o nim.

— Nigdy go nie lubiłem — zaczął — nawet wtedy, gdy był mężem mojej siostry. Wyobrażam sobie, że gdyby chciał, mógłby teraz narobić nam kłopotów. Jestem gotów zapomnieć o czułej scenie, jaka odbyła się dziś wieczorem nad jeziorem, dać ci w tej wątpliwej sytuacji, wiarę. Ale nie powinnaś więcej sama z nim się spotykać.

Byłam zbyt wściekła, żeby mu odpowiedzieć. Leżałam odwrócona do niego plecami i nie odzywałam się, dopóki nie podszedł do łóżka, żeby przy mnie usiąść. Pochylił się i pociągnął mnie za warkocz. Potem metodycznie zaczął mi rozplatać włosy. Rozkładał je na poduszce, jakby były czymś, co interesowało go niezależnie od mojej osoby.

— Nie gniewaj się — rzekł. — O ile to możliwe, zapomnijmy o tym, co się stało i zacznijmy od początku.

Miałam ochotę wyszarpnąć włosy spod jego ręki, ale nadal leżałam spokojnie.

— Nie będziemy już nigdy niczego zaczynać. To, co się zdarzyło, przebrało miarę, sprawy zaszły za daleko.

— Nie myślałem, że jesteś taka — powiedział nadal jeszcze łagodnym tonem. — Uważałem, że podniecasz się wtedy w gniewie, nie spodziewałem się, że odkryję w tobie taką zawziętość.

Błyskawicznie odwróciłam się i Glen musiał wypuścić z dłoni moje włosy.

— Czy to znaczy, że przebaczasz mi? Przebaczasz to, co stało się z rzeźbą? Czy właśnie to masz na myśli?

Odsunął się trochę ode mnie, jakby mój gwałtowny wybuch budził w nim wstręt.

— To nie jest kwestia przebaczenia. Chciałbym nad tym przejść do porządku, pozostawić całą przeszłość za nami. Ta alabastrowa rzeźba była dla mnie wszystkim, naprawdę wszystkim!

Jego cichy, żarliwy głos, przerażał.

— Jesteś mi to winna, Dino. Własnymi rękami zniszczyłaś moje dzieło. Teraz musisz mi je zwrócić.

Tak właśnie uważał. Nasze oczekiwania całkowicie różniły się. On nie zmienił w ogóle swojego, przyjętego pod wpływem perswazji Glynis, zdania o tym, co się stało z rzeźbą głowy. Mogłam tylko spojrzeć na niego spode łba...

Próbował odpreżyć się i wyciągnął rękę, żeby wygładzić mi zmarszczkę między oczami. Nadal próbowałam spokojnie leżeć, poddać się temu dotykowi i nie opierać się. Gdzie uleciała moja tęsknota za jego miłością, skoro leżałam tu zacięta i obojętna? Jeszcze raz dotknął moich włosów.

— Colton mówił, że znów powinienem zabrać się do pracy i ma rację. Wiem, co teraz zrobię. Będę rzeźbić w drewnie, modelem będzie Glynis, ponieważ pasuje do tego tworzywa, tak jak ty pasujesz do alabastru. Wykorzystam jej twarz i naturę. Chcę tego dokonać. Ale włosy ukształtuję

na wzór twoich. Nie będą oczywiście, w ciemnym drewnie złociste, ale za to lekkie, delikatne i jedwabiste. Potrafię uchwycić je w drewnie.

Podniosłam się na łożku i szarpnięciem uwolniłam włosy od jego palców.

— Nie zrobisz nic podobnego! Nie będę znowu pozowała dla ciebie. Nigdy, przenigdy!

Haniebnie wybuchłam płaczem, wyskoczyłam z łożka i pobiegłam zamknąć się w łazience. Usiadłam w ciemnościach na kordonkowym dywaniku i wyplakałam się w swoje dłonie i splecione włosy. Było to oczywiście niepoważne. Nie mogłam przepłakać całej nocy w łazience. Uświadomiłam sobie jednak, co uraziło mnie dotkliwiej niż kiedykolwiek przedtem. Jak mógł prosić mnie, żebym stała się częścią takiego projektu? Jak mógł sobie wyobrażać, że pozwolę na wykorzystanie jakiegokolwiek mojej cechy do rzeźby Glynis.

Po pewnym czasie wstałam, umyłam twarz, ponownie zaplotłam włosy i wróciłam do sypialni. Glen na szczęście już poszedł. Leżałam, długo nie mogąc zasnąć. Z oddali słyszałam należący do innego świata i do innego sposobu życia, stukot maszyny do pisania.

Znowu nastał poranek, ta jaśniejsza pora dnia, wzbudzająca we mnie zawsze większą śmiałość. Zmęczona spałam do późna, a gdy wstałam, włożyłam szaroniebieską, wełnianą sukienkę i zaplotłam włosy nad uszami w warkoczyki, w których tak świetnie wyglądała moja matka. Mnie nie było w nich najlepiej, ponieważ przeciążały mi głowę, ale przynajmniej nie pozostawiały żadnych luźnych kosmyków, które mogłyby przypominać Glenowi okoliczności zeszłej nocy.

Nomi wcześniej była na nogach i prześcignęła samą siebie świątecznym śniadaniem. Glynis w jasnożółtych spodniach i psychodelicznej bluzce wyglądała jak sylfida. Wykorzystując wszystkie swoje zdolności aktorskie odgrywała rolę dobrej córki. Uklękała przed oświetloną choinką, z rozkoszą grzebała w prezentach, wyczytywała na głos imiona, potrząsała z grzechotem każdą paczką, i w sumie, ku uciesze Coltona i Glena, przypominała małą, rozbawioną dziewczynkę. Ja natomiast uświadomiłam sobie, że z godziny na godzinę staję się starsza i bardziej zgorzkniała. Tak, jak uprzedzała Nomi, że łatwo można w tym domu taką właśnie się stać.

Sądzę, że Nomi zorientowała się w moim nastroju, bo gdy po śniadaniu zebraliśmy się przed oświetloną choinką na ceremonię rozdania prezentów, odciągnęła mnie na bok.

— Nie zważaj na dziecinady Glynis — rzekła. — To zawsze przychodzi w świąteczny poranek, wszyscy wiemy dlaczego. Ona wciąż usiłuje powrócić do dnia przed śmiercią matki, kiedy to zawalił się z hukiem cały jej świat...

Zrozumiałam wtedy, że właśnie tak się zachowywała. Starła się upodobnić do dziecka, którym już nigdy nie będzie, szczęśliwego, beztroskiego, bez żadnych straszliwych uczynków na sumieniu. Teraz, gdy to pojęłam, trochę jej współczułam, ale mimo to skutki jej postępowania w dzieciństwie, nigdy nie wydały mi się okropniejsze.

Chociaż Keith jeszcze nie przyszedł, nie czekaliśmy, i po kolei otwieraliśmy paczki z upominkami. Colton był zadowolony z książki o zamkach hiszpańskich, którą z pomocą Nomi kupiłam mu. Ciotce Glena podobał się komplet swetrów. Nawet, jak mi się wydaje, Glynis spodobała

się kupiona przeze mnie bluzka z ciemnobrązowej krey, która powinna podkreślać jej karnację. Glen głośno zachwycał się jedwabnym golfem, który przywiozłam z Nowego Jorku, i od razu go założył.

Najkosztowniejsze były prezenty Coltona dla rodzeństwa. Podarował im takie same kurtki z miękkiego, brunatnego zamszu po jednej stronie, a ze skóry jaguara na odwrocie. Każde założyło kurtkę futrem na wierzch i odniosłam niemiłe wrażenie, że oboje byli tego ranka dzikimi, tylko częściowo poskromionymi zwierzętami.

Od Glynis dostałam egzotyczne perfumy, do których od pierwszej chwili poczułam wstręt, a od Glena pierścionek z wielkim, wspaniałym akwamarynem w złotej oprawie. Pierścionek ciążył mi na palcu jak echo ciężaru, jaki miałam w sercu. Upominki od Nomi były najmiłsze. Utknęła dla mnie cudowny szal z miękkiej, brązowej wełny, przeciętej zygzakiem różowej błyskawicy; długi, przeznaczony do noszenia jak etola, albo długi szalik. Zarzuciłam go wokół ramion, rozkoszując się jego ciepłem i puszystością. Podeszłam do Nomi pocałować ją w policzek, ale ten gest przyjęła bez entuzjazmu.

Colton ofiarował mi książkę „Rok na wsi” opowiadającą o zmianach pór roku w północnym New Jersey oraz zwyczajach ptaków i zwierząt zamieszkujących okolice jeziora. Przewidywałam, że nie raz zajrzę do niej z przyjemnością i ucieszyłam się z tego upominku.

Ale napięcie, jakie towarzyszyło otwieraniu prezentów, osiągnęło szczyt w momencie, gdy na koniec Glen i Glynis sięgnęli po upominki, które podarowali sobie nawzajem. Były to prezenty niemal identyczne. Nomi powiedziała mi, że to już się zdarzało. Bliźnięta myślą w podobny

sposób, mają podobne gusty i chyba również porozumiewają się telepatycznie.

Glen pierwszy otworzył paczkę i zobaczył, że Glynis wybrała dla niego złoty łańcuszek i medalion z wizerunkiem twarzy o greckim profilu, przypominającej Coltona. Uradowany, zrzucił kurtkę i założył łańcuszek na golf, przynaglając Glynis do otwarcia jej paczki. Był to też złoty łańcuszek, bardziej misternie wykonany niż wersja Glena, z dużym medalionem.

Glynis śmiała się oglądając go uważnie, potem podniosła do góry, żeby nam pokazać. Medalion przedstawiał głowę wspaniałej, warczącej pantery. Założyła łańcuszek na szyję, tak iż głowa pantery błyszczała na jej połyskującej bluzce. Nie mogłaby dostać odpowiedniejszego prezentu. Ta para była zbyt mocno ze sobą związana. W ich życiu nie było już miejsca dla nikogo innego. Każde mogło wprawdzie wykonać krok świadczący o zamiarze ucieczki, ale zawsze potem znowu łączyli się, należąc do siebie tak, jak nigdy nikt inny przedtem. Jak mogłam to zaakceptować, jak z tym żyć?

Keith spóźnił się i gdy wreszcie przyniósł swoje prezenty do zaśmieconego bibułkami i wstążkami pokoju, wyglądał trochę pośepnie i wyzywająco. Rzucił je bezceremonialnie na kolana Glynis w żółtych spodniach

I cofnął się, oczekując wyroku. Być może obawiał się zarzutów, że nic nie udało mu się zeszłej nocy zrobić z tego, co mu kazała, a na dodatek został przyłapany. Ale wydawało się, że Glynis łatwo mu przebaczyła, a może tak się zachowała dlatego, że chciała go znowu wykorzystać. To było prawdopodobne.



Upominki Keitha, chociaż nie tak wykwiłtne, były zaskakująco oryginalne. Dla każdego z nas wystrugał z drewna nożem małe figurki zwierząt. Colton podniósł do góry drewnianego lwa, którego dostał i spojrzał na chłopca z uznaniem.

— W końcu też jesteś Chandler — rzekł. — Dobra robota.

Dla Glynis była oczywiście pantera, która skradała się do swej ofiary pełznąc na brzuchu. Dla Glena wyrzeźbił jednorożca. Kiedy go zobaczyłam, musiałam się roześmiać. Chłopiec miał więcej wyobraźni niż się spodziewałam. Mitologiczny stwór był odpowiednim upominkiem dla Glena, który sam był postacią raczej nierealną. Nomi otrzymała figurkę spokojnego domowego kota, zwiniętego w kłębek i z pewnością mruczącego, a ja rzeźbę młodej łani, delikatnej i pełnej wdzięku, z postawionymi jakby w trwodze, uszami.

Kiedy Keith otworzył już paczki z prezentami, w których były swetry, narty, encyklopedia od Coltona oraz książki od Nomi i ode mnie, doczekałam się chwili, że zostaliśmy sami. Do tej pory pilnował, żeby nie skrzyżowały się nasze spojrzenia. Wiedziałam, że gdyby mógł, starałby się unikać mnie. Pod pretekstem pobierania porzrzuconych koło niego papierów podeszłam i łagodnie zapytałam:

— Keith, dlaczego podarowałeś mi łanię?

Rzucił szybkie spojrzenie i odwrócił wzrok.

— Ponieważ tak czasem wyglądasz — odpowiedział krótko i odszedł.

Tego dnia często spoglądałam na małą, delikatnie wyrzeźbioną figurkę zwierzątka i zastanawiałam się nad jego słowami. Były chyba zaskakująco prawdziwe. Ostatnio musiałam chyba zbyt często wyglądać na spłoszoną nadchodzącym niebezpieczeństwem. Może uważał, że jestem za młoda i

niedoświadczona, wciąż szukająca odpowiedzi na pytanie, kim i czym jestem.

Podczas wręczania prezentów jeszcze jedno rzucało się w oczy; Glynis próbowała zaprzyjaźnić się ze mną, zaś Glen chyba chciał, żeby tak właśnie zachowała się. Nie prowokowała mnie już, lecz wystawiła na tę pokusę. Nie wzbudzało to zaufania. Dostrzegłam też, że Nomi przyglądała się jej z taką samą nieufnością. Być może Glynis starała się sprawić przyjemność Glenowi? Ale to było mało prawdopodobne, bo on sam zupełnie nie był ze mnie zadowolony.

W każdym bądź razie, miałam się na baczności, i gdy później zaproponowała mi, żebyśmy poszły na łyżwy, od razu odmówiłam. Chyba zdenerwowało to Glena, bo palnął mi wykład.

— Już czas, żebyś się odnosiła do Glynis właściwie — powiedział ostro. — Widzisz przecież, że dziś rano ona staje na głowie, żeby sprawić ci przyjemność, a ty na każdym kroku jesteś przykra. Dlaczego nie chcesz, żeby zabrała cię na łyżwy? Będę przygotowywał drewno do rzeźbienia, a Keith chce zobaczyć jak zabieram się do tego. Biegnij więc z Glynis na ślizgawkę i przekonaj się, czy dla odmiany nie możesz być dla niej miłą.

To, co powiedział, było prawdą. Byłam przykra. Byłam nieufna. Uważałam jednak, że po wszystkim, co mi zrobiła, miałam po temu wszelkie powody. Skoro jednak Glenowi zależało na tym, nie chciałam go irytować swoją odmową. Poprosiłam, Nomi, żeby poszła ze mną, ale odpowiedziała, że jazda na łyżwach nie służy jej artretycznym kolanom. Zamiast tego wybierała się na spacer. Colton też był zajęty jakimś swoim projektem. Postanowiłam więc ulec namowom Glynis. Zresztą, jeśli istniała jakaś możliwość osiągnięcia poprawy stosunków między nami, to może

teraz była ku temu okazja. Ubrałam się ciepło w granatową kurtkę i spodnie. Brązowy szal Nomi z różową błyskawicą założyłam na głowę jak kaptur i obwiązałam go wokół szyi, a długie końce zarzuciłam na plecy. Później miałam się zastanawiać, co by się stało, gdybym nie miała na sobie tego szala. Czy wszystko skończyłoby się zupełnie inaczej? Czy samo włożenie szala mogło zmienić bieg naszego życia? Trudno w to uwierzyć, a jednak...

Glynis oczywiście miała na sobie nową kurtkę ze skóry jaguara, która tak doskonale do niej pasowała. Zeszliśmy do ścieżki wzdłuż jeziora i ruszyliśmy nią, wymachując łyżwami. Glynis wesoło gawędziła ze mną, jakby nigdy nic przykrego nie stało się między nami. Ja byłam usposobiona mniej przyjaźnie. Chciałam rzucić jej w twarz oskarżenie, że namówiła Keitha do podpalenia biura Pandory, ale zdołałam zachować milczenie udając, że udzielił mi się jej dobry humor. Nadal jednak nie wierzyłam naprawdę, że to świąteczny nastrój spowodował taką zmianę w usposobieniu Glynis Chandler. Nie zachowywała się już jak mała dziewczynka, ten popis był czymś nowym.

Idąc, opowiadała o drogach, ale niewiele rozumiałam z tego co mówiła cichym, nieco ochryłym głosem.

— Niekiedy droga zwęża się do tego stopnia, że nie ma w ogóle miejsca na „pobocze”, jak mówią w Anglii. Nie ma nawet miejsca na mijanie się. Po prostu jedzie się bez przerwy, aż dojedzie się do celu. Nie ma żadnej możliwości, żeby zawrócić...

Jeśli kryły się w tym jakieś subtelne aluzje, nie chciałam myśleć co oznaczały.

— Jeżeli mamy jeździć na łyżwach — odezwałam się w końcu — dlaczego nie spróbujemy tutaj? Nie ma dużo miejsc do wyboru, prawda?

— Ależ są — odrzekła. — Najlepsze miejsce jest przy Gray Rocks. Ono zamarza na końcu i dzięki temu jest wolne od śniegu. Po silnym mrozie zawsze chodziliśmy tam na łyżwy. Chodź, pokażę ci.

Czy było to miejsce, w którym zginęła jej matka? Namyslałam się. Przecież nie muszę wchodzić na lód, dopóki nie nabiorę pewności, że jest bezpieczny. Bez względu na to, gdzie będziemy się ślizgać, przepuszczę też pierwszą Glynis. Tak myślałam. Takie też miałam zamiary.

Po minięciu podnóża wysokich skał, ukazało się miejsce, gdzie jezioro wrzynało się w ląd, tworząc na wpół osłoniętą zatoczkę. Lód był tam gładki i czysty.

— Śliczne miejsce — rzekła Glynis i usiadła, żeby założyć łyżwy. Przyłączyłam się do niej, zdjęłam trzewiki i zasznurowałam buty z łyżwami.

Przede mną znalazła się na lodzie. Jeździła zwinnie, wykonując skomplikowane ruchy z wdziękiem i opanowaniem. Wydawało się, że jest pewna, wolnej od śniegu tafli nieosłoniętego miejsca, choć miałam wrażenie, że trzyma się raczej jego krawędzi, a unika środka. Cokolwiek by zrobiła, podążyłabym za nią i nie pojechałabym nigdzie indziej, ponieważ nie ufałam jej za grosz.

Kiedy byłam gotowa, podjechała po mnie, wzięła mnie za rękę i ślizgała się ze mną, aż nabrałam pewności. Lód sprawiał wrażenie dostatecznie mocnego, choć należało unikać szczelin na jego powierzchni. Moje podejrzenia nieco osłabły. Jediną prawdziwą przeszkodą był ogromny pniak, wystający trochę na prawo od środka ślizgawki.

Wkrótce rozgrzałyśmy się, policzki osmagał nam, zawsze hulający nad jeziorem, wiatr. Glynis zaczęła mi pokazywać kilka nowych figur. Odkryłam, że w tym miłym, przyjacielskim nastroju, potrafiła być najlepszą

towarzyszką. Nadal zbyt jej nie wierzyłam, ale zaczęłam się trochę odprężyć.

Jechała naprzeciw mnie i wyciągnęła ręce, schwyciłam je. Pokazała mi krok, jaki widziałam przy wykonywaniu pewnej figury łyżwiarskiej. Jeden partner okręcał wówczas drugiego przed sobą, tak iż obaj wirowali wkoło. Trzymała mocno moje dłonie i zakręcała mną, potem ja okręcałam ją. Powtórzyła tę figurę dwa razy, a za trzecim nagle puściła moje ręce, żeby wyniosło mnie na środek ślizgawki. W chwili gdy poczułam, że uwolniona pędzę przed siebie, rozsunęłam łyżwy, żeby zahamować. W tym samym momencie poczułam zdradliwe drgania pod nogami.

Glynis jechała na łyżwach obok, uspokajając mnie.

— Wszystko w porządku. Lód jest tu trochę miękki, ale wytrzyma. Chodź, rób to, co ja.

Śmiała się teraz ze mnie, ponieważ w żaden sposób nie mogłam powtórzyć jej ruchów. Wykonała spiralę na lodzie, wpadła w ruch obrotowy, wyszła z niego i zaczęła odjeżdżać, gdy nagle coś się stało. W momencie nieuwagi musiała chyba zaczepić czubkiem łyżwy o szczelinę w lodzie. Przewróciła się jak długa i mijając mnie sunęła po lodzie na skórzanej kurtce, jak na saniach w kierunku samego środka lodowiska.

Zobaczyłam jak lód załamuje się i ciemna woda wdiera na powierzchnię, porywając Glynis w odmęt i wciągając ją pod lód, choćby z powodu samej ciężkiej kurtki.

Lód pod moimi łyżwami wprawdzie był miękki, ale nadal trzymał się. Zdołałam dotrzeć aż do wystającego z niego, grubego pnia. Jedną ręką schwyciłam się pniaka, drugą wyciągnęłam w stronę Glynis, która bezradnie miotła się w wodzie. Jej spojrzenie świadczyło o głębokim szoku, na

twarży miała przerażenie. Jednak nie mogłam jej dosięgnąć. Lód pod jej palcami odłamywał się i z każdą chwilą walki powiększała się wokół niej powierzchnia ciemnej wody.

Krzyczałam wzywając pomocy, ale nie było nikogo, kto usłyszałby moje wołanie. Ręce mi się trzęsły, gdy odwijalam z szyi długi szal. Jeden koniec okręciłam wokół przegubu, przytrzymałam się pniaka i ponad pieniającą się wodą rzuciłam drugi koniec w stronę Glynis. Sięgnęła po niego, chwyciła go i puściła, chwilę potem udało się jej jednak zahaczyć palcami o frędzle.

— Nie puszczaj — wrzasnęłam. — Trzymaj, wyciągnę cię!

Uczepiłam się pniaka, końcami łyżew wryłam w lód i ze wszystkich sił spróbowałam wyciągnąć ją z wody. Ale przesunęła się tylko kawałeczek, by zaraz potem utknąć w miejscu.

— To nie ma sensu! — załkała słabym głosem. — Zaczepiłam ubraniem o coś pod wodą. Nie mogę się uwolnić.

Nie chciałam tracić tchu na rozmowy. Ponownie spróbowałam wyciągnąć ją na krawędź lodu. Nie poruszyła się z miejsca, a ja przekonałam się, że brak mi sił, żeby uwolnić ją od tego czegoś, co ją przytrzymywało.

Szybko owinęłam drugi koniec szala wokół pniaka i mocno zawiązałam, żeby się nie rozluźnił.

— Będziesz musiała się trzymać — powiedziałam. — Sprowadzę jak najszybciej pomoc. Trzymaj się tylko szala.

— Nie wytrzymam długo! — Zęby jej szczękały. Ja również drżałam ze strachu i współczucia.

— Nic z tego nie będzie. Utonę. Tu zginęła moja matka. To jest miejsce...

— Przestań! — krzyknęłam wspinając się już po stromym brzegu. Z trudem zdjęłam łyżwy i wkładałam buty. — Musisz się trzymać, dopóki nie zawołam Trenta. Tak będzie szybciej, niż gdybym pobiegła po pomoc do domu.

Pozbywszy się łyżew, popędziłam ścieżką wzdłuż wybrzeża. Przedarłam się na drugą stronę podnóża Gray Rocks i byłam już widoczna z kamiennego domu po drugiej stronie jeziora. Ale chociaż ciągle wykrzykiwałam imię Trenta i Pandory, nikt mi nie odpowiadał. Nikt nie poruszał się ani po tej, ani po tamtej stronie zamarzniętego jeziora. Albo McIntyre'owie byli w dole, w gospodzie, poza zasięgiem mojego głosu, albo wyszli po poranne zakupy świąteczne. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko najszybciej dotrzeć do High Towers.

Ale zanim pobiegłam dalej, ponownie usłyszałam wołanie Glynis o pomoc. Wtedy w odpowiedzi rozległ się czyjś krzyk. Poczulałam wielką ulgę. Jeżeli pomoc nadeszła z innego kierunku, nie muszę już iść do High Towers. Może bardziej przydam się nad jeziorem. Zawróciłam do Gray Rocks, ominęłam skały i wyjrzałam na zatoczkę. Nie było tam nikogo oprócz Glynis, która pograżyła się jeszcze głębiej.

Wyglądało na to, że przybędę za późno. Teraz wiedziałam, że bez względu na to, jak szybko pobiegnę ścieżką do domu i tak się spóźnię. Spróbowałam więc przedrzeć się przez las, biegnąc na przełaj pod górę, ale droga była ciężka. Kilkakrotnie upadłam, ale zawsze wstawałam, by znów, potykając się biec dalej.

Gdy wreszcie ukazał się przede mną dom, musiałam zatrzymać się na chwilę, żeby złapać oddech. Nigdzie nie słyszałam żadnego dźwięku, prócz szumu wiatru w sosnach. Nie rozlegał się też słaby, płaczliwy głos wzywający pomocy. Absolutna cisza. Z hukiem wpadłam przez frontowe drzwi i biegnąc po schodach do góry, krzyczałam. Moje wrzaski sprawiły, że w drzwiach swej sypialni stanął Colton. A Glen zszedł z poddasza. Nie było z nim Keitha.

Dyszząc, wyksztusiłam co się stało. Colton i Glen przystąpili do działania. Wybiegając pochwycili palta, a ja potykając się, podążyłam za nimi. Nie mogłam zostać w domu i czekać. Musiałam wiedzieć. Musiałam tam być.

Idąc na przelaj przecięli las, a ja najszybciej jak mogłam, szłam za nimi. Wyszliśmy po drugiej stronie stromego zbocza Gray Rocks i zeszliśmy w stronę jeziora. Glen i Colton znacznie mnie wyprzedzili. Zanim dotarłam do zatoki, utworzyli już łańcuch od pniaka, którego uczeplił się Colton, aż do kręgu czarnej wody, gdzie była Glynis. Silniejszemu ode mnie Glenowi udało się uwolnić ją od tego, co ją przytrzymało. Po lodzie wynieśli ją na brzeg.

Przez chwilę stałam beczynną, podczas gdy obaj zajmowali się Glynis. Potem Colton spojrzał na mnie. Był blady i opanowany.

— Dino, biegnij z powrotem do domu. Znajdź Nomi i każ jej zadzwonić po doktora i przygotować ciepłe łóżko.

Jeszcze raz pobiegłam. Ale przez całą drogę towarzyszyła mi myśl, że jest za późno. Glynis utonęła w tym samym miejscu, w którym widziała, jak kiedyś wpadła pod lód jej matka, w tym samym miejscu, gdzie próbowała utopić mnie.



Przez całą drogę powrotną do domu, obie te myśli były dla mnie ciężkim brzemieniem. Glynis chciała utopić mnie, a zamiast tego utonąła sama.

Na szczęście Nomi wróciła już ze spaceru. Zanim skończyłam mówić, już telefonowała. Jak we śnie słuchałam jej, rozumiałam jej słowa i robiłam wszystko co kazała. Ale przez cały czas rozpamiętywałam wygląd Glynis z piętnem przerażenia na twarzy. Nie mogłam tego znieść. Nie mogłam wytrzymać myśli, jaki to będzie miało wpływ na Glena.

— Wydaje mi się, że umarła — powiedziałam do Nomi.

Ona jednak wciąż była siostrą Elżbiety, nawet teraz, gdy wróg był pokonany.

— Dobrze! — rzekła szorstko. — Teraz będziesz wolna. I Glen będzie wolny.

Biegałam za nią po domu, próbując pomóc w przygotowywaniu łóżka Glynis.

— Och, nie! Nie chcę uwalniać się w taki sposób! Ja nie...

— Co ona chciała ci zrobić? — spytała.

Nie mogłam jej powiedzieć. Z chwilą śmierci Glynis, nikomu już nie mogłam tego wyjawić. Odsunęłam się od niej i podeszłam do okna. Stamtąd wyglądałam ich. Mogłam zobaczyć, jak przynoszą ją do domu.

Przerażone oczy rzeźby z czarnego marmuru patrzyły na mnie oskarżające. Nie uratowałam jej. Nie miałam dość siły i odwagi. A może zabrakło mi dobrej woli? Czy właśnie to, tak mnie przerażało? Nomi obserwowała mnie.

— Przestań! — krzyknęła. — To nie stało się z twojej winy. To cały czas była jej wina, bez względu na to, co próbowała zrobić.

Nie spytałam, jak się tego domyśliła. Nawet nie pomyślałam, żeby zapytać. Glen właśnie nadchodził niosąc w ramionach siostrę bliźniaczkę. Jego twarz wyglądała jak sama śmierć. Zbiegłam ze schodów, żeby jakoś mu pomóc, ale minął mnie jak powietrze i zaniósł ją na górę do łóżka.

Colton z rezygnacją potrząsnął głową.

— Zostaw go. Teraz nic nie możesz dla niego zrobić. Bądź tak dobra i przynieś mi drinka.

Nalałam mu czystej szkockiej i zaniósłam do salonu, gdzie usiadł przed zimnym kominkiem. Wokół nas leżały porozrzucane resztki wesołych świątecznych dekoracji, czerwone i srebrzyste gwiazdki, i dzwoneczki. Z choinki wciąż jasno mrugały kolorowe światełka. Nie mogłam znieść tego widoku. Wyłączyłam je i usiadłam ciężko naprzeciw Coltona, bo drżały mi nogi.

— Musiała pewnie wypuścić z rąk mój szal — rzekłam — zabrakło chyba jej sił, żeby kurczowo go trzymać.

Colton opuścił szklanke.

— Jaki szal? O czym mówisz?

Opowiedziałam mu, jak rzuciłam Glynis mocny, utkany przez Nomi szal i jak próbowałam ją wyciągnąć. O tym, jak mocno go przywiązałam do pieńka i pobiegłam po pomoc, zostawiając ją kurczowo wczepioną w szal.

Gdy opowiadałam, Colton przecząco kręcił głową.

— Tam nie było żadnego szala — rzekł, gdy skończyłam. — Tam w ogóle nie było żadnego szala...

## 12

Do sylwestra było już po wszystkim. Ale jednocześnie był to także początek.

Spełniono bolesny, zwyczajowy obrządek i odbyła się pogrzebowa ceremonia. Glynis leżała pochowana na małym wiejskim cmentarzu, kilka mil od High Towers. Pierwszy szok częściowo minął. Zaczęliśmy oswajać się z faktem, że nie usłyszymy już jej kroków na schodach, nie rozlegnie się jej śmiech ani nie musimy obawiać się jej złości. Jednak prawdziwa groza dopiero miała nadejść.

Do tego czasu śnieg padał jeszcze raz. Sypał wielkimi i miękkimi płatkami, tworząc na dworze zaspę, a nie było wiatru, który by je rozwiewał. Siedzieliśmy razem, nas czworo z dawnej piątki. Siedzieliśmy w salonie, chociaż atmosfera nie była przyjemna, i czekaliśmy. Czekając obserwowaliśmy się wzajemnie, a wszystko z powodu ofiarowanego mi przez Nomi prezentu, z powodu szala, który nie ocalił od utonięcia Glynis. Strach, który miał nas prześladować, już nadszedł. Owładnął nami wszystkimi. Nie odczuwała go tylko Jezebel. Niesamowicie, ona wiedziała, że ta, której tak się bała, odeszła na zawsze. Swobodniej poruszała się po domu, chętnie wchodziła do każdego pokoju, z wyjątkiem tylko pokoju Glynis.

Być może nie powinnam była tak się upierać przy wersji z szalem i tym, że jak mi się zdawało, słyszałam krzyk. Gdy Colton powiedział, że nie znaleziono go, powinnam przejść nad tą sprawą do porządku. Ale ponieważ Glen nadal patrzył na mnie z wyrzutem, musiałam i jemu, i im wszystkim

wyjaśnić, że usiłowałam ją uratować. Bez względu na to, co chciałyby mi zrobić, nie dopuściłabym z rozmysłem, żeby zatonęła. Nomi uwierzyła mi i popierała mnie. Nie miałam pewności co do Coltona. Spotkałam się natomiast ze sprzeciwem i wrogością Glena, które z upływem czasu rosły.

Któregoś dnia ponownie odwiedziłam miejsce, gdzie jeździłyśmy na łyżwach. Idąc po lodzie przedostałam się do pniaka, który był pozostałością po jakimś wielkim drzewie. W szczelinie nadal tkwiło kilka różowych skrawków z frędzli mojego szala. Wróciłam do domu i opowiedziałam wszystkim, że frędzle są jeszcze w pieńku; niestety, nie skłoniło to nikogo do pójścia ze mną i przekonania się na własne oczy, że moje słowa były prawdą. Gdy jakiś czas później znowu tam poszłam, te nieliczne skrawki zniknęły. Podejrzewałam, że ktoś potajemnie usunął je. Czy był to ktoś z nieczystym sumieniem, ktoś kto chciał, żeby obwiniono mnie?

Colton odwołał swój planowany na styczeń wyjazd. Po raz pierwszy w życiu sprawiał wrażenie naprawdę załamane. Wiedziałam wprawdzie, że Glynis była jego ulubionym skarbem, ale nie spodziewałam się, że coś spoza kręgu sztuki może do takiego stopnia wstrząsnąć nim. Wyglądał nieporównanie starzej, a jego lwia grzywa była chyba bardziej biała niż srebrzysta.

Niemniej jednak, od czasu tragedii tylko raz, w gwałtowny sposób objawił swoje uczucia. Zdarzyło się to w dwa dni po pogrzebie, gdy Nomi z determinacją weszła do pokoju Glynis, zamierzając wyrzucić jej rzeczy. Chciała usunąć nam z oczu wszystkie pamiątki po niej. Zawołała, żebym jej pomogła, więc z niechęcią poszłam tam. Zdecydowanie z jakim Nomi zacierała w domu wszelkie ślady po bliźniacze Glena, wydawało mi się zbyt krańcowe. Nie byłam pewna, dlaczego jest tak zawzięta.

Przy pracy zastał nas Colton i przerwał ją z nagłą pasją, która mnie zaskoczyła.

— Zostaw to wszystko! — powiedział do Nomi. — Dokąd pójdzie Glen, gdy nie będzie mógł znieść tego wszystkiego? Niech przez jakiś czas pamiątki po siostrze będą dla niego pocieszeniem.

Nomi nie była osobą, którą można było onieśmielić, a w sprzątaniu pokoju miała jakiś niezachwiany własny zamysł, stanowczo więc mu się sprzeciwiła.

— To nie jest pocieszanie się, lecz uleganie przesadnemu żalowi. Im szybciej zniknie z tego domu wszelki ślad po Glynis, tym lepiej dla wszystkich. Nerozsądnie jest pozostawiać ten pokój w niezmienionym stanie. Glen żyje złudzeniami, a to jest chorobliwe!

Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że gdy Glen znika, jak często od kilku dni to robi, idzie do pokoju siostry. Przepadał na godzinę lub więcej, a gdy wracał, miał bladą i pozbawioną emocji twarz, jakby coś pozbawiło go wszelkiej zdolności do odczuwania tego, co jest poza nim. Mógł to spowodować silny ból. Ból, którego doznawał na widok rzeczy osobistych siostry, i który narastał aż do utraty zdolności odczuwania. Nomi miała rację, chciałam ją poprzeć, ale nie śmiałam się wtrącać, skoro Colton wydał polecenia.

— Zostaw pokój w tym stanie, w jakim jest — rzekł matowym głosem i odwrócił się.

Nie wiedziałam, że Glen był na pięterku w swoim pokoiku, dopóki nie podszedł do drzwi na dźwięk naszych głosów. W mgnieniu oka zorientował się, co zamierzała zrobić Nomi. Wielkimi krokami wszedł do pokoju i wyjął

jej z rąk pudło, do którego pakowała rzeczy. Nie spojrzał ani na Coltona, ani na mnie.

— Niczego nie dotykaj! Chcę, żeby zostało tak jak jest. Jeszcze dziś wprowadzę się do tego pokoju. Teraz wszystkie rzeczy należą do mnie. Zresztą ona życzyłaby sobie, żebym postąpił właśnie w ten sposób.

Sądzę, że nawet Colton nie chciał tego, ale nie można było sprzeciwić się Glenowi owładniętemu prawie takim samym wzburzeniem, jakiemu zwykle ulegała jego siostra. Colton odwrócił się. Twarz miał napiętą z wysiłku od powstrzymanego sprzeciwu. Ten pokój wzbudzał w nim zbyt wiele wspomnień.

Glen zatrzymał go.

— Ojczy, przyjmij do wiadomości że odwołałem twoje polecenie dotyczące napisu na nagrobku. Mam zamiar sam go wyryć. Nikt inny nie odda jej tej ostatniej przysługi.

Colton sztywno skinął głową i wyszedł z pokoju.

Nomi otrzepała ręce, jakby odwoływała zamiar огоłocenia pokoju, chociaż wyraźnie była niezadowolona z Glena. Potem też wyszła, zostawiając mnie samą, abym stawiała mu czoło, wymyślając jakieś sensowne uzasadnienie, które można by mu podsunąć. Nie chciałam zostać w pokoju. Nie wierzyłam, że zdołam go nakłonić, żeby zmienił zdanie. Ponieważ jednak postępował niewłaściwie, najgorzej jak mógł, dlatego musiałam spróbować.

— Tylko jeszcze bardziej unieszczęśliwiasz się — powiedziałam. — Czy pomysł Nomi, żeby zostawić Glynis na jakiś czas w spokoju, aż wszystko się trochę uciszy, nie jest lepszy?

Z jego oczu biła, od nowa wzbudzona nienawiść do mnie.

— Co ty wiesz o tym, co jest dobre albo złe dla mnie? To, co się wydarzyło, to twoja wina. Twoja wina od początku, od chwili gdy rozbiłaś rzeźbę. A teraz spowodowałaś śmierć Glynis. Co za pecha miałem tamtego dnia, kiedy wszedłem do muzeum. Masz odejść i zostawić mnie samego.

Szok wywołany tymi słowami, sprawił, że zrezygnowałam z próby wpłynięcia na niego. Ubrałam się ciepło i wyszłam na dwór, żeby oderwać się od tego domu i wszystkiego, co się w nim działo. Przypuszczam, że nadal kochałam Glena, ale nie miałam już absolutnej pewności. Czy miłość, która zakwitła tak szybko, podobnie szybko umarła? A może to mnie opanowało odrętwienie i nieczułość? Może dopiero po pewnym czasie zmartwiałe rany zaczną rwać i boleć? Wówczas wróci do mnie życie i zateśknę za utraconą miłością, która przeminęła. Ale nawet już wtedy, gdy schodziłam stokiem w stronę jeziora, wydawało mi się to absurdalne. Wprawdzie nie chciałam być już więcej z Glenem, ale mimo to, wciąż byłam zakochana w wesołym, oddanym i wymagającym mężczyźnie, który tak pociągał mnie w Nowym Jorku. Mężczyźnie, który nie istniał. Gdy umarła jego siostra, on tak jakby zmarł również.

W połowie drogi przez las spotkałam wspinającego się wzgórzem Trenta. Jego uśmiech rozgrzał mnie. Nie wiedziałam jak bardzo jestem zmrożona, dopóki nie uśmiechnął się do mnie.

— Szedłem, żeby zobaczyć się z tobą — rzekł. Mogłam tylko bezradnie potrząsnąć głową.

— Nie przychodź teraz. My... Każdy z nas jest taki zdenerwowany. I... i Glen... — urwałam, bo nic więcej nie mogłam powiedzieć. Prawdę mówiąc, żywiłam straszliwie niedorzeczną obawę, że jeśli Trent dowiedział

się o szalu, i że odeszłam pozostawiając Glynis w wodzie, mógłby mnie potępić. A jeszcze więcej potępienia nie mogłabym już znieść.

— Nie pójdę do domu, skoro nie chcesz — odparł cicho. — Chciałem tylko podziękować ci za to, co zrobiłaś dla Keitha w noc pożaru w gospodzie.

Mogłam tylko spojrzeć na niego ze zdumieniem.

— Wydawało mi się, że byłeś zły na mnie za to, że próbowałam go chronić. Obaj byliście źli na mnie.

— To, co chciałaś zrobić było niemądre — powiedział. — Ale dzięki tobie zachował się jak mężczyzna i wypił piwo, którego nawarzył. Tamtej nocy mieliśmy długą rozmowę i być może także ja wpłynąłem na niego, ale na pewno zrobiłaś to ty. Cokolwiek wcześniej powiedziałaś mu, skłoniło go to do zastanowienia. Nie dlatego, że czuje jakąś urazę wobec matki, chociaż przez pewien czas był wściekły na nią. Ty, co najmniej pobudziłaś go. Sądzę, że zdaje sobie sprawę z potworności czynu, do którego nakłaniała go Glynis posługując się swoim obrazem. Być może odtąd będzie postępował inaczej. Pandora o niczym nie wie. Może domyśla się, ale nie mam ochoty mówić jej wszystkiego, bo nie jest to potrzebne.

Trent nadal jeszcze nie wiedział, co Keith, posłuszny Glynis, zrobił z alabastrową rzeźbą, ale wciąż nie mogłam mu tego powiedzieć. Być może Keith zły był na matkę również z tego powodu, a przynajmniej mogłam mieć taką nadzieję.

— Cieszę się, że wpłynąłeś na niego — rzekłam. — Bałam się, co możesz zrobić w złości.

— Wiem. Widziałem lęk w twoich oczach, to otrzeźwiło mnie i przerwało moją przemowę do niego. Dziękuję ci więc, dziewczynko!



— Dziewczynko — powtórzyłam cierpko. — Och, nie! Nigdy! Teraz czuję się starsza od Nomi. Starsza niż ktokolwiek.

Potrząsnął głową.

— Jesteś bardzo młoda i znowu będziesz szczęśliwa.

Zbliżył się, dotknął palcem mojego podbródka, przechylił mi głowę i szybko delikatnie mnie pocałował.

— Wciąż chciałem to zrobić — powiedział. — Nie potrafię myśleć o tobie jako o żonie Glena.

Nie byłam już żoną Glena, przez chwilę zapragnęłam jego współczucia, chciałam paść mu w ramiona i znaleźć w nich pociechę. Ale nie mógł być moim kochankiem, więc odsunęłam się.

— Przyniosłem ci gwiazdkowy prezent — rzekł. — Miałem zamiar dać ci go na Boże Narodzenie, ale po tym, co się stało, nie było okazji.

Z kieszeni kurtki wyjął płaskie, długie pudełko i podał mi je. Jasne opakowanie i kolorowa wstążka wyglądały teraz niedorzecznie; nasze Boże Narodzenie było bardzo dalekie od nastroju radości, ale poczułam wzruszenie, że pomyślał o mnie i łzy napłynęły mi do oczu.

— Nie otwieraj teraz — rzekł szybko. — Zabierz je do swojego pokoju i otwórz dopiero jak będziesz sama.

Zaczął się oddalać, ale potem zatrzymał się i odwrócił.

— Bernardino, mam nadzieję, że nic złego ci się nie przydarzyło?

— Nie, wszystko w porządku. Czuję się teraz doskonale.

— Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, wystarczy tylko, że zadzwonisz — powiedział.

Wiedziałam już o tym, ale to zapewnienie było dla mnie pocieszeniem. Odwróciłam się i niosąc paczuszkę, poszłam w górę zbocza, w stronę domu.

Gdy w pewnej chwili zatrzymałam się i obejrzałam, zobaczyłam, że nadal stał obserwując mnie. Pomachałam mu ręką i poczułam się pokrzepiona na duchu zainteresowaniem Trenta McIntyre'a i trochę odważniejsza.

W domu szybko wbiegłam po schodach na górę i zamknęłam drzwi swojego pokoju. Potem rozwiązałam wstążkę i otworzyłam paczkę z prezentem. W środku był plik listów z dopiskiem Trenta: *„Ponieważ uważałem, że dla ciebie są jeszcze ważniejsze niż dla mnie”*.

Wewnątrz ułożone były wszystkie listy napisane przez mojego ojca do Trenta na przestrzeni wielu lat; od czasu gdy jako młody mężczyzna ukończył college, aż do przyjazdu do naszego domu tuż przed śmiercią ojca. Nie było ich wiele, ale Trent zachował każdy list. Usiadłam, żeby je przeczytać.

Było to wzruszające i dodające otuchy przeżycie. Nie tylko mój ojciec wszedł do pokoju i usiadł przy mnie, ale również postać Trenta jawiła mi się z większą wyrazistością. Poprzez listy poznałam go lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Z napisanych przez ojca słów dowiedziałam się, jak bardzo cenił Trenta, ufał mu i pragnął, żeby w przyszłości dokonał wielkich rzeczy. Były tam również fragmenty o mojej matce i o mnie. Przypomniałam sobie całe nasze ciepłe, szczęśliwe życie rodzinne, do którego przez długi czas nie wracałam myślami. Sentencje filozoficzne, którymi mój ojciec tak często ozdabiał przemowy, nabrały dla mnie znaczenia, jak nigdy przedtem. Było prawie tak, jakby przerwał milczenie śmierci, bo tak bardzo go potrzebowałam. Zrozumiałam też, że z tego powodu ofiarował mi je Trent.

Jeden z listów zawierał zwykle zdanie, które szczególnie przypominało mi atmosferę domu rodzinnego. John Blake w zasadzie był prostym człowiekiem. Nie miał zwyczaju robić z igły widły. Pisał do Trenta, że

„odwaga często jest tylko zdolnością do nieustannego posuwania się naprzód. Ci którzy jej nie mają, skracają w bok lub całkiem rezygnują”.

Nieustannie posuwać się naprzód. To była rada, której teraz potrzebowałam. Z dnia na dzień bez ustanku iść naprzód bez względu na to, jak trudne stałoby się dla mnie życie w High Towers. Bez względu na to, jak ponuro będzie spoglądać na mnie Glen. Kiedyś musi nastąpić koniec. Muszę ciągle iść naprzód i wiedziałam, że gdzieś, tam daleko przede mną, jest światełko nadziei.

Jednak, kiedy w sylwestra siedzieliśmy wszyscy razem w salonie, zastanawiałam się jak przetrwać czekanie na rozpoczęcie Nowego Roku. Kiedyś z utęsknieniem czekałam na ten dzień. Jeszcze tydzień wcześniej byłam gotowa powitać Nowy Rok z nadzieją, bez względu na to, co robiła lub mówiła Glynis. Jeszcze wtedy nie doszliśmy do takiego punktu, w którym moje stosunki z Glenem wyglądałyby tak beznadziejnie czy były zerwane tak jak teraz. Glynis nawet zza grobu zwyciężała mnie, a płomyk mojej zaczerpniętej z listów ojca odwagi, zaczynał migotać jak chybotliwy płomień świecy. Dochodziłam do wniosku, że odwagą może też być porzucenie High Towers i niepozostawanie tu ani chwili dłużej.

Wyrzucono już z domu wszystkie świąteczne ozdóbki; zniesiona na dół została także choinka, pozostało więc niewiele rzeczy przypominających świąteczne przedpołudnie. Mimo to, wciąż jeszcze były tu wspomnienia. Gdy zamykałam oczy, widziałam Glynis zachwycającą się złotym medalionem z głową pantery, który podarował jej Glen. W rzeczywistości prawie nie musiałam zamykać oczu, bo w sylwestrowy wieczór Glen miał na szyi ofiarowany przez nią łańcuszek, chociaż schował otrzymany ode mnie jedwabisty sweter.

Jego podobieństwo do siostry rzucało się w oczy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wydawało się, jakby pod wpływem żalu przybierał charakterystyczny wyraz twarzy Glynis. Teraz, po raz pierwszy dało się zauważyć, że jego twarz przypomina jej wizerunek w czarnym marmurze.

Na dworze sypał śnieg, a pozłacany zegar na kominku tykał nieustannie odmierzając czas, jaki pozostał do nadejścia Nowego Roku. Nomi siedziała przy kominku, cicho i spokojnie robiąc na drutach. Niekiedy zafascynowana obserwowałam jej palce. Jeszcze nie tak dawno wyszywały one dla mnie na szalu różowy zygzak błyskawicy. Teraz robiła na drutach sweter dla Glena, ciepły zimowy sweter w zawiły norweski deseń. Podejrzewałam, że musiała coś robić, bo gdy miała zajęte ręce, to w tym czasie nie dręczyły jej żadne myśli.

Pomimo naszego milczenia, w ten poprzedzający Nowy Rok wieczór, nie było wśród nas prawdziwego spokoju, a być może to właśnie ja byłam najbardziej ze wszystkich niespokojna. Już trzeci raz zrywałam się na równe nogi i podchodziłam do przeszklonych drzwi, obserwując jak śnieg miękko padał na podjazd. Nie był jeszcze głęboki. Wóz z założonymi na opony łańcuchami mógłby łatwo zjechać ze wzgórza.

Żałowałam, że nie mogę wziąć wozu Glena i odjechać. Byłe gdzie. Odjechać przynajmniej do McIntyre'ow na drugą stronę jeziora. W jakich nastrojach oni oczekują Nowego Roku? Tragedia dotknęła również ich. Glynis była kiedyś żoną Trenta. Była też matką Keitha, który uwielbiał ją takim rodzajem miłości, która musiała w końcu przynieść rozczarowanie. Być może to rozczarowanie nadeszło tuż przed jej śmiercią? Może, choć teraz nie zdawał sobie z tego sprawy, jej nagła śmierć była dla niego dobrodziejstwem? Teraz jego cierpienie może być ostre i czyste. Jego

miłość nie przejdzie stadium rozkładu, jak byłoby w przypadku gdyby doszedł do wniosku, że to co kochał, nie było warte jego cierpienia. A jak to było ze mną? Jak było z moją miłością, która tak szybko zgasła. Nagle wystrzeliła w górę, by ciężko spaść na ziemię!

Na ganku paliło się światło i w żółtym blasku tańczyły opadające na ziemię płatki śniegu. Każdy pierzasty płatek rysował się wyraźnie. Ogarniałam wzrokiem znaczną część podjazdu. W pewnej chwili zdawało mi się, że coś się poruszyło w mrocznej dali. Stałam bardzo cicho, nie odrywając oczu. Za mną Colton odezwał się do syna:

— Kiedy masz zamiar zabrać się z powrotem do pracy?

— Do pracy? — Glen jak echo powtórzył słowa ojca, jakby nie wiedział co znaczą.

— Oczywiście! Musisz teraz zająć się czymś, to jedyne lekarstwo na ból. Musiałem się tego nauczyć, gdy zmarła twoja matka.

— Czym się zająć? — zapytał cierpko Glen.

— Wykorzystałeś już przedtem Dinę jako model — odparł Colton, — Spróbuj rzeźbić ją znowu. Masz ją pod ręką. Tym razem pracuj w drewnie.

— Ale ja nie czuję... — Glen przerwał może dlatego, że stałam w pobliżu, a on nie był jeszcze całkowicie bezwzględny i niewrażliwy.

— Żeby zacząć, nie musisz niczego wyczuwać — zapewnił go Colton.

— Każdy twórca musi się tego nauczyć. Zaczynasz, nawet jeśli brak ci wizji. Nie śpiesz się. Skup się na jakimś detalu rzeźby, a odnajdziesz swoją drogę. Dlaczego nie zaczniesz na przykład od włosów? Tajemnica jej włosów zawsze cię przecież intrygowała. Uchwycić to teraz w drewnie. Zacznij od tych dziewczęcych zaokrągłych włosów za uszami i niech włosy spływają jej na ramiona. Drewno tworzy lepszy nastrój niż kamień.

Pozowanie Glenowi było rzeczą, która teraz była najmniej mi potrzebna.

Gdyby jednak miało mu to pomóc, gdyby miało skłonić go do patrzenia na mnie z mniejszą nienawiścią w oczach... Odwróciłam się od okna.

— Nie chcę próbować! — w jego krzyku była niemalże wściekłość.

Nomi odłożyła robótkę na krzesło, a wyraz jej twarzy wskazywał na chęć przyłączenia się do walki.

— Tak, Glen. To dobre rozwiązanie. Zaczynij, a nabierzesz rozmachu. Twój ojciec ma rację.

Znowu wyglądałam przez okno nie mając ochoty na zaofiarowanie pomocy. Byłoby dla mnie lepiej, gdybym już nigdy nie musiała pozować Glenowi.

Tymczasem na dworze wspinała się na wzgórze, zbliżając się do domu, wysoka postać. Postać chłopca. Keith zdawał się uginać pod niesionym ciężarem.

— Idzie Keith — rzekłam. — Coś ze sobą niesie do domu.

Nomi podniosła się i poszła do drzwi. Usłyszeliśmy jak mówi do niego, zaprasza do środka i każe położyć jakiś przedmiot w przedpokoju. Potem przyprowadziła go do drzwi salonu.

— Colton, Keith chce z tobą porozmawiać — rzekła.

Colton nie ruszył się z wygodnego krzesła.

— Wejdz, chłopcze! Co cię wyгнаło z domu w sylwestra? Czy coś się stało w twoim domu?

Keith potrząsnął głową.

— Opuściłem dom — rzekł. — Porzuciłem go. Dziadku, chcę tu zostać.

Spojrzeliliśmy zdumieni na chłopca. Po pierwsze dlatego, że chociaż był synem Glynis, ściśle biorąc nie należał do rodziny Chandlerów. Po drugie, o ile sobie przypominam, nigdy nie zwracał się do niego w ten sposób. Colton nie lubił być nazywany „ojcem” czy „dziadkiem”, a Glynis postępowała tak samo z Keithem, nie pozwalając mu nazywać siebie „matką”. Keith więc dość często zwracał się do matki po imieniu, unikał jednak mówienia w ten sposób do Coltona. Teraz zuchwale użył słowa „dziadek”, plasując się pośród nas, a być może przypominając Coltonowi o jego odpowiedzialności.

— Wejdz, Keith — rzekła Nomi. — Zdejmij kurtkę, jest mokra, Podaj, proszę, swoje rzeczy.

Zakłopotany zdjął kurtkę, oddał ją Nomi wraz z czapką. Niepewnie, wolnym krokiem wszedł do pokoju, kierując się do prostego krzesła, które podsunęła mu Nomi.

Colton ochłonął ze zdumienia.

— Keith, co się stało? Lepiej nam powiedz. Nie możemy cię przyjąć pod nasz dach wbrew woli twojego ojca, o ile się nie dowiemy, co się stało.

Chłopiec obrzucił mnie krótkim, wrogim spojrzeniem, którego nie mogłam zrozumieć i wstał z krzesła, żeby zbliżyć się do dziadka.

— Nie chcę o tym mówić. Ich nie obchodzi to, co się dzieje ze mną. Oni, w domu, nienawidzą Glynis. Nie mogę tam już zostać. Jeśli pozwolisz mi zamieszkać z wami, będę pracował. Pomogę ciotce Nomi. A za dwa dni wracam do szkoły, nie będę więc długo zawadzał. Mogę spać gdziekolwiek, nie muszę mieć pokoju. Może być na poddaszu wyrko lub cokolwiek.

Nigdy nie widziałem Coltona bardziej niezdecydowanego niż teraz. Od czasu śmierci córki nie wyglądał krzepko.

— Czy powiedziałeś ojcu i babce, że idziesz tu?

Keith potrząsnął głową.

— Po prostu spakowałem kilka rzeczy i opuściłem ich. Chyba domyślają się dokąd poszedłem.

— Niech zostanie — powiedział Glen. — Jest synem Glynis i będzie wychowywany tu jako Chandler, w lepszych warunkach niż tam. On jest bardziej jednym z nas niż jednym z nich.

— Wendeta! — powiedziała Nomi szydęrczo. — Glen, nie mów tak.

Colton miał dopiero podjąć decyzję, ale zanim doszedł do jakiegoś wniosku, zadzwonił telefon i Nomi wyszła do przedpokoju, żeby podnieść słuchawkę. W chwilę później była z powrotem.

— To był Trent. Chciał się dowiedzieć, czy chłopiec przyszedł. Colton, on chce pomówić z nami. Powiedziałam, żeby przyszedł.

Colton odłożył na bok książkę o zamkach hiszpańskich.

— Oczywiście, musimy się z nim zobaczyć. Keith, chcesz zostać i posłuchać tego, co powie?

— Nie, sir. Wiem, co powie. — Znowu obrzucił mnie wrogim spojrzeniem wprawiając mnie w zaniepokojenie i zakłopotanie.

— Wobec tego lepiej idź na górę z Nomi — powiedział do niego Colton. — Łóżko na poddaszu na razie wystarczy.

— Chodź ze mną — rzekła Nomi. — Zanieś tam swoją walizkę i ten okropny obraz, który zabrałeś. Na górze jest już łóżko, pomożesz mi urządzić kącik dla siebie.



Nikt nie zwracał na mnie uwagi, wyszłam więc z pokoju i przemknęłam schodami na górę. Założyłam płaszcz i po cichu, aby nikt mnie nie usłyszał, zeszłam na dół. Otworzyłam drzwi i wyszłam na zaśnieżoną werandę. Noc wydawała się bardzo cicha. Nie było wiatru i drzewa w białej otoczce stały prosto i sztywno. Noc, nawet bez księżyca i gwiazd, wydawała się jasna, a śnieg padał miękkimi grubymi płatami, które nie wirowały w powietrzu.

Z daleka zobaczyłam światła reflektorów samochodu Trenta. Kiedy skręcił w podjazd do domu, ukazało się na chwilę jasno oświetlone drzewo, minął je i znowu skryło się w mroku. Gdy znalazł się prawie naprzeciw domu, zeszłam ze schodów brnąc przez miękki, wilgotny śnieg i podeszłam w stronę samochodu.

Zobaczywszy, że nadchodzę, zahamował i otworzył szeroko drzwi samochodu.

— Muszę z tobą pomówić — rzekłam i wślizgnęłam się na fotel obok niego. — Dziękuję ci za ofiarowanie mi listów ojca. Niemożliwe, żebym dostała wspanialszy prezent.

Wziął moje zimne ręce w dłonie i przytrzymał je.

— Co teraz się stało? Coś bardzo złego, prawda?

— Tak!

Kiedy skinęłam głową, płatki śniegu sfrunęły z moich włosów.

— Wszystko już skończyło się dla mnie w domu Chandlerów, Trent. Wkrótce będę musiała odejść. Glen już nie chce mnie widzieć w tym domu.

Ręce Trenta zacisnęły się na moich dłoniach.

— Chciałbym mu powiedzieć... ale nieważne... Jeśli chcesz, możesz przyjść i zostać u nas.

— Nie. Dziękuję ci, ale muszę się wydostać daleko poza Gray Rocks Lake. Ja... Ja muszę rozwikłać pewne sprawy. Nie potrafię tu racjonalnie myśleć. Nie wiem, co myśleć. Nie wiem, jak będę się czuła wśród nich. Ale nie mogę jeszcze ich opuścić.

— Dlaczego nie? — spytał. Delikatnie zabrałam moje dłonie.

— Z powodu szala, który przywiązałam do pniaka wystającego z lodu na jeziorze. Jeden koniec podałam Glynis, żeby trzymała się go.

I wtedy powiedziałam mu już wszystko. O tym, jak Colton mówił, że nie było tam szala. O głosie wołającym do Glynis. O tym, że ktoś tam był. Ktoś, kto odwiązał szal, wyrwał jej z rąk i pozwolił jej zatonać. Muszę dowiedzieć się, kto to był. Muszę dowiedzieć się tego przed wyjazdem. Nie opowiedziałam mu tylko o zamiarze Glynis. Nie było sensu wspominać o tym teraz.

Trent wysłuchał mnie.

— Przypuszczam, że powiedziałaś im o tym?

— Tak, oczywiście. Ale nikt nie chciał iść obejrzeć resztek szala. Nie wierzyli mi. Może z wyjątkiem Nomi.

— Nie mogłaś rozpoznać głosu, który słyszałaś?

— Nie, naprawdę nie. To był wrzask, w dodatku zniekształcony przez echo. Nie potrafiłam go określić. Mógł to być zarówno głos mężczyzny jak i kobiety. A poza tym, jak można zapamiętać wrzask, który nagle ucichł? Głosu nie zapamiętuje się tak jak twarzy.

— Nie podoba mi się to — rzekł Trent. — Nie lubię takich historii. Ktokolwiek wołał do Glynis, ktokolwiek zabrał szal, może się obawiać, że przypomnisz sobie i zrozumiesz, że to on.

— Wiem — odrzekłam. — Pomyślałam o tym. Ale ktokolwiek to był, w zasadzie nic mu nie grozi, ponieważ nie mam najmniejszego pojęcia o kogo chodzi. Każdy mógł przechodzić ścieżką na górze wtedy, gdy ja posuwałam się wzdłuż brzegu. Oni wszyscy poruszają się na dworze szybciej niż ja i są tam grube drzewa. Nie widzieliśmy się nawzajem. Powiedz, jak mogę odejść, pozwalając na to, żeby wszyscy obwiniali mnie i sądzili, że jestem odpowiedzialna za śmierć Glynis? Przecież, jeżeli szal usunięto z rozmysłem, to mamy do czynienia z... morderstwem!

— Ty i Keith... powiedział Trent sucho.

— Co masz na myśli? Co Keith ma z tym wspólnego?

— Nic, prócz tego, że zadał pewne pytanie, na które niełatwo jest odpowiedzieć. Glynis wiedziała, że woda ze źródeł wpływa do tej części jeziora. Lód topnieje najpierw w tym miejscu, a woda zamarza tu na końcu. Wiedziała też, że jej matka tam utonęła. Dlaczego więc się uparła, żeby pójść tam na łyżwy? Musiała chyba wiedzieć, że po ociepleniu, jakie mieliśmy, nie było tam bezpiecznie. Woda z topniejących moczarów i strumienia wpływa pod lód i od spodu zaczyna go rozpuszczać. Jeżeli przyspieszy topnienie jeszcze woda ze źródeł w tej części jeziora, masz w efekcie lód, który nie jest bezpieczny do jazdy na łyżwach, chociaż na powierzchni sprawia wrażenie, że jest dość twardy. Nawet jeżeli zabrała tam ciebie, sama nigdy nie zbliżyłaby się do środka niebezpiecznego miejsca. Keith więc zapytał, dlaczego pojechała w tamto miejsce, i jak to się stało, że zginęła.

Ze zdumieniem patrzyłam na jego widoczną w blasku tablicy rozdzielczej twarz.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że on obciąża winą mnie? Uważa, że...

— On przypuszcza, że mogłaś działać pod wpływem impulsu. Twierdzi też, że nie było tam żadnego szala.

— Ależ to straszne! — krzyknęłam. — A ty? Czy ty mi wierzysz!?

Odpowiedział szorstko.

— Nie bądź idiotką! Znam przecież Glynis. Nawet jeśli ty sama jej nie oskarżasz, to ja domyślam się, dlaczego cię tam zabrała.

Odetchnęłam z ulgą. Trent domyślił się. Mogłam więc powiedzieć mu.

— Tak — rzekłam. — Chciała, żebym wpadła pod lód. Ale zamiast mnie, ona sama wpadła w pułapkę. Tylko, że im nie mogę tego powiedzieć, nawet gdyby to miało w czymś pomóc.

— Musisz więc odejść od razu. Nie możesz dłużej pozostawać w tym domu z kimś, kto jest zaniepokojony tym, co wiesz.

Z werandy dobiegł głos wołającego mnie Glena.

— Dino? Gdzie jesteś, Dino?

— Muszę wracać — rzekłam. — Chodź ze mną.

Trent obszedł samochód, żeby otworzyć mi drzwiczki i pomógł mi przy wysiadaniu na zaśnieżoną ziemię. Razem weszliśmy na górę do domu.

Glen odezwał się do Trenta krótko.

— Colton na ciebie czeka. Chciałby porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Gdy tylko Trent poszedł do salonu, Glen dopadł mnie.

— Dlaczego byłaś z nim na dworze? O czym ty z nim rozmawiasz?

Odpowiedziałam spokojnie.

— Nie chcę z tobą o niczym dyskutować — rzekłam i wyminąwszy go, zaczęłam wchodzić po schodach.

Od razu ruszył za mną.

— Dino, nie traktuj mnie jak wroga. Chcę ci wierzyć. Pragnę cię kochać tak samo jak w Nowym Jorku.

Zatrzymałam się na schodach i odwróciłam twarzą do niego. Stał ode mnie o jeden stopień niżej i kiedy odgarnął do tyłu jasnokasztanowe włosy, uprzytomniłam sobie, że wyglądały tak samo, kiedy po raz pierwszy ujrzałam go tamtego dnia w muzeum, i tak samo jak włosy, które widziałam tak niedawno: mokre i spływające po głowie leżącej w wodzie między krawędziami popękanego lodu, Glynis.

— A co takiego we mnie wzbudza twoją nieufność? — zapytałam.

Uchylił się od odpowiedzi na to bezpośrednie pytanie. Przynajmniej to mogłam mu zapisać na plus. Nie chciał posądzać mnie o najgorsze.

— Nieważne. Nie chcę, żebyś miała coś wspólnego z Trentem McIntyre'm. Nie ufam mu.

— Natomiast ja ufam mu — odrzekłam. — Ufam mu bardziej niż komukolwiek w High Towers. Dotyczy to także mojego męża.

Oczy mu pociemniały. Nadal jednak razem wchodziliśmy po schodach. Na piętrze znowu zaczął mnie błagać.

— Dino — mówił — potrzebuję twojej pomocy. Zamierzam skorzystać z rady Coltona. Czy nie zechciałabyś mi znowu pozować? Pozwól, żebym wyrzeźbił cię w drewnie!

A więc to dlatego, przez wzgląd na swoją twórczość, gotów był mnie kochać i zaufać mi. Chciał się ratować, wykorzystując mnie, tak jak już raz to zrobił. Chociaż pozowanie mu było ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało,

nie mogłam odmówić. Nie chciałam, żeby mnie dotykał czy kochał się ze mną. Nie chciałam nawet, żeby udawał, iż mnie lubi, skoro wiedziałam, że tak nie jest. Ale nie mogłam odmówić mu pomocy w pracy.

— Zgoda — rzekłam znużonym głosem. — Od jutra będę pozowała dla ciebie.

— Nie jutro, dziś wieczorem! Dziś wieczorem, kiedy jeszcze trwa stary rok. Gdy nadejdzie Nowy Rok, chcę być pogrążony w pracy. Dino, czy nie rozumiesz, że jeżeli znowu zacznę, to...

Przerwał, ponieważ po mojej twarzy zorientował się, że zrobię tak jak sobie życzy. Sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem argumentacja była zbyt techniczna. Chwytał mnie za rękę, błyskawicznie zaciągnął do sypialni i zaczął wyjmować mi szpilki z włosów. Płonęła w nim dawna pasja. Stałam bardzo spokojnie, pozwalając jego rękom robić co chciały. Musiałam nateńczyć całą wolę, żeby nie ulec wspomnieniom. Mężczyzna, którego pamiętałam, odszedł. Nie powinnam przypominać sobie tamtego dnia w muzeum. Nikomu jeszcze nie pękło serce z powodu czegoś, co było czystym urojeniem.

Gdy uwolnił ostatni kosmyk ze splotów warkocza, podniósł garść szpilek, chcąc cisnąć je na łóżko, jednak w momencie zamachu raptownie znieruchomiał i wytrzeszczył oczy.

— Spójrz! — krzyknął. — Spójrz, tam, przy twojej poduszce!

Spojrzałam i zobaczyłam leżącą na łóżku połyskliwą, żółtą kulę. Inną magiczną kulę.

Glen chwycił mnie za przegub dłoni.

— Dlaczego ją tam położyłaś? Co usiłujesz zrobić?

Odepchnął moją rękę, podszedł do łóżka i podniósł kulę. Przytrzymał ją pod światło, jakby zaglądał w jej wnętrze i zobaczył coś, czego ja nie mogłam dostrzec. Tak jakby chciał wydobyć tajemnicę, jaką kryła magiczna kula.

— Glynis wspominała, że gdy zajrzy w jedną ze swoich magicznych kul, widzi czas i przyszłe wydarzenia. Gdyby tylko zechciała teraz wrócić, żeby mi pomóc. Gdyby tak mogła pomóc mi przetrwać ten czas swojej nieobecności! Ona miała w sobie więcej magicznej mocy, niż ja kiedykolwiek mogłem mieć. Zastanawiam się, czy chciałaby...

— Nie mów tak! — krzyknęłam. Umarli nie wracają, żeby kierować czyimś życiem...

— Nawet, jeśli umarli gwałtowną śmiercią i zostawili coś niedokończonego? — zapytał, wpatrując się we mnie.

Znowu to samo, to samo podejrzenie, które nurtowało myśli Keitha i być może również pozostałych. Z wyjątkiem jednego człowieka, który znał prawdę.

— Jeżeli to była nawet nagła śmierć, to nie nastąpiła z mojej winy! — rzekłam. — Mówiłam prawdę, usiłowałam ją ratować.

Z wyrazem niedowierzania na twarzy trzymał nadal szklaną kulę pod światło i obracał nią tak, że mrugała do niego ukrytym we wnętrzu żółtym okiem, podczas gdy jej powierzchnia mieniła się barwami tęczy.

— Może to jakiś znak — powiedział. — Może...

Wyciągnęłam dłoń.

— Daj mi to. Zaniosę z powrotem do jej pokoju

. Nie miałam ochoty zastanawiać się nad tym, które z nich przyniosło ją do mnie i po co? Aby zdenerwować Glena? A może po to, by wprawić w niepokój wyłącznie mnie?

Zabrał kulę z zasięgu moich rąk.

— Nie! Fakt, że znalazła się tu, w tym pokoju, ma jakieś znaczenie. Na razie nie wiem jakie. Ale wskazuje to na coś, czego muszę się dowiedzieć. Niech mnie obserwuje podczas pracy. A może będzie mi pomagać znowu zacząć pracę?

Nigdy nie przeżyłam straszliwszego sylwestra. Poszliśmy na górę do pracowni. Glen pieczołowicie niósł żółtą magiczną kulę i położył ją na półce. Na poddaszu była Nomi, pomagając urządzić wygodne miejsce do spania dla Keitha. Łóżko ustawiono w pracowni Glynis, a Nomi znalazła krzesła i stolik, na których mógł rozłożyć swoje rzeczy. Keith robił co mu kazała. Wyglądał na oszołomionego, poruszał się na przykład zbyt szybko, żeby sprawnie zrobić to, co właśnie zamierzał. Na sztalugach matki ustawił oprawiony już obraz płonącej gospody.

Glen nie zwracał na nich uwagi, Nomi cicho przechodząc za nami, aby nie odrywać Glena od roboty, wyszła z poddasza. Widząc że znowu mam ochotę mu pozować, aż uniosła w górę brwi ze zdumienia. Gdy odeszła, Keith usiadł na łóżku, luźno opuszczając ręce między kolana i obserwując nas uporczywym, hipnotycznym wzrokiem, który wprawiał mnie w zakłopotanie.

Jak najszybciej muszę znaleźć okazję do rozmowy z nim. Powinnam spróbować przekonać go o niesłuszności jego niefortunnych podejrzeń.

Glen odsłonił blok czerwonego drewna, które zajęło teraz miejsce na jego obrotowym stoliku. Zauważyłam, że pracując z Glynis, wykonał



większość prac przygotowawczych. Piłą i toporkiem podcinał zbędne kawałki drewna i był gotów zacząć modelowanie głowy. Kilkakrotnie okrążył mnie, co chwila przystając przede mną, pochylał mój podbródek i przechylał głowę, potem podejmował decyzję.

— Chcę, żebyś patrzyła w górę i na zewnątrz — powiedział. — W górę na coś, co znajduje się wysoko nad tobą, wysoko na szczycie Gray Rocks. Wtedy twoje włosy spływałyby do tyłu bez względu na to, jaki by nie wiał wiatr. A może użyć wentylatora? Uzyskałbym efekt powiewania włosów.

Gdy jednak powrócił do bryły drewna, ogarnęło go niezadowolenie.

— Twoje włosy są zbyt jasne — rzekł. — Włosy Glynis miały idealnie odpowiedni odcień dla drewna tego koloru, odcień mahoni. Ale nieważne. Wypróbuję jego strukturę i rozjaśnię całość wykorzystując płaszczyzny i kąty.

Przystępując do pracy sprawiał wrażenie jakby towarzyszyło mu coś nowego, zupełnie nowa pewność siebie. Ja zaś siedziałam bardzo cicho, obserwując jego poczynania. Zdawał się nie zwracać uwagi, że teraz otwarcie mu się przyglądam. Co więcej: miałam chwilami uczucie, jakbym nie była prawdziwą osobą, a on patrzy na moje włosy, zupełnie jak na zawieszony w powietrzu abstrakcyjny element, niezależny do dziewczyny, która je nosi.

Ponieważ przedtem, gdy pracował nad głową z alabastru, często do mnie mówił, wiedziałam coś nie coś z tego, co będzie robił tym razem. Rzeźbienie w drewnie, chociaż jego struktura i groźba pęknięcia tworzywa były zupełnie odmienne, zbliżone było do rzeźbienia w każdym innym materiale. Pracując, Glen stosował bardzo nowoczesne metody. Rzeźbiąc na

przykład jakiś element draperii nie cyzelowałby każdej fałdy czy modelując kobiece włosy — każdego jej loku. Ale, jak powiedział, rzeźbiarz musi znać ostateczny kształt swojej pracy, zanim coś pominie. Teraz uderzał szybko i sprawnie drewnianym młotkiem i dłutami, starając się stworzyć płaszczyzny, dzięki którym uzyska odpowiednią jasność oraz wywoła wrażenie czegoś jedwabistego i zwiewnego, bez wprowadzania skomplikowanych szczegółów.

Nie szło mu dobrze. Mogłam to wywnioskować z jego twarzy i sposobu, w jaki uderzał młotkiem w dłuto. Robił to niemal z zawziętością. To również rozumiałam. Możliwe, że wizja w umyśle twórcy była błyskotliwym marzeniem, a gdy rzeczywistość nie chciała nagiąć się do wyobrażenia, artysta cierpiał.

Zesztywniałam i zmęczyłam się na swoim krześle. Zabolały mnie mięśnie szyi. W pewnej chwili, dla odprężenia, odwróciłam głowę, by natknąć się na wzrok Keitha, ciągle z uporem utkwiony we mnie. Nadal siedział na brzegu łóżka, z luźno zwieszonymi rękami i wpatrywał się jak w coś, czego wyraźnie nie znosił. Spróbowałam się uśmiechnąć do niego, ale w odpowiedzi spojrzał groźnie i jego uporczywy wzrok nawet odrobinę nie złagodniał. Odwróciłam od niego oczy i ujrzałam magiczną kulę, która z półki, gdzie położył ją Glen, wpatrywała się we mnie swoim żółtym okiem z taką samą natarczywą uporczywością jak i on.

— Przestań się wiercić — rzekł Glen. — Jeśli musisz, to wstań i pochodź sobie. To i tak nie ma znaczenia. Nie osiągam tego, co bym chciał. Pracuję na siłę, bez należytej uwagi. Twarz pod włosami jest nieudana.

Odezwał się dość niedelikatnie, ale nie uraził mnie. Nie obchodziło mnie wcale, że to nie moją twarz pragnął zobaczyć. Wstałam i

przeciagnałam się. Po drugiej stronie poddasza zegar głośno tykał. Zastanowiłam się, która jest godzina. Czy tu, na wsi będzie słycać jakieś wystrzały czy dźwięki dzwonów? Ale nawet gdyby się rozległy, czy usłyszelibyśmy je tu na górze, w pracowni? — Czy jest już Nowy Rok? — zapytałam Keitha.

Odburknął coś i spojrział na swój zegarek.

— Jeszcze nie! — krzyknął Glen. — Nie może być! Nie jestem jeszcze przygotowany na jego nadejście. Nie uchwyciłem w drewnie tego, co pragnąłem. Dino, wracaj na miejsce. Muszę kontynuować. Jeśli zrobię coś przed dwunastą, jestem w porządku! Jeśli nie, będę skończony.

Obrzucił spojrzeniem żółtą szklaną kulę na półce i powrócił do pracy. Tym razem odwrócił mnie, ustawiając profilem do siebie, nie mogłam więc już widzieć jak pracuje. Ale przynajmniej wiedziałam, że teraz pracował ochoczo, choć to, co rzeźbił, umykało mojemu wzrokowi.

Gdy wybiła północ, Nomi i Colton weszli po schodach, przynosząc nam drinki, żeby wspólnie wznieść toast za nadchodzący rok. Glen, usłyszawszy ich, rzucił narzędzia i chwycił sukno, żeby zasłonił kloc.

— Wychodzi mi! — powiedział triumfalnie do Coltona. — Skończyłem zmagania z włosami. Wydaje mi się, że uchwyciłem ich podobieństwo, ale muszę jeszcze popracować nad twarzą. Twarze zawsze mają dla mnie największe znaczenie. Tym razem zrobię coś lepszego, niż kiedykolwiek udało mi się oddać w kamieniu.

Colton był ciekawy, ale akceptował skrytość Glena do chwili, gdy dzieło nie było dostatecznie zaawansowane, aby mógł się odbyć „pokaz”. Colton był zadowolony i pełen nadziei. Było w końcu za co wznieść noworoczny toast i wszyscy do niego dołączyliśmy, trącając się

szklaneczkami i pijąc za jedną i tę samą rzecz, za którą mogliśmy wypić — za pomyślnie ukończenie nowego dzieła Glena.

Keith obserwował nas z ponurą miną popijając przyrządzoną mu przez Nomi gorącą czekoladę i z pewnością nie mogąc pogodzić się z faktem, że nadal był w stadium przejściowym między wyrostkiem a człowiekiem dorosłym.

Nastrój nie był chyba zbyt świąteczny, bo po wypiciu drinków nie zabawiliśmy długo w pracowni. Najpierw Colton i Nomi zeszli po schodach, a potem Glen, mówiąc, żebym poszła razem z nim. Ale nim wyszłam z poddasza, Keith zerwał się z łóżka i złapał mnie za ramię. Przez chwilę naprawdę się go bałam. Wykonywał tak gwałtowne ruchy i wyglądał tak dziko, a zarazem tak beznadziejnie i nieszczęśliwie. Wciąż był chłopcem potrzebującym pomocy bez względu na to, co sobie o mnie myślał. Zostałam na mrocznym strychu.

— Lepiej byś rzuciła okiem na dzieło Glena — wyszeptał. — Wiem, co zaczął robić. Lepiej będzie jak je zobaczysz, a potem strzeż się!

Nie wiedziałam, co ma na myśli. Jeżeli Glenowi dobrze szła robota, nie chciałam się wtrącać czy podpatrywać. Nie obeszłoby mnie też nawet, gdyby wyrzeźbił twarz Glynis. Niech robi, co mu się podoba. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Życzyłam mu dobrze, ale nic mnie to już nie obchodziło.

Rozważałam, czy stanowiłoby to jakąś różnicę, gdybym wtedy spojrzała? Nie jestem pewna, czy rozpoznałabym tę potworność, która zaczęła kiełkować we wnętrzu Glena, nawet gdybym usunęła zasłonę z mahoniowej głowy. Nawet wtedy nie mogłabym w to uwierzyć. Byłabym wstrząśnięta, ale nie przerażona.

Praca Glena posuwała się z dnia na dzień, a ja miałam wrażenie, że historia się powtarza. Było to niesamowite uczucie, które nie wróżyło nic dobrego. Harował całymi godzinami, a gdy pracował, musiałam być przy nim, choć nie bardzo wiedziałam, po co. Spoglądał na mnie rzadko, najwyżej dwa razy w ciągu godziny, chociaż siedziałam dokładnie tak, jak mnie upozował, zawsze odwrócona twarzą od rzeźbionej głowy, żebym nie mogła jej widzieć. Niekiedy w lusterku przelotnie dostrzegałam twarz Glena, ale nigdy nie widziałam jego dzieła.

Czasem, gestykulując rękoma, mówił, ale bardziej do siebie samego niż do mnie, a jego słowa na ogół nie rozpraszały żadnych moich wątpliwości, bo opowiadał o głowie z alabastru i o tym wszystkim, co dla niego znaczyła, a także o tym, co wraz z jej zniszczeniem zostało zaprzepaszczone. Miałam wrażenie, że nie tylko wciąż w nim tkwi, ale i narasta rozgoryczenie. Musiał rozładować je w słowach i chciał, żebym tego słuchała. Całe to pozowanie nie należało do szczęśliwych dla mnie chwil.

Przeciągał pracę tak długo, że wydawało mi się, iż mógłby w tym czasie wyrzeźbić chyba kilka głów. A jednak wciąż dalej pracował, udoskonalając i ulepszając, podczas gdy wokół niego rosła sterta wiórów. Zastanawiałam się, czy jeszcze coś zostało z drewnianego klocka. Można przecież było zrobić zbyt głębokie nacięcie w obrabianym materiale, wszystko niszcząc.

Na dworze bardzo się oziębiło i temperatura spadła poniżej zera. Z rzadka padał śnieg, ale później leżał długo nie topniejąc, ponieważ odwilż

nie nadchodziła. Nie był to miękki śnieg jaki pada w mieście, taki po którym można łatwo przejść. Ten zamarzał na twardą, śliską skorupę nie dającą żadnego oparcia dla nóg, tak iż każde wyjście na podjazd przed domem stawało się ryzykiem.

Po świętach Keith wrócił do szkoły i widywaliśmy go dopiero późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Żył swoim własnym tajemniczym życiem, nigdy naprawdę nie dostosowując się do reszty rodziny. Jego dziadek zdobył się na kilka przypadkowych gestów, ale robił to bez entuzjazmu: ten chłopiec nie nosił jego nazwiska. Miałam wrażenie, że Colton odwleka wyjazd. Teraz, gdy Glen pracował twórczo, chciał pozostać dostatecznie długo, żeby obejrzeć gotowe dzieło syna. W drogę wyruszy później. Jego tournée z odczytami po Wielkiej Brytanii zostało przełożone aż do lutego, miał więc wyjechać znowu dopiero na początku przyszłego miesiąca. Przed wyjazdem zamierzał zamknąć pewną sprawę, a mianowicie, sprzedaż ziemi po drugiej stronie jeziora Pandorze McIntyre. Widocznie główną przeszkodą była Glynis uniemożliwiająca tę transakcję. Teraz, gdy umarła, wydawało się, że Glen przestał dbać o to, co stanie się z Gray Rocks Lake. Podejrzywałam, że gdy tylko ukończy dzieło, nad którym tak uparcie pracował, sam wyjedzie z High Towers. Nie miałam pojęcia co wtedy stanie się ze mną. Nasze małżeństwo musiało się jakoś zakończyć, ponieważ żaden nowy początek nie był już możliwy. Ale dopóki rzeźba Glena nie była należycie wykończona, wciąż odkładałam wyjazd. Zwlekałam z wypowiedzeniem słów, które spowodowałyby nasze ostateczne rozstanie. Najczęściej żyłam jak odrętwiała, w próżni. Nie chciałam myśleć o Trencie.

Od czasu do czasu któraś z magicznych kul Glynis pojawiała się gdzieś w moim pokoju, ale nigdy nikt z domowników nie przyznał się do

ich podrzucania. Za każdym razem odnosiłam szklany przedmiot do pokoju Glynis i wkładałam do kosza, w którym były inne jej kule. Traktowałam to tylko jak irytujący psikus, próbę wyprowadzenia mnie z równowagi i nic poza tym. Nie próbowałam zgadywać, kto się za nim krył.

Pewnego razu, gdy pojechałyśmy z Nomi na cmentarz, zastałyśmy stojącego w przenikliwym chłodzie Coltona. Patrzył na pokrytą śniegiem mogiłę z nowym marmurowym nagrobkiem, tuż obok grobu Elżbiety Chandler. Na jego widok próbowałam nakłonić Nomi do zawrócenia, ale ona nie należała do osób tego pokroju, które by się wycofywały. Utorowałyśmy sobie drogę przez zaśnieżone alejki i w milczeniu stanęłyśmy obok niego. Obrzucił nas jednym niewidzącym spojrzeniem, a potem odwrócił się, jak zawsze ukrywając głęboko swe uczucia.

Nomi położyła przyniesiony wieniec z ostrokrzewu na grobie. Wieniec z zielonych liści, ale bez czarnych jagód, które zostały starannie pozrywane. W świecie Glynis nie było teraz żadnych kolorów, powiedziała Nomi, nie należy więc z niej kpić.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu przed pieczołowicie wyrzeźbionym nagrobkiem z prostym napisem: GLYNIS. Jeżeli któreś z nas modliło się, to jak mi się wydaje, wcale nie za kobietę, która tam leżała.

Byłam zaskoczona, że Nomi chciała odwiedzać grób, chociaż wzbraniała się oplakiwać dziewczynę, której tak bardzo nie lubiła. Dopiero, gdy w chwilę po odejściu Coltona nadal tam stałyśmy, powiedziała mi coś, co naprowadziło mnie na wstrząsający trop.

— Chcę się rzetelnie upewnić — powiedziała Nomi. — Chcę mieć pewność, że ona tu jest.

— Tu; bo przecież gdzie indziej mogłaby być?

Nomi zdawała się mnie nie słyszeć.

— Czuję, że tu jest. Ale oczywiście nigdy nie można mieć całkowitej pewności. Chyba że pochowano by ją z kołkiem wbitym w serce.

— Och, Nomi! — jęknęłam. — Przestań zajmować się takimi niesamowitymi rzeczami! Nomi, czy to ty ciągle przynosisz te magiczne kule do mego pokoju?

Stała przy grobie Glynis i patrzyła na mnie szeroko otwartymi, zrozpaczonymi oczami.

— Nie wiesz, kto to robi? — pokazała palcem. — To ona. Wiesz, Glen widział ją. Tak mi powiedział i ja mu wierzę. Jemu się wydaje, że ona będzie ciągle wracała, dopóki coś się nie stanie z osobą, która spowodowała jej śmierć. Dlatego muszę tu przychodzić. Ale teraz jest w porządku. Ona jest tutaj, jest pogrążona we śnie. Dopiero, gdy straci cierpliwość, wtedy znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Bynajmniej nie delikatnie położyłam rękę na jej ramieniu, odciągnęłam ją od grobu i poprowadziłam z powrotem w stronę naszego samochodu.

— Nigdy w życiu nie słyszałam takich strasznych bzdur! I to od ciebie! Spodziewałam się po tobie czegoś więcej, Nomi. Jesteś trzeźwo myślącą osobą. Jesteś kimś, kto nie należy do Chandlerów.

Wydawało się, że się ocknęła. Wybuchła spazmatycznym śmiechem, który jednak wcale mnie nie uspokoił.

Nie powinnam chyba czekać, aż Glen skończy rzeźbić i pozwoli mi odejść. Dzień i noc myślałam o ucieczce.

O ucieczce do normalnego świata, w bezpieczne miejsce.



W tym czasie jedynym moim pocieszeniem była myśl, że po drugiej stronie jeziora mieszka Trent McIntyre. Czasami widywałam go z oddali. Niekiedy przychodził do nas do domu przekonać się, jak sobie radzi Keith.

Przyląpałam się na tym, że niecierpliwie oczekuję tych wizyt. Sprawiał wrażenie spokojnego, trzeźwego i prostolinijnego człowieka. Wyobrażam sobie co powiedziałaby o Nomi, gdyby znał jej niesamowite uwagi poczynione na cmentarzu. Od czasu do czasu rozmyślałam nad jej słowami, zastanawiając się, czy po prostu nie próbowała mnie przerazić. Może również ona chciała, żebym odeszła.

Niefortunnie składało się, że nigdy nie miałam wtedy prawdziwej okazji, żeby pomówić na osobności z Trentem. Czasami nasze spojrzenia na chwilę spotykały się i jego wzrok wyrażał więcej, niż on sam mógł powiedzieć. Cieszyłam się więc tylko, że w ogóle istniał w tym czasie i wycinku przestrzeni, co ja. Ale dopóki pozostawałam w tym domu, było to jedyne małe pocieszenie, do jakiego miałam prawo.

Dom był nawiedzany. Wiedziałam o tym bardzo dobrze. Był nawiedzany, nie przez ducha Glynis Chandler, lecz przez nieczyste sumienie kogoś, kto zabrał mój szal i pozwolił jej zginąć. Nie był to Colton, zbyt dumny ze swej córki, żeby wyrządzić jej krzywdę, obojętne, uwielbiał ją naprawdę czy też nie. Jego poczucie klanowe było najważniejsze. Nie był to również Glen, kochający swoją bliźniaczkę, jakby była częścią jego samego. Ani też Nomi, która nie poniżyłaby się do tego stopnia, żeby zamordować, choćby najbardziej nienawidziła. Nie pozostawał nikt inny. Szukając dalej — Keith kochał matkę rozpaczliwie. Trent nie był mordercą. A Pandora nie była w to wszystko uwikłana. Może z wyjątkiem przeszłości, gdy była zamieszana przez swojego syna czy być może później, przez swoje zabiegi

wokół zakupu ziemi. Ale przecież Colton tak czy owak nosił się z zamiarem odsprzedania jej tej ziemi. Nie było więc nikogo, kto mógłby, z logicznego punktu widzenia, zabrać szal, który zostawiłam mocno przywiązany do owego pieńka na jeziorze. A jednak ktoś z nich był winny, sama wina przechadzała się korytarzami High Towers, przesiadywała wraz z nami przy kominku i z namaszczeniem pojawiała się na każdym naszym posiłku.

Potworne też było to, iż niektórzy z nich, włącznie z Glenem, wciąż wierzyli, że to właśnie ja spowodowałam śmierć Glynis. Jeżeli w tym trudnym okresie przyświecał mi jakiś cel, to była nim chęć udowodnienia w niepodważalny sposób, że zrobiłam tak, jak opowiedziałam. Czy mogłam więc tchórzliwie uciekać z High Towers, skoro ten straszliwy cień winy wciąż wisiał nad moją głową? Był też jeszcze inny powód, żeby pozostać, ale wtedy nie dostrzegałam go.

W następną sobotę, gdy przed południem pozowałam Glenowi, spostrzegłam, że był w dziwnym nastroju. W dziwnym, ponieważ starał się być dla mnie uprzejmy. Wydawało mi się, że był zadowolony z pracy, przekonany, że dobrze mu idzie, mógł sobie pozwolić na uprzejmość wobec mnie. Mimo to, ta zmiana w jego zachowaniu wprawiała mnie w zakłopotanie. Był już bliski ukończenia rzeźby i zabrał się do wygładzania jej papierem ściernym i polerowania, aby nadać słojom naturalny połysk.

— Dino, jestem ci wdzięczny — rzekł dość lekko. — Nie mógłbym tego zrobić bez ciebie. Musiałaś mi pozować przez cały czas, w przeciwnym razie nigdy by mi się nie udało.

— Kiedy będę mogła to zobaczyć? — zapytałam.

Gdy spojrzał na mnie znad swojego dzieła, którego nie chciał mi pokazać, oczy błyszczały mu tajemniczo, przypominając do złudzenia oczy

jego siostry. Jednak mogłam tylko uchwycić odbicie wyrazu jego twarzy w lustrze i nic poza tym.

— Niedługo, niedługo, moja droga — powiedział, ale jakimś dziwnym sposobem ani ta obietnica, ani łagodność nie podziałały na mnie uspokajająco. Miałam wrażenie, jakby obiecywał mi coś więcej, niż tylko obejrzenie jego dzieła.

— Dino, powiedz mi jeszcze raz — pracując mówił głosem dalej zwodniczo miłym. — Powiedz mi, co się stało tamtego dnia, kiedy Glynis wpadła pod lód.

A więc, odnosząc się do mnie w czarujący sposób, to do tego zmierzał!

— Powiedziałam ci już — rzekłam znużonym głosem. — Mówiłam ci tyle razy.

— Powiedz więc mi jeszcze raz — nalegał, a jego głos nadal był wyjątkowo łagodny i delikatny. — Powiedz, ponieważ nigdy naprawdę nie zrozumiałem.

Raptownie uświadomiłam sobie, że się go boję. Oskarżał mnie o śmierć Glynis, a czas przeznaczony na rzeźbienie głowy już upływał. Kończył. A gdy rzeźba zostanie skończona, nie będzie mnie więcej potrzebować.

Nagle spostrzegłam w lusterku, że poruszył się, schwycił sukno i zarzucił je na rzeźbę, żeby zasłonić ją przed niepożądanymi spojrzeniami. Potem podszedł i delikatnie ujął mnie za rękę.

— Teraz tam pójdziemy — rzekł. — Chodź ze mną, Dino. Wy tłumaczysz mi, co się stało. Objaśnisz mi wszystko.

Spróbowałam mu się oprzeć, ale kolejny raz ujawniła się jego popędliwość; gdy był wzburzony nie tolerował żadnego sprzeciwu.

— Pójdziemy teraz — powiedział. — Załóż więc palto i buty. Słońce wyjrzało, może skorupa śniegu na tyle stopnieje, żebyśmy mogli przejść przez las. No, pośpiesz się!

Spróbowałam znaleźć jakiś pretekst, żeby się sprzeciwić i odwlec to, co zamierzał zrobić.

— Przecież Colton wspomniał wcześniej, że dziś spotyka się z Pandorą, by omówić sprzedaż ziemi. Powiedział, że masz pójść razem z nim.

— Zapomniałem o tym — odparł. — Spotkam się tam z nim później. Najpierw jednak ty i ja pójdziemy na zamarzniete jezioro, do miejsca, w którym zginęła Glynis. Pokażesz mi wszystko dokładnie tak, jak się wydarzyło.

Wmawiałam sobie, że nie powinnam się bać. Lód był teraz dostatecznie twardy. Dziś, nawet wypływająca ze źródeł na dnie woda nie nadwyrężyłaby niebezpiecznego miejsca. Lepiej będzie, jeśli zrobię tak jak żądał. Może to jedyny sposób, żeby wyjaśnić mu całe to zdarzenie na tyle przekonująco, by naprawdę zrozumiał. Gdyby tylko jeszcze tych kilka skrawków wełny pozostawało nadal w szczelinie, mogłabym pokazać je dla uwiarygodnienia mojej wersji.

Wychodząc stwierdziliśmy, że grunt jest dość śliski, ale Glen zabrał ze sobą parę alpinistycznych lasek, aby używać ich jako czekanów. Stąpając ostrożnie, krok za krokiem, zdołaliśmy zejść ścieżką na dół. Marsz wzdłuż brzegu, gdzie świeciło słońce, był łatwiejszy. Bez trudu szliśmy po zeskorupiałym śniegu nawet nie ślizgając się. Dość szybko posuwaliśmy się w ten jasny, słoneczny poranek w stronę Gray Rocks.

Ujrzałam wznoszące się w górę ponad brzegami jeziora spiczaste turnie i przypomniałam sobie moment kiedy nazywałam je w myślach „on i ona”. Teraz pozostało tylko jedno z bliźniąt, pozbawione prawej ręki. Ale bliźniacze turnie mimo to nadal stały. Gdy oglądało się je od przodu, nie wydawały się tak złowieszcze. Cała moja niepewność i wszystkie moje najgorsze przeczucia pochodziły od tego mężczyzny, który szedł szybkim krokiem przede mną. Zapomniałam o tym drugim, ponieważ tyle znaków napawało mnie lękiem przed Glenem. Na przykład ciężka laska, którą niósł ze sobą. Dalej, owa czarująca delikatność, której nie ufałam. Tak więc o piętrzących się przede mną turniach właściwie nie myślałam.

Kilkakrotnie rzuciłam spojrzenie ponad jeziorem w stronę posiadłości McIntyre'ów, ale nikogo nie zobaczyłam. Nie byłam pewna, czy Trent jest w domu. Od czasu do czasu jeździł do Nowego Jorku na spotkanie z wydawcą. Często wyruszał też na długie wędrówki po wzgórzach, podczas których dojrzewały jego pomysły pisarskie.

Gdy doszliśmy do podnóża Gray Rocks, Glen zatrzymał się i spojrzał w górę. Przez moment obawiałam się, że rzeczywiście mógłby zawołać Glynis, aby przekonać się, czy jej tam nie ma. Ale tylko popatrzył przez ramię, uśmiechnął się do mnie i ruszył dalej. W jego uśmiechu było coś tak nieszczerego i chytrego, że obchodząc masyw skalny, zawahałam się zastanawiając, czy powinnam iść dalej. W tym momencie rozległ się po raz pierwszy łoskot czegoś zjeżdżającego z góry. Podniosłam głowę. Zobaczyłam, jak lawina drobnych kamieni oderwawszy się od podłoża odskakując i odbijając się od skał spada w dół. Tuż za nią w szaleńczym pędzie zsuwała się ogromna kamienna płyta. Odskoczyłam do tyłu i ostrzegawczo krzyknęłam do Glena akurat chwilę przedtem, nim potężny

blok skalny uderzył o lód, spadając dokładnie między nami i roztrzaskując się na drobne kawałki.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie we wspólnym paraliżującym strachu. Potem zdążyłam spojrzeć w górę, żeby zobaczyć, że coś się tam poruszyło i usłyszeć stłumiony zgrzyt. Ktoś chował się za skałę, jak najciszej próbując przejść na drugą stronę, by znaleźć się poza zasięgiem naszego wzroku.

Zawołałam do Glena.

— Tam na górze ktoś jest! Ktoś specjalnie zrzucił ten skalny blok. Mógł zabić nas oboje!

Ku mojemu jeszcze większemu przerażeniu Glen wyglądał na rozbawionego i rozpromienionego.

— Oczywiście, to ona jest tam na górze! Wciąż cię, Dino, pilnuje, prawda?

Przechylił głowę do tyłu i wrzasnął tak głośno, iż echo z hukiem runęło na jezioro:

— Glynis! Glynis! No, dosyć figłów! Wiemy, że tam jesteś!

Usłyszeliśmy jak ktoś, wysoko nad nami, ślizgał się i potykał schodząc ze skały, a potem oddalał, przedzierając się między oszronionymi drzewami, dobrze ukryty za grubymi pniami świerków i cedrów.

Wrzask Glena przeraził mnie tak samo jak huk spadającej skały.

— Obudź się! — wrzasnęłam do niego. — To nie była Glynis. I nie igraj ze mną!

Wpatrywał się we mnie, stojąc po drugiej stronie skalnego masywu. Zdawało mi się, że na jego twarzy pojawił się nagle bolesny grymas rozpacz. Odwrócił się ode mnie i sam, potykając się ruszył przed siebie

drogą wzdłuż brzegu jeziora. Nie miałam ochoty dalej z nim iść czy też próbować zawrócić go. Ogarniała mnie głęboka rozpacz. Ślizgając, się wycofałam się w stronę, z której przyszliśmy. Przeskakiwałam z jednej kępy trawy na drugą, tam gdzie było to niezbędne, kruszyłam laską lód. I tak, potykając się, posuwałam się ścieżką przez las. Tylko raz przystanęłam dla zaczerpnięcia tchu. Nadśluchiwałam, ale ten, kto wspiał się na Gray Rocks, z pewnością musiał podążać górną ścieżką szybciej niż ja i był już daleko. Nic więc nie usłyszałam. Drzewa stały cicho, jezioro nie odpowiadało echem i tylko serce łomotało mi ze strachu.

Spadająca skała nie była przeznaczona dla Glena. To mój wróg był tam, na górze. Ktoś wiedział, że będę tędy przechodzić i zaczął się na mnie. Ktoś, kto chciał uratować się moim kosztem. Ten sam ktoś, kto wołał do Glynis w chwili gdy ona pogrążyła się w wodzie, i wyrwał jej szal, który zostawiłam po to, żeby mogła się go trzymać. Chciałam wrzasnąć między drzewa, że nie znam jego imienia, że nic mu nie grozi z mojej strony. Ale to tylko Glen postępował w taki szalony sposób. Teraz wiedziałam już na pewno, że jedną jedyną rzeczą, jaką mogłam zrobić, był wyjazd. Dla własnego bezpieczeństwa powinnam wyjechać z High Towers.

Gdy dotarłam wreszcie do domu, zasapana, zdyszana i strasznie zgrzana zmaganiem na górze, zastałam Coltona i Nomi, rozmawiających w hallu na parterze. Nie potrafiłabym powiedzieć jak długo tam byli. Kiedy wpadłam do domu jak bomba, spojrzeli na mnie zdumieni.

— Ktoś był na szczycie Gray Rocks! — krzyknęłam. — Ktoś zrzucił na nas olbrzymią skałę. Mogła zmiażdżyć Glena albo mnie. Mieliśmy szczęście, żeśmy ocaleli.

— Moja droga Dino — powiedział Colton i zaczął pomagać mi przy zdejmowaniu palta.

Nomi rzuciła na niego szybkie spojrzenie.

— Gdzie jest teraz Glen?

— Poszedł dalej — odparłam. — Byłam... byłam tam z nim, bo chciał zobaczyć miejsce, gdzie zginęła Glynis. Chciał, żebym dokładnie mu pokazała, co się stało. Ale po upadku skały poszedł w kierunku drugiego krańca jeziora.

— Wróci — Colton uspokajał Nomi. — Wie, że potrzebuję go przy rozmowie z Pandorą o sprzedaży ziemi. Nomi, jeżeli przyjdzie, natychmiast przyślij go.

— Sama pójdę go poszukać — rzekła, ale nim zdążyła odejść, Colton wziął ją za ramię i powiedział ostrzejszym tonem:

— Daj mu spokój. Zanadto go rozpieszczasz. Musisz pozwolić, żeby na swój sposób przemyślał pewne sprawy. Zobaczę się z tobą później. To tyle, jeżeli nadal jesteś pewna, że nie chcesz pójść ze mną, by być przy rozmowie z Pandorą.

— Jestem pewna — odrzekła i przeszła przez hall do salonu. Gdy otwierała drzwi, Jezebel cicho wyslizgnęła się z pokoju i jak cień przemknęła do frontowych drzwi — żeby się wymknąć, kiedy tylko Colton je otworzy.

Rzuciłam palto na poręcz schodów i pobiegłam na górę do pracowni. Wiedziałam, co powinnam zrobić. Zanim opuszczę ten dom, muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć. Dopiero, znając odpowiedź na pytanie, mogę odejść. Spakowałabym rzeczy i odjechała jeszcze przed powrotem Glena.



Moje buty stukały na schodach, gdy biegłam. Z impetem wpadłam na puste poddasze. Od razu skierowałam się do pracowni Glena i zatrzymałam przed umieszczoną na obrotowym stoliku zasłoniętą głową. Ściągnęłam rękawiczki, rozluźniłam pasek przy kapeluszu, zerwałam go z głowy i rzuciłam na bok. Do tego, co zamierzałam zrobić, musiałam mieć nieskrępowane ruchy.

Zbliżyłam się o krok do postumentu i położyłam dłoń na suknie osłaniającym rzeźbę przed wścibskimi spojrzeniami. Przez moment wydawało się, że pod moimi palcami coś żyje i oddycha. Spięta ściągnęłam sukno.

Wyrzeźbiona twarz była odwrócona ode mnie. Jasne, kasztanowe włosy lśniły we wpadającym przez okno porannym świetle. Spływały po odchylonej do tyłu głowie, a kilka pasemek swobodnie unosiło się w górę w podmuchach pozornego wiatru. Bez zbędnych szczegółów Glen nadał włosom zgodny z rzeczywistością, prawie żywy wygląd. Z wyjątkiem barwy, nie były to włosy Glynis, były to moje włosy, o wiele jednak doskonalsze, niż kiedykolwiek udało się Glenowi odtworzyć w kamieniu.

Potem zobaczyłam coś, co wywołało u mnie gęsią skórkę. Po obu stronach głowy wyrastały prześwitujące przez kosmyki włosów, stulone w gniewie spiczaste zwierzęce uszy potwora, którego stworzył Glen. Obeszłam postument. Dzikie oczy zwierzęcia, płonąc w blasku połyskliwego drewna patrzyły drapieżnie. Ujrzałam spłaszczony nos, obnażone kły, ściągnięte do tyłu we wściekłym grymasie wargi warczącej, gotowej do skoku pantery. Nie, nie do skoku, lecz niemal do lotu! Do wzbicia się wysoko w górę, w kierunku Gray Rocks, w których utkwiała swój płonący wzrok.

Poczułam się wstrząśnięta i zdradzona. Dlaczego chciał, żebym przez te wszystkie długie tygodnie pozowała mu, a on w tym czasie tworzył coś, co nie miało nic wspólnego ze mną — coś, co było całą Glynis, całą jej istotą?

To, co stało się potem, nastąpiło tak błyskawicznie, że nie miałam szansy na ucieczkę. Miękkie fałdy opadły mi na głowę tak lekko, że niemal nie wytrącając mnie z przeraźliwego odrętwienia. Miętko zsunęły mi się na ramiona, a potem zaczęły zaciskać się wokół mojej szyi i dławić mnie. Spazmatycznie złapałam powietrze i próbowałam oderwać tę rzecz od szyi, ale tylko zaciskałam ją jeszcze mocniej, tak iż byłam unieruchomiona w uścisku, który uniemożliwiał mi odwrócenie się i ujrzenie napastnika. Zesztywniała, próbowałam przechylić się do tyłu.

Chłopiec za moimi plecami roześmiał się, a pętla się rozluźniła. Gdy odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z Keithem McIntyre'em, wciąż dyszałam. Łapiąc powietrze, nie byłam w stanie powiedzieć słowa. Widziałam w jego niebieskich oczach podniecenie i triumfalny uśmiech na szczupłej twarzy.

— Jakie to byłoby proste! — powiedział. — Jak łatwo byłoby zacisnąć i nie popuszczać. Wtedy już byś tu nie stała. Przestraszyłem cię, prawda? Tak samo jak rzeźba pantery? Jest niesamowicie udana. Lepsza od rzeźby z alabastru, a to dlatego, że pracując myślał o Glynis. Jest podobna do niej, straszliwie podobna. Wiem, bo jestem jej synem. Dawno mówiłem, żebyś spojrzała na nią. Powinnaś ją obejrzeć, nim nie będzie za późno, ponieważ to ty jesteś ofiarą! Wiesz o tym, prawda? Jesteś ofiarą, na którą ona się rzuci!

Zbliżył się do mnie z zawiązanym w pętlę szalem, zadając mi męki godne Tantala.

Uniosłam ręce do szyi, wciąż usiłując złapać oddech i rozcierając ją, a chłopiec okrążył mnie i tę straszliwą głowę pantery z ludzkimi włosami. Poruszał się lekko, tak jak potrafił tylko w lesie. Z wdziękiem tancerza, matadora, szpadzisty, wymachiwał przede mną długim szalem, jakby była to broń, której zamierzał użyć, żeby mnie zabić.

Odzyskałam głos.

— Skąd wzięłeś ten szal? — zapytałam. Podniósł go do góry i trzymał przed sobą, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

— Stamtąd — powiedział machając ręką mniej więcej w stronę pracowni Coltona.

— Co za różnica, gdzie go znalazłem? Nie jesteś mi wdzięczna, że cię wypuściłem? Czy nie boisz się mnie?

Byłam zbyt rozwścieczona, żeby dłużej powstrzymywać wybuch. Rzuciłam się na niego. Jedną ręką złapałam szal, drugą z całej siły uderzyłam go w policzek. Upadł do tyłu, dysząc ze złości i zdziwienia, a ja przyjrzałam się długiemu skrawkowi sukna, który trzymałam w dłoniach. Był w ciemnobrązowym kolorze, utkany w deseń z zygzaków różowej błyskawicy.

— Gdybyś nie był taki głupi — rzekłam — poznałbyś, że to szal, który dała mi na gwiazdkę Nomi. Miałam go na sobie tamtego dnia, kiedy z Glynis poszłyśmy na łyżwy. Właśnie ten szal rzuciłam jej, żeby mogła utrzymać się na powierzchni wody, i przywiązałam do pnia na jeziorze. Spójrz, widać jak się skurczył, jak zlały się kolory. A w tym miejscu frędzle są postrzępione.

Teraz ja nacierałam na niego, wymachując szalem.

— Pokaż mi dokładnie, gdzie go znalazłeś! Nikt już nie będzie się nade mną znęcać ani ty, ani nikt inny! Jeśli znalazłeś go wśród rzeczy Coltona, chcę wiedzieć, w którym dokładnie było to miejscu.

Jego ruchy straciły wdzięk. Powłóczył nogami, prowadząc mnie do atelier Coltona. Nigdy nie wchodziłam do tej części poddasza, ponieważ zgodnie z umową, bez specjalnego zaproszenia nikt nie miał tam prawa wstępu oprócz Coltona.

Keith podniósł wieko czegoś, co wyglądało na stary, żeglarski kufer i pogrzebał w stercie rupieci.

— Leżał tu, na dnie, wciśnięty w róg — rzekł.

— Jak ci się udało go znaleźć?

Nim odpowiedział, zawahał się.

— Szperałem właściwie tu wszędzie. Chciałem sprawdzić, czy dziadek ma jakieś narzędzia rzeźbiarskie, które mógłbym pożyczyć. To znaczy takie, których by nie potrzebował. I wtedy znalazłem to.

— W porządku — rzekłam. — Cieszy mnie to. Pora, żebyś się zmierzył z realnym światem i zerwał z fikcją, w jakiej żyjesz. Wiem wszystko o urojonym świecie. Również tam żyłam. To niebezpieczna kraina, bo gdy przebywa się tam zbyt długo, człowiek czuje się jak w narkotycznym śnie. Po pewnym czasie nie może już stwierdzić, co jest rzeczywiste, a co nie. Jego czyny przestają pasować do realnego świata, a wtedy wszystko co robi, może w każdej chwili rozbić na kawałki ten jego urojony świat i całe jego życie. Teraz razem stawimy czoło faktom. Pójdziemy na drugą stronę jeziora, żeby pokazać szal twojemu dziadkowi.

Wyjaśnimy to od razu. Jeśli ktoś ukrył go wśród tych rzeczy, lepiej będzie, jeśli się dowie.

— Może to ona go tam ukryła! — Jego głos stał się przeraźliwie piskliwy. — Mam na myśli Glynis. Może ona w dalszym ciągu próbuje nakłaniać mnie do robienia rzeczy, których nie chcę robić! Ale jeśli ona, mimo to, nie jest spokojna, to co ja mam...

— Wezmę ten szal, jeśli wolno — rzekła Nomi.

Prawdopodobnie musiała wejść tak cicho po schodach, że nic nie słyszeliśmy, dopóki nie odezwała się za naszymi plecami.

Wyprostowana i majestatyczna podeszła z wyciągniętą ręką.

Schowałam szal za plecami.

— Wydaje mi się, że Colton musi się o tym dowiedzieć — powiedziałam do niej.

— Nie! — Mówiła beznamiętnie, stanowczym głosem. — Nie życzę sobie, żeby mu więcej przeszkadzano. Ani też Glenowi. Dino, zaczynam dochodzić do wniosku, że twój wpływ na ten dom jest destruktywny. Na razie zaopiekuję się szalem. Niech rany się zagoją, zanim zaczniesz się je ponownie otwierać.

— A co ze mną? — spytałam. — Co z faktem, że każdy oskarża mnie o śmierć Glynis, podczas gdy to ja próbowałam uratować ją? Nawet Keith był przekonany o mojej odpowiedzialności. Przed chwilą próbował mnie udusić. Zarzucił mi szal wokół szyi...

— Nie udusiłbym cię — rzekł Keith ponuro. — Chciałem tylko cię nastraszyć. Nie zrobiłaś tego. Wiem, że nie zrobiłaś.

— Dlaczego? — spytałam. — Dlaczego lubisz straszyć ludzi?

Jego błękitne oczy, tak bardzo podobne i jednocześnie tak różne od oczu ojca, zapłonęły.

— Ponieważ jesteś tylko kłopotem i powinnaś odejść. Moja matka nienawidziła cię. Nie chciała, żebyś była żoną Glena. Nie chciała, żebyś tu była. Dlatego wciąż próbuje cię dopaść.

Twarz chorobliwie mu pobladła. Odwróciłam się od niego ze wstrętem i rzekłam do Nomi:

— Chodź i zobacz, co robił Glen. Myślę, że lepiej będzie, jak się dowiesz.

— Przecież wiem — odparła. — Sądysz, że nie obserwowałam tego od samego początku? I zrobił dobrą rzecz. Nie mam na myśli strony artystycznej. Uważam, że jest to pewien rodzaj terapii. Lepiej jeśli wyraził swoje uczucia w rzeźbie, niż by, by...

Przerwała nad słuchując, bo z dołu rozległ się trzask drzwi.

— To właśnie Glen. Dino, Keith ma rację. Lepiej będzie jak wyjedziesz. Przestań się wtrącać i natychmiast wyjedź. Nigdy nie będzie mu ciebie brakować, gdy go opuścisz, a jeżeli zostaniesz, może spotkać cię coś złego. Wracaj do Nowego Jorku. Zostaw nas w spokoju z naszymi tragediami, które nie należą do ciebie.

Nic nie odpowiedziałam żadnemu z nich. Podałam jej szal i wolno ruszyłam po schodach. Idąc usłyszałam od wejściowych drzwi kroki nadchodzącego Glena. Spotkaliśmy się w połowie drogi, w hallu na dole. Wyglądał na bardziej rozstrojonego i zrozpaczonego, niż kiedykolwiek do tej pory. Nomi zbiegła za mną ze schodów. Zatrwożona odezwała się do niego, ale nie odpowiedział. Wyminął nas i wszedł do swego pokoju, dawnego pokoju Glynis.

Nomi poszłaby za nim, ale złapałam ją za ramię i przytrzymałam.

— Ja jestem jego żoną — rzekłam. — Ja powinnam to zrobić.

Popatrzyła na mnie i odsunęła się. Wiedziałam, że nie ucieknę chyłkiem za plecami Glena, wpierw nie porozmawiawszy z nim. Bez względu na to jak przyjmie moją decyzję, czy będzie mu brakować mnie czy też nie, musiałam mu powiedzieć co zamierzam zrobić. Przymknął za sobą drzwi, ale nie pukałam bojąc się, że zamknie je przede mną na klucz. Przekręciłam gałkę i weszłam.

Ujrzałam, że podszedł prosto do oświetlającego rzeźbę z czarnego marmuru reflektora i włączył go. Stał przed wyrzeźbioną głową, a gdy zobaczyłam co robił, znowu przebiegły mi po skórze ciarki.

Wpatrując się w czarną rzeźbę, ostrożnie i bardzo delikatnie paznokciem lewego kciuka przesunął po brwi. Wciąż głaskał ją i głaskał ruchem, który był charakterystyczny tylko dla Glynis, ruchem, którego nigdy przedtem nie widziałam u niego.

Podeszłam i odciągnęłam go od czarnej marmurowej głowy.

— Glen! Muszę z tobą porozmawiać. Chodź proszę i usiądź! Widziałam już na górze, co wyrzeźbiłeś z tego drewna. Dlaczego? Powiedz mi, Glen, dlaczego?

Pozwolił, żebym lekko popchnęła go na krzesło i przysunęła sobie drugie, by siedząc przed nim czekać na odpowiedź. Odpowiedź, której mi nie udzielił. Z kosza w kącie pokoju złośliwie mrugały do mnie kolorowe, szklane oczy magicznych kul.

— Powiedz mi, do czego podczas pracy byłam ci potrzebna? Glen, chcę to zrozumieć... Wiem, że dzieło jest udane. Ale motywy, które kryją się za takim rezultatem, wydają mi się fatalne. Co więc mam wspólnego z nim?

Po raz pierwszy jego oczy zdawały się skupiać na mojej twarzy. Posłał mi też uśmiech, który był tylko cieniem jego dawnego uśmiechu.

— A jednak cię potrzebowałem! Musiałem stale mieć cię przed sobą, bo chciałem patrzeć na ciebie jej oczami. Rzeźbiąc tę jej twarz pantery musiałem spoglądać na ciebie, aby móc wyrazić jej uczucia, wszystko co czuła do ciebie.

Aż wzdrygnęłam się. Chciałam się zerwać, wybiec z pokoju i na zawsze uciec z tego domu, nigdy więcej tu nie wracać. Jednak wbrew sobie pozostałam na miejscu, bo coś w twarzy Glena nie pozwoliło mi odejść.

— A co teraz, skoro już ukończyłeś rzeźbę — spytałam.

Bezradnie wzruszył ramionami.



— Nie wiem. Czuję się pusty i wyczerpany. Chyba już nic mi nie pozostało...

— Znowu będziesz pracował — odparłam. — Przecież każdy twórca czuje się wyczerpany, gdy skończy jedno dzieło, a nie jest jeszcze opętany następnym.

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Opętany! Należą ci się słowa uznania za spostrzegawczość, ponieważ tak właśnie się czuję — pusty i wyczekujący. Jakby coś dopiero miało wypełnić tę pustkę i opętać mnie.

— I tak się stanie — odrzekłam. — Czekaj na to, a to nadejdzie. Glen, tymczasem jednak, ja odejdę. Nic już nas nie czeka i nie łączy, skoro twoja rzeźba kobiety-pantery jest skończona. To nie było dobre małżeństwo dla nas obojga. Ogłupiałam się nierealnym mirażem, a ty również. Nie udało nam się nic do tej pory ani nigdy się nie uda.

— Odejdiesz do Trenta — powiedział ostrym tonem.

— Nie, nie odejdę do nikogo. Zamierzam wrócić do siebie samej. Chcę odkryć, czym jest moje własne „ja”. Ale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek dowiem się choć trochę więcej.

— Nie! — krzyknął. — Nie, nie możesz mnie opuścić! Nie pozwolę ci odejść!

W bezmiernym zdumieniu mogłam tylko wpatrywać się w niego.

— Ależ Glen, nie potrzebujesz mnie. A miłość, gdy raz umarła, nie jest czymś, co da się wskrzesić. O ile oczywiście kiedykolwiek naprawdę kochaliśmy się. Uważam, że każde z nas kochało tylko złudzenie, miraż, o którym wspomniałam, a nie coś prawdziwego.

Zrobił dziwną rzecz. Wstał z krzesła i nagle ukląkł przede mną. Objął mnie ramionami i oparł głowę na moich kolanach.

— Nie możesz mnie opuścić. Jesteś wszystkim, czym mogę zapełnić pustkę. Jeśli ty jej nie wypełnisz, zajmie ją coś innego. Coś, co czeka na szansę, żeby wedrzeć się i opętać mnie. Coś, czego się boję. Wyczuwam, jak czając się, stoi tam w cieniu. Dino, jestem przerażony! I mylisz się co do mnie. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak jak ciebie. Kochanie, zostań ze mną, nie opuszczaj mnie...

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, nie poruszył się. Musiałam delikatnie uwolnić się od jego uścisku i podejść do drzwi. Był to Keith z miną winowajcy. Wyglądał na bardzo zakłopotanego.

— Mój ojciec chce z tobą porozmawiać — powiedział grubym głosem. — Dziadek i babka omawiają teraz szczegóły kontraktu, a on wyszedł. Jest teraz na dole. Czy chciałabyś się z nim zobaczyć?

— Glen podniósł się i odwrócił ode mnie. Usłyszał słowa Keitha, ale nie podszedł do nas. Skierował się do stolika z rzeźbą i patrzył przez okno na zimowy, lodowaty krajobraz.

— Przyjdę — powiedziałam.

Gdy zbiegałam po schodach, czułam jak rosną mi skrzydła. Skrzydła przenoszące mnie do krainy wolności i szczęścia. Och, żeby tak się stało!

Trent czekał w salonie Nomi, która też tam była. Powiedział, że nie powinna wychodzić. Chciał, żeby słyszała, co miał mi do powiedzenia. Gdy tylko weszłam do pokoju, podszedł, położył mi dłoń na ramieniu i przytrzymał mnie, tak aby móc patrzeć mi prosto w twarz.

— Wystarczy tego, masz dosyć! — powiedział. — Keith wspominał mi o rzeźbie Glena. Nie pozwolę, żebyś dłużej znosiła tego rodzaju rzeczy.

Nadal słyszałam szum skrzydeł, ale jakby trochę słabszy.

— Nie pozwolisz? — uszczypliwie powiedziała Nomi, jak zawsze strzegąca praw Glena.

— Nie pozwolę! — powtórzył Trent. — Nomi, Bernardina należy do mnie.

Oczy miałam zalane łzami i z całego serca pragnęłam znaleźć się w jego ramionach i zostać w nich na zawsze. To wreszcie coś prawdziwego. Zawsze było. Czułam, że budzę się ze złego snu.

— Kochanie, zabiorę cię stąd — powiedział. — Przez pewien czas zostaniesz z moją matką lub, jeśli zechcesz, wrócisz do Nowego Jorku. Nie powinnaś zostać w tym domu nawet na jedną noc. Sam porozmawiam z Glenem. Puścił mnie i skierował się do drzwi.

Powiedziałam: — Zaczekaj! — głosem, który z trudem mogłam rozpoznać jako własny. Nie było już łopotu żadnych skrzydeł. Odwrócił się spoglądając na mnie pytająco.

— Trent, nie mogę pójść z tobą. Nie dlatego, że cię nie kocham. Sądzę, że zawsze cię kochałam i będę kochać. Ale nie mogę z tobą pójść ze względu na Glena.

— O czym ty mówisz? — powiedział szorstko.

Nie ustępowałam, zacisnęłam mocno palce, żeby moje dłonie nie zrobiły jakiegoś głupstwa. Zdawałam sobie bardzo dobrze sprawę z tego, co powinnam zrobić i próbowałam zebrać siły. Glen też był prawdziwy. Nie miłość do Glena, lecz jego dyktowana rozpaczą potrzeba mojej obecności, wiązała mnie z nim. Zostać — taki był teraz sens odwagi według mojego ojca.

— Żyłam fikcją — powiedziałam. — Ale mam to już za sobą. Glen potrzebuje mnie i nie mogę teraz go opuścić.

Zniecierpliwienie Trenta rosło.

— To absurd. Jeżeli zastanowisz się...

— Proszę, posłuchaj mnie — rzekłam. — Sama się wpakowałam w sytuację, w jakiej jestem. Jeśli postępowałam głupio i impulsywnie, to moja wina. Ale skończyłam z tym. Teraz muszę zostać i doprowadzić wszystkie sprawy do końca. Proszę cię, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej.

— Brawo! — powiedziała cicho Nomi, a Trent rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Nie skończyliśmy jeszcze tej rozmowy — rzekł do mnie — ale pozwolę ci na razie odejść. Dam ci czas, żebyś opamiętała się i odzyskała zmysły. I cokolwiek się stanie, będę w pobliżu.

— Moje zmysły nie mają z tym nic wspólnego — rzekłam. — Mówią mi jak bardzo cię kocham. Ale zaledwie przed chwilą mówiły mi o przywiązaniu do Glena. Nie jestem więc skłonna zbyt im ufać. Muszę zaufać temu, co powinno być zrobione.

Wyminęłam go i wyszłam. Wspięłam się schodami na górę i wróciłam do pokoju Glynis. Glen nadal stał w tym samym miejscu przy oknie.

— Zostaję — powiedziałam. — Ale zrobię tak, jeżeli zachowamy oddzielne pokoje. Musisz mieć warunki do powrotu do sił po tych cierpieniach z powodu Glynis, a nie wyleczysz się, jeżeli będziemy tu razem. Nie wyszłoby nikomu z nas na dobre, gdybyś się nie zgodził.

Odwrócił się od okna i utkwiał we mnie oczy. W zamyśleniu paznokciem lewego kciuka głaskał krzywą linię brwi. Podeszłam i oderwałam mu rękę od twarzy.

— To jest gest Glynis — powiedziałam. — Musimy jakoś przeboleć jej śmierć.

Zgarnął mnie w ramiona i mocno przycisnął zanurzając twarz w moich włosach. Pozwoliłam, żeby tak trzymał mnie w objęciach. Spróbowałam także objąć go i odczuć to, co zwykle w takich chwilach czułam. Ale nie pojawiło się żadne uczucie do nikogo. Byłam zupełnie odrętwiała i pozbawiona emocji, a jednak nie wydawało mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. „Odpowiedzialność” — była słowem, które nie przemawiało do moich uczuć i nigdy przedtem nie brałam go poważnie. Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów. Jeżeli w przyszłości miałam żyć wolna, musiałam uporządkować pewne sprawy. Byłam córką Blaka nie na darmo. Znajdę potrzebne mi siły.

Glen wreszcie puścił mnie, pozwalając unieść się zapałowi.

— Dino, zgadzam się na twoje warunki. Dajesz mi coś, co przywraca sens mojemu życiu. Wiem, że obie z Nomi macie rację. Pokój Glynis musi być opróżniony. Wszelki ślad po niej powinien być zatarty, sprzątnięty sprzed oczu. To jedyny sposób, żeby ją uspokoić!

Nie podobał mi się zwrot „ją uspokoić”, ale szybko, zanim zmieni zdanie, zgodziłam się. Razem zawołaliśmy Nomi, a ponieważ Keith nie mając w sobotę lekcji, niespokojnie objął się po domu, zmobilizowaliśmy również jego. Być może także on chciał przegnać upiora.

Wszyscy zabraliśmy się w pokoju Glynis do pracy. Sam Glen nie uporałby się z tym przedsięwzięciem, ale do naszego chętnie się przyłączył. Wraz z Keithem znosił z poddasza puste pudła, do których pakowaliśmy rzeczy jego siostry. Jej sukienki chowałam sama, żeby nie musiał ich dotykać. Z pewnym smutkiem usuwałam rekwizyty wesołego,

wyrafinowanego, samolubnego, a jednocześnie kruchego życia. Pozostałym przy życiu zawsze wydaje się dziwne to, że delikatny jedwab, bawełna czy wełna mogły przetrwać ludzi, których wcześniej okrywały.

Bizuterię Glynis Glen umieścił w wyłożonym aksamitem pudełku. Pończochy i bieliznę Nomi włożyła między bibułki. Zamierzała później przekazać niektóre z tych rzeczy na miejscowe akcje dobroczynne. Na razie jednak miały być przechowywane na poddaszu.

O dziwo, spośród nas czworga najmocniej przeżywał te porządki Keith. Gdy przyłapałam go w momencie nieuwagi, na jego twarzy malowało się coś w rodzaju oszołomienia, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jego matka umarła. Kilkakrotnie przystawał przy wielkim koszu z magicznymi kulami, który za chwilę Glen i Nomi mieli wynieść na strych, podniósł jedną z nich i trzymał w dłoniach.

— Jak sądzisz, czy Glen pozwoliłby mi zatrzymać jedną z nich? — odezwał się przez ramię, nie pokazując twarzy.

Obojętne, jak źle wcześniej postępował, teraz zrobiło mi się żal chłopca.

— Nie wydaje mi się, żeby miał coś przeciwko temu. Ale dlaczego chcesz ją mieć?

Wziął szkarłatną kulę pod wpadające przez okno światło.

— Ponieważ kiedyś wywróżyła mi z niej przyszłość. Spojrzała w kulę i opowiedziała co widzi.

Nie przerywając pracy, jakby mimochodem zapytałam:

— I co takiego zobaczyła?

Utkwił wzrok w kuli, jakby chciał odtworzyć wizję, widzianą oczami matki.

— Ujrzała mnie, jak stałem na wzgórzu ze strzelbą na ramieniu. — Wzdrygnął się lekko. — Powiedziała bardzo niskim, ochryplym głosem, jakim potrafiła czasami przemawiać: „Miej pewność, że strzelasz po to, żeby zabić!” Nigdy nie powiedziała mi, co się stało potem. Mówiła, że pojawiły się mgiełki i nic już więcej nie widzi.

Zirytowana, oderwałam się od pudła, w które pakowałam ubrania.

— Keith, za bardzo zajmujesz się zabijaniem, straszeniem i szkodzeniem. Dlaczego? Jaką satysfakcję masz z tego rodzaju czynów? Tylko nie mów mi, że chcesz udawać Boga.

Nie odpowiedział od razu, lecz położył szkarłatną kulę na inne i odwrócił się, żeby zapakować do pudełka pantofle Glynis.

— Dobrze, że usuwamy to wszystko. Chciałbym, żeby wszystkie jej rzeczy zostały zamknięte w kufrach, wyniesione, i żeby potem jeszcze zamknąć strych. Może wtedy nie mogłaby się wydostać.

Jego gwałtowność przeraziła mnie.

— Och, przestań już! — krzyknęłam. — Ty też ulegasz tym bredniom Nomi! Nie pozwalacie, żeby to wszystko, co dotyczy Glynis, spoczywało w spokoju na cmentarzu!

— Czy jesteś pewna, że to brednie? — Błękitne oczy chłopca były ciemniejsze niż kiedykolwiek. Przypomniałam sobie, że w jego żyłach płynęła zarówno krew irlandzka jak i szkocka, mieszanka, która mogła wywoływać najdziwaczniejsze pomysły.

— Czy nie wydaje ci się, że gdy sprzątniemy wszystkie jej rzeczy i zamkniemy je na górze, to wtedy nie będzie mogła tak łatwo dostać się do nas? — zapytał. — Myślę, że nim się zjawi, musi dotknąć jakiegoś przedmiotu, który do niej należał.

— Nim się zjawi? — powtórzyłam przerażona. — O czym ty mówisz?

— Nigdy wokół siebie nie wyczuwałaś jej obecności? — zapytał. — Czy nigdy nie czułaś, że się do ciebie dobija, jakby próbowała się wcisnąć. Glen twierdzi, że ona wślizguje się wszędzie, gdzie tylko znajdzie szczelinę.

— Nie dobija się do mnie — powiedziałam sucho. — Myślę, że za dużo czasu spędzasz sam w lesie. Dlaczego nie porozmawiasz o tych sprawach z ojcem?

— Mój ojciec! — odpowiedział pogardliwie. — Wiem, co by mi powiedział i jak śmiałyby się ze mnie.

— Nie doceniasz go — rzekłam. — Znam go od dawna. Poznałam go, gdy byłam w twoim wieku, kiedy mój własny ojciec zmarł. Sama o mało nie umarłam wtedy z żalu. To właśnie twój ojciec w cudowny sposób przywrócił mi chęć do życia. Przekonał mnie, że naprawdę potrafię radzić sobie bez ojca i zająć się innymi sprawami. Może nie dałeś swemu ojcu szansy?

Chyba nie słuchał moich słów. Chłopięce oczy jeszcze bardziej pociemniały pod wpływem przeżywanej od nowa nieszczęsnej wizji, przywołanej przez szkarłatną kulę.

— Glynis nie tylko próbowała przeniknąć, czasami to się jej udawało — powiedział. — Zdarzyło się to na przykład na górze w pracowni, gdy wziętem szal i próbowałem cię przestraszyć. To właśnie ona tego chciała. Ale nie wydaje mi się, żeby zamierzała posłużyć się mną. Sądzę, że chce dopaść Glena. I czasami jej się to udaje. Wiem, że tak jest. Czy nie zauważyłaś, jak ona spogląda jego oczami?

Z niechęcią przypomniałam sobie, jak Glen przesuwiał paznokciem kciuka po brwi.



— Keith, uważam, że nie powinieneś snuć takich fantazji. Nie mają one żadnego związku z rzeczywistością, choć może wydają ci się podniecające.

Gwałtownie się do mnie odwrócił.

— Przepraszam, że próbowałem nastraszyć cię w pracowni na górze. Nie mam pretensji, że mnie spoliczkowałaś. To mi pomogło, bo ją spłoszyło.

Nomi i Glen wrócili i już nic więcej nie mogłam czy też nie chciałam mu mówić. Chłopiec zaniepokoił mnie, ale postanowiłam tego teraz nie roztrząsać, za to pomówić o tym później z jego ojcem.

Glen przyszedł zdjąć z łóżka pościel, zabrać ulubioną kołdrę Glynis i kolorowe prześcieradła, jakich nikt inny w domu nie używał. Keith przez chwilę przyglądał mu się obserwując energię, z jaką Glen zabrał się do pracy, jakby usuwał Glynis także z pamięci i z serca. Nagle, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, błyskawicznie poruszając się, rzucił się do okna. Otworzył je na oścież, schwycił kosz z magicznymi kulami i wszystko wyrzucił na zewnątrz. Kule zastukały na zamrażniętym zboczku. Zderzając się jedna z drugą rozbijały się i z brzękiem rozpadały na drobne okruchy.

Glen odwrócił się i zdumiony popatrzył na Keitha.

Nomi zaś rzekła:

Narobiłeś, chłopcze, niezłego bałaganu. Teraz zejź na dół z szufelką i posprzątaj wszystkie odłamki szkła.

Keith poruszył się z radością, jakby się uwolnił od czarów.

— No jasne, posprzątam to! — krzyknął i jego kroki zadudniły na schodach, gdy zbiegał na dół.

Glen wychylił się przez okno i wyglądając powiedział:

— Nie ocalała żadna. Będzie teraz musiała przestać wszędzie je podkładać.

Miałam już dosyć takiego gadania. Z najwyższym wstrętem odłożyłam sweter, ciągle jeszcze pełen zapachu Glynis i wyszłam z pokoju. Chciałam chociaż na chwilę uwolnić się od Chandlerów. Jednak nie miałam dokąd pójść, bo szybko porzuciłam myśli, żeby pójść do Trenta i porozmawiać z nim o jego synu. Nie musiałam tego robić. Byłam wtedy podejrzliwa wobec własnych intencji.

Ten dzień dłużył się. Poszłam na spacer, ale nie oddalałam się zbyt od domu. Potem przyłączyłam się do siedzącej w salonie Nomi. Przypomniała mi, że tam nic mi ze strony Glynis nie groziło. Przyczyniała się do tego Jezebel, bo tylko dzika kotka sprawiała wrażenie, że nie boi się nawiedzanego domu i to mnie uspokajało. Jezebel przechadzała się wszędzie swobodnie. Wchodziła nawet do pokoju Glynis, który teraz był już tylko pustym, niezamieszkałym miejscem.

Przez cały ten czas prześladowała mnie myśl, że nadchodzi noc, a ja znowu jestem żoną Glena.

Wieczorem zaczął padać śnieg. Duże, miękkie płatki piętrzyły się w zaspy, odcinając nas od świata. Nikt z nas oprócz Coltona nie zamierzał siedzieć aż do późna w nocy. Colton chciał obejrzeć nocny show w telewizji, zostawiliśmy więc go samego i poszliśmy spać.

Tej właśnie nocy Glen spał na moim ramieniu. Długo leżałam nie śpiąc. Ramię zdrętwiało mi pod ciężarem jego głowy. Myślałam o skutkach swojej decyzji i samotności. Nie byłam już odważna. Wystarczyło przecież zrezygnować, porzucić Glena, a czekał na mnie Trent. A jednak ani nie mogłam iść do niego, ani też zmusić się do całkowitego pogodzenia z

życiem, jakie tu mnie czekało. Nie wiedziałam kim byłam i nie wiedziałam, jak dalej pokierować swoim życiem.

Kiedy śpiący Glen wreszcie się przewrócił na bok, zdołałam wyciągnąć mu spod głowy rękę i też zasnęłam. Gdy przebudziłam się rano, Glena nie było już w łóżku. Na ciepłą kołdrę padało blade, różowawe dzienne światło. Zauważyłam, że wstał i był już ubrany. Rozpalił ogień na kominku i usiadł przed nim na przysuniętym podnóżku. Łóżko zatrzeszczało, a on odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Dzień dobry, Dino. — Uśmiechnął się z dawną czułością i serce odrobinę mi się ścisnęło, że nie byłam w stanie jej odwzajemnić.

Powróciła do mnie myśl o Keithcie i jego wczorajszym wyczynie. Skoro Glen był w dobrym nastroju, należało być może porozmawiać z nim, a poprzez rozmowę na temat Keitha, doprowadzić do nie cierpiącej zwłoki sprawy, do naszego wyjazdu z High Towers.

— Muszę coś ci powiedzieć — zaczęłam. — O Keithcie.

Nadal był w sympatycznym nastroju i wyciągając ręce ku płomieniom rzucił przez ramię:

— Mów!

— Sądzę, że nie powinieneś podsuwać chłopcu myśli, że Glynis próbuje nas dosięgnąć. Zasugerowałeś mu, że jest... Och, co za głupie słowo!... Opętany przez nią. Musiałam to jakoś naprawić. Wczoraj o mało mnie nie udusił, uważając to za rodzaj figła, do którego, jak mu się wydaje, natchnęła go Glynis.

Jeżeli spodziewałam się, że to go rozśmieszy, pomyliłam się. Glen odwrócił do mnie twarz i przyjrzał mi się poważnie i badawczo.

— Ależ ja sam także to wyczuwam — powiedział. — Dlatego ostrzegłem chłopca. Chciałem, żeby właśnie potraktował to jako ostrzeżenie. Żeby uważał na siebie i nie uchylił żadnej szpary, przez którą mogłaby się wślizgnąć.

I znów to opętanie, z którym jeszcze trudniej było się uporać, bo tkwiło w Glenie.

— Musimy stąd wyjechać — powiedziałam. — Moglibyśmy pojechać do Nowego Jorku lub jeśli wolisz za granicę. Musimy na jakiś czas uciec z High Towers. Jeżeli duch Glynis tu się błąka, zostaw go w spokoju. Może nie chce nas tutaj. W każdym razie nie rozumiem, jak możesz tu wytrzymać wiedząc, że ją zamordowano. Glen, czy ty to sobie uświadomiłeś? Jeżeli nie, powinieneś to zrobić.

— Przypuszczam, że mówisz tak z powodu szala?

— Oczywiście. Kto inny, oprócz Coltona lub Nomi mógłby go zabrać? Przestań żyć w urojonym świecie i spróbuj stawić czoło rzeczywistości! Właśnie ja staram się tak postępować. Nie chcę wierzyć, że to któreś z nich, ale któż miał możliwość to zrobić?

Glen wstał ze stołeczka i podszedł do łóżka.

— Wydaje mi się, że pozostała jeszcze jedna osoba, o której nie wspomniałaś, ktoś, kto naprawdę jej nienawidził, Trent McIntyre!

Oburzona usiadłam na łóżku, sięgnęłam po sukienkę.

— To absurd! Trent nie należy do ludzi, którzy uciekają się do przemocy.

— Nawet wtedy, gdy wydawało mu się, że jego ukochany syn jest zagrożony? Nawet wtedy, gdy wiedział, że Glynis mogłaby starać się pokrzyżować plany Pandory? Właśnie w tym miejscu się mylisz! Nie chodzi

tu o Coltona, który ją kochał. I nie o Nomi, która od dawna żywiła uczucia nienawiści, ale nigdy nie dałaby im upustu.

Siedziałam na brzegu łóżka, potrząsając głową, aż Glen położył mi ręce na ramionach.

— Czas, żebyś to ty stawiała czoło rzeczywistości! — krzyknął. — Jakie znaczenie ma dla ciebie Trent? Do jakiego stopnia jesteś zmienna i fałszywa? Kiedyś myślałem, że jesteś kobietą, której mogą zaufać. Ale już tak nie myślę. Poznałem prawdę, kiedy zeszłej nocy trzymałem cię w ramionach!

Wypuściłam powietrze.

— Glen, starałam się... Jeżeli potrzebujesz mnie, postanowiłam z tobą zostać. Ale za bardzo to utrudniasz. Nie wiem, co robić, jak żyć z tobą...

Jego oczy, ciemne i błyszczące wyglądały jak gagaty, co tak bardzo upodobało go do Glynis.

— A co będzie, jeśli okaże się, że mogę udowodnić ci, że to właśnie Trent zabrał szal? Co będzie, jeżeli ja wiem jak to udowodnić?

— Nie możesz — rzekłam. — Nie możesz, bo tak nie było!

— Ubieraj się — powiedział krótko. — Ubieraj się, a pokażę ci. Udowodnię, abyś nigdy więcej już nie miała wątpliwości.

Musiałam z nim iść, żeby obalić ten nowy szaleńczy wymysł, który zmuszał go do działania. Założenie ciepłych wyjściowych rzeczy i butów zajęło mi zaledwie kilka minut. Gdy w świetle wczesnego poranka schodziliśmy razem po schodach, Glen miał na sobie kurtkę z geparda.

Słyszałam, jak pozostali członkowie rodziny krzątają się po domu, ale gdy znaleźliśmy się na dole, tylko Jezebel pojawiła się w hallu. Glen nie zwracał zazwyczaj wielkiej uwagi na kotkę, ale teraz zatrzymał się i

opierając rękę o poręcz popatrzył na nią. Jezebel zrobiła w tym momencie dziwną rzecz. Położyła uszy po sobie, obnażyła zęby, sierść zjeżyła się jej na całym ciele. Stojąc wyprężona na koniuszkach łap, zasyczała na niego.

Glen roześmiał się, przeskoczył przez poręcz, lekko zeskakując obok niej. Kotka wrzasnęła ze strachu i uciekła w stronę otwartych drzwi salonu Nomi. Glen dalej stał, zaśmiewając się z mojej przerażonej miny.

— Widzisz? Jezebel się poznała! Ona ma więcej wyczucia niż ty, kochanie. Zejdź tu do mnie!

Jakże przypominał tego witalnego i promiennego mężczyznę, którego poznałam! A jednak między tamtym a obecnym Glenem była jakaś niepojęta różnica. W chwili, gdy zeszłam na parter, porwał mnie w ramiona i szorstką, męską twarzą potarł mój policzek.

— Widzisz, Dino, Glynis i ja jesteśmy teraz najprawdziwszymi bliźniętami. Takimi bliźniętami, jakimi nigdy przedtem nie mogliśmy być nawet w najśmielszych marzeniach.

Przerażona próbowałam wyrwać się mu, ale złapał mnie za rękę i wyciągnął za drzwi, zanim zdążyłam zaprotestować.

— Dosyć już tych głupstw — powiedział. Zobaczyłam, że znowu był sobą.

— Kochanie, udowodnienie prawdy nie zajmie nam dużo czasu. Tym razem pójdziemy wyższą ścieżką. Będzie szybciej. Na lodzie jest śnieg, ale niezbyt głęboki. Chodź ze mną, Dino, a udowodnię ci prawdę o Trencie.

Poszłam z nim. Śnieg, po którym stąpaliśmy, miał podczas tych pierwszych chwil po wschodzie słońca, barwę złocistą.

Warstwa śniegu nie była głęboka i maszerowało się dość wygodnie. Od czasu do czasu nogi przebijały zewnętrzną pokrywę i ślizgałam się na lodowej skorupie pod spodem, ale nie zdarzało się to często. Łatwiej było iść górną ścieżką niż dolną, wzdłuż brzegu, gdzie leżały głębokie zasy. Glen poruszał się ostrożnie. Odchylał do- tyłu uginające się pod ciężarem śniegu gałęzie, żeby mnie nie uderzały. Pomagał mi, gdy marsz stawał się zbyt uciążliwy. Kiedy wreszcie dotarliśmy do bliźniaczych szczytów Gray Rocks, zaczął przedzierać się przez las w stronę dzielącej je przełęczy. Odwracał się w moją stronę tylko wtedy, gdy odpowiadał na jakieś pytanie.

— Nie musimy iść dalej drogą do jeziora — powiedział. — Z Gray Rocks wszystko zobaczymy. Pokażę ci, co się z pewnością stało.

Nadal nie wierzyłam, że wie, co się wydarzyło czy że Trent ma w tym jakiś udział. Musiałam jednak najpierw wysłuchać oskarżenia, zanim mogłabym je odeprzeć. Jeżeli to, w co wierzy Glen, byłoby prawdą, to Trent także powinien dowiedzieć się o tym, żeby wszystko wyjaśnić.

Glen stanął na przełęczy, z której wiatr prawie do czysta wymiółł śnieg i wyciągnął rękę pomagając mi wspiąć się za nim. Nad jeziorem, ponad ciemnymi wzgórzami wstawało słońce. W miejscach, gdzie wiatr nawiał śnieg z pokrytego lodem jeziora, słoneczne promienie rysowały zielone refleksy świerków.

— Chodź za mną — powiedział. — Wejdziemy na sam szczyt.

Było przeraźliwie zimno. Nie miałam ochoty stać w chłodzie tego wczesnego poranka, w miejscu tak wystawionym na wiatr, ale gdy zawahałam się, popchnął mnie do przodu.

— Wspinaj się — rzekł. — Nie obawiaj się. Nie jest ślisko. Przednia ściana skały jest wolna od śniegu i lodu. Zresztą będę wchodził do góry za tobą. Nic się nie bój!

Nie wiedział, bo mu o tym nie mówiłam, że już przedtem byłam w jego kryjówce na górze. Przymierzałam ukryte w rękawiczkach ręce do nacięć w skale i krok za krokiem wspinałam się w górę, aż doczołgałam się do osłoniętego miejsca na szczycie. Zapomniałam na chwilę o Glenie. Podeszłam do tworzącego barierę skalnego progu, by popatrzeć na jezioro. Wschodzące słońce złociło każdą najmniejszą, ośnieżoną gałązkę drzew. W dole, ukazał się na lodzie pierwszy łyżwiarz. Poczułam przyływ otuchy, widząc, że był to Trent. Ślizgał się wprawdzie daleko, tam gdzie wiatr zdmuchnął śnieg, ale gdybym go potrzebowała, był w okolicy. Co prawda uważałam, że nie potrzebuję jego pomocy i sama sobie z Glenem poradzę. Nie bałam się. Jeszcze nie.

Czyste i mroźne powietrze iskrzyło się, zaczerpnęłam je w płuca i odwróciłam się, żeby popatrzeć na wspinaczkę Glena. Nie odczuwałam strachu, dopóki nie spojrzałam na jego twarz. Rozsunął kurtkę z gepardziej skóry tak, iż gdy wspinał się w górę, powiewała rozpięta. Spostrzegłam, że miał na szyi świąteczny upominek, złoty łańcuszek. Nie był to jednak ten, który dała mu Glynis, lecz ten, który on jej ofiarował — łańcuszek ze złotym medalionem przedstawiającym łeb pantery. Uniósł głowę i spostrzegłam jak bardzo zmieniła mu się twarz. Wystąpiły na niej jakieś ledwo uchwytnie przemiany. Teraz zrozumiałam to, co instynktownie



wyczuwała Jezebel. Oni byli jednakowi! Ale to właśnie Glynis wspinała się do mnie! Pojęłam to jakimś szóstym zmysłem. Zanim Glen odezwał się do mnie, jeszcze tylko przeczuwałam, potem miałam już pewność. Rozpoznałam nieznacznie ochryply głos. Nie było to chrypliwe brzmienie głosu męskiego. Na szczycie Gray Rocks ustami Glena przemawiała do mnie Glynis.

— Myślisz, że nie wiem, co się stało? — spytał głos. — Wydaje ci się, że wyjawię każdy szczegół tamtego wydarzenia? Och, zapomnij o tym, co mówiliśmy o Trencie. To był podstęp, żeby cię tutaj ściągnąć. Teraz, kochana Dino, poniesiesz konsekwencje swoich czynów...

Wspiął się na górę, stanął na otwartej przestrzeni, bardzo blisko, ale nie dotykając mnie. Po jednej stronie miałam skalną ścianę, po drugiej stromy spadek, którym wspinaliśmy się. Przede mną stał Glen, a jednocześnie ktoś inny. Nie wierzyłam w opętanie, oczywiście nie wierzyłam. A jednak zmienił się jego wyraz twarzy i głos. Z oczu Glena wyzierała igrająca ze mną Glynis. Niesamowite, ona użyła zaimka „my”.

Odskoczyłam od niego. Podbiegłam do kamiennej bariery spoglądając ponad nią w kierunku łyżwiarza na jeziorze. Przyłożyłam zwinięte w trąbkę rękę do ust i wołając o pomoc, wykrzyczałam imię Trenta. Widziałam jak zatrzymał się i spojrzał w stronę skały, na której stałam, a potem pomachał ręką. Nie mogłam jednak już nic mu odpowiedzieć, bo Glen odwrócił i odciągnął mnie od osłony. Nie miało to zresztą już znaczenia. Trent był zbyt daleko, żeby mi pomóc. Teraz nie mogłam liczyć na niczyją pomoc. A ja umiałabym poradzić sobie z Glenem, ale nie z Glynis.

Jego ręce krępowały mnie uniemożliwiając jakąkolwiek walkę. Od nieznośnego uścisku bolały mnie dłonie, a on mówił dalej cichym, ochrypłym głosem:

— Teraz dokładnie przypomnę ci, co się wydarzyło tamtego dnia, kiedy poszłaś na łyżwy na jezioro. Zastawiłaś taką samą pułapkę jak ta, w której zginęła nasza matka, prawda? Pojechałaś w niebezpieczne miejsce, bo jesteś lekka i łód nie załamałby się pod tobą. A gdy podjechalismy, żeby cię ratować, pękł łód i wpadliśmy do wody. Potem robiłaś te wszystkie sztuczki z szalem, udając, że ratujesz nas przed utopieniem, ale w odpowiedniej chwili wyciągnęłaś go. Zaniósłaś z powrotem do domu i ukryłaś wśród rzeczy Coltona, wiedząc, że przez lata mógł nie zaglądać do tej starej skrzyni z rupieciami.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie, Glen, wcale tak nie było! Glen, Glen!

Ale nie usłyszał mnie, bo znów ona się wtrąciła. Uważnie i przebiegle patrzyła na mnie jego oczami. Na twarzy pojawił mu się jej uśmiech i znowu odezwał się jej głosem.

Puścił mnie. Błędym wzrokiem rozejrzałam się wokoło, szukając jakiejś pomocy. Nie widziałam już Trenta. Wszystkie kamienne i luźne odłamki, które tam leżały, znajdowały się za barierą, poza zasięgiem moich rąk, nie mogłam więc żadnego podnieść i użyć do obrony. Rodzeństwo było znacznie ode mnie wyższe, a teraz dodatkowo ich siły jakoś się połączyły. Zdawałam sobie sprawę z własnej bezradności. Niemniej jednak, wszelkimi siłami musiałam z nim walczyć.

— Nie dotykaj mnie! — ostrzegłam. — To nie jest miejsce do jakiejś szarpaniny. Jeżeli dotkniesz mnie choć palcem, będę walczyła, nawet jeżeli oboje spadniemy w przepaść.

— Nie zamierzam cię dotykać — powiedział niemal miłym głosem. — Nie denerwuj się, nie będzie tu żadnej walki, ponieważ sama zrobisz to, co powinnaś, droga Dino. Wdrapiesz się na barierkę i przesuniesz się nad nią, bo nie chcesz już dłużej żyć. Nie możesz przecież żyć z poczuciem winy, prawda? Wiedząc, że utraciłaś wszystko, co było dla ciebie ważne, zrozumiałaś, że nie zniesiesz dłużej takiego życia! Straciłaś na zawsze swego męża, prawda? I pozwoliłaś zginąć na jeziorze kobiecie. Jakże zrećcznie wyciągnęłaś szal, pozwalając jej, gdy była już wyczerpana i niezdolna do walki o życie, pogrążyć się w lodowatej wodzie. Ale my nie puścimy ci tego płazem! Dopilnujemy, żebyś poniosła karę!

— Glen! — wrzasnęłam. — Glen, wróć do mnie!

Na nic się to nie zdało. Zaszły się w jakiejś ciemnej kryjówce szaleńców, gdzie nie mogłam go dosięgnąć.

— No chodź, Dino — powiedział. Dam ci oparcie, żebyś się przedostała przez skalny próg. Stań mi na ręce.

Kopnęłam go z całej siły, ale złapał mnie za nogę.

— Grasz nie fair, my też nie będziemy grać fair. No, w górę! — Znowu użył tej okropnej formy „my”.

Udało mu się przytrzymać mnie i przycisnąć do kamiennego progu; i w tym momencie rozległ się huk wystrzału. Kula z trzaskiem uderzyła o pobliską skałę. Glen puścił mnie i oboje ze zdumieniem spojrzeliśmy w kierunku, z którego rozległ się strzał.

Na bliźniaczy szczyt Gray Rocks wspiął się Keith McIntyre. Siedział okrakiem na grani, niemal na tej samej wysokości, co my. Trzymał przy ramieniu strzelbę.

— Odłóż strzelbę! — krzyknął Glen, ale znowu był to głos Glynis i zobaczyłam, jak twarz chłopca wykrzywiła się. Jednak strzelba w jego rękach nawet nie drgnęła.

— Jestem naprawdę dobrym strzelcem, Glen, wiesz o tym — odpowiedział Keith. — A więc usuń się z drogi i pozwól Dinie zejść. Jeśli zrobisz jakiś ruch w jej stronę, będę strzelał.

Glen nie bał się.

— Nie zrobisz tego chłopcze. Nie zranisz mnie, wiesz? Dlaczego miałbyś to zrobić? Keith, zależy ci na Dinie, przecież to właśnie ona zabiła twoją matkę!?

— Wiem, kto zabił moją matkę! — Głos chłopca drżał, ale Keith trzymał strzelbę mocno. — Pamiętam, jaki był wściekły, gdy zrobiłem tak, jak wytłumaczyła mi Dina, że powinienem zrobić. Opowiedziałem ci wtedy, że Glynis namówiła mnie do zniszczenia twojej rzeźby. Kazała mi ustawić ją w ten sposób, żeby wyglądało, że to Dina ją stłukła otwierając drzwi. Potem przeszedłem przez poręcz balkonu i wróciłem przez salon ciotki Nomi. Musiałem zrobić to, co mi kazała Glynis, musiałem! Powiedziała, że jeżeli tego nie zrobię, to nie zabierze mnie ze sobą do Nowego Jorku. Widziałem też, jak roznośisz po domu te magiczne kule, stwarzając pozory, że to moja matka je podkłada.

— To była twoja matka — rzekł Glen.

— Tamtego dnia to ja próbowałem porachować się z tobą. Wspiąłem się tu na górę i zepchnąłem na dół skalny blok. Ale nie mogłem zmusić się to tego, żeby rzeczywiście cię ugodzić...

Chłopiec o mało nie płakał i strzelba zniknęła mi z pola widzenia. Potykając się ruszyłam w stronę prowadzącego na dół stromego zbocza, ale

Glen złapał mnie za ramię. Przez chwilę wydawało mi się, że lecę głową w dół, w kamienną przepaść. Keith podniósł strzelbę. Znowu rozległ się huk wystrzału. Tym razem trafił, Glen przewrócił się do tyłu; zobaczyłam krew broczącą mu z ramienia, jego rękę przyciśniętą do rany.

— Dino, schodź! — krzyczał Keith. — Schodź z tej skały! Szybko!

Nagle, nie zważając na ranę, Glen wykonał gwałtowny ruch w moją stronę. Keith jeszcze raz strzelił. Chłopiec był wyborowym strzelcem. Glen potknął się i bezwładnie osunął się na skałę.

— Nie chciałem cię zabić! — wołał łkając Keith. — Nie chciałem cię zabić, ale ty nie pozwalałeś jej odejść...

Obie kule trafiły go w to samo ramię. Zdrową ręką podciągnął się i przetoczył pomiędzy mnie a zejście z wykutymi wgłębieniami w skale. Twarz miał upiornie bladą, z jego oczu nie wyglądała już Glynis. Przez jedną bolesną, zapierającą dech w piersiach chwilę, uniósł głowę i popatrzył na mnie.

— Przepraszam cię, Dino — powiedział. — Przepraszam cię za tak wiele spraw.

Potem całkiem świadomie przetoczył się do krawędzi i zsunął z niej. Stałam w miejscu skamieniała. Byłam bezradna, wręcz ogłuszona. Uderzył o przełęcz, odbił się i z łoskotem runął w przepaść, spadając u podnóża Gray Rocks.

Glen stawiał czoło swej własnej rzeczywistości.

Dopiero wtedy zaczęłam, przytrzymując się rękoma, gorączkowo schodzić. Usłyszałam rozbrzmiewający nade mną echem krzyk Keitha.

— Nie chciałem go zabić! Nie chciałem! Musiałem go powstrzymać. I ją musiałem też powstrzymać...

Powiedział „ją”, a ja poczułam, że włosy zjeżyły mi się na głowie. Również Keith uległ temu... temu straszному opętaniu.

Chłopiec zszedł ze skały i przede mną dotarł do przełęczy. Przez chwilę wpatrywał się we mnie obłądnym wzrokiem, skoczył w dół zbocza, okrążył skały i dotarł do miejsca, z którego można było już zejść bezpiecznie. Ruszyłam za nim w dół, ale znad brzegu jeziora zawołał do mnie Trent.

— Dino, nie schodź! Nic tu nie pomożesz. Keith i ja zabierzemy go do domu. Idź i uprzedź Nomi.

Nie zapytałam, nie miałam odwagi zapytać, czy Glen żyje. Chyba domyślałam się. Nikt nie mógłby przeżyć takiego upadku. Ale w końcu on sam chciał tego. Teraz na zawsze uwolnił się od Glynis. Doszłam do górnej ścieżki i pobiegłam tymi samymi śladami, które zostawiliśmy wychodząc rano z domu. Podwójnymi śladami, którym towarzyszyła trzecia para; ślady idącego za nami Keitha.

Nie dochodząc do domu natknęłam się na Nomi, która wyszła mi na spotkanie. Słyszając nas wychodzących, zaniepokoiła się, ubrała ciepło i poszła za nami. Usłyszała strzały i myślę, że już w chwili, gdy spotkałyśmy się w lesie, zorientowała się po mojej minie, że stało się najgorsze. Wyraz jej twarzy nie zmienił się. Po prostu postawiła wyżej kołnierz palta i wraz ze mną zawróciła w stronę domu.

— Cokolwiek zrobił — rzekła — nie uczynił tego on sam.

— W tej ostatniej chwili był sobą. To, co zrobił na końcu, było jego własną decyzją.

Idąca obok Nomi energicznie potrząsnęła głową.

— Nieprawda! Glynis musiała mu odpłacić za swoją śmierć. Dziwne, ale przeczuwałam, że to się stanie.

— Keith powiedział... — zaczęłam mówić, ale Nomi ponownie, z uporem potrząsnęła głową.

— Keith w ogóle nic nie wiedział. On tylko domyślał się. Ja wiedziałam. Byłam tam w pobliżu skał. Widziałam, jak to się stało...

Zbliżaliśmy się do domu, a ona osobliwym, monotonnym, jakby pozbawionym wszelkich uczuć głosem, opowiadała.

W dniu śmierci Glynis Nomi poszła na spacer wokół jeziora, a w powrotnej drodze doszła do podnóża Gray Rocks. Zobaczyła, jak Glen zbiega od strony górnej ścieżki do miotającej się w wodzie siostry.

— Był oszalały ze złości — powiedziała. — Keith właśnie powiedział mu, co się stało z rzeźbą z alabastru i zostawił go, wracając do domu. Każde z bliźniąt doprowadzone do wściekłości, zawsze stawało się niebezpieczne. Ta alabastrowa rzeźba znaczyła wówczas dla Glena więcej niż cokolwiek innego, a siostra z zazdrości wszystko popsuła. Możliwe, że tobie do pewnego stopnia przebaczył, ponieważ zrobiłaś to przypadkowo. Natomiast to, co uczyniła ona, było zniszczeniem z premedytacją. Przy tym posłużyła się Keithem jako swoją bronią. Mogła więc później przysięgać, że nigdy nie dotknęła rzeźby. Gdy zobaczył ją w wodzie, wściekły podszedł i zaczął ją besztać. Wszystko słyszałam i widziałam. Krzyczała do niego, wołając o pomoc, ale on nie zamierzał jej pomóc. Zamiast tego odwiązał z pnia szal, który ci dałam i wyrwał go z jej rąk. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście chciał, żeby utonęła. Czasami wydaje mi się, że wierzył, iż ona jest niezniszczalna. Oczekiwał chyba, że zaciekle walcząc, w rosnącej trwodze ona uwolni się.

W każdym bądź razie zostawił ją i oddalił się zabierając szal. Poszłam za nim. Ty w tym czasie zatrzymałaś się i słysząc jej krzyk zawróciłaś. Idąc górną ścieżką posuwaliśmy się szybciej niż ty i do domu dotarliśmy przed tobą. W momencie, gdy doszłaś do domu, Glen znowu był w pracowni. Poszłam za nim, ale nie podchodziłam do niego.

— A szal? — spytałam w odrętwieniu.

— Nie wiem. Sądziłam, że może włożył go do rzeczy Glynis, ale nie znalazłam go u niej. Przypuszczam, że ukrył go tam, gdzie znalazł go Keith.

— Wiedziałam, że Glen się bał — rzekłam — ale nie rozumiałam dlaczego, a to jego własne sumienie przejmowało go lękiem.

Nomi z przekonaniem pokręciła głową

— Nie, to była Glynis. Glynis wykorzystująca jako broń — którą on jej dał — strach. Glynis, która przekonała go, że wszystko, co się wydarzyło, było twoją winą.

Już nic nie mogłam jej odpowiedzieć. Nic by to nie dało. Oni wszyscy, zimowi ludzie z High Towers, byli trochę pomyleni.

— Biedny Colton — powiedziałam przypominając sobie o ojcu Glena.  
— Stracić w przeciągu miesiąca córkę, a potem syna...

Doszliśmy właśnie do domu. Nomi pierwsza weszła na schody.

— Colton to przeżyje — rzekła sucho. — Przeżyje, bo ma samego siebie. Już mówi o zamknięciu High Towers i sprzedaniu Pandorze wszystkiego po tej stronie jeziora. Ale ja też mam siebie, więc i ja to przeżyję. Dino, nigdy nikomu nie wierz. Nigdy nie zdradzaj się ze swoją miłością.

Była tak nieugięta, że mogłam tylko jej współczuć. Jej sposób postępowania nie nadawał się dla mnie.



Razem weszliśmy do domu. Nomi zadzwoniła po doktora, a potem poszła do pokoju Coltona przekazać mu wiadomość.

Gdy Trent z Keithem przynieśli Glena do domu na zaimprovizowanych z gałęzi noszach, zabrano go do salonu Nomi. Jezebel tym razem nie uciekła, siedziała przed kominkiem, spokojnie myjąc pyszczek. Glynis odeszła na zawsze.

Szybko wypchnęłam z pokoju Keitha. Twarz miał bladą, bliski był załamania nerwowego.

— Zabiłem go — powiedział. — To moja wina...

Staliśmy w przyćmionym świetle w korytarzu, cicho rozmawiając. Nie chciałam, żeby wchodził do salonu, gdzie wisiał portret bliźniąt.

— Nie, Keith — odpowiedziałam. — Ty go zbudziłeś. Zmusiłeś go, żeby przestał utożsamiać się z Glynis. Ale jego wina była dla niego zbyt ciężka i nie mógł z nią dłużej żyć. Sądzę, że musiało się tak stać. Gdybyś nie przyszedł mi z pomocą, teraz ja leżałabym u podnóża skał. Ocaliłeś mi życie.

Jego uśmiech zaskoczył mnie. Był niepewny, ale ciepły. Prosił o przyjaźń i przebaczenie. Delikatnie położyłam mu rękę na ramieniu i szybko cofnęłam ją. Nie śmiałam w takiej chwili okazywać więcej czułości.

Z saloniku Nomi wyszedł Trent, zbliżając się do nas, z uznaniem popatrzył na syna.

— Pójdziemy teraz do domu — rzekł. — Wszyscy troje. Bernardino, powiedziałem Nomi, że wyjeżdżasz, ona to rozumie. Idź spakować trochę rzeczy, zaczekamy na ciebie.

Musieli rozmawiać w czasie, który spędziłam na górze, bo gdy do nich zesłam, chłopiec wyglądał na mniej przygnębionego. Dawno już obaj, ojciec i syn, nie byli tak sobie bliscy, jak w tej chwili.

Przez las zesliśmy ze wzgórza, a potem na przełaj, przez zamarznięte jezioro, dotarliśmy do kamiennego domu. Uprzedzona telefonicznie Pandora czekała na nas ze śniadaniem. Na jednym z dużych palenisk, które niegdyś służyły gospodarze, płonął trzaskający ogień.

High Towers zostało za mną, ale cienie rzucane przez dom i Gray Rocks, legły jeszcze na długo w mojej pamięci. High Towers odcisnęło na mnie swoje piętno, chociaż Trent nie zostawił mnie samej. On oznaczał rzeczywistość w świecie, który wokół mnie rozpadał się.

Po śniadaniu zabrał mnie do dużego pokoju, w którym jasno oświetlona choinka symbolizowała nadejście szczęśliwszych chwil. Nie tracąc czasu na słowa, przysunął wielkie krzesło do kominka i przyciągnął mnie do siebie. Trzymał mnie w objęciach, a ja oparłam mu głowę na ramieniu, tak jak przed laty, w deszczowe popołudnie w Kalifornii. Tylko tym razem nie było to ckliwe udawanie. Nie byłam już szesnastolatką, lecz dorosłą kobietą.

— Bernardino — powiedział. — Nie broń się więcej przede mną. Pora zapomnieć o przeszłości i rozpocząć nowe życie.

Przytuliłam się do niego i poddałam jego czułym dłoniom.